

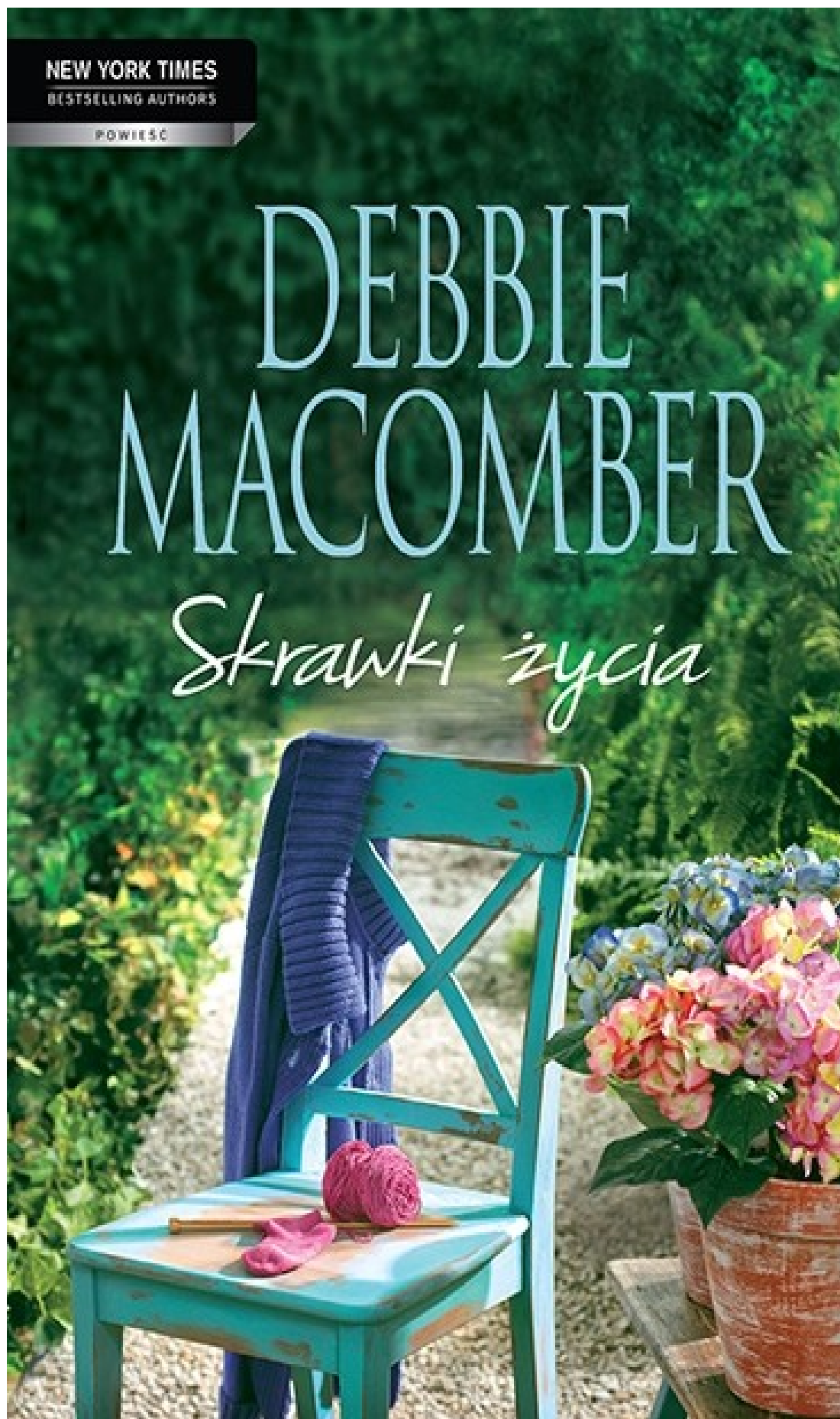
NEW YORK TIMES

BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

DEBBIE MACOMBER

Skrawki życia



Debbie Macomber

Skrawki życia

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ręczny wyrób skarpet pozwala nam nawiązać kontakt z historią. Otrzymujemy wgląd w życie dziewiarek. Dziewiarstwo ręczne wymagało w zamierzchłych czasach tych samych umiejętności, które musimy dzisiaj opanować, oraz tych samych technik, jakie i dzisiaj odtwarzamy.

Nancy Bush, autorka poradników: „Folk Socks” (1994), „Folk Knitting in Estonia” (1999), „Knitting on the Road, Socks for the Traveling Knitter” (2001)

LYDIA HOFFMAN

Robienie na drutach uratowało mi życie. Przetrwałam dwa przewlekłe okresy nawrotu nowotworu, który umiejscowił w moim mózgu guzy, powodujące koszmarnie bóle głowy. Wcześniej nawet sobie nie wyobrażałam, że człowiek może znieść takie tortury. Rak zrujnował moje życie przed dwudziestym rokiem życia i później, ale za wszelką cenę postanowiłam przeżyć. Po raz pierwszy usłyszałam przerażającą diagnozę w wieku szesnastu lat. Nauczyłam się robić na drutach podczas chemioterapii.

Sąsiadka z rakiem piersi, która dziergała podczas zabiegów, wprowadziła mnie w arkana tej sztuki. Chemioterapia była okropnym przeżyciem, chociaż nie tak straszliwym jak bóle głowy. Tylko dzięki

robótkom jakoś przetrzymałam niezliczone godziny osłabienia i mdłości. Kłębek przędzy i para drutów pozwoliły mi uwierzyć, że potrafię dokonać tego, co postanowię. Włosy wypadały mi garściami, żołądek nie trawił więcej niż kilka kęsów naraz, ale za to umiałam nabrać oczko, odtworzyć wzór i zrealizować własny projekt. Ceniłam swoje jedyne w tym okresie osiągnięcie jak bezcenny skarb.

Moje życie uratował także ojciec. Podnosząc mnie na duchu, sprawił, że starczyło mi sił, żeby przeżyć ostatni atak choroby. Pozostałam przy życiu, ale on niestety nie. W akcie zgonu podano atak serca jako przyczynę śmierci, ale ja uważam, że zniszczył go nawrót mojego nowotworu. Spadł na niego cały ciężar opieki nade mną. Mama nigdy nie umiała postępować z chorymi. Ojciec dodawał mi otuchy, walczył z lekarzami, wymuszał na nich stosowanie najlepszych metod leczenia. To on tchnął we mnie na nowo wolę życia. Skoncentrowana wyłącznie na własnej walce o przetrwanie, nie zdawałam sobie sprawy, jak wysoką cenę płaci za mój powrót do zdrowia.

Podczas gdy u mnie nastąpił okres remisji, jego serce nie wytrzymało. Po jego śmierci stanęłam przed dylematem, co począć z resztą życia. Pragnęłam złożyć mu hołd niezależnie od tego, jaką drogą pójdę. Innymi słowy, ja, Lydia Hoffman, zdecydowałam, że podejmę każde ryzyko, byle zostawić po sobie jakiś ślad. Z perspektywy czasu tamta deklaracja brzmi dość melodramatycznie, lecz wtedy, rok temu, właśnie tak to odczuwałam. Pewnie spytacie, jakiej to doniosłej przemiany dokonałam? Otóż otworzyłam sklep z

włóczką przy Blossom Street w Seattle. Zapewne tego rodzaju przedsięwzięcie nie zrobi na nikim wstrząsającego wrażenia, lecz dla mnie stanowiło wówczas wielkie wyzwanie. Podejrzewam, że Noe przeżywał podobne dylematy, budując arkę w czasie suszy. Ja, która nie wytrzymałam w żadnej pracy dłużej niż kilka tygodni, nie wiedząc nic o finansach, bilansach czy planach, zainwestowałam co do centa wszystkie odziedziczone po dziadkach pieniądze, żeby założyć własny interes. Wykorzystałam za to w pełni jedyną obszerną wiedzę, jaką posiadałam: znajomość włóczek i umiejętność dziergania.

Oczywiście napotkałam wiele trudności. W czasie gdy otwierałam „Świat Włóczki”, ulica była w remoncie. Nawiasem mówiąc, żona architekta, który projektował jej zabudowę, Jacqueline Donovan, należała do grona uczestniczek mojego pierwszego kursu robótek ręcznych. Wraz z pozostałymi uczennicami, Carol i Alix, pozostała do tej pory jedną z moich najlepszych przyjaciółek. Ubiegłego lata, kiedy rozpoczynałam działalność, ulicę zamknięto dla ruchu kołowego. Aby dotrzeć do sklepu, należało na piechotę pokonać liczne przeszkody wśród kurzu i hałasu. Nie pozwoliłam, by przeciwności osłabiły mój zapał. Ponieważ klientki również go podzielały, uwierzyłam, że zrealizuję swój cel.

Od rodziny nie otrzymałam tak wielkiej pomocy, jak można by przypuszczać. Mama, niech Bóg ją błogosławi, dodawała mi otuchy, jak potrafiła, lecz po odejściu taty zupełnie opadła z sił. Do tej pory nie podźwignęła się z załamania nerwowego. Przez większą część dnia krąży bez celu po domu, zatopiona w posepnej zadumie. Kiedy

przedstawiłam swój zamysł, nie zniechęcała mnie, ale też nie zachęcała. Powiedziała tylko:

- Pewnie, kochanie, spróbuj, jeśli czujesz, że poddasz zadaniu.

Więcej entuzjazmu nie śmiałybym nawet oczekiwać.

Natomiast moja starsza siostra, Margaret, bez najmniejszych oporów wmaszerowała do sklepu w dniu otwarcia tylko po to, żeby przedstawić wszelkie możliwe zastrzeżenia. Tłumaczyła, że gospodarka przeżywa kryzys, ludzie sto razy oglądają każdego centa, zanim go wydadzą, a zatem jeżeli szczęście mi dopisze, wytrwam najdłużej pół roku. Po dziesięciu minutach wysłuchiwania najczarniejszych prognoz byłam gotowa zwinąć interes. W ostatniej chwili uświadomiłam sobie, że dopiero go założyłam. Powiedziałam sobie, że skoro zainwestowałam tyle pracy i pieniędzy, należałoby przynajmniej sprzedać choć jeden motek włóczki, dopóki nie zrezygnuję.

Nie zrozumcie mnie źle - kocham Margaret. Zanim zachorowałam, różnie między nami bywało, raz gorzej, raz lepiej, jak to między rodzeństwem. Kiedy po raz pierwszy rozpoznano u mnie nowotwór, zachowała się wspaniale: kupiła pluszowego misia, żeby mi towarzyszył w szpitalu. Mam go gdzieś do tej pory, jeżeli Wąsik nie porwał go na strzępy. Mój kot uwielbia bowiem drapać wszystkie kosmate przedmioty.

Podczas nawrotu choroby Margaret diametralnie zmieniła nastawienie. Dawała do zrozumienia, że sama ściągnęłam na siebie nieszczęście, żeby skupić uwagę otoczenia. Wychodząc z takiego

założenia, powinna popierać moje dążenie do osiągnięcia niezależności. Nic takiego nie nastąpiło. Od początku krytykowała moje wysiłki, wynajdywała setki przeszkód, które jej zdaniem miały doprowadzić do nieuchronnej porażki. Dopiero po pewnym czasie przekonały ją pozytywne rezultaty.

Ogłędnie mówiąc, Margaret nie należy do osób wylewnych ani miłych w obejściu. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo się o mnie troszczy, póki doktor Wilson nie wezwał mnie wkrótce po otwarciu sklepu po raz trzeci na te koszmarne testy. Zabrakło mi sił do walki z chorobą, świat przestał dla mnie istnieć. Postanowiłam, że jeśli wystąpią przerzuty, nie wyrażę zgody na dalsze leczenie. Nie chciałam wprawdzie umierać, ale żyć z wyrokiem śmierci również nie miałam zamiaru.

Mój pesymizm tylko irytował Margaret. Rozmowy o śmierci przygnębiały ją, podobnie jak większość zdrowych ludzi. Człowiek, który w każdej chwili może odejść z tego świata, traktuje je jak rzecz normalną. Nie wyczekuję końca, ale też się go nie obawiam. Na szczęście badania nie wykazały kolejnego nawrotu choroby. Obecnie rozkwitam, tak jak i moje małe przedsiębiorstwo. Wspominam tygodnie oczekiwania na diagnozę tylko dlatego, że właśnie wtedy odkryłam, jak bardzo siostra mnie kocha. W ciągu minionych siedemnastu lat płakała tylko dwa razy: kiedy zmarł ojciec i kiedy doktor Wilson wręczył mi świadectwo zdrowia.

Ledwie wróciłam do pracy w pełnym wymiarze, Margaret zaczęła mnie namawiać na odnowienie kontaktów z Bradem Goetzem,

który przywozi towar do „Świata Włóczki” swoją ciężarówką. Zaczęliśmy się spotykać w ubiegłym roku. Brad samotnie wychowuje ośmioletniego synka, Cody’ego. Jest rozwiedziony i wprost oszałamiająco przystojny. Kiedy po raz pierwszy wkroczył do sklepu z kilkoma pudłami włóczki, zaparło mi dech. Mało mi szczęka nie opadła. Z wrażenia drżała mi ręka, gdy podpisywałam odbiór dostawy. Trzy razy ponawiał zaproszenie, zanim zgodziłam się pójść z nim do kawiarni. Gdyby Margaret mnie nie zmusiła, pewnie odmówiłabym i po raz czwarty, tak bardzo się bałam, że stracę dla niego głowę.

Zawsze nazywałam „Świat Włóczki” afirmacją życia. Moja siostra natomiast sądzi, że zbudowałam sobie wygodną kryjówkę, żeby uciec przed światem. W gruncie rzeczy przyznaję jej rację. Poza ojcem i lekarzami praktycznie nie znałam mężczyzn, toteż nie umiem z nimi postępować. Jednak Margaret nie słuchała żadnych wymówek. Dotąd naciskała, aż zaczęłam regularnie wychodzić z Bradem. Później nastąpiły wypadki do restauracji na kolację, pikniki z jego synem, wreszcie wspólne wyjścia na mecze. Pokochałam Cody’ego równie mocno, jak moje dwie siostrzenice, Julię i Hailey.

Obecnie często widuję Brada, którego porzuciłam, gdy wezwano mnie do szpitala na powtórne badania. Margaret wyrzucała mi, że popełniłam wielki błąd, ale Brad mi wybaczył. Nadal zachowuję ostrożność, nie przyspieszam biegu wydarzeń, co mu bardzo odpowiada. Przeżył wielki zawód, gdy rzuciła go żona pod pretekstem „odnalezienia samej siebie”. Biorę także pod uwagę uczucia

Cody'ego. Chłopca łączy z ojcem bardzo silna więź, a ponieważ mnie również pokochał, nie próbuję jej rozluźniać. Na razie wszystko idzie ku dobremu. Coraz częściej rozmawiamy o wspólnej przyszłości. Brad i Cody stanowią integralną część mojego życia. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym ich utracić.

Aczkolwiek Margaret z początku nie wróżyła mi powodzenia, obecnie wspiera moje działania. Pracuje u mnie w sklepie. Właściwie to żaden cud, siostry powinny trzymać ze sobą. Czasami dochodzi do konfliktów, ale znalazłyśmy wspólny język, co mnie bardzo cieszy.

Zanim odejdę zbyt daleko od tematu, chciałabym opisać swój sklep.

Kiedy tylko ujrzałam lokal, natychmiast uznałam, że odpowiada mi pod każdym względem. Mimo bałaganu w najbliższej okolicy i nieustannych przeprowadzek w sąsiedztwie doskonale nadawał się do moich celów. Byłam gotowa podpisać umowę najmu, jeszcze zanim weszłam do środka. Już sama nazwa ulicy - Kwitnąca - pobudziła moją wyobraźnię. Zachwyciły mnie olbrzymie okna wystawowe. Teraz przeważnie sypia tam Wąsik, zwinięty w kłębek między motkami wełny. Skrzynki z kwiatami na parapetach przypominały sklep z rowerami, który przed laty prowadził ojciec. Odnosiłam wrażenie, że on sam daje mi błogosławieństwo na nową drogę życia. Widok zakurzonych wprawdzie, lecz wielce urokliwych markiz w kolorowe pasy przypieczętował decyzję. Zyskałam pewność, że stworzę ciepłe, przytulne wnętrze. Rzeczywiście, tak jak sobie wymarzyłam, „Świat Włóczki” ma jakiś staroświecki, magiczny urok.

Remont ulicy niedługo zostanie zakończony. Dawny bank przekształcono na szalenie drogi apartamentowiec, a sąsiadujący z nim sklep z kasetami na kawiarnię w stylu francuskim, nazwaną „French Cafe”. Alix Townsed, uczestniczka mojego pierwszego kursu, wcześniej sprzedawała tam kasety wideo. Po oddaniu nowego lokalu do użytku chętnie w nim pozostała. Obecnie pracuje w swoim nowym zawodzie - cukiernika. Dawna „Annie’s Cafe” na razie pozostaje zamknięta, ale przy tak atrakcyjnym sąsiedztwie z pewnością wkrótce znajdzie najemcę.

W pierwszy wtorek czerwca zadzwonił dzwonek u drzwi. Margaret weszła do środka energicznym krokiem. Był piękny poranek. Zwykle o tej porze na północno-zachodnim wybrzeżu Pacyfiku rozpoczyna się lato.

Uniosłam głowę znad ekspresu do kawy w pokoju biurowym na zapleczu.

- Dzień dobry! - zawołałam wesoło.

Nie od razu odpowiedziała. Nieco później wydała dźwięk przypominający raczej pomruk niż pozdrowienie. Znam siostrę na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że ma zły humor. Nie wypytywałam, zostawiłam jej czas, żeby nieco ochłonęła. Kiedy pokłóciła się z mężem albo z którąś z córek, zawsze wcześniej czy później zwierzała mi się ze swoich kłopotów.

- Właśnie parzę kawę - zagadnęłam, gdy już do mnie dołączyła. Bez słowa wzięła z tacy świeżo umytą filiżankę. Następnie sięgnęła po dzbanek. Nawet nie zauważyła, że ze zbiorniczka nadal wycieka

wrzątek. W końcu nie wytrzymałam napięcia.

- Co cię trapi? - spytałam prosto z mostu. Ostatnio irytowało mnie coraz bardziej, że bez skrępowania manifestuje złe nastroje w miejscu pracy.

- Wybacz, nic takiego - mruknęła z nieśmiałym uśmiechem. - Zapomniałam, że dziś otwarte, pusto tu jak w poniedziałek.

W pierwszy dzień tygodnia nie otwieramy sklepu. Zaczynamy handlować dopiero we wtorek. Poobserwowałam chwilę Margaret, próbując odgadnąć, co ją gnębi, ale nic nie wyczytałam z wyrazu twarzy.

Siostra jest energiczną, wysoką kobietą, o szczupłej, wysportowanej sylwetce i szerokich ramionach. Wygląda na atletkę, choć od lat nie trenuje. Ma gęste, ciemne włosy, które układa tak samo od czasów liceum - z przedziałką pośrodku. W dodatku męczy je nawijaniem końców na lokówkę, a później jeszcze utrwała fryzurę lakierem. Zawsze chodziła do szkoły starannie uczesana, w odprasowanych ubraniach, ale wolałabym, żeby jako dorosła osoba zmieniła styl na bardziej nowoczesny.

- Ogłaszam nabór na nowy kurs - oświadczyłam, żeby odwrócić jej uwagę od problemów.

- Czego zamierzasz uczyć?

Całe szczęście, że nareszcie coś ją zainteresowało. Prowadziłam już lekcje dla początkujących, zaawansowanych, zrealizowałam też projekt pod nazwą „Jasna wyspa”. Od pewnego czasu chodził za mną zupełnie nowy pomysł.

- Czyżbym zadała zbyt trudne pytanie? - wyrwał mnie z zadumy drwiący głos Margaret.

- Tym razem zaprezentuję technikę robienia skarpet. Niedawno otrzymałam dostawę najnowszych wzorów z Europy. Zarówno mnie, jak i klientki zachwycił ostatni krzyk mody - włóczka ufarbowana w taki sposób, żeby sama tworzyła ciekawy wzór podczas robienia. Nieodmiennie zaskakiwał mnie końcowy efekt, osiągnięty nie dzięki umiejętnościom dziewiarki, lecz talentom projektanta.

- Świetnie. Sądzę, że zastosujesz dwie pary okrągłych drutów zamiast pięciu zaokrąglonych z dwóch stron.

- Oczywiście.

- Zauważyłam, że dzierganie skarpet robi ostatnio furorę - stwierdziła Margaret niemalże obojętnym tonem.

Popatrzyłam na nią badawczo. Wcale mnie nie cieszyło, że zaakceptowała pomysł bez zastrzeżeń. Zawsze znajdowała co najmniej kilka powodów, żeby wywróżyć mi klęskę, a ja zawzięcie broniłam swego stanowiska. Sprzeczki na temat każdego planu niemalże weszły nam w krew, należały do naszych stałych rytuałów. Nic dziwnego, że brakowało mi ostrej wymiany zdań. Spróbowałam sprowokować przekorną siostrzyczkę.

- Naprawdę uważasz, że program nowego kursu zainteresuje klientki?

- Jasne - mruknęła tylko.

Nie obudziłam w niej woli walki. Zdecydowanie coś jej dolegało. W zasadzie nie potrzebowałam argumentów za ani przeciw.

Już podjęłam decyzję. Niezależnie od mody lubię robić skarpetki. Szybko powstają, świetnie nadają się na prezent, a każda para stanowi oddzielny projekt. Po długiej, mozolnej pracy nad swetrami „Afgańskim” i „Jasną wyspą” nabrałam ochoty na mniej czasochłonne zajęcie, zapewniające szybki, ciekawy efekt. Zaplanowałam lekcje na wtorki, kiedy najmniej klientów zagląda do sklepu.

Mimo że nie oczekiwałam porady, małowówność Margaret niepokoiła mnie coraz bardziej. Jeszcze raz zerknęłam na nią ukradkiem. Dostrzegłam, że w jej oczach błyszczą łzy. Wpadłam w popłoch. Ona prawie nigdy nie płakała. Spróbowałam delikatnie wybadać przyczynę zmartwienia bez wywierania nacisku.

- Dobrze się czujesz?

- Skończ wreszcie to śledztwo - odburknęła ze złością. Odetchnęłam z ulgą. Zdecydowanie wolałam wściekłość od obojętności.

Przynajmniej znów była sobą.

- Zechcesz namalować szyld do powieszenia w oknie? Margaret ma o wiele większe zdolności plastyczne ode mnie. Zawsze na niej polegam, jeśli chodzi o aranżację wystawy czy wnętrza.

- W południe powinnam go już zawiesić - odrzekła bez cienia entuzjazmu.

- Wspaniale. - Podeszłam do drzwi i odwróciłam wywieszkę napisem „Otwarte” na zewnątrz.

Wąsik obserwował moje poczynania ze swego stanowiska na wystawie. Zauważyłam, że ziemia w doniczkach z purpurowym

geranium odmiany Martha Washington wyschła i popękała. Wyszłam na zewnątrz, żeby je podlać. Kątem oka dostrzegłam brązową plamę wyjeżdżającej z za rogu ciężarówki. Serce podskoczyło mi z radości. Przyjechał Brad!

Zaparkował koło kwaciarni Fanny tuż obok „Świata Włóczki”. Z szerokim uśmiechem wyskoczył na chodnik. Uwielbiam, kiedy się uśmiecha. Jego twarz jaśnieje, cała sylwetka promienieje radością. Błękitne oczy niemalże świecą własnym światłem, rozpoznałabym je wszędzie.

- Jaki piękny dzień - zagadnęłam wesoło. - Przywiozłeś mi towar?

- Nie, w tej dostawie otrzymasz tylko mnie. Za to wygospodarowałam kilka minut na kawę, jeśli akurat masz pod ręką.

- Oczywiście, już jest gotowa.

Brad wpadał do mnie dwa razy w tygodniu, z dostawą lub bez niej, gdy tylko znalazł trochę czasu. Te wizyty stały się naszym rytuałem. Nie przesiadywał długo.

Napełniał sobie kubek podróżny, wykorzystywał okazję, żeby skraść mi całusa, po czym wracał do samochodu. Jak zwykle podążyłam za nim na zaplecze i jak zwykle udawałam zaskoczenie, kiedy mnie przytulił. Uwielbiam jego pocałunki. Tym razem zaczął od czoła, następnie powoli przesunął wargami wzdłuż twarzy, zanim dotarł do ust. Kiedy poczułam ich smak, przez całe ciało przebiegł jakby prąd elektryczny. Zawsze reaguję równie intensywnie, z czego on doskonale zdaje sobie sprawę. Przytrzymał mnie w ramionach tak

długo, aż odzyskałam równowagę. Wreszcie puścił mnie, sięgnął po dzbanek z kawą i znów odwrócił się w moją stronę, marszcząc brwi.

- Czy Margaret ma jakieś kłopoty z Mattem? - zapytał zniechęcony. Już otwierałam usta, żeby zapewnić, że wszystko w porządku, ale zmieniłam zdanie. Uświadomiłam sobie bowiem, że nie znam jej sytuacji.

- Czemu pytasz? - próbowałam ostrożnie wy badać, co wie.

- Odnoszę wrażenie, że nie jest dzisiaj sobą - oświadczył łagodnym tonem. Skinęłam głową. Mnie też martwiło, że wbrew swoim zwyczajom nie wykorzystywała okazji do sprzeczki.

- Faktycznie wygląda na to, że coś ją trapi - potwierdziłam.

- Chcesz, żebym ją zapytał? - Zapomniał ściszyć głos. Postanowiłam go powstrzymać. Wolałam nie ryzykować, że ofuknie go tak jak mnie przed paroma minutami.

- Lepiej dajmy jej spokój - mruknęłam dość niepewnie. Po krótkim namyśle doszłam do wniosku, że Brad łatwiej przełamie jej opory niż ja. Margaret przepadała za nim. - Wrócimy do sprawy, ale nie teraz. Znajdziemy jakąś okazję do wspólnego spotkania - zaproponowałam pojednawczo.

- Najlepiej bez Matta. - Pokręcił głową.

- Racja. - Przygryzłam dolną wargę. - Masz jakiś pomysł? Zanim padło choćby jedno słowo, Margaret szarpnięciem odsunęła kotarę oddzielającą sklep od zaplecza. Zmierzyła nas chmurnym spojrzeniem. Podejrzewam, że zrobiłam równie głupią minę jak Brad. Obydwoje wyglądaliśmy i czuliśmy się jak przyłapani na gorącym

uczynku winowajcy.

- Słuchajcie no, gołąbeczki, jeśli następnym razem przyjdzie wam chęć mnie obmawiać, proponuję, żebyście robili to szeptem. - Opuściła zasłonę, po czym wróciła za ładę.

ROZDZIAŁ DRUGI

ELISE BEAUMONT

Elise Beaumont oczekiwała przejścia na emeryturę z nadzieją i obawą. Po zakończeniu pracy w szkolnej bibliotece korzystała z uroków wolności. Wyłączyła budzik w radiu, wstawiała, kiedy się wyspała, jadła, kiedy zgłodniała, a nie wtedy, gdy przypadała wyznaczona pora na przerwę śniadaniową.

Wkrótce przysły jednak rozczarowania. Przez całe lata pracy oszczędzała, skąpiła sobie wszystkiego, żeby na starość wybudować dom na własnym kawałku ziemi. Po kilku miesiącach zbierania informacji i niezliczonych wizytach w przedsiębiorstwach budowlanych znalazła zarówno firmę deweloperską, którą uznała za solidną, jak i działkę, o jakiej marzyła. Ta ostatnia leżała na obrzeżach miasta, wprawdzie bez widoku na ocean, ale za to na skraju lasu iglastego. Elise wyobrażała sobie, że popijając kawę na tarasie o poranku, będzie obserwować, jak sarny i jelenie wychodzą z lasu na łąkę. Zlikwidowała lokatę bankową, żeby wpłacić żadaną sumę na poczet przyszłej inwestycji.

Niestety, przedsiębiorstwo, któremu zaufała, zawiodło jej oczekiwania - ogłosiło bankructwo miesiąc po zainkasowaniu pieniędzy. Elise została bez pieniędzy, podobnie jak inni klienci. Po oszczędnościach całego życia i marzeniach o własnym domu pozostała jej jedynie sarta dokumentów sądowych. Nic nie zapowiadało rychłego zakończenia tego koszmaru.

Leżąc w łóżku, Elise wspominała, że od dawna planowała odwiedzić rodzinne strony, okolice zatoki Puget, gdzie się urodziła i wychowała. Opłakany stan finansów zmusił ją do odłożenia sentymentalnej podróży na bliżej nieokreśloną przyszłość. Nie zamierzała jednak czekać z założonymi rękami na zakończenie procesu. Gdyby pozostała beczynna, rozpamiętywałyby w nieskończoność własną lekkomyślność i brak szczęścia. Żeby uchronić się przed rozstrojem nerwowym, postanowiła po raz pierwszy w dorosłym życiu pójść za głosem powołania i zrealizować swą twórczą pasję. Zapragnęła wrócić do robótek ręcznych, a także zapisać się na kurs malarstwa olejnego. Ponieważ spędziła całe życie wśród książek, kusilo ją również, żeby napisać własną powieść, najchętniej dla dzieci. Nie brakowało jej i innych pomysłów, ale ze względu na brak środków wszystkie musiały poczekać na lepsze czasy. Na razie tkwiła w martwym punkcie. Prawnicy kompletowali niezliczone dokumenty, żeby złożyć zbiorowy pozew w imieniu poszkodowanych. Później należało czekać nie wiadomo jak długo, aż sprawa trafi na wokandę. Przewidywała, że żadna z pokrzywdzonych osób nie ujrzy nawet części pieniędzy przed upływem roku, jeżeli w

ogóle cokolwiek odzyskają. Nie pozostało jej nic innego, jak tylko uzbroić się w cierpliwość i nie tracić nadziei.

Problemy z firmą budowlaną dopiero zapoczątkowały całą lawinę nieszczęść. Oczekując na przeprowadzkę, Elise wypowiedziała umowę najmu dotychczasowego mieszkania. Popełniła wielki błąd. Ponieważ w Seattle niewiele lokali stało pustych, opłaty za wynajem rosły w zastraszającym tempie. Istniała obawa, że nie wynajmie nowego mieszkania po przyzwoitej cenie. Przeraziła ją myśl, że wyda całą emeryturę na czynsz. Córka namówiła ją, żeby przeniosła się do niej. Nie widząc innego wyjścia, Elise wyraziła zgodę, chociaż nie chciała obarczać sobą rodziny. Postanowiła, że pobędzie u niej tylko tak długo, jak to konieczne. Tymczasem minęło pół roku i nic nie zapowiadało zmiany na lepsze.

Elise zabroniła sobie dalszego rozpamiętywania nieszczęść, jako że to prowadziło tylko do załamania nerwowego. Tłumaczyła sobie, że i tak wiele otrzymała od życia. Była zdrowa, miała córkę, wsparcie najbliższych, no i wspinające wnuki. Właśnie sześciolatek John załomotał gwałtownie do drzwi.

- Babciu, nie śpisz? Mogę wejść?! - zawołał.

Elise wstała z łóżka i otworzyła chłopcu drzwi. Na piegowatej buzi gościł szelmowski uśmiech, rude włosy stały prawie pionowo, jak u Mavericka w latach młodości. Najmłodszy wnuczek przypominał go pod każdym względem. Ilekroć popatrzyła na czuprynę w kolorze marchewki, wspominała byłego męża. W ciągu ostatnich trzydziestu lat bardzo rzadko go widywała. Do tej pory nie

potrafiła sobie wytłumaczyć, co jej strzeliło do głowy, żeby poślubić pokerzystę. Jakże go kochała, wprost nad życie! Poznała go w sklepie spożywczym, jakby nie istniały bardziej romantyczne miejsca! Kilka tygodni później wzięli ślub.

Jeszcze zanim przysła na świat Aurora, zaczęły się problemy. Marvin „Maverick” Beaumont pracował wtedy w firmie ubezpieczeniowej, lecz od początku ciągnęło go do kart. Jego namiętność do hazardu zniszczyła małżeństwo. Elise wielokrotnie groziła rozwodem, Maverick nieodmiennie błagał o przebaczenie i przyrzekał poprawę. Za każdym razem dawała mu szansę, którą konsekwentnie marnował, aż wreszcie straciła cierpliwość i złożyła pozew w sądzie. Już nigdy nie pokochała tak mocno żadnego mężczyzny. Próbowwała, lecz nikt inny nie dał jej szczęścia. Ponieważ pragnęła powtórnie wyjść za mąż, wznowiła kontakty towarzyskie, w nadziei że spotka odpowiedniego partnera. Najbliższy jej sercu był Jules, muzyk z orkiestry symfonicznej. Gdy Aurora skończyła piętnaście lat, Elise odkryła, że ukochany ma w San Francisco żonę i dwoje dzieci. Kompletnie zdruzgotana, zerwała znajomość. Później już nie szukała nowych związków.

Aurora nerwowym krokiem przemierzyła hol, chwyciła synka za ramię i wyciągnęła na korytarz.

- Zostaw babcię w spokoju, John - upomniała go surowo, po czym zwróciła się do matki: - Przepraszam, ciągle im powtarzam, żeby cię nie budzili. - Posłała jej pełne skruchy spojrzenie.

- W niczym mi nie przeszkodził, już nie spałam. Chociaż Elise

nie planowała zamieszkać z rodziną córki po przejściu na emeryturę, jej przeprowadzka przyniosła korzyści obydwu stronom. Aurora nie pracowała, zajmowała się domem i dziećmi, tak więc Elise pomagała jej w opiece nad chłopcami. Nalegała również, że zapłaci za swój pobyt w ich domu. Zięć i córka wyrazili zgodę na przyjęcie zgoła symbolicznej sumy, która mimo wszystko podreperowała domowy budżet. David, informatyk, instalował oprogramowanie w różnych firmach w całej Ameryce Północnej. Często wyjeżdżał na tydzień lub dwa. Stale przebywającą w domu Aurorę ogromnie cieszyło towarzystwo matki. I wzajemnie. Meble Elise stały w przechowalni, ona sama trwała w zawieszeniu, czekając na wynik procesu, ale miała dach nad głową, wsparcie najbliższych i bratnią duszę stale przy sobie.

- Zabierzesz nas do parku po południu? - nalegał John.

- Jeżeli zdążę. Mam kilka spraw do załatwienia, trudno mi na razie powiedzieć, kiedy wrócę - odrzekła ostrożnie. Nie lubiła mu odmawiać.

- Chętnie ci pomogę - pospieszył z ofertą.

Zawsze usłużny, szybki i zręczny chłopczyk nawet na świat przyszedł miesiąc przed planowanym terminem.

- Nic z tego, kochanie, nie zapominaj, że chodzisz do przedszkola. Mały spochmurniał, lecz natychmiast spróbował ukryć rozczarowanie.

Wzruszył ramionami i bez słowa wrócił do pokoju, do brata.

- Zamierzam obejrzeć ten nowy sklep z włóczką przy Blossom

Street - wyjaśniła Elise córce, gdy zostały same.

Zwróciła na niego uwagę w czasie przechadzki po wizycie w kancelarii swojego prawnika. Po powrocie wspomniała o tym Aurorze. Przypuszczała, że ucieszy ją wiadomość, że pragnie powrócić do hobby z lat młodości. Widok odnowionych domów sprawił jej miłą niespodziankę. Wcześniej zapuszczona dzielnica przynosiła tylko wstyd miastu. Elise myślała, że zniszczone budynki zostaną wyburzone. Ku jej zaskoczeniu architekt przywrócił im dawne piękno. Kolorowe markizy, skrzynki z kwiatami i ciekawe witryny zapraszały do sklepów. Ich nostalgiczna uroda przenosiła przechodnia w dawną epokę, tworzyła niepowtarzalny, staroświecki klimat. Aż trudno było uwierzyć, że zaledwie kilka przecznic dalej strzelają w niebo drapacze chmur. Za najbliższym wzniesieniem leżało ruchliwe centrum Seattle, pełne biur, instytucji finansowych, towarzystw ubezpieczeniowych oraz wszelkich możliwych przedsiębiorstw.

Przystanąwszy przed wystawą „Świata Włóczki”, Elise przeczytała ogłoszenie o nowym kursie. Chociaż trudna sytuacja finansowa nie pozwalała jej korzystać z wolnego czasu w taki sposób, jak sobie wymarzyła, nie zamierzała odmawiać sobie drobnych przyjemności, zwłaszcza że robienie na drutach mogło jej pomóc przynajmniej na chwilę zapomnieć o kłopotach.

Po wypiciu herbaty w swoim pokoju ubrała się do wyjścia. Zachowała szczupłą, młodzieńczą sylwetkę. Włożyła kostium w kolorze brzoskwini. Pomimo słonecznej pogody na początku czerwca

na dworze panował jeszcze chłód, potrzebowała ciepłego zakietu. Przy dekolcie białej bluzki przypięła ulubioną kameę, którą Maverick podarował jej jeszcze przed ślubem. Często ją nosiła.

Musiła przyznać, że były mąż nie zaniedbywał obowiązków ojcowskich. Utrzymywał z jedynaczką regularne, ale, zdaniem Elise, zbyt rzadkie kontakty. Chociaż sama nie chciała mieć z nim więcej do czynienia, nie robiła mu trudności. Uważała, że dziecko powinno znać ojca. Zmarszczyła brwi. W ciągu jednego poranka wbrew woli aż dwa razy wspomniała byłego męża. W gruncie rzeczy nic dziwnego. Codziennie oglądała wnuczka, podobnego do dziadka jak dwie krople wody. Najgorsze, że im usilniej próbowała wymazać Mavericka z pamięci, tym częściej wspominała wypełnione miłością noce i dni.

Rozczesała brązowe, nietknięte siwizną włosy sięgające ramion. Były jej jedyną dumą. Spięła je klamrą na karku. Nagle zastygła w bezruchu, a serce mocniej zabiło. Doskonale pamiętała, że Maverick uwielbiał, kiedy rozpuszczała włosy. Do pracy w bibliotece spinała je w ciasny koczek. Kiedy wracała do domu, mąż zaraz wyciągał wszystkie spinki, szepcząc do ucha czułe słówka.

Przygryzła wargi. Spróbowała skupić myśli na czymkolwiek innym. Weszła do kuchni w chwili, gdy Aurora napełniała mlekiem miseczki z płatkami śniadaniowymi.

- Ślicznie wyglądasz, mamusiu - pochwaliła.

Elise pokręciła głową zamiast odpowiedzi. Komplementy zawsze wprawiały ją w zakłopotanie.

- Miłego dnia w szkole! - zawołała do wnuków na pożegnanie,

po czym otworzyła drzwi wejściowe.

Obydwaj odprowadzili ją wzrokiem z tak posepnymi minami, jakby na zewnątrz czyhały straszliwe niebezpieczeństwa. Elise uwielbiała obu malców, lecz czasami zastanawiała się, jak Aurora daje sobie z nimi radę. Podziwiała ją jako żonę i matkę. Uważała, że sama zawiodła w obydwu tych rolach. Dwa lata nieudanego pożycia z Maverickiem utwierdziły ją w przekonaniu, że nigdy nie miała predyspozycji do małżeństwa. Całe szczęście, że po życiowej katastrofie pozostał jej jedyny skarb - córka. Wyrosła tak wysoka jak ojciec, mierzyła prawie metr osiemdziesiąt. Elise odnosiła wrażenie, że dorastała razem z jedynaczką. Zawsze doskonale się rozumiały.

Maverick przez wszystkie lata po rozwodzie uczciwie płacił alimenty, a w przyływie dobrego humoru dzwonił do córki, nie bardzo wiadomo skąd. Elise podejrzewała, że często zmieniał miejsce zamieszkania. Urodzony gracz nie znosił stabilizacji, hazard wciągnął go bez reszty. Wkrótce po ślubie porzucił stałą pracę, chociaż odnosił sukcesy w sprzedaży ubezpieczeń. Podczas gdy Elise leżała na sali porodowej, ukochany mąż znalazł sobie w poczekalni partnerów do pokera. W rezultacie przeoczył narodziny jedynaczki.

Elise podjechała autobusem numer czterdzieści siedem w dół wzgórza Pill w kierunku Blossom Street. Wysiadła trzy przystanki przed Biblioteką Publiczną, która niedawno przeszła kapitalny remont. Podczas pracy Elise poznała wielu wpływowych bibliotekarzy, między innymi Nancy Pearl, organizatorkę akcji „Całe Seattle czyta tę samą książkę”. Znalazła wielu naśladowców, którzy

rozpowszechnili jej ideę w dużych i małych miastach w całym kraju. Elise również należała do grona entuzjastów. Cieszyło ją, że biblioteki pozostały ważnym ośrodkiem życia społecznego.

Wysiadając z autobusu, mocno przyciskała torebkę. Doskonale pamiętała, że dzielnica uchodziła dawniej za siedlisko kieszonkowców i rabusiów. Obecnie sprawiała zupełnie przyzwoite wrażenie, ale ostrożność nigdy nie zawadzi. Przystanęła przy kwiaciarni, żeby popatrzeć na purpurowe goździki o niespotykanym odcieniu. Kusilo ją, żeby kupić Aurorze bukiet. Nie powinna wprowadzić szastać pieniędzmi na głupstwa, ale miała wielką ochotę sprawić jej niespodziankę. Postanowiła, że pomyśli o tym później.

Na wystawie sklepu z włóczką dostrzegła zwiniętego w kłębek kota. Zwierzątko nawet nie drgnęło na dźwięk dzwonka u drzwi, prawdopodobnie już przywykło.

- Dzień dobry - powitała ją serdecznie kobieta o miłej powierzchowności. Druga, nieco starsza, tylko skinęła głową zza lady.

- O tak, bardzo dobry - potwierdziła Elise radośnie.

Ujęła ją zarówno uprzejmość młodej sprzedawczyni, jak i miły nastrój panujący w dobrze zaprojektowanym, nieprzeładowanym wnętrzu. Umiarkowana ilość towaru pozwalała bez trudu obejrzeć zawartość każdej półki.

- Chciałabym poprosić o bliższe informacje na temat kursu - zagadnęła nieśmiało.

Rozpraszała ją mnogość kolorowych motków oraz ciekawych projektów, umieszczonych w ramkach nad każdym pudełkiem. Jej

uwagę przykuł sweter z wrobionym dinozaurem na przedzie. Nie wątpiła, że zachwyciłby zarówno Johna, jak i Luke'a. Postanowiła, że pewnego dnia wydzierga taki dla każdego z wnuków.

- Zaczynamy w tym tygodniu. Planuję zaprezentować technikę robienia skarpet.

- Skarpet? - powtórzyła Elise bez cienia entuzjazmu.

- Kiedyś, bardzo dawno robiłam je na pięciu drutach.

- Ja używam dwóch par okrągłych. Pozwoli pani, że pokażę efekt końcowy. - Młoda ekspedientka poprowadziła ją wzdłuż środkowego rzędu regałów.

Elise ujrzała cały szereg naciągniętych na plastikowe stopy skarpetek o ciekawych, lecz szalenie skomplikowanych wzorach. Nie potrafiłaby zrealizować żadnego z tych projektów. Nie miała najmniejszej ochoty próbować czegoś, co przekraczało jej możliwości. Od lat nie trzymała w ręku drutów. Zanim zdążyła głośno wyrazić swoje obiekcje, właścicielka wyjaśniła, że przędza została ufarbowana w taki sposób, żeby sama tworzyła ornament. Następnie poinformowała potencjalną klientkę o terminach oraz kosztach kursu i materiałów.

- Nazywam się Lydia Hoffman, a to moja siostra, Margaret - powiedziała na zakończenie.

Elise również się przedstawiła. Dopiero teraz dostrzegła rodzinne podobieństwo. Starsza z kobiet była wyższa i solidniej zbudowana, młodsza drobna i filigranowa. Obydwie za to miały duże, ciemne oczy i wydatne kości policzkowe. Uznała, że już za długo im

się przygląda.

- Niedawno przeszłam na emeryturę, dlatego chciałabym ponownie sięgnąć po druty - wyjaśniła pośpiesznie, żeby ukryć zmieszanie.

- Doskonały pomysł - pochwaliła Lydia.

Elise odpowiedziała uprzejmym uśmiechem. Ujęła ją serdeczność młodej właścicielki. Starsza siostra w milczeniu porządkowała jakieś katalogi na ladzie.

- Myślę, że parę lekcji na początek dobrze mi zrobi - przyznała Elise.

- Miło mi, że pani do nas wstąpiła - odrzekła Lydia. Zaprowadziła ją za regały, gdzie stał stół i kilka krzeseł.

- Jeżeli znajdzie pani czas w piątki, zapraszam także na nasze spotkania dobroczynne.

Elise wpadła w popłoch. Nie stać jej było na kolejne wydatki.

- Prowadzi pani równoległe drugi kurs? - spytała dla pewności.

- Nie. Dawne i obecne uczennice przychodzą do mnie wykonywać robótki dla różnych organizacji dobroczynnych. - Następnie opowiedziała o kocach dla fundacji „Ogrzejcie Amerykę!”, projekcie Linus oraz o tym, że robią nakrycia głowy dla pacjentów po chemioterapii.

- Czy pani dostarcza materiały? - dopytywała świadoma swych ograniczeń Elise.

- Poniekąd. Darczyńcy przysyłają mi nieodpłatnie końcówki

serii na rzecz fundacji „Ogrzejcie Amerykę!”. Ja biorę na siebie część kosztów innych akcji. Sprzedaję stałym klientkom towar po znacznie obniżonej cenie.

- Brzmi zachęcająco, chyba do was dołączę - stwierdziła Elise. Ostatnio intensywnie poszukiwała pożytecznego zajęcia, żeby nie wpaść w depresję. Należała już do klubu czytelników Biblioteki Publicznej, redagowała gazetkę kościelną, była honorowym krwiodawcą i dodatkowo w każdy poniedziałek społecznie prowadziła księgi lokalnego banku krwi.

- No i co, zapisze się pani na kurs robienia skarpet? - namawiała Lydia. - Jestem pewna, że polubi pani to zajęcie.

- Sądzę, że tak - powiedziała Elise. Życzliwość właścicielki sklepu znów wprowadziła ją w dobry humor. Wyjęła z torebki książeczkę czekową i wypisała żadaną sumę. - Ile uczennic będzie na kursie?

- Maksymalnie sześć.

- Ma pani wiele chętnych?

- Jeszcze nie, dopiero we wtorek wywiesiłam ogłoszenie. Pani jest pierwsza.

- Pierwsza - powtórzyła Elise z wyraźną przyjemnością. Z niewiadomych powodów banalna informacja podniosła ją na duchu. Poczula się wyróżniona. Zdecydowała, że jednak kupi bukietik goździków dla Aurory.

ROZDZIAŁ TRZECI

BETHANNE HAMLIN

Nie tak miało wyglądać moje życie - rozpaczała Bethanne Hamlin w drodze na Capitol Hill, gdzie mieszkała. Pokochała zbudowany w 1930 roku dom od pierwszego wejrzenia. Krótki, stromy podjazd prowadził wprost do garażu, betonowe schody wiodły na niewielki ganek. Główne wejście miało formę łuku jak w chatce z bajki. Szczytowa ściana wystawała ponad dach. Z umieszczonego we wnęce okna sypialni pana domu na poddaszu roztaczał się widok na całą okolicę. Bethanne często siadywała tam, żeby poczytać lub podumać. W tym właśnie wymarzonym domu spędziła najszcześniejsze lata, póki nie nastąpił wstrząs, porównywalny jedynie z trzęsieniem ziemi.

Wyłączyła silnik swego pięcioletniego plymoutha. Posiedziała jeszcze trochę w samochodzie, zbierając siły, żeby wkroczyć do domu z uśmiechem na ustach. Wreszcie wzięła głęboki oddech, zabrała zakupy z tylnego siedzenia, wysiadła i poszła prosto do kuchni.

- Wróciłam! - zawołała od progu możliwie pogodnym głosem. Odpowiedziała jej cisza. Bethanne poczuła ulgę.

- Andrew! Annie! - krzyknęła.

Postawiła torbę ze sprawunkami na blacie kuchennym, a następnie nastawiła czajnik. Przed rozwodem nie przepadała za herbatą. W ciągu ostatniego roku niemalże wpadła w nałóg. Wypijała po kilka dzbanków dziennie.

- Już jestem! - oznajmiła jeszcze raz. Nadal nikt nie odpowiadał.

Po kilku minutach woda zawrzała. Bethanne umieściła w porcelanowym dzbanku po babci torebkę earl greya i zalała ją wrzątkiem. Następnie usiadła przy stole w małej wniece, zatopiona w niewesołych rozmyślaniach. Usiłowała odnaleźć jakąś logikę w wydarzeniach ostatnich dwóch lat. Jak do tej pory nie doszła do żadnych sensownych wniosków. Ciągle odnosiła wrażenie, że świat stanął na głowie, jakby pory roku zmieniły kolejność albo księżyc zastąpił słońce. Nadal nie pojmowała, co ją spotkało i z jakiej przyczyny.

Katastrofa nastąpiła szesnaście miesięcy wcześniej, w dniu świętego Walentego, z samego rana. Dzieci już wstały, szykowały się do szkoły. Słyszała odgłosy krzątania w ich sypialniach. Wcześniej, kiedy jeszcze okupowały łazienkę, narzuciła szlafrok i naszykowała w kuchni śniadanie. Kiedy wróciła do sypialni, ujrzała męża siedzącego na łóżku z podkurczonymi nogami, z kolanami pod brodą i twarzą ukrytą w dłoniach. Z początku pomyślała, że złapał grypę. Grant zawsze wstawał wcześnie, o tej porze zwykle był już ubrany. Uwielbiał swoją pracę brokera w doskonale prosperującej agencji nieruchomości. Ponieważ dobrze zarabiał, Bethanne nie musiała pracować. Po urodzeniu Andrew, a trzynaście miesięcy później Annie stwierdziła, że dbanie o dom i opieka nad dziećmi w zupełności zaspokajają jej ambicje. Grantowi bardzo odpowiadało, że żona poświęca jemu i dzieciom całą energię. Był bardzo dumny z wytwornych przyjęć, które od czasu do czasu wydawała dla jego kolegów z firmy.

- Grant - zagadnęła przyjaźnie, nie przeczuwając, co ją czeka. Podniósł na nią udręczoną, zbolaną twarz. Bethanne usiadła obok niego.

Położyła mu rękę na ramieniu.

- Co ci jest? - spytała łagodnie.

Grant otworzył usta, ale nie padło z nich ani jedno słowo, jakby mu mowę odjęło. Akurat wtedy Annie zawołała ją z dołu. Rozdarta między potrzebami męża i dzieci, uścisnęła ramię Granta i zapewniła, że za chwilę wróci. Wyprawienie dzieci do szkoły zajęło jej więcej czasu, niż przypuszczała. Dopiero po dziesięciu minutach znów weszła do sypialni. Zastąpiła męża w tej samej pozycji co wcześniej, z równie posępną miną. Spróbowała sama odgadnąć, co go trapi. Tydzień wcześniej przeszedł rutynowe badania lekarskie. Twierdził, że jest zdrowy. Wtedy uwierzyła mu bez zastrzeżeń. Teraz zaczęła podejrzewać, że ukrywał jakąś poważną chorobę, i dopiero dojrzał do tego, żeby ujawnić prawdę. Usiadła obok niego.

- Dzisiaj walentynki - oznajmił nieswoim, schrypniętym głosem. Bethanne pocałowała go w policzek. Grant zeszywniał. Coraz bardziej zaniepokojona, ponownie zapytała o powód zmartwienia. Zaczął płakać, łkanie wstrząsało całym jego ciałem. W ciągu dwudziestu lat pożycia zaledwie kilka razy okazał równie silne emocje. Nadal nie potrafiła odgadnąć ich charakteru.

- Nie chcę cię ranić... - zaszlochał.

- Cokolwiek ci dolega, wyrzuć to z siebie. Złapał ją za ramiona, wbił w nie palce aż do bólu.

- Jesteś dobrą kobietą, Bethanne, ale... - przerwał, jakby brakowało mu odwagi, żeby dokończyć - ...już cię nie kocham.

Bethanne zachichotała, przekonana, że stroi sobie z niej żarty.

- Co to ma znaczyć? Jesteśmy małżeństwem od dwudziestu lat. Oczywiście, że mnie kochasz!

Zamknął oczy, jakby nie mógł dłużej na nią patrzeć.

- Niestety nie. Tak mi przykro, tak bardzo przykro. Próbowałem, Bóg jeden wie, jak bardzo się starałem, ale już dłużej nie wytrzymam. Muszę jakoś rozwiązać tę łamigłówkę.

Bethanne osłupiała. Żyła z tym człowiekiem dwadzieścia lat, dzieliła z nim łóżko i nagle, w mgnieniu oka stał jej się obcy.

- Wy tłumacz, o co chodzi - poprosiła drżącym głosem.

- Nie zmuszaj mnie do zwierzeń. Nie chcę tego mówić!

- Czego? - nie dawała za wygraną.

Nawet nie wpadła w złość. Zawsze uważała, że wszystko można naprawić jak ciekący kran lub zepsute urządzenie elektryczne. Wystarczy postawić diagnozę, a następnie poszukać właściwego rozwiązania ewentualnie wezwać odpowiedniego fachowca, żeby wszystko znów działało jak należy.

- Istnieją powody, dla których przestałem cię kochać - wycedził przez zaciśnięte zęby, wyraźnie zirytowany. Odrzucił z wściekłością kołdrę i wstał z łóżka.

Gwałtowna reakcja męża do reszty zbiła Bethanne z tropu.

- Co w ciebie wstąpiło? - wykrztusiła.

- Naprawdę jesteś aż tak tępa, że muszę wyłożyć kawę na ławę?!

- warknął, wkładając spodnie.

- Co takiego?

Opryskliwy ton ostatniego zdania sprawił, że nie dotarł do niej sens słów. Nagła brutalność mężczyzny, którego przed chwilą widziała we łzach, zaskoczyła ją do tego stopnia, że wyciągnęła ku niemu ręce, gotowa przyjąć na siebie każdy ciężar, byleby znów zaczął ją traktować po ludzku.

Grant znieruchomiał z jedną ręką w rękawie koszuli, którą właśnie wkładał.

- Mam inną - wyznał wreszcie.

- Kochankę? - wyszeptała z trudem wyschniętymi wargami. Zrozumiała wreszcie, ale nadal nie wierzyła, że Grant ją zdradza. Owszem, bohaterowie filmów i książek miewali romanse. W prawdziwych małżeństwach również dochodziło do skandali, ale Bethanne wbrew logice faktów tkwiła w przekonaniu, że jej coś takiego spotkać nie może. Trwała w odrętwieniu jeszcze przez parę minut, podczas gdy mąż szykował się do pracy.

- Kiedy? Jak? - wyjąkała, gdy wreszcie przyjęła do wiadomości okrutną prawdę.

- Poznałem ją w biurze. Od niedawna pracuje dla mojej firmy jako agentka. Walczyłem z tym uczuciem, próbowałem jakoś wszystko pogodzić, ale dłużej nie potrafię prowadzić podwójnego życia. - Westchnął ciężko. Nagle, w mgnieniu oka zmienił ton z błagalnego na oskarżycielski, jakby to on został skrzywdzony: - Do licha, Bethanne, nie komplikuj dodatkowo tak trudnej dla mnie

sytuacji! - wykrzyknął.

Wyjął z szafy walizkę. Postawił ją na łóżku, jakby od dawna planował wyprowadzkę. Wrzucił beładnie do środka całą bieliznę z komody. Bethanne otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Do tej pory dbał o siebie aż do przesady: pielęgnował włosy, starannie wygładzał każdą sztukę ubrania, żeby nic nie pognieść.

Setki pytań krążyły jej po głowie. Zadała najważniejsze:

- Dokąd pójdziesz?

- Do Tiffany - oświadczył.

- Porzucasz mnie dla kogoś o takim imieniu?! - Nie wiadomo dlaczego w najstraszliwszym momencie swego życia parsknęła nerwowym śmiechem.

Grant patrzył na żonę, jakby straciła rozum, co prawdopodobnie faktycznie nastąpiło.

- Idź, chcę, żebyś sobie poszedł - oświadczyła niemalże mimochodem, przeganiając go dodatkowo machnięciem ręki.

Na potwierdzenie swoich słów zeszła do sutereny, wywlokła drugą, jeszcze większą walizkę i Przydzwigała na górę. Po drodze usiłowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek poznała rywalkę. W końcu doszła do wniosku, że nigdy jej nie widziała. W biurze Granta pracowało mnóstwo kobiet, ale nie zwracała na nie uwagi. Nigdy nie posądzała męża o skłonności do zdrady. Z oburzenia zaparło jej dech. Mimo to niemalże wbiegła dwa piętra po schodach, gnana wściekłością, taszcząc ciężką walizę. Rzuciła ją niedbale na łóżko. Tumany kurzu zawirowały w powietrzu, po czym osiadły na bielutkiej

pościeli. Gwałtownym ruchem otworzyła drzwi szafy, chwyciła całe naręcze garniturów, wywlokła je wraz z wieszakami i zaczęła byle jak upychać w walizce.

- Przestań, Bethanne! - wrzasnął Grant.

- Nie! - warknęła. Później już ciszej zasypała go pytaniami: - Jak długo to trwa? Ile ta Tiffany ma lat? Jest mężatką czy tylko ja zostałam porzucona?

Grant odwrócił wzrok. Bethanne, nadal w szoku, zapragnęła nagle poznać całą prawdę. Z początku nerwowo pakowała rzeczy bez ładu i składu, po chwili bezwiednie wróciła do starych nawyków. Zaczęła składać je starannie w kostkę, wygładzając każdą sztukę.

- Jak długo to trwa? - drążyła dalej bolesny temat. - Miesiąc, dwa?

- Oszczędź mi tych pytań, Bethanne - poprosił, nadal unikając jej wzroku.

- Jak długo mnie zdradzasz? - naciskała, zdecydowana wymusić zeznania choćby przemocą.

Grant znowu westchnął, jakby to ona wyrządziła mu krzywdę.

- Dwa lata.

- Dwa lata! - wykrzyknęła ze zgrozą. - Natychmiast wynoś się z tego domu! Idź stąd i nigdy nie wracaj! - zażądała z pełnym przekonaniem. W tym momencie naprawdę wierzyła, że nigdy więcej nie zechce go widzieć.

Wkrótce za nim zatęskniła. Oddałaby dziesięć lat życia, popełniłaby każde szaleństwo, byle go odzyskać. Była gotowa go

błagać, przekonywać, a nawet przekupić adwokata, żeby tylko nie doszło do sprawy rozwodowej. W końcu przyjęła do wiadomości, że nie po to odchodził do innej, żeby wracać na łono rodziny. Przeżyła załamanie nerwowe. Nie pozostało jej jednak nic innego, jak przyjąć okrutny wyrok losu. Nie miała żadnego wpływu na decyzje Granta. Nie kochał jej już. Rozpad małżeństwa zrujnował jej psychikę. Żyła już chyba tylko z obowiązku. Gdyby dzieci jej nie potrzebowały, pewnie zrobiłaby sobie coś złego.

W końcu odwiedziła adwokata. Trafiła na uczciwego, życzliwego człowieka. Dzięki jego pomocy uzyskała korzystne warunki finansowe. Grant spłacił wszelkie pożyczki na dom, samochód oraz z kart kredytowych, tak że obydwójce zostali bez długów. Sąd obciążył go alimentami na żonę na okres dwóch lat i na dzieci do czasu ukończenia szkoły średniej. Koszty przyszłych studiów syna i córki zostały podzielone pomiędzy obydwójce małżonków. Grant jak do tej pory regularnie płacił wszelkie należności, bynajmniej nie z troski o rodzinę, tylko na mocy wyroku. Bethanne zdawała sobie sprawę, że powinna poszukać pracy, zanim obowiązek alimentacyjny ustanie, lecz stale wynajdywała jakieś powody, żeby odłożyć decyzję na później.

Dopiero pół roku po rozwodzie nieco ochłonęła. Powiedziała sobie twardo, że należy pogodzić się z rzeczywistością, ułożyć sobie na nowo stosunki z dziećmi, poszukać przyjaciół i rozpocząć nowe życie. Cóż z tego, nadal wolałaby stare.

Upiła łyk już prawie zimnej herbaty. Szesnastoletnia Annie

wyrwała ją z zamyślenia, wpadając jak burza do kuchni z zaczerwienioną twarzą, zlepionymi potem włosami, w spodenkach i koszulce gimnastycznej. Wyglądało na to, że intensywnie biegała. Przemierzała od siedmiu do piętnastu kilometrów dziennie, od kiedy Grant opuścił rodzinę. Była z nim mocno związana. Ciężko przeżywała rozwód rodziców. Niestety, wyładowywała frustrację nie tylko za pomocą wysiłku fizycznego. Znalazła sobie też nowych znajomych, których Bethanne nie akceptowała. Martwiła się o córkę.

Annie obarczała winą za rozpad rodziny jedynie Tiffany. Dokuczała jej wszelkimi możliwymi sposobami. Nowi koledzy jeszcze ją podburzali do skandalicznych wybryków. Andrew wyjawiał, że prosiła w imieniu Tiffany różne firmy o przysłanie katalogów towarów, których tamta wcale nie potrzebowała, wysyłała głupie

ogłoszenia do gazet o sprzedaży różnych rzeczy, podając obcym jej numer telefonu, podpisywała w jej imieniu subskrypcję czasopism. Bethanne bynajmniej nie kochała piętnaście lat młodszej rywalki, ale obawiała się, że o władnięta żądzą zemsty córka w końcu popadnie w konflikt z prawem. Ilekroć próbowała przemówić jej do rozsądku, Annie milczała jak głaz.

- Nie zostawiłaś mi wiadomości, gdzie idziesz - wytknęła. Chodziło jej nie tyle o informację, ile o przestrzeganie zasady lojalności.

- Wybacz, uznałam to za zbędne. Wiesz przecież, że codziennie biegam - odburknęła nastolatka bez cienia skruchy. Wyjęła z lodówki butelkę wody mineralnej, po czym wielkimi łykami wypła połowę

zawartości. - Jak było w biurze pośrednictwa pracy? - zmieniła pośpiesznie temat.

- Nieszczęśliwie - westchnęła ciężko jej matka. Tym razem ona wolałaby uniknąć tłumaczenia. - Informacja, że umiem dobrze piec, nie zrobiła na urzędniku najmniejszego wrażenia.

- Powinnaś pracować w piekarni.

Bethanne rozważała taką możliwość, ale nie pociągało jej przygotowywanie wypieków codziennie przez osiem godzin.

- Nikt nie miał takich pysznych tortów ani tak wystawnych urodzin jak ja i Andrew. Wszyscy koledzy nam zazdrościli.

- Organizowałam też inne uroczystości, ale to było całe wieki temu. Pod koniec lata zacznę szukać na serio.

- Oj, mamó, ciągle zwlekasz! - jęknęła Annie, przewracając oczami. Miała rację. Po tylu spędzonych w domu latach Bethanne nie widziała dla siebie miejsca na rynku pracy. Bała się, że utknie na resztę życia jako sprzedawczyni w sklepie spożywczym. Spróbowała przynajmniej stworzyć pozory, że nie czeka beczynnienie, aż manna spadnie z nieba.

- Myślałam o sprzedaży kosmetyków - zaczęła ostrożnie. Kątem oka obserwowała reakcję córki. - Wiele kobiet osiąga w tej branży niezłe dochody. Sama ustalałabym sobie godziny pracy i...

- Rozczulasz mnie, mamusiu - zakpiła dziewczyna. - Obydwie wiemy, że nie masz żyłki do handlu. Znajdź coś, co ci naprawdę odpowiada. Umiesz robić wiele rzeczy. Gdzie twoje poczucie własnej wartości?!

Czternaście miesięcy temu zostało wdeptane w błoto - pomyślała Bethanne. Na wszelki wypadek przemilczała gorzką uwagę.

- Nienawidzę pracy biurowej - mruknęła. Nie sądziła, że wytrzyma w jednym pomieszczeniu od dziewiątej do piątej.

- Zrób więc cokolwiek, choćby dla własnej satysfakcji, niekoniecznie dla zysku.

- Mądrała - odburknęła Bethanne, nie ukrywając irytacji. Wszyscy, dosłownie wszyscy, łącznie z adwokatem, radzili jej to samo. Westchnęła ciężko. - Pewnie znowu mnie wyśmiejesz. Przechodząc obok sklepu z włóczką, przypomniałam sobie, że dawniej bardzo lubiłam robić na drutach. Naszła mnie ochota, żeby znów spróbować. Zrobiłam ci żółty niemowlęcy kocyk, pamiętasz?

- Ależ oczywiście! - wykrzyknęła Annie, nieco zażenowana. - Spałam z nim do dziesiątego roku życia.

Trzasnęły drzwi. Wrócił Andrew. Pracował w osiedlowym domu towarowym „Safeway” w niepełnym wymiarze godzin. Wszedł do kuchni, zrzucił plecak i zajrzał do lodówki. Nie zainteresowało go nic prócz wody mineralnej. Wyjął sobie butelkę, oparł się plecami o drzwi, następnie popatrzył spod zmarszczonych brwi na matkę i siostrę i spytał, o czym mowa.

- Mama chciałaby znów zacząć robić na drutach.

- Dopiero rozważam ten pomysł - sprostowała Bethanne.

- Na pewno dasz radę - zapewniła Annie.

- No jasne - poparł ją Andrew.

Bethanne szczerze w to wątpiła. Brakowało jej energii nie tylko na szukanie pracy czy zorganizowanie sobie życia na nowo, ale nawet na siedzenie w fotelu z drutami w ręku.

- Może spróbuję - mruknęła niepewnie.

- Tylko nie odkładaj decyzji w nieskończoność, jak zwykle.

Gdzie ten sklep? - Annie wyciągnęła z kredensu książkę telefoniczną.

- Przy Blossom Street.

- Pamiętasz nazwę?

- Nie, ale posłuchaj...

Annie nie słuchała. Już przerzucała żółte strony. Odszukała właściwą. Wybrała numer, po czym wręczyła Bethanne słuchawkę. Powitał ją miły kobiecy głos:

- Tu „Świat Włóczki”, w czym mogę pomóc?

- Dzień dobry. Nazywam się Bethanne Hamlin. Nazwisko nic pani nie powie, ale chciałabym się dowiedzieć, czy zostały jeszcze wolne miejsca na kursie dziewiarskim. - Zrobiła przerwę dla nabrania oddechu. - Robiłam na drutach bardzo dawno temu. Wiele zapomniałam. Najlepiej sama przyjdę. - Znowu przerwała. Podniosła wzrok na córkę.

Annie poprosiła o słuchawkę, po czym przechwyciła ją, nie czekając na pozwolenie.

- Doskonale, proszę ją zapisać - zarządziła. Zapisała dane na kartce. - Przyjdzie na pewno.

- Zapisałaś mamę na lekcje? - dopytywał się Andrew.

- Jasne.

- Wiesz co, może to nie najlepszy pomysł - zaczęła Bethanne.
Wpadła w popłoch, że wyda zbyt dużo pieniędzy. - Bo widzisz...

- Nauczysz się robić skarpetki - przerwała Annie.

- Ależ to okropnie skomplikowane! - wykrzyknęła Bethanne, kręcąc głową.

- Dawniej doskonale ci szło - przypomniał Andrew.

- Właścicielka, pani Lydia Hoffman, zapewnia, że to nic trudnego - poparła go siostra. - Nie chcę słuchać żadnych wymówek. Pójdiesz tam i koniec.

- Oczywiście, że idziesz - zawtórował brat.

- No dobrze - mruknęła Bethanne z rezygnacją.

Dopiero teraz zauważyła, że kto inny przejął ster rządów w jej domu. Nawet nie spostrzegła, kiedy nastąpiła zamiana ról.

ROZDZIAŁ CZWARTY

COURTNEY PULANSKI

Courtney uważała, że ojciec potraktował ją niesprawiedliwie. Po prawdzie zasłużyła sobie na taki los niskimi ocenami w szkole i sprzeczkami z ciałem pedagogicznym. Całe szczęście, że policja nie wykryła, kto pięć lat temu podłożył ogień na śmietniku. Nawet nie bardzo dręczyły ją wyrzuty sumienia. Po śmierci matki była załamana, zagubiona, wściekła na cały świat. Do tej pory nie pogodziła się ze stratą, jak w najlepszej wierze doradzali życzliwi. Niemniej jednak zmobilizowała całą siłę woli, dołożyła wszelkich starań, żeby

podciągnąć oceny i przejść do następnej klasy. Aż tu nagle taki cios! Miała wyjechać do babci do Seattle, żeby skończyć szkołę na drugim końcu kraju, z dala od przyjaciół. Courtney kochała babcię, ale nie wiedziała, jak przetrwa ten rok. Nie miała jednak drugiej bliskiej osoby, do której mogłaby jechać. Ojciec, inżynier, wyjechał do Brazylii, by nadzorować budowę mostu. Twierdził, że nie zabiera jej ze sobą, ponieważ jedzie w miejsce wyjątkowo niebezpieczne dla młodej dziewczyny.

Najstarszy brat, Jason, studiował, a latem pracował jako nauczyciel na kursach wakacyjnych. Siostra, Julianna, została przyjęta na studia. Na razie dorabiała w domku myśliwskim na Alasce, ale po rozpoczęciu roku akademickiego ojca czekały poważne wydatki na kształcenie potomstwa. Gdyby nie potrzebował na gwałt pieniędzy, nie podpisałby kontraktu w dalekim kraju, póki Courtney nie ukończy liceum. Niskie oceny nie pozostawiały nawet cienia nadziei, że dostanie stypendium, a o bezpłatnym miejscu na studiach nie mogła nawet marzyć*. W tym układzie wyjazd do Seattle stanowił jedyne możliwe rozwiązanie.

Jej życie wyglądałoby zupełnie inaczej, gdyby cztery lata wcześniej mama nie zginęła w wypadku samochodowym. Courtney nadal przeżywała jej śmierć, tak jakby straciła ją zaledwie wczoraj.

- Wstałaś już, Courtney?! - zawołała babcia z dołu.

- Tak! - odkrzyknęła.

* *Amerykańska szkoła średnia II stopnia (klasy X, XI, XII) podzielona jest na ciągi (programy), w których dobór przedmiotów i*

wymagania uzależnione są od poziomu inteligencji, zdolności i zainteresowań uczniów. Najzdolniejsi zwykle znajdują się w ciągu zwanym „akademickim”, przygotowującym do wstępu na wyższe uczelnie. Zwraca się w nim szczególną uwagę na naukę przedmiotów ogólnokształcących: języka angielskiego (zwłaszcza literatury), języka obcego, matematyki, fizyki, chemii etc. Mniej zdolni trafiają do ciągu zwanego „ogólnym „, którego program łączy przedmioty ogólnokształcące i zawodowo-techniczne. Po ukończeniu szkoły średniej idą oni najczęściej do kolegów środowiskowych lub stanowych, w których nie stawia się zbyt wysokich wymagań wstępnych. Najmniej zdolni uczniowie wybierają ciąg zwany „zawodowym”, w którym przewagę mają przedmioty techniczno-zawodowe. Warto zaznaczyć, iż przygotowanie zawodowe odbywa się na stanowisku pracy, a mimo to kształcenie zawodowe na poziomie szkoły średniej uznawane jest w USA za mało skuteczne. Przytoczone informacje pochodzą z portalu internetowego: [localhost/A:/Amerykański system oświatowy Sciąga.pl.htm](http://localhost/A:/Amerykański%20system%20o%C5%9Bwiatowy%20Sci%C4%85ga.pl.htm) (przyp. tłum.).

Nastawiony na cały regulator od piątej rano telewizor budził ją o świcie. Vera Pulanski nie przepuściła ani jednego dziennika, chociaż nie dawała wiary żadnym informacjom. Uważała, że wszyscy, dosłownie wszyscy dziennikarze kłamią.

- Już robię śniadanie!

- Nie jestem głodna. - Courtney wzniosła oczy do sufitu, błagając niebiosa o zmiłowanie.

- Śniadanie to najważniejszy posiłek w ciągu dnia.
- Zjem później - obiecała.

Mieszkała u babci zaledwie od tygodnia, a już po raz siódmy prowadziły identyczną rozmowę. Babcia czerpała całą wiedzę o zdrowym odżywianiu z programów poradnikowych. Trzymała każdą potrawę w nieskończoność na ogniu, żeby ugotować na śmierć wszystkie możliwe drobnoustroje. Courtney na samą myśl o twardej jak podeszwa jajecznicy dostawała szczękościsku. Nigdy wprawdzie nie próbowała podeszew, ale podejrzewała, że gorzej smakować nie mogą.

- Nie lubię wyrzucać jedzenia.
- Wybacz, babciu.

Od dnia przyjazdu Courtney pominęła wiele posiłków, w nadziei że schudnie. Rano po wyjściu spod pryszniczka stanęła na wadze nagusieńka, z zamkniętymi oczami. Kiedy je otworzyła, wyteżyła wzrok, żeby dostrzec, na której spośród cieniutkich linii dziwacznej, staroświeckiej skali zatrzyma się wskazówka. Złośliwe urządzenie pokazało pół kilograma więcej niż poprzednio. Chciało jej się wyć. Najwyraźniej dieta babci nie służyła smukłej sylwetce. Już samo rozpoczęcie nauki w nowej szkole napawało ją przerażeniem. Przeczuwała, że znaczna nadwaga przysporzy jej dodatkowych przykrości.

- Wychodzę załatwić parę spraw, chciałabym cię zabrać ze sobą
- oświadczyła starsza pani.

Courtney westchnęła ciężko. Po wyjściu z łazienki ponownie

włożyła piżamę. Nie widziała żadnego sensownego powodu do zmiany ubrania.

- Nie mogłabym zostać w domu?

- Wolałabym cię wyciągnąć na dwór. Za dużo przesiadujesz w pokoju. Courtney niechętnie podeszła do drzwi.

- Zaraz schodzę! - wrzasnęła na cały głos.

Uważała babcię za wspaniałą osobę, ale nie wiedziała, jak wytrzyma ten rok. Gdy Vera Pulanski przyjeżdżała do Chicago, witała ją z otwartymi ramionami, jednak nigdy nie mieszkała tak długo z kimś o tyle lat starszym. Nawet jej dom przypominał antykwariat. Z ociąganiem włożyła dzinsy i obszerny podkoszulek z nadrukiem firmy ojca. Kiedy stanęła na najniższym stopniu schodów, starsza pani wyciągnęła ku niej obie ręce. Ujęła jej twarz w dłonie.

- Jesteś taka śliczna, najmilsza, najmłodsza wnusiu, moje oczko w głowie. Żałuję, że Ralph nie zdążył cię poznać.

- Ja też.

Dziadek zmarł, gdy miała zaledwie kilka miesięcy.

- Ponieważ cię kocham, chciałabym, żebyś mnie uważnie wysłuchała.

- Wiem, muszę schudnąć, nie trzeba mi o tym przypominać - jęknęła Courtney. Każde spojrzenie w lustro doprowadzało ją do rozpacz. Po śmierci mamy przybyło jej siedemnaście kilo. Cierpiała męki, słuchając dobrych rad od osób, które nigdy nie walczyły z nadwagą i uważały, że zrzucenie zbędnych kilogramów to fraszka.

- Nie myślałam o odchudzaniu. - Starsza pani wypuściła ją z

objąć. - Potrzebujesz przyjaciół. W swoim pokoju nikogo nie spotkasz. Powinnaś częściej wychodzić.

- To prawda - przyznała Courtney.

Ze łzami w oczach wspominała koleżanki i kolegów, których zostawiła w Chicago. A także dom, wynajęty na okres dwóch lat, zamieszkały obecnie przez obcych ludzi.

- Zapoznam cię z paroma osobami.

Dziewczyna nawet nie próbowała protestować, wiedziała, że nie wskóra. Babcia wzięła ją za rękę i zaciągnęła do kuchni. Wysmażona na blachę jajecznicą już czekała na talerzu. Courtney przysięgłaby, że widziała ją na stole poprzedniego dnia.

- Pojedziemy dziś do biblioteki, do sklepu spożywczego i dziewiarskiego. Courtney zaniechała wszelkiego oporu. Doszła do wniosku, że im szybciej wypełni obowiązki rodzinne, tym wcześniej wróci do swojego pokoju. Zanim wyszły, pani Pulanski poprawiła jeszcze makijaż, wróciła do kuchni, zawinęła talerz w folię i włożyła go do lodówki. Courtney nabrała pewności, że wczoraj widziała te same jajka.

- Jesteś gotowa? - zapytała babcia po kilku minutach krzątania, jakby to nie ona opóźniała wyjście.

- Od dawna.

- O mało nie zapomniałam torebki z kluczami. Gdybym je zatrzasnęła w środku, nie dostałybyśmy się do domu.

W końcu wsiadły do forda rancho z 1968 roku. Ojciec Courtney twierdził, że prawie czterdziestoletni samochód, prawdziwy okaz

muzealny, jest w doskonałym stanie. Nic dziwnego, miał na liczniku dopiero sto piętnaście tysięcy kilometrów. Drzwi ważyły chyba tonę i okropnie skrzypiały. Podróż z Verą w charakterze kierowcy również nie należała do przyjemności. Gdy tylko zapaliła silnik, kazała wnuczce sprawdzić, czy nikt nie nadjeżdża. Courtney wykonała polecenie. Nie powstrzymała jednak ciekawości.

- Czemu sama nie odwrócisz głowy?

- Nie mogę. Od dwudziestu lat cierpię na skurcz mięśni szyi. Nigdy nie narzekałam, ale skoro już zapytałaś, powiem ci, że ostatnio boli coraz bardziej. Lekarze nic potrafią nic na to poradzić, rozkładają bezradnie ręce, a ja znoszę tortury.

Courtney zawsze ogarniał strach, gdy wsiadała z babcią do samochodu. Do tej pory jakoś uniknęła wspólnych wyjazdów, ale szczęście nigdy nie trwa długo. Podejrzewała, że bez jej pomocy babcia rozbiłaby auto i oddała na złom.

- Co byś beze mnie zrobiła?

Vera zagryzła wargi. Odwróciła lusterko najpierw w jedną stronę, a później w drugą.

- Po coś przecież wymyślono lusterka - odparła urażonym tonem. - Możemy ruszać?

- Oczywiście - zapewniła Courtney z udawanym entuzjazmem, zawstydzona, że sprawiła babci przykrość.

Na pierwszych światłach starsza pani wykonała półobrót całym tułowiem, żeby spojrzeć jej w oczy. Courtney w napięciu czekała na kolejną niespodziankę.

- Jeżeli martwi cię nadwaga, chętnie ci pomogę. Codziennie rano chodzę z przyjaciółmi na basen. Możesz do nas dołączyć.

Propozycja nie brzmiała zbyt kusząco, ale ćwiczenia fizyczne rzadko bywają przyjemne.

- No, myślę! - wykrzyknęła Courtney z udawanym entuzjazmem.

- O czym?

- To tylko taki zwrot, skrót myślowy. Uważam, że to świetny pomysł - zapewniła wbrew sobie.

Babcia dokładała wszelkich starań, żeby poprawić jej samopoczucie, zasłużyła na słowa uznania.

Po opuszczeniu rejonu Quinn Anne Hill przystanąły przed supernowoczesną biblioteką, która, jak wyjaśniła Vera, została niedawno oddana do użytku po remoncie. Podczas gdy babcia odbierała zamówioną powieść - romans miejscowej pisarki - Courtney przeglądała kolorowe czasopisma. Na widok smukłych, wytwornych modelek wpadła w jeszcze większe kompleksy. Następnie odwiedziły sklep spożywczy. Jeśli społeczność dzielnicy Metro liczyła kilka milionów mieszkańców, pani Pulanski знаła przynajmniej połowę z nich. Przedstawiła wnuczkę kilku przyjaciołom, dawnym sąsiadom, znajomym z parafii oraz członkom klubu brydżowego - w sumie co najmniej trzydziestu osobom. Żadna z nich nie wyglądała na mniej niż siedemdziesiąt lat. Wreszcie wpakowały torby ze sprawunkami do samochodu.

- A teraz na Blossom Street. Obiecuję, że nie zabawię długo.

Courtney o mało nie wypomniała, że na dwu wcześniejszych postojach słyszała tę samą obietnicę. Odjechały dopiero po siedmiu kolejnych pogawędkach ze znajomymi. Przy wjeździe na parking Vera nacisnęła na hamulec. Ruszała, skręcała, hamowała, posuwała się niemalże centymetr po centymetrze w kierunku upatrzonego miejsca postoju. Półprzytomna z przerażenia Courtney mimo wszystko nie przewidziała dalszego biegu wydarzeń. Poczła szarpnięcie i usłyszała zgrzyt zderzaka w zetknięciu ze słupkiem parkometru.

- Jasny gwint! - zaklęła starsza pani.

Courtney najchętniej wzbogaciłaby jej zasób słownictwa o bardziej adekwatne do sytuacji wyrażenia. Wysiadła, zamknęła ciężkie drzwi i podążyła za nią do sklepu. Natychmiast podeszła do kota na wystawie. Zaczęła go głaskać. Vera przywitała sympatyczną, młodą właścicielkę, po czym przedstawiła jej wnuczkę.

- Pewnego lata uczyłam ją robić na drutach. Pojmuje wszystko w lot - zapewniła. - Będzie u mnie mieszkać przez cały rok. Jej ojciec wyjechał do Brazylii.

Courtney nie przypominała sobie szczególnych postępów w robótkach ręcznych, ale przez grzeczność nie zaprzeczyła. Poszła zwiedzić wnętrze, żeby nie słuchać przechwałek o doniosłej misji ojca w Ameryce Południowej. Zaskoczyła ją różnorodność wzorów i barw. Zwróciła uwagę na kamizelkę, sweter i kapelusik. Na widok barwnego szalika wpadła w zachwyty. Lydia natychmiast go zaprezentowała.

- Zrobisz taki w jeden wieczór, to łatwe. Nabierasz piętnaście oczek na druty numer trzynaście i tylko przerabiasz jeden rząd za drugim. Jeden motek włóczki wystarczy.

- Wspaniale - powiedziała Courtney z wahaniem. Podejrzewała, że nie starczy jej pieniędzy na druty i włóczkę, a od babci pożyczać nie chciała. Zaczęła oglądać ekspozycję skarpetek, podczas gdy Vera układała zakupy na ladzie obok kasy. Zawsze coś dziergała. Courtney nie wiedziała, nad czym obecnie pracuje. Dołączyła do niej.

- Widziałaś skarpetki? - zagadnęła babcia. - Te nowe włóczki dają niesamowite efekty. Mogłabyś takie wydziergać.

- Nie ma mowy.

- A chciałabyś spróbować? - wtrąciła Lydia. Courtney przez chwilę rozważała propozycję.

- No, myślę...

- To znaczy, że się zgadza - przetłumaczyła Vera.

- Proszę ją zapisać.

- Na co?

- Na kurs robienia skarpetek. Najwyższa pora, żebyś gdzieś wyszła, poznała ludzi. Potrzebujesz urozmaicenia. Ja płacę - dodała.

- Będzie nam bardzo miło, gdy do nas dołączysz - wsparła ją Lydia. Courtney posłała każdej z kobiet uprzejmy uśmiech, próbując okazać wdzięczność. Tym razem nie musiała nawet specjalnie udawać. Pomysł przemówił do jej wyobraźni. Miała nadzieję, że przynajmniej tutaj spotka kogoś poniżej pięćdziesiątego roku życia.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Pamiętajcie, że potrzebujecie dwóch skarpetek. Jak sprostać zadaniu? Róbcie obydwie równoległe i nie wymagajcie, żeby wyszły identycznie.

Deborah Robson, dziwiarka, pisarka, autorka poradników robótek ręcznych. www.nomad-press.com

LYDIA HOFFMAN

Staram się spędzać każdy weekend z mamą. Po śmierci taty przeżywa ciężki okres jak my wszystkie. Żałuję, że Brad nie zdążył go poznać. Z pewnością by się polubili. Tata był serdeczny, przyjacielski, w każdym człowieku potrafił dostrzec jakieś zalety, dla każdego miał dobre słowo, a także jeden czy dwa żarty na podorędziu. Nikt nie opowiadał ciekawszych historyjek niż on. W najcięższych dniach choroby potrafił mnie rozbawić. Nie mogę przestać o nim myśleć. Im więcej czasu mija od dnia jego śmierci, tym częściej go wspominam. Gdy odszedł, mama cierpiała najbardziej. Postarzała się o dziesięć lat w ciągu czternastu miesięcy. Posmutniała, zobojętniała, popadła w depresję. Jej wygląd w pełni odzwierciedla stan duszy. Dosłownie się skurczyła, podczas ostatniego badania lekarskiego stwierdzono, że mierzy o trzy centymetry mniej niż parę lat temu. Zapadła też na zdrowiu. Na wyniki testów na osteoporozę dopiero czekamy. Moim zdaniem przyczyną pogorszenia stanu zdrowia był zarówno żal po

stracie najbliższej osoby, jak i poczucie osamotnienia. Mąż stanowił dla niej nie tylko oparcie, ale i najlepsze towarzystwo. Łączyła ich miłość, przyjaźń i wzajemne zrozumienie. Może zabrzmiało to banalnie, ale wraz z nim utraciła część siebie. Rozumiem ją, czuję to samo. Bez niego i ja nie jestem w pełni sobą.

Kiedy odwiedziłam ją w niedzielę wczesnym popołudniem, z wielkim zapalem przycinała róże. Wyjaśniła mi kiedyś, że ten zabieg stymuluje wzrost. Ogród zawsze był jej dumą. Pozostał jedną z niewielu rzeczy, które ją jeszcze interesują. W życiu jak w ogrodzie, czasami nawet poważna strata przynosi nieoczekiwane korzyści. Po śmierci taty bez trudu oddzieliłam sprawy ważne od nieistotnych. Utrata oparcia w bliskiej osobie zmusiła mnie do samodzielnego działania. Zaczęłam poszukiwać własnej drogi. Niemalże z dnia na dzień wydorosłam, nabrałam odwagi, założyłam własną firmę i nawiązałam znajomość z Bradem.

Postałam chwilę w otwartych drzwiach, obserwując mamę. Zaabsorbowana pracą, nawet nie słyszała, że przyszedłam. Włożyła gumowe rękawice, twarz osłoniła przed słońcem słomkowym kapeluszem. Obok stało wiadro, do którego wrzucała odcięte pędy. Zawołałam ją cichutko, żeby nie wystraszyć. Podniosła głowę.

- Myślałam, że przyjdiesz wcześniej, Lydio.

- Tak planowałam, ale ktoś mnie zatrzymał po wyjściu z kościoła.

- Brad i Cody? - odgadła natychmiast. Skinęłam głową.

- Umówiłam się z nimi na przechadzkę wokół Green Lake.

Stwierdziłam, że brakuje mi ruchu, toteż pięciokilometrowy spacer dobrze mi zrobi. Brad ma doskonałą kondycję, mógłby zataczać kręgi wokół mnie. Cody prawdopodobnie zabierze swego golden retrievera. Nazwał go Ścigacz, ze względu na paskudny zwyczaj gonienia każdego ruchomego obiektu. Cody otrzymał zakaz spuszczenia go ze smyczy. Chciałabym kupić podręcznik tresury i nauczyć psa reagowania na proste komendy. Przyszło mi do głowy, że gdybym zabrała rolki, dotrzymałabym kroku trzem dzielnym biegaczom.

Spostrzegłam, że mamie drży ręka. Zauważyłam ten objaw już wcześniej. Martwiło mnie, że straciła apetyt. Groził jej niedobór składników pokarmowych. Jeszcze bardziej niepokoiło nas z Margaret jej roztargnienie. Najwyraźniej traciła pamięć. Czasami zapominała przyjmując przepisane lekarstwa, kiedy indziej łykała ich za dużo.

- Co jadłaś na obiad? - spytałam.

Popatrzyła na mnie niezbyt przytomnym wzrokiem. Musiałam powtórzyć pytanie, żeby sobie przypomniała.

- Krakersy z tuńczykiem - oznajmiła po chwili zastanowienia.

- I to wszystko?

- Nie byłam głodna. - Wzruszyła ramionami, najwyraźniej zniecierpliwiona. - Nie naśladuj ojca. Zmuszał mnie do jedzenia nawet wtedy, gdy nie miałam ochoty. Nie życzę sobie żadnych wymówek.

- Dobrze, już dobrze - ustąpiłam, oczywiście tylko chwilowo. Postanowiłam przedyskutować z Margaret, czy lepiej zamawiać dla niej posiłki z dostawą do domu, czy na spółkę opłacić gosposię, jeżeli

będzie nas stać na taki wydatek.

- W przyszłym tygodniu jest Dzień Ojca - poinformowała mama.

- Zabierzesz mnie na cmentarz? Chciałabym postawić wazon róż na grobie.

- Oczywiście, pojedziemy razem z Margaret - zapewniłam również w jej imieniu.

Miałam nadzieję, że ją wyciągnę. Ostatnio czułam, że tracę z nią kontakt. Zrobiła się rozkojarzona i uszczypliwa. Bolała mnie jej rezerwa. Niby przełamałyśmy lody, ale nie ufała mi do końca. Uświadomiłam sobie, że przed nami jeszcze długa droga do prawdziwego porozumienia.

Mama opadła bez sił na krzesło ogrodowe, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Zdjęła kapelusz, otarła pot z czoła.

- Ależ gorąco - westchnęła.

Zerknęłam na termometr, który ojciec wywiesił na zewnętrznej ścianie domu. Wskazywał dwadzieścia cztery stopnie. Nie sądziłam, że jest tak ciepło. Pracowała w tej temperaturze co najmniej godzinę albo i dwie.

- Wyjdiesz ze mną na kolację? - zaproponowałam, w nadziei że ją skuszę.

- Nie, dziękuję, poszłyśmy z Dorothy Wallace po porannej mszy na naleśniki do „Knights of Columbus”.

Jak ją znam, przekąsiła jednego z masłem lub syropem, później owe krakersy. Podejrzewałam, że nic więcej nie weźmie do ust.

- Zresztą wieczorem przychodzi do mnie Margaret z córkami -

dodała na widok mojej niezadowolonej miny. - Lubi pracę w twoim sklepie. Nie mówi tego głośno, ale swoje wiem.

Odetchnęłam z ulgą. Margaret na pewno nie pozwoli, żeby poszła spać o głodzie. Aczkolwiek niepokoiłam się o siostrę, przemilczałam swoje obawy. Mama na pewno by jej wszystko przekazała, a potem przez całe tygodnie słuchałabym wymówek.

- Przynieść ci coś?

- O tak, napiłabym się mrożonej herbaty.

Przygotowałam dla każdej z nas po szklance napoju z plasterkiem cytryny. Przy okazji wyrzuciłam kilka spleśniałych owoców, karton mleka sprzed miesiąca i papkę z rozmrożonego szpinaku. Kiedy wróciłam, mama siedziała plecami do słońca, znowu w kapeluszu. Wręczyłam jej szklankę i zajęłam miejsce obok. Z przyjemnością korzystałam z promieni słonecznych, słuchałam śpiewu ptaków w gałęziach. Cichy szum spryskiwacza do trawników działał na mnie kojąco. Mama poprosiła, żebym opowiedziała o sklepie. Najchętniej słuchała ploteczek o klientkach. Wiele z nich, zwłaszcza dawne uczennice, Jacqueline, Carol i Alix, zostało moimi przyjaciółkami. Nawiązałyśmy autentyczną, trwałą więź. Jeżeli nie znajdą innej okazji, przynajmniej jedna lub dwie z nich uczestniczą w piątkowych zajęciach dobroczynnych. Relacjonowałam najnowsze wydarzenia prawie przez dwadzieścia minut, opisałam też nowe kandydatki na kurs. Mamę najbardziej zainteresowała postać siedemnastoletniej wnuczki Very Pulanski. Później przedstawiłam jej najnowszy pomysł. Zawsze zasięgałam u niej porady, żeby ćwiczyła

umysł i czuła się potrzebna. Ma zmysł do interesów. Wcześniej zawsze doradzała ojcu. Pewnie również z tego powodu tak bardzo jej go brakuje.

- Chciałabym co miesiąc organizować spotkania uczennic i absolwentek, połączone z poczęstunkiem - oświadczyłam.

- Masz miejsce? - spytała mama.

- Znajdę, jeśli zrobię małe przemeblowanie.

Po otwarciu sklepu zamierzałam kupić duży stół. Później ciągle przybywało towaru. W rezultacie zmieściłam jedynie sześćosobowy.

- Uważam spożywanie posiłków wśród pólek z przedzą za bardzo ryzykowne - potwierdziła moje własne obawy.

- Myślałam o tym, żeby ustawiać jedzenie na stoliku na zapleczu.

- No dobrze, ale czemu te biesiady mają służyć?

- Wzajemnemu poznaniu, a przede wszystkim prezentacji osiągnięć. Liczę na to, że efekty cudzej pracy zainspirują moje uczennice do dalszych wysiłków. Gdybyś do nas dołączyła, sprawiłabyś wielką radość Margaret i mnie - dodałam.

Obydwie z siostrą wymyślały dla mamy różne formy aktywności, żeby ją czymś zainteresować. Natomiast comiesięczne spotkania zaplanowałam głównie w celu prezentacji własnej twórczości. Najczęściej realizuję nowe pomysły jako wzory, ukazujące możliwości danego rodzaju włóczki. Zależało mi na tym, żeby zainteresować nimi klientki. Mama zmarszczyła brwi. Wyglądało na to, że nie słucha. W rzeczywistości rozważała moją

koncepcję.

- Najlepiej zapraszaj znajome na coś w rodzaju wernisażu prac, ale bez jedzenia. Zawsze można później pójść do restauracji.

- Dziękuję, mamó, tak właśnie zrobię - zapewniłam z autentycznym podziwem. Widziałam, że moja aprobata przyniosła jej satysfakcję. Odkąd owdowiała, brakuje jej dyskusji o interesach, zwłaszcza że w tych sprawach zachowała trzeźwy umysł.

Gawędziłyśmy jeszcze pół godziny, zanim wyruszyłam na umówione spotkanie. Brad i Cody czekali na mnie na parkingu nad jeziorem. Pies nerwowo szarpał smycz. Nie tylko on czekał niecierpliwie na spacer. Wsiadłam z samochodu. Cody natychmiast podbiegł do mnie. Uściskał mnie serdecznie, a potem od razu spytał, czy może pobiegać.

- Dobrze, tylko nie odchodź za daleko i trzymaj psa na smyczy - przestrzegł go ojciec.

Cody nie marnował czasu na dyskusję. Wystrzelił do przodu jak rakietą. Zazdrościłam mu energii. My również szliśmy żwawym krokiem. Wielu spacerowiczów spędza tu niedzielne popołudnia. Spotkaliśmy mnóstwo ludzi z psami. Jakiś człowiek z gitarą siedział na trawie i śpiewał ludowe piosenki. Małe dziecko biegało za motylem. Przy brzegu pływały kajaki. My obserwowaliśmy przede wszystkim Cody'ego i Ścigacza. Brad zapytał o mamę. Wiedział, że odwiedziłam ją przed spotkaniem. Nie miałam nastroju do roztrząsania problemów. Uważałam, że powinnam przedyskutować je z siostrą.

- U mamy bez zmian - odrzekłam wymijająco. - Margaret odwiedzi ją wieczorem wraz z córkami. To dobrze, potrzebuje towarzystwa.

- A propos Margaret, mówiła ci coś?

- O czym? - ostrożnie odpowiedziałam pytaniem.

Brad ujął mnie za rękę. Gdy tylko splótł palce z moimi, zapomniałam o kłopotach. Posłałam mu ciepły uśmiech. W takich chwilach czuję z nim bardzo bliską więź. Każde jego dotknięcie bardzo silnie na mnie działa. Jak każda kobieta pragnę małżeństwa, miłości, rodziny. Sądzę, że nowotwór nie pozwoli mi na realizację tych marzeń. Każdy dzień życia i każde spotkanie z Bradem traktuję jak prezent od losu. Jestem mu wdzięczna, że akceptuje mnie mimo wszelkich niedoskonałości. Często dodaje mi otuchy, przypomina, że odniosłam podwójne zwycięstwo nad dwoma atakami choroby. Przy nim naprawdę wierzę, że wygrałam batalię o życie.

- Chyba wiem, na czym polega jej problem. - Głos Brada wyrwał mnie z zadumy.

- Naprawdę? - spytałam bez większego zainteresowania. Wolalam rozkoszować się własnym szczęściem, niż roztrząsać przykre tematy.

- Spotkałem Matta wczoraj w sklepie z wyrobami metalowymi.

Mój wspaniały szwagier ze swoim optymistycznym podejściem do świata stanowi doskonałą przeciwagę dla żony. Przeciwnie niż ona nie podchodzi do każdej sprawy ze śmiertelną powagą, a co najważniejsze, nie chowa do nikogo urazy. Kilka miesięcy temu

Margaret zaprosiła mnie i Brada na kolację. Obydwaj panowie natychmiast się polubili. Graliśmy w karty do białego rana. Miałam nadzieję na częstsze spotkania, ale do tej pory jakoś nie znaleźliśmy okazji.

- Co ci powiedział?
- Został zwolniony z pracy.
- Co takiego? Kiedy?
- Trzy miesiące temu.
- Niemożliwe - wykrztusiłam.

Matt pracował w firmie Boeing przez dwadzieścia lat. Przeżyłam prawdziwy wstrząs. Nie mieściło mi się w głowie, że Margaret zataiła przede mną tak ważną informację.

- Nie zdradziłem, że pierwszy raz o tym słyszę, więc rozmawiał ze mną bez skrępowania. Powiedział, że od trzech miesięcy szuka zajęcia, ale do tej pory nic nie znalazł.

Żal ścisnął mnie za gardło, łzy napłynęły do Oczu, serce zaciążyło jak głaz. Jedyna siostra nie ufała mi na tyle, żeby mi się zwierzyć.

- Ty płaczesz? - zauważył Brad. Skinęłam głową.
- Nie sądzisz, że powinna mi o tym sama powiedzieć? - Zaszlochałam.
- Przynajmniej teraz znasz przyczynę jej zdenerwowania.
- Co nie wyjaśnia powodu takiej nieufności wobec mnie - ucięłam. Wytarłam mokre od łez policzki. Dopiero teraz

uświadomiłam sobie, że od dawna nie kupiła nawet motka wełny ani nawet nie wpadła po ciastka do cukierni naprzeciwko. Widziałam tylko jej chmurną minę, a nie dostrzegłam, że odmawia sobie nawet drobnych przyjemności. Oszczędzała na wszystkim. Moją siostrę niełatwo wprowadzić rozszyfrować, ale dręczyły mnie teraz wyrzuty sumienia, że poświęcałam jej za mało uwagi. Gdybym chociaż śledziła na bieżąco wiadomości, z pewnością dotarłaby do mnie informacja o redukcji zatrudnienia w Boeingu.

- Że też sama się nie domyśliłam!
- To raczej nie było możliwe. Powiesz jej, że wiesz?
- Chyba nie - odparłam po chwili namysłu.

Uznałam, że skoro Margaret nie dojrzała do zwierzeń, lepiej nie wywierać nacisku. Miałam nadzieję, że kiedyś przełamie zahamowania. Nie pozostało mi nic innego, jak znosić ze spokojem napady złego humoru, okazać jej więcej czułości i cierpliwie czekać.

- Nie wierzę. O ile cię znam, nie utrzymasz długo tajemnicy. Skrzywiłam się, ale w duchu przyznałam mu rację.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ELISE BEAUMONT

Elise ze zdziwieniem stwierdziła, że z niecierpliwością oczekuje dnia rozpoczęcia kursu dziewiarskiego. W tajemnicy przed córką kupiła włóczkę na skarpetki dla zięcia. Pragnęła przynajmniej za

pomocą drobnego upominku okazać Davidowi wdzięczność, że bez żadnych oporów przyjął ją pod swój dach, nie wiedząc, jak długo pozostanie. Adwokat twierdził, że sprawa przeciwko nieuczciwej firmie utknęła w martwym punkcie. Doradzał cierpliwość. Wciąż odczuwała skrępowanie, że jej wielkie nadzieje legły w gruzach z powodu pochopnej inwestycji, wskutek której zmuszona była korzystać z gościnności córki i zięcia.

Dzień przed pierwszą lekcją usiadła w patio z książką na kolanach. Wcześniej nauczyła się czytać. Jako dziecko przesiadywała godzinami na łóżeczku w swoim pokoju, zatopiona w lekturze. Do tej pory poświęcała ulubionemu zajęciu każdą wolną chwilę. Do niektórych pozycji wracała nawet co kilka lat. Uwielbiała klasykę. Tego dnia po raz kolejny przewracała stronicie „Emmy” Jane Austin. Ta autorka należała wraz z Flaubertem, siostrami Bronte, a przede wszystkim George’em Eliotem, do jej ulubionych pisarzy. Wszyscy oni opisywali życie i uczucia kobiet w tak przekonujący sposób, że ich powieści nawet po stu i więcej latach nie traciły na aktualności. Dotarła do sceny, w której pani Knightley karze bohaterkę, kiedy Aurora otworzyła oszklone drzwi na patio. Usiadła na krześle obok leżaka, na którym wypoczywała matka. W szklance mrożonej herbaty, którą trzymała w ręku, brzęczały kostki lodu. Pochylona postać zdradzała wewnętrzne napięcie. Wyglądało na to, że zaraz oznajmi jej jakąś doniosłą nowinę.

- Chciałabym porozmawiać o tacie - oświadczyła po chwili milczenia, wyraźnie podenerwowana.

Elise zaznaczyła czytana stronę zakładką. Zamknęła książkę. Wzmianka o byłym mężu jak zwykle obudziła jej czujność. Uważała go za wyjątkowo niebezpiecznego człowieka. Ten zręczny gracz roztaczał taki urok, że trudno było mu

czegokolwiek odmówić. Gdy tylko go poznała, natychmiast straciła dla niego głowę. Pokochała go całym sercem. Kiedyś przedstawiła córce w ogólnych zarysach historię nieudanego małżeństwa. Trwało zaledwie półtora roku, na papierze dwa lata. Jakże on potrafił mówić, jak poeta! Oczarowałby chyba nawet jadowitego węża. Elise już jako nastolatka zdawała sobie sprawę ze swej przeciętnej urody. Pod wpływem komplementów Mavericka serce jej topniało, niemalże piękniała w oczach. Tak bardzo pragnęła dorosnąć do jego wyobrażeń, że wierzyła w każde pochlebstwo. Dopiero poniewczasie pojęła, że uległa młodzieńczym złudzeniom. Zwyczajnie ją omotał.

- Co mi chcesz powiedzieć o ojcu? - spytała ostrożnie.

- Kochałaś go kiedyś, prawda? Zadała wyjątkowo trudne pytanie.

Maverick wkroczył w jej życie bardzo wcześnie, w okresie gdy uczucia jeszcze dominują nad rozumem. Wtedy uważała, że go kocha, później zrozumiała, że łączyła ich jedynie namiętność. Miłość to coś trwałego, a ich uczucie nie przetrwało próby czasu. Mimo wszystko po wielu latach od rozvodu nadal za nim tęskniła. Brakowało jej go, żałowała z całego serca, że doszło do rozstania. Oddałaby wszystko, co najdroższe, żeby odwrócić bieg wydarzeń. Byłoby to możliwe

jedynie wtedy, gdyby zerwał z nałogiem. Niestety nie potrafił. Bujał gdzieś po kraju, nigdzie nie zagrzał miejsca. Gdyby zaakceptowała go ze wszystkimi wadami, do dziś pozostaliby razem. Nie było jej na to stać. Uważała, że zmarnował życie. Ona w pewnym sensie też, ale już nic nie mogła na to poradzić.

- Kochałaś tatę, prawda? - nalegała Aurora.

- Tak - przyznała lakonicznie. Nie zdradziła, jak bardzo. Aurora odetchnęła z ulgą.

- Wiesz o tym, że utrzymuję z nim kontakt?

Wiedziała. Chociaż, jej zdaniem, żył na marginesie społeczeństwa, zarabiając na życie grą w karty i Bóg wie jakimi jeszcze sposobami, osiągał wystarczające dochody, by regularnie płacić alimenty. W dodatku przez cały okres studiów opłacał za Aurorę chesne, a ponadto zawsze przysyłał jej coś ekstra na urodziny i Gwiazdkę. Przez siedemnaście lat po rozwodzie pisywał do niej często, nie tyle listy, ile krótkie informacje na pocztówkach na temat aktualnego miejsca pobytu i ostatnich sukcesów.

Zawsze pragnął wygrać górę złota, zgarnąć fortunę, która ustawi go na resztę życia. Z tego, co wiedziała, do tej pory nie zrealizował tych marzeń. Elise również czytała kartki od Mavericka, aczkolwiek z wielkim zażenowaniem. Wyrzucała sobie, że po tak długim okresie od rozwodu nie stać jej na obojętność. Nadal pragnęła tego, co niemożliwe.

- Jeśli chcesz utrzymywać kontakt z ojcem, to twoja sprawa -

oznajmiła chłodno.

- Często z nim rozmawiam przez telefon.

Nie zaskoczyła Elise. Aurora jako dziecko szalała z radości na dźwięk głosu ojca. Nadal reagowała równie żywiołowo. Elise obawiała się, że czeka ją takie samo rozczarowanie, jakiego sama doznała. Na Mavericku nie można było polegać. Nie był draniem, nie krzywdził bliskich świadomie. Po prostu nie brał pod uwagę ich uczuć. Rodzina nie była dla niego priorytetem. Nie dotrzymywał słowa. Jeżeli zapewniał, że wróci do domu o dziewiątej, oznaczało to tylko tyle, że spełni obietnicę, jeśli do tego czasu zakończy grę. Jego nastroje zależały od szczęścia w kartach. Gdy wygrywał, brał żonę w objęcia, porywał do tańca, świętował, planował wystawne biesiady. Jeżeli przegrał, wpadał w rozpacz lub wściekłość, krążył po domu z ponurą miną.

- On przyjedzie - obwieściła Aurora, patrząc matce prosto w oczy.

- Do Seattle? - wykrztusiła bezgranicznie zdumiona Elise. Aurora skinęła głową.

- Czyżby organizowano tu turniej pokerowy? - mruknęła Elise z niechęcią. Wolałaby o czymś takim nie wiedzieć.

- Nie, przyjeżdża do mnie. - Podkreśliła ostatnie dwa słowa.

- Jaki dobry tatuś! - zadrwiła Elise. - Raz na pięć, dziesięć lat...

- Mamo!

- Przepraszam. - Zagryzła wargi, żeby nie powiedzieć za dużo.

- Nie rozumiem cię. Traktujesz mnie jak zdrajczynię tylko

dlatego, że utrzymuję kontakt z własnym ojcem - wytknęła Aurora, okropnie zdenerwowana.

- Tak to odbierasz?

Aurora skinęła głową ze łzami w oczach. Naprawdę cierpiała. Oskarżenie córki zmartwiło Elise. Nie była zazdrosna, pragnęła jej tylko oszczędzić rozczarowania. Poczwała wyrzuty sumienia, że sprawiła jej przykrość.

- Wybacz, nawet nie przyszło mi do głowy, że cię zranię.

- Stale to robisz. Od kiedy sięgam pamięcią, z ust ojca nigdy nie padło złe słowo na twój temat. Natomiast od ciebie nie usłyszałam o nim ani jednego dobrego.

- Nieprawda - zaprzeczyła Elise bez przekonania.

Przez całe życie ukrywała swe prawdziwe uczucia wobec byłego męża. Łzy w oczach córki świadczyły o tym, że osiągnęła cel, co nie przyniosło jej satysfakcji. Dręczona wyrzutami sumienia pogłaskała jedynaczkę po kolanie.

- Żałuję, że nie dałam ci lepszego ojca, ale to mój błąd, nie twój.

- Widzisz, nadal nie potrafisz o nim nic dobrego powiedzieć! - wykrzyknęła Aurora.

- Pamiętaj, że to ja za niego wyszłam. Z wielkiej miłości, ale widocznie nie byliśmy sobie przeznaczeni.

- Tata przyznaje, że cię zawiódł.

- Ciebie też.

- Poniekąd. Pod pewnymi względami uważam go za

wspaniałego ojca. Elise wiedziała, że tak właśnie myśli. Innego nie znała. Od najmłodszych lat przywykła do jego nieobecności. Nawet jeżeli dziwiły ją nieustanne podróże, nigdy nie zapytała o powody tak częstych wyjazdów.

- Niech przyjedzie, nie mam nic przeciwko jego wizycie. Nawet nie widział wnuków - powiedziała już spokojniej. Zdążyła trochę ochłonąć po wstrząsie.

- Bardzo chce ich poznać. - Aurora patrzyła na nią w taki sposób, jakby na coś czekała.

- Zaproś go na obiad, kolację czy co tam chcesz. Ja nie muszę się z nim spotykać. Wyjdę z domu na czas jego wizyty.

Naprawdę nie chciała oglądać Mavericka. Przypuszczała, że on odczuwa to samo. Nie istniał żaden sensowny powód do spotkania po tylu latach niewidzenia.

- Nie unikniesz tego - oznajmiła Aurora, odwróciwszy wzrok. - Zamieszka u nas.

Elise zapało dech. Nie wierzyła własnym uszom. Poważna mina Aurory przekonała ją, że mówi prawdę. Myślała, że zemdleje.

- Czy wie, że u ciebie mieszkam?

- Tak. Wcale mu to nie przeszkadza.

- Jak długo zostanie?

- Dwa tygodnie - oświadczyła Aurora po chwili wahania. Elise aż podskoczyła na krześle. Książka spadła jej z kolan. Podejrzewała, że Maverick szukał schronienia, ponieważ przegrał wszystko, co

posiadał. Oczywiście bez trudu omotał stęsknioną córkę.

- Naprawdę wyobrażasz sobie nas dwoje pod jednym dachem? - Zamilkła na chwilę, gorączkowo szukając wyjścia z beznadziejnej sytuacji. W końcu je znalazła: - Wynajmę gdzieś pokój, póki nie wyjedzie.

Wiedziała, że trudno jej będzie znaleźć jakieś lokum na tak krótki czas, tym bardziej że wszystkie meble oddała do przechowalni. Usiadła na leżaku ze spuszczoną głową. Ukryła twarz w dłoniach. Jej córka nie zdawała sobie sprawy, że ściąga na wszystkich nieszczęście.

- Tylko spokojnie, mamó - próbowała ją ułagodzić Aurora. - Nie widzę powodu do niepokoju. Pierwszy raz w życiu o coś mnie poprosił. Nie mogłam mu odmówić.

- Wziął cię na litość?

- Nie musiał! Zawsze był wielkoduszny i szczodry dla mnie, Davida i chłopców.

- Nie zasługuje na zaufanie.

- Myśl, co chcesz, ja mam o nim dobre zdanie. Pamiętaj, że to mój ojciec. Wyrzuty sumienia powróciły. Elise postanowiła, że zdusi w sobie żal do byłego męża i więcej nie będzie zniechęcać córki do ojca. Ponownie spytała, czy Maverick wie, że ona u niej mieszka. Aurora potwierdziła. Z tonu jej głosu Elise wywnioskowała, że ta wiadomość również i jego niemile zaskoczyła. Z pewnością on także uznał sytuację za wielce kłopotliwą. Podejrzewała, że nie będzie mu łatwo spojrzeć jej w oczy po tylu latach. Na szczęście ona sama zdążyła już się uodpornić na jego niebezpieczny urok. Powiedziała

sobie, że tym razem jej nie omami. Pozostała jeszcze kwestia zakwaterowania. W domku nie było pokoju gościnnego. Elise

zajmowała jedną z sypialni z łazienką, w której urządziła sobie coś w rodzaju osobnego apartamentu. Miała tam wszystko, czego potrzebowała: telewizor we wnęcie, kuchenkę mikrofalową, jednoosobowe łóżko, a przede wszystkim poczucie prywatności. Mogła schronić się przed światem i nie przeszkadzała rodzinie. Nie potrafiła sobie natomiast wyobrazić, gdzie Aurora umieści dodatkowego gościa.

- Gdzie będzie spał?

- Razem z chłopcami.

Elise odetchnęła z ulgą. Przyszło jej do głowy, że byłego męża szybko zmęczy towarzystwo dwóch przemiłych urwisów. Nie przywykł do stałej obecności dzieci. Aurora chyba pomyślała o tym samym.

- To dość skomplikowana sytuacja dla nas wszystkich. Bardzo cię proszę, nie stwarzaj dodatkowych trudności. Potrzebuję twojej współpracy, mamo.

- Nie zamierzam ci sprawiać przykrości - odrzekła, urażona, że Aurora podejrzewa ją o złą wolę.

- Ale tatę chcesz zranić.

- Nieprawda! - zaprzeczyła gwałtownie. - Nic do niego nie czuję - skłamała. Czowała, jak ze wstydu płoną jej policzki.

- Nie wierzę. Żywisz do niego głęboką urazę. Nie starczyłoby ci dnia, żeby wyliczyć wszystkie jego wady!

- Nie bądź śmieszna! - mruknęła Elise, zawstydzona, że córka bez trudu ją rozszyfrowała. Postanowiła za wszelką cenę przetrzymać te dwa tygodnie, udając całkowitą obojętność.

Aurora po raz pierwszy uniosła szklankę do ust. Upiła łyk herbaty. Tak mocno zaciskała palce na szklance, że aż jej kostki zbieleły.

- Szkoda czasu na dyskusje, zwłaszcza w takiej chwili - ucięła. - Przrzeknij, że nie będziesz go ranić. Nie życzę sobie, żebyś okazywała mu niechęć przy dzieciach. Ponad wszystko potrzebujemy teraz pokojowego współdziałania.

- Przysięgam, że zrobię wszystko, żeby twój ojciec czuł się u ciebie najlepiej jak to możliwe - zapewniła Elise.

Nie dodała, co rozumie przez tę deklarację. Zamierzała mianowicie jak najczęściej przebywać w swoim pokoju, żeby nie wchodzić w drogę byłemu mężowi.

- Nie obiecuj zbyt wiele, mamo. To najpoważniejsza prośba, jaką ci kiedykolwiek w życiu przedstawiłam.

Elise najchętniej wyprowadziłaby się gdziekolwiek na te dwa tygodnie, żeby oszczędzić rodzinie kłopotów. Niestety, nie miała dokąd pójść. Sytuacja zmuszała ją do przebywania pod jednym dachem z człowiekiem, którego od trzydziestu siedmiu lat równie mocno kochała, jak nienawidziła.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Skarpetki to te wykonane ręcznie, starannie dopasowane i wykończone. Cała bogata oferta fabrycznych wyrobów to tylko nędzne imitacje.

Diane Soucy „Knitting Pure & Simple”

www.knittingpureandsimple.com

LYDIA HOFFMAN

Z niecierpliwością i niepokojem wyczekiwałam godziny trzynastej. Miałam udzielać pierwszej lekcji robienia skarpetek. W ubiegłym roku wykształciłam kilka klas dziewiarskich. Na szkoleniu pedagogicznym przestrzegano mnie przed przyjmowaniem na kurs osób o skrajnie różnych osobowościach. Wszystko wskazywało na to, że właśnie popełniłam ten błąd. Prócz zainteresowania robótkami ręcznymi nie znajdowałam u nowych uczennic żadnych wspólnych cech. Podobne odczucia towarzyszyły mi podczas pierwszego w życiu kursu, kiedy uczyłam Jacqueline, Carol i Alix. Mimo wszystko te trzy niepodobne do siebie kobiety zostały serdecznymi przyjaciółkami. Życzyłam sobie z całego serca powtórzenia tamtego cudu. Chociaż nie jestem taką pesymistką jak moja siostra, nie żywiłam wielkiej nadziei, że Elise, Courtney i Bethanne nawiążą nić przyjaźni.

Elise Beaumont sprawiała wrażenie osoby nieprzystępnej, zamkniętej w sobie. W Bethanne wyczuwałam nieustanne napięcie, jakiś lęk, jakby była stale gotowa do ucieczki. Współczułam nastolatce, Courtney, którą babcia najwyraźniej zapisała na kurs

wbrew jej woli. Niezadowolona mina dziewczyny nie pozostawiała wątpliwości, co czuje. Te trzy osoby nie pasowały do siebie pod żadnym względem.

Popatrzyłam na Margaret. Obsługiwała klientkę, podczas gdy ja przygotowywałam materiały na lekcję. Rano dałam jej okazję do zwierzeń, lecz nic nie zyskałam. Z wielkim trudem ukryłam rozczarowanie. Nie wywierałam nacisku, lecz serce wciąż bolało, że zamiast mi zaufać, cierpi w samotności. Tysiące pytań, których nie mogłam zadać wprost, wirowało mi w głowie. Przede wszystkim chciałam wiedzieć, jak moje ukochane siostrzenice, Julia i Hailey, znoszą trudną sytuację rodzinną. Mam z nimi doskonały kontakt. Na pewno powiedziałyby mi wszystko, o ile Margaret im nie zabroniła. Szanowałam jej uczucia, ale jej rezerwa sprawiała mi przykrość.

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Elise Beaumont wkroczyła do sklepu. Chociaż podczas pierwszej wizyty miło ze mną gawędziła, nie nazwałabym jej przyjazną ani otwartą. Tym razem nie kryła rozdrażnienia. Wyglądała źle, jakby całą noc nie spała. Gdybym ją dłużej znała, próbowałabym dyskretnie wybadać przyczynę zdenerwowania, ale po jednym krótkim spotkaniu nie wypadało mi zadawać pytań natury osobistej. Wyglądało na to, że czeka mnie trudny początek. Powitałam ją tak serdecznie, jak potrafiłam, żeby choć trochę poprawić jej humor.

- Jak długo potrwa lekcja? - spytała bez wstępnych uprzejmości.

- Dwie godziny - poinformowałam. Wręczyłam jej wydrukowany przez Margaret plan zajęć.

- W porządku - mruknęła z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Odsunęła krzesło, usiadła przy stole i położyła sobie na kolanach torbę z materiałami.

Pamiętałam, że wybrała jasnoniebieską włóczkę, która podczas roboty tworzy wzór w szare i popielate cętki, prawdopodobnie na skarpetki dla jakiegoś mężczyzny.

Zanim usiadła, do środka weszła oficjalnie ubrana Bethanne, a za nią Courtney w dzinsach i podkoszulku. Wszystkie trzy bez słowa powitania zajęły miejsca jak najdalej od siebie. Podeszłam do nich z uśmiechem.

- Widzę, że jesteśmy w komplecie - zagałam. - Mam nadzieję, że metoda robienia skarpetek na dwóch parach okrągłych drutów przypadnie wam do gustu. Nie będziecie rozczarowane, to naprawdę wspaniała zabawa. Proponuję zacząć od wzajemnej prezentacji. Opowiedzcie, proszę, parę słów o sobie.

Kobiety milczały. Patrzyły na mnie wyczekująco. Zrozumiałam, że chcą, żebym zaczęła od siebie. Tak też zrobiłam.

- Nazywam się Lydia Hoffman. Otworzyłam „Świat Włóczki” ponad rok temu. Ponieważ uwielbiam robótki ręczne, łączę pracę z przyjemnością. Wymyśliłam kursy dziewiarskie, żeby zarazić swoją pasją jak najwięcej osób - zakończyłam z uśmiechem. Następnie gestem zachęciłam Courtney do prezentacji.

- Cześć, nazywam się Courtney Pulanski. Mam siedemnaście lat. Przyjechałam do babci, żeby tu skończyć liceum i zdać maturę. Mama

zmarła kilka lat temu. Tata pracuje w Brazylii. To chyba wszystko.

- Przystosowanie do nowego miejsca zawsze stanowi trudne wyzwanie, a co dopiero w ostatniej klasie - zauważyła Elise.

- To prawda. Tata długo rozważał tę decyzję. Rozumiał moje opory. Podjął ją, ponieważ nie znalazł innego rozwiązania. Brakuje mi zarówno jego, jak i rodzeństwa. Do siostry i brata dzwonię codziennie. Z ojcem koresponduję przez Internet. Przesyła mi wiadomości tak często, jak to możliwe, ale stale jest bardzo zajęty.

- Dobrze chociaż, że utrzymujecie stały kontakt. To bardzo pomaga - stwierdziła Elise.

- O tak - szepnęła dziewczyna drżącym głosem, jakby zbierało jej się na płacz. Żeby odwrócić od niej uwagę, poprosiłam o głos Bethanne.

- Jestem Bethanne Hamlin, żona, matka dwojga dzieci. Właściwie była żona. Ostatnio wzięłam rozwód z mężem. - Popatrzyła z obawą na Elise, po czym szybko dodała, żeby uprzedzić ewentualne komentarze: - Nie chciałam rozpadu małżeństwa, ale skoro los tak zrzędził, córka nalegała, żebym zrobiła coś dla siebie. Dlatego właśnie przyszłam - dokończyła z wymuszonym uśmiechem.

- Robiła już pani na drutach, prawda? - spytałam. Pamiętałam, że tak twierdziła podczas wstępnej rozmowy.

- Gdy dzieci były małe, wydzierałam kilka prostych rzeczy. Teraz kupiłam włóczkę i wzór, ale obawiam się, że wykonanie skarpetek przekracza moje możliwości - przyznała z wahaniem, jakby zamierzała zrezygnować.

- Bez obawy. Przy trzech uczennicach poświęcę pani tyle czasu, ile potrzeba - próbowałam ją uspokoić.

- A jeśli nie podołam, czy otrzymam zwrot kosztów w przypadku rezygnacji?

- Przykro mi, to niemożliwe - ucięłam krótko.

Nie mogę sobie na to pozwolić nie tylko ze względów finansowych, lecz również psychologicznych, żeby nie dawać złego przykładu. Jako nauczycielka powinnam zachęcać, a nie zniechęcać do wysiłku. Zostawiłam Bethanne w spokoju i oddałam głos Elise. Wstała z miejsca.

- Może ktoś z was zna mnie ze Szkoły Podstawowej imienia Harry'ego S. Trumana, gdzie przez trzydzieści osiem lat prowadziłam bibliotekę. Niedawno przeszłam na emeryturę. Dlatego poszukuję nowego zajęcia. Wierzę, że podołam zadaniu - zakończyła i usiadła.

Zostawiłam całej trójce kilka minut na przetrwanie uzyskanych informacji. Następnie zapewniłam, że robienie skarpetek na okrągłych drutach nie przedstawia większych trudności, a przy tak małym gronie poświęcę każdej tyle uwagi, ile potrzeba. Przekonywałam, że przeżyją ciekawą przygodę, która dostarczy im wiele satysfakcji. Pokazałam różne rodzaje włóczki, grubej, cienkiej, pojedynczej i podwójnej. Wyjaśniłam, że taka różnorodność materiałów daje niemalże nieograniczone możliwości. Wybrałam jeden z najprostszych wzorów mojej ulubionej mistrzyni, Nancy Bush. Wyraziłam nadzieję, że go zaakceptują.

- Na początek pokażę, jak nabierać oczka według metody

norweskiej. Pewnie to dla was nowość, ale warto spróbować - zakończyłam, nawijając włóczkę na drut.

- Wygląda to dość zawile - skomentowała Bethanne. - Chyba nie dam rady.

- Na litość boską, nie przesądzaj z góry! - ofuknęła ją Elise. - Pozwól Lydii chociaż pokazać, zanim zaczniesz zrędzić.

Bethanne zamilkła, wystraszona.

- Popatrz, Bethanne, to nie takie trudne, jak przypuszczasz - usiłowałam jej dodać odwagi i załagodzić nietakt Elise.

Nie kryła złego humoru. Prawdopodobnie przelała na nieszczęsną Bethanne własne frustracje.

- Moja babcia nie robi ściągacza pojedynczego, tylko przerabia dwa oczka prawe na dwa lewe - wytknęła Courtney.

Bardzo lubię Verę. To utalentowana i zapalona dziewiarka. Zdziwiło mnie, że zapisała wnuczkę na kurs, zamiast sama ją uczyć. Ma ku temu wszelkie kwalifikacje.

- Technika twojej babci pozwala osiągnąć większą elastyczność, ale ja pokażę wam inną.

- Przepraszam.

Wytłumaczyłam, jak przeliczać wymiary, żeby skarpetka pasowała na nogę. Dałam im miarkę. Następnie pomogłam każdej z uczennic wyliczyć odpowiednią do planowanego rozmiaru liczbę oczek. Wytłumaczyłam, że cienkie nici wymagają ich więcej, a gruba wełna - mniej.

- Wszystkie nadążacie? - spytałam dla pewności.

Pokiwały głowami. Przez pozostałą część lekcji uczyłam, jak nabierać oczka sposobem norweskim i jak pracować z dwoma parami okrągłych drutów. Courtney chwytiała wszystko w lot. Wykonała zadanie pierwsza. Patrzyła z triumfem, jak mniej zdolne koleżanki walczą z oporną materią. Najgorzej szło Bethanne. Nie sądzę, żeby mnie okłamała, że wcześniej robiła na drutach, ale teraz nawet nie potrafiła ich prawidłowo trzymać. Przyznam, że straciłam do niej cierpliwość. W życiu nie widziałam tak zahukanej kobiety.

Elise robiła jeszcze gorsze wrażenie. Popełniła wielki nietakt, krytykując tak ostro mniej pewną siebie koleżankę. Później nie powiedziała już ani słowa. Nie wątpiłam, że żałuje swego wystąpienia, ale nie zrobiła nic, żeby załagodzić sytuację. Odnosiłam też wrażenie, że uważa mnie za kiepską nauczycielkę. Nie było mi miło. Niecierpliwie wyczekiwałam końca zajęć. Gdy wreszcie pozbierały swoje rzeczy i wyszły, poczułam takie zmęczenie, jak po całodziennym harówce. Wyszłam na zaplecze, by zaparzyć sobie herbaty. Wkrótce dołączyła do mnie Margaret.

- Jak poszło?

- Fatalnie.

- Naprawdę?

Pokręciłam głową z dezaprobatą. Wolałabym uniknąć dalszych pytań. Nareszcie zrozumiałam przyczyny małomówności Margaret. W trudnych sytuacjach człowiekowi brakuje sił na roztrząsanie przykrych spraw. Za to ona nie dawała za wygraną. Widocznie zdumiał ją nietypowy dla mnie pesymizm.

- Dlaczego tak źle oceniasz tę lekcję?
- Och, po prostu odczuwam ją jako porażkę.
- Dlaczego? - drążyła uparcie.
- Elise jest marudna, Bethanne strachliwa i zakompleksiona, a Courtney przemądrzała - wyrzuciłam z siebie jednym tchem.

Gorzko żałowałam, że ogłosiłam nabór na ten nieszczęsny kurs.

ROZDZIAŁ ÓSMY

BETHANNE HAMLIN

Zaraz po lekcji Bethanne zasiadła przy białym stoliku z kutego żelaza przed francuską cukiernią. Grant z ociąganiem wyraził zgodę na spotkanie. Sądziła, że wybrał publiczne miejsce, żeby uniknąć dramatycznych scen. Bethanne nie dążyła do kłótni. Przeciwnie, potrzebowała rady i pomocy. Aż dziwne, że nie znenawidziła byłego męża za zdradę. Liczyła na to, że osiągną porozumienie dla dobra dzieci. Miała nadzieję, że i on zrozumie, że tylko wspólnie działając, mogą zapewnić im przyszłość. Popijając kawę, zbierała odwagę do odbycia zasadniczej rozmowy. Skóra jej cierpła na myśl, że będzie musiała poruszyć kwestie finansowe. Przewidywała nieprzyjemności.

Grant wyszedł zza rogu. Nie widziała, gdzie i kiedy zaparkował. Nie od razu ją spostrzegł. Poobserwowała go chwilę bez skrępowania. Był bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Mimo że zdradził ją, upokorzył i porzucił, nadal go kochała, co ją niepomiernie złościło. Wstydziła się, że nadal czuje pociąg do zdrajcy. Nie powitał jej uśmiechem, nie

pozdrowił, skinął tylko szybko głową. Odnosiła wrażenie, że podszedł do niej obcy człowiek. Ani słowem nie skomentował jej wyglądu, chociaż włożyła strój, w którym ją zawsze podziwiał: drogie czarne spodnie, szyty na miarę żakiet oraz seledynową bluzkę ze szlachetnego jedwabiu. Włosy spięła z tyłu głowy dużą srebrną kłamrą. Odsunął sobie krzesło, następnie usiadł z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Napijesz się czegoś? - spytała, żeby choć trochę rozluźnić napiętą atmosferę.

- Nie, mogę ci poświęcić tylko kilka minut. - Spojrzał znacząco na zegarek. - Przedstaw swoją sprawę.

- Chciałabym z tobą porozmawiać o Annie.

- To, co mówiłaś przez telefon, nie brzmiało zbyt groźnie. Tiff przeszła do porządku dziennego nad zamówieniem niepotrzebnych czasopism oraz telefonami ze stacji krwiodawstwa. Zdajemy sobie sprawę, że dokuczają jej z chęcią zemsty. Tylko ciebie jej dziecinne wybryki wyprowadzają z równowagi.

- Naprawdę się o nią martwię. Andrew też. Inaczej nie doniósłby mi o tym, co ona wyprawia.

- Pewnie pomyślisz, że jestem gruboskórny, ale nie widzę powodu do niepokoju. Wkrótce złość jej minie.

- Łatwo ci mówić, bo z nią nie mieszkasz. Wbrew pozorom nie pogodziła się z rozpadem rodziny. Nadal cierpi. - Widząc, jak Grant z politowaniem kręci głową, wpadła w furję. - Akurat dużo wiesz o psychice młodego człowieka! Nie sądzę, żebyś czytywał podręczniki

psychologii! - wybuchnęła.

- Annie bez niczyjej pomocy znalazła najlepszy sposób na stres. Bardzo dobrze, że zaczęła biegać, przynajmniej dba o kondycję - odrzekł bez emocji. - Natomiast ty wykorzystujesz dzieci, żeby mnie odzyskać.

Arogancja byłego męża wyprowadziła Bethanne z równowagi. Gdyby nie znajdowali się w publicznym miejscu, zwymyślałaby go od najgorszych. Opanowała złość tylko dlatego, że potrzebowała jego pomocy. Sama nie dawała sobie rady z córką. Grant udawał, że nie widzi jej wzburzenia.

- Manipulujesz mną - szydził dalej bezlitośnie. - Usiłujesz we mnie wzbudzić poczucie winy, mimo że sama nie postępujesz uczciwie. Sąd przyznał mi widzenia z dziećmi w co drugi weekend. Odmawiają spotkania ze mną, a ty im na to pozwalasz. Mam dość tych waszych zagrywek.

Andrew i Annie rzeczywiście nie chcieli go widzieć. Bethanne nie wywierała nacisku, ponieważ nie uważała za stosowne zmuszać dorastających młodych ludzi do kontaktu z ojcem.

Grant wstał, dając do zrozumienia, że pora zakończyć rozmowę. Bethanne bała się, że odejdzie, zanim zdąży poruszyć najważniejszą sprawę. To, co miała do powiedzenia, nie przynosiło jej chwały. Nie wiedziała, jak zareaguje, ale musiała zaryzykować. Zebrała całą odwagę.

- Widzisz, ja... przeczytałam jej pamiętnik - wyznała z

rumieńcem wstydu na policzkach.

Przejrzała zaledwie kilka stron, ale to wystarczyło, żeby zaczęła drżeć ze strachu o zdrowie i życie Annie. Eksperymentowała z narkotykami, wymykała się nocą z domu na spotkania ze swymi nowymi „przyjaciółmi”. Żadnego z opisywanych chłopców nie przedstawiła matce. Bethanne truchlała z przerażenia na myśl o tym, co mogli wyrabiać podczas tych nocnych eskapad.

- Co zrobiłaś? - Grant usiadł z powrotem.

- Przeczytałam jej pamiętnik - powtórzyła. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jak wielką żywi do nas urazę. Na złość nam robi okropne rzeczy, których... nie powinna robić - dokończyła pospiesznie.

Grant wzruszył ramionami, tak jak przewidziała.

- Przeżyła wstrząs, wkrótce dojdzie do siebie. Trzeba jej dać czas.

- Co znaczy: „dojdzie do siebie”? - jęknęła Bethanne. Ból rozsadzał jej serce. Los jedynej córki w ogóle go nie obchodził.

Zastanawiała się, czy dopiero teraz zobojętniał, czy też zawsze był takim draniem, a ona, zaślepiona miłością, nie widziała jego podłości.

- To normalne w tej sytuacji - rzucił beztrosko. Dla Bethanne nic nie było normalne. Ani to, że złamał przysięgę małżeńską, opuścił tych, których przyrzekał kochać i chronić, ani że nie dbał o uczucia najbliższych, ani też że zlekceważył fakt, iż jego własna córka rujnuje swoje zdrowie, może nawet życie. Kiedy słuchała jego cynicznych komentarzy, ogarniała ją rozpacz. Kompletnie zdruzgotana, wbiła

wzrok w filiżankę z kawą.

- Mimo wszystko uważałam za swój obowiązek cię ostrzec.

- Przed czym?

- Annie szaleje z nienawiści - odrzekła lakonicznie. Zamierzała go poinformować, że dziewczyna planuje poważniejszą akcję przeciwko kochance ojca, ale zrezygnowała. Skoro odmówił współpracy, niech sam sobie radzi.

- Coś jeszcze? - westchnął ciężko.

- Tak. Andrew zapisał się na obóz piłkarski. - Spuściła oczy, zaciskając palce obydwu rąk na filiżance.

Myśl o tym, że musi prosić byłego męża o pieniądze, napawała ją odrazą. Jednak musiała przez to przejść. Andrew miał wielki talent, liczyła na to, że osiągnięcia sportowe zapewnią mu stypendium na Uniwersytecie Waszyngtońskim lub Uniwersytecie Stanowym.

- Rozumiem.

- Nie stać mnie na taki wydatek - tłumaczyła, potwornie zażenowana. - Jeżeli sfinansujesz mu ten wyjazd, wezmę na siebie pozostałe koszty. Pod koniec roku szkolnego uprzedzono mnie, że we wrześniu wzrosną opłaty za przynależność do klubu sportowego. Do tego dochodzą wydatki związane z maturą. Dlatego proszę, żebyś zafundował mu te wakacje - zakończyła. Nie wspomniała o zakupie ubrań i mnóstwa innych rzeczy, niezbędnych do szkoły. Nie miała pojęcia, skąd weźmie na to wszystko pieniądze.

- Naprawdę nie stać cię na opłacenie tego obozu?

- Gdybym to zrobiła, nie starczyłoby na opłaty za dom.

- Tego się właśnie obawiałem - oświadczył po chwili milczenia.

- Naprawdę nie zamierzam cię ciągle nękać prośbami o pieniądze - zapewniła. Doskonale wiedziała, co o niej myśli.

- Przecież właśnie to robisz.

Chciała mu wytłumaczyć, że sumy, które dostaje od niego co miesiąc na mocy wyroku sądowego, nie zaspokajają wszystkich potrzeb dwojga nastolatków. Nie zdążyła.

- Nie mogę ci pomóc - uprzedził ją, zanim otworzyła usta, żeby zaprotestować.

- Nigdy więcej nie przychodź do mnie z takimi sprawami. Dostajesz alimenty na siebie i dzieci. Znalazłaś już pracę? - zapytał na koniec z ironią w głosie. Pokręciła głową, spuściwszy wzrok.

- Tak właśnie myślałem. Próbowowałaś chociaż? Każdy cent w twoim portfelu pochodzi z mojej kieszeni - wypomniął, nie czekając na odpowiedź. - Widzę, że nie zrobiłaś nic, dosłownie nic, żeby podreperować własny budżet.

- Próbowалам, słowo daję, sama już nie wiem, gdzie szukać - przyznała, upokorzona do reszty.

Miała ochotę na niego nakrzyczeć. Ponieważ wiedziała, że tym sposobem nic nie uzyska, schowała dumę do kieszeni.

- Na początek czytaj ogłoszenia w prasie - poradził. - Jeżeli nic nie znajdziesz, załóż domowe przedszkole. Zawsze szczyliłaś się, że jesteś dobrą matką.

Bethanne myślała również, że jest dobrą żoną. Widocznie nie podzielał tej opinii. Ponośiła jedną porażkę za drugą. Ogarnęło ją

poczucie klęski.

- Wykorzystaj swoje naturalne zdolności, zamiast wyciągać ode mnie pieniądze. Za dwa lata Annie zda maturę i obowiązek alimentacyjny ustanie. Najwyższa pora zacząć działać, zanim źródółko wyschnie - szydził bez żadnych skrępowań.

- A co z opłatami za studia? - spytała, choć doskonale pamiętała orzeczenie sądu.

- Dzielimy koszty po połowie. To znaczy, że musisz nie tylko podjąć pracę, ale i zarobić wystarczającą sumę, żeby opłacić swoją część czesnego. Im prędzej, tym lepiej.

- To prawda, ale...

- Zawsze znajdziesz jakąś wymówkę - dokończył, nie kryjąc lekceważenia. Bethanne wstała gwałtownie. Chciała już tylko uciec jak najdalej od tego zimnego egoisty o kamiennym sercu. Zrobił wszystko, żeby ją zniszczyć. W tej chwili bardziej niż kiedykolwiek pragnęła mu udowodnić, że jej nie doceniał i że poradzi sobie bez jego łaski.

- Żegnaj, Grant. Nie będę cię więcej niepokoić - wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Na koniec obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem. Nie mieściło jej się w głowie, jak mogła przeżyć z takim draniem tyle lat, nie widząc jego podłości.

Grant odszedł w przeciwnym kierunku niż ona. Przystanąła, żeby trochę ochłonać po wszystkich upokorzeniach. Nieco dalej stał jej samochód z drutami i włóczką w bagażniku. Zbyt późno

uświadomiła sobie, że kurs dziewiarski stanowił zbędny wydatek. Nawet gdyby zrezygnowała, nie uzyskałaby zwrotu kosztów. Uznała, że skoro już wydała pieniądze, nie powinna ich zmarnować. Postanowiła, że będzie nadal uczęszczać na zajęcia.

Zanim dotarła do auta, zza rogu wyjechał nowiutki cadillac, jeszcze z nalepkami firmowymi, dokładnie tego typu i koloru, o jakim Grant zawsze marzył. Wyteżyła wzrok. Za kierownicą siedział jej były mąż - ten sam człowiek, który kilka minut temu twierdził, że nie stać go na sfinansowanie synowi obozu sportowego.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

COURTNEY PULANSKI

Courtney usłyszała przez sen, że ktoś z dołu raz i drugi woła ją po imieniu. Nie otworzyła oczu. Miała ochotę jeszcze trochę pospać.

- Prosiłaś, żebym cię obudziła! - zawołał głos z parteru, tym razem znacznie głośniej.

Jak przez mgłę przypomniała sobie, że rzeczywiście coś takiego mówiła, tylko nie pamiętała po co. Z wysiłkiem otworzyła jedno oko. Odczytanie godziny ze staroświeckiego budzika zajęło jej sporo czasu. Babcia nie miała ani jednego elektronicznego zegara. Duża wskazówka na szóstce, mała na piątce... o zgrozo! Dopiero piąta trzydzieści!

- Courtney! Brak mi sił, żeby biegać za tobą po schodach, ale słowo honoru, przyjdę do ciebie, jeżeli natychmiast nie zejdziesz! -

krzyczała babcia coraz głośniej.

Courtney wreszcie odrzuciła kołdrę. Okropnie zaspana, podeszła do drzwi najszybciej, jak potrafiła.

- Już wstałam! - odkrzyknęła.

- Dzięki Bogu! - Vera Pulanski westchnęła z ulgą, że wnuczka oszczędziła jej uciążliwej wspinaczki po schodach. - Za dziesięć minut wychodzimy.

- Dopiero wpół do szóstej - mruknęła dziewczyna z niechęcią.

- Wiem, która godzina. Pływalnię otwierają o szóstej.

- Ach, tak - jęknęła Courtney.

Nie przypominała sobie, żeby starsza pani choć słowem wspomniała, że chodzi pływać o świcie. Zresztą nie słuchała zbyt uważnie. Ćwiczenia fizyczne w ogóle jej nie pociągały. Przystąpiła na propozycję tylko po to, żeby nie sprawić babci przykrości. W pośpiechu wyciągnęła z szuflady płaszcz kąpielowy. Na szczęście jeszcze na nią wchodził w przeciwieństwie do pozostałych ubrań. Dżinsy zapinała dopiero po wciągnięciu brzucha i kilku nieudanych próbach. W bluzkach po zapięciu pomiędzy guzikami pozostawały szczeliny. Narzucała je więc rozpięte na podkoszulek. Spodnie nie tuszowały już otyłości, szwy groziły popękaniem.

- Nie zabieraj ręczników z łazienki. Należą do kompletu. Spakowałam dodatkowy dla ciebie! - krzyknęła babcia z parteru.

- Dobrze! - odkrzyknęła.

Zrzuciła piżamę i włożyła jednoczęściowy kostium. Jeszcze na nią wchodził, choć z trudem. Wolą nie patrzeć w lustro. Na

szczęście o tak wczesnej porze nie spodziewała się spotkać na pływalni żadnego rówieśnika. Włożyła szybko spodenki, podkoszulek i klapki. Następnie zbiegła po schodach. Babcia już czekała przy drzwiach. Wręczyła Courtney ręcznik, czerwony czepek i okulary do pływania.

- Są stare, ale muszą ci wystarczyć, póki nie kupimy nowych.

- Lubisz pływać, prawda? - spytała Courtney.

Zaskoczyło ją, że osoba w tak podeszłym wieku z zapalem uprawia sport. Czeką ją jeszcze więcej niespodzianek.

Basen o wymiarach olimpijskich należał do liceum. Z tego właśnie względu zajęcia dla seniorów wyznaczono na tak wczesną godzinę. W poczekalni ujrzała cały tłum starszych osób. Wyglądało na to, że znają się nawzajem. Babcia pozdrawiała prawie wszystkich, co wskazywało, że przychodziła tu już od miesięcy. Każdemu przedstawiała wnuczkę. Courtney usłyszała co najmniej tuzin imion i nazwisk. Usiłowała je zapamiętać, ale przekraczało to jej możliwości. Wciąż walczyła z sennością. Słońce co prawda już wstało, ale normalni ludzie jeszcze leżeli w łóżkach.

- Jak ci się mieszka w Seattle? - spytała któraś z przyjaciółek pani Pulanski, bodajże ta o imieniu Leta.

- Wspaniale - zapewniła Courtney, udając entuzjazm.

Gdyby spotkała kogokolwiek poniżej osiemdziesiątki, byłoby jej nieco różniej. Kurs dziewiarski również ją rozczarował. Oczekiwała większej liczby uczestników. Poznała tylko dwie kobiety, jedną chyba w wieku babci, w dodatku wiecznie skrzywioną, jakby całe życie jadła

wyłącznie cytryny. Druga miała pewnie tyle lat, ile miałyby mama, gdyby żyła. Na wspomnienie matki poczuła bolesny skurcz w okolicy serca. Czas powinien już wyleczyć rany, ale nie wyleczył. Nadal cierpiała. Wyglądało na to, że brat i siostra pogodzili się już ze stratą. Niechętnie o niej rozmawiali, jakby nie chcieli pamiętać o bolesnych przeżyciach. Courtney ani nie chciała, ani nie potrafiła zapomnieć. Odnosiła wrażenie, że rodzeństwo jej nie rozumie. Właściwie nic dziwnego. Siostra nie przytyła tak jak ona - siedemnaście kilogramów. Wręcz przeciwnie, jeszcze zeszczupiała. Courtney próbowała porozmawiać z bratem o swoim zmartwieniu. Zbył ją wzruszeniem ramion. Poradził, żeby zrzuciła zbędne kilogramy, jeśli aż tak bardzo ją martwią. Łatwo mu było mówić. Dawno by to zrobiła, gdyby wiedziała jak.

Leta znów do niej podeszła.

- Na pływalni obowiązują ściśle zasady - oznajmiła. - Nikt ich nie spisał, ale ich przestrzeganie pomaga zachować porządek. Otóż środkowy prysznic należy do mnie. Korzystałam z niego przez osiemnaście lat. Jeżeli wyjdiesz z wody wcześniej, będę wdzięczna, jeśli go nie zajmiesz.

- Dobrze. - Courtney spróbowała zakodować informację w pamięci.

- Dokładnie zmocz głowę przed wejściem do wody, inaczej chlor zniszczy włosy - doradziła inna z koleżanek babci.

- I załóż czepek. Nie cierpię wplątywać rąk w cudze włosy podczas pływania - dorzuciła z niesmakiem trzecia.

Na myśl o tym, że ktoś mógłby ją szarpać w wodzie za włosy, Courtney dostała gęsiej skórki. Pewnie zresztą urocze starsze panie wspólnymi siłami wykopałyby ją z pływalni, gdyby go nie miała. Zapewniła, że zabrała ze sobą nakrycie głowy.

- Jak szybko pływasz? - dociekała Leta.

- Och...!

- Niech spróbuje na środkowym pasie - zaproponowała Vera Pulanski. - Większość z nas korzysta z pierwszego. Trzeci jest przeznaczony dla najszybszych. Zacznijmy więc od środka, a potem zobaczymy.

- Zgoda.

Courtney powtórzyła sobie po cichu wszystkie zasady. Z dumą stwierdziła, że je zapamiętała: nie używać środkowego prysznicza, korzystać ze środkowego pasa, zmoczyć włosy, a potem schować pod czepkiem. Na początek całkiem nieźle. Miała tylko nadzieję, że wysiłek fizyczny nie zaostrzy jej apetytu.

Po otwarciu drzwi dwie grupy wkroczyły do środka. Panowie poszli na prawo, panie na lewo.

Courtney podążyła za babcią, Letą i innymi do szatni. Vera błyskawicznie zdjęła ubranie, umieściła je w szafce. Courtney celowo zwlekała, żeby zostawić starszym paniom jak najmniej czasu na oglądanie tłustych ramion i ud. Truchlała ze strachu, że któraś z nich zwróci uwagę na przyciasny kostium. Niepotrzebnie. Były tak podekscytowane perspektywą wejścia do wody, że wcale na nią nie patrzyły. Mimo wszystko odczekała, aż wszystkie wyjdą z szatni.

Dopiero wtedy się rozebrała.

Pomna otrzymanych poleceń, weszła do ostatniej kabiny. Dokładnie zmoczyła włosy pod prysznicem, po czym wyżeła je i upchnęła pod czepkiem, zadowolona, że nikt jej tu nie zna. Gdyby przyjaciele zobaczyli ją w takim stroju, chyba pękliby ze śmiechu. Jej natomiast daleko było do wesołości. Do rozpoczęcia roku szkolnego pozostało zaledwie sześć tygodni. Oddałaby wszystko, żeby do tego czasu poprawić swój wizerunek. Uznała, że w celu osiągnięcia szczupłej sylwetki warto wstawać z kurami, przebywać w towarzystwie sześciokrotnie starszych osób, a nawet przestrzegać najdziwniejszych choćby zasad. Zdobyła się na odwagę. Przybrała obojętną minę, żeby ukryć skrępowanie. Możliwie swobodnym krokiem podeszła do basenu.

Kiedy wskoczyła do wody, z zimna zabrakło jej tchu. Termometr wskazywał wprawdzie dwadzieścia siedem stopni Celsjusza, ale przysięgłaby, że temperatura wody w rzeczywistości nie przekracza dwudziestu dwóch. Babcia już pływała razem z przyjaciółkami. Zataczały koła, żeby uniknąć zderzenia. Kilka kobiet spacerowało w płytkiej wodzie, gawędząc ze sobą. Courtney minęła je z uniesionymi nad głowę rękami. Brakowało jej odwagi, żeby zanurzyć je w zimnej wodzie. Napotkała linkę, oddzielającą tory. Nie miała innego wyjścia, jak zanurkować pod spodem. Mało nie zamarzła. Pomyślała, że „Titanic” chyba tonął w wyższych temperaturach. Brakło jej tchu z zimna. Wreszcie dotarła do środkowego pasa. Podczas pływania z trudem łapała powietrze. Po

osiągnięciu przeciwległego krańca basenu potrzebowała sporo czasu, by wyrównać oddech. Babcia i jej rówieśnicy nie mieli takich problemów. Bez odpoczynku wykonywali nawrót i podążali w drugą stronę. Po dziesięciu okrążeniach Courtney przystanąła. Poprawiła gogle, chociaż doskonale leżały. Skorzystała z pretekstu do dłuższego odpoczynku przed jedenastą rundą. Babcia twierdziła, że szesnaście okrążeń to osiemset metrów. Courtney doszła do wniosku, że w wodzie obowiązują inne miary niż na lądzie, że znacznie dłuższymi metrami. Obliczyła, że pokonała trzy czwarte z ośmiu dziesiątych kilometra. Była z siebie dumna. Postanowiła, że natychmiast po przyjściu do domu wejdzie na wagę. Nie wątpiła, że po takim wysiłku przynajmniej trochę schudła. Marzyła o tym, żeby ujrzeć przynajmniej raz choć trochę cofniętą wskazówkę.

- Wychodzimy - zarządziła babcia, zanim Courtney zdążyła wystartować do jedenastego okrążenia.

- Chciałabym jeszcze trochę popływać - poprosiła.

- W środę to niemożliwe. O siódmej wchodzi drużyna pływacka.

Po plecach Courtney przeszedł lodowaty dreszcz, tym razem niezwiązany z temperaturą.

- Chyba nie szkolna? - wykrztusiła.

Vera Pulanski zsunęła okulary na czubek głowy. Popatrzyła na wnuczkę z bezgranicznym zdumieniem.

- Co cię tak przeraża?

Że też nie rozumiała najprostszych rzeczy! Courtney z wielkimi oporami odsłoniła swe nieforemne ciało przed staruszkami. Wołałaby

się zapaść pod ziemię, niż pozwolić, żeby oglądali je rówieśnicy. Na domiar złego zostawiła ręcznik w szatni. Zanim zdążyła wyjść z wody, gromada niewiarygodnie smukłych dziewcząt wkroczyła do środka. Courtney odwróciła wzrok, żeby nie patrzeć, jak wchodzi chłopcy. Już sam widok zgrabnych pływaczek wystarczył, żeby ją załamać. Odrętwiała z zimna, stała wciśnięta w ścianę basenu, nie wiedząc, co ze sobą począć. Gdyby teraz wyszła, cała młodzież zwróciłaby uwagę na jedyną w gronie starszusków nastolatkę, w dodatku o gigantycznych rozmiarach.

- Courtney, pora wychodzić! - zawołała z brzegu babcia tak głośno, że na pewno wszyscy słyszeli.

- Wiem. - Usiadła na chwilę w wodzie.

Żałowała, że nie może zniknąć. W końcu zmuszona była zaprezentować całej drużynie sportowej swe obfite kształty. Ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w podłogę pospieszyła do szatni. Przez dwa tygodnie marzyła o spotkaniu z rówieśnikami. Nie przewidziała, że obejrzą ją w tak żałosnej kondycji - półnago, ze znaczną nadwagą i na dodatek w za ciasnym kostiumie.

- Weź prysznic, już zwolniłam środkowy - powiedziała Leta.

- Wezmę w domu - odparła, owijając się ręcznikiem.

- Trzeba spłukać ten cały chlor - nalegała kobieta. Courtney za żadne skarby nie odsłoniłaby teraz ciała.

Zanim opuściła basen, kątem oka dostrzegła, że dwie dziewczyny pochyliły ku sobie głowy. Z pewnością ją obmawiały. Zrozpaczona, ukryła twarz w dłoniach. W najbliższej przyszłości

czekało ją spotkanie z tymi zgrabnymi dziewczętami na szkolnych korytarzach.

ROZDZIAŁ DZISIĄTY

Żeby zostać dojrzałą dziewiarką, należy bez obaw podejmować wyzwania. Dzierganie to o wiele prostsza działalność niż pikowanie w powietrzu. Małe jest zawsze osiągalne.

Lucy Neatby, Tradewind Knitwear Designs, Inc
www.tradewindknits.com

LYDIA HOFFMAN

Do soboty nie mogłam zrobić nic lepszego, jak tylko ukradkiem obserwować Margaret i trzymać buzię na kłódkę. Narastał we mnie żal, że przez trzy miesiące ukrywała informację o bezrobociu Matta. W soboty mamy zwykle najwięcej pracy, ale pod koniec miesiąca, przed wypłatą, frekwencja spada. Tamtego dnia po południu nawet jedna osoba nie zajrzała do sklepu. Skorzystałam z okazji, żeby z nią porozmawiać.

- Masz jakieś plany na Czwartego Lipca? - zagadnęłam.
- Właściwie nie - odpowiedziała obojętnym tonem. - A ty?
- Jeszcze nic nie ustaliłam.

Brad i ja nic nie zaplanowaliśmy. Chciałam go wyciągnąć z synem i psem na piknik nad oceanem, żeby obejrzeć sztuczne ognie z okazji obchodów Dnia Niepodległości. Ostatni raz odwiedziłam Ocean Shores, dzielnicę nad brzegiem oceanu, odległą o trzy godziny

drogi od centrum, jako nastolatka. Wspominam tę wycieczkę jako ostatnie beztroskie chwile tego lata i w ogóle mojego życia. Wkrótce potem wykryto u mnie nowotwór.

- Prawdopodobnie będziemy grillować w ogrodzie, a sztuczne ognie obejrzymy w telewizji.

Mimo woli wytrzeszczyłam na nią oczy. W Seattle co roku odbywają się wspaniałe pokazy fajerwerków: w Myrtle Edwards Park nad wodą i w parku nad Lake Unions' Gas Works Park na północ od centrum. Tej drugiej imprezie towarzyszy patriotyczna muzyka, podkreślająca uroczysty nastrój. Wizyta w tym miejscu w Dniu Niepodległości zawsze była dla mnie wzruszającym przeżyciem. Margaret mieszka na Capitol Hill w pobliżu Blossom Street, skąd doskonale widać sztuczne ognie nad jeziorem Union. Trudno mi było uwierzyć, że woli siedzieć przed telewizorem niż wyjść z domu, żeby obejrzyć to wspaniałe widowisko.

- A co robią Julia i Hailey? - spytałam. Przepadałam za moimi siostrzenicami, piętnasto - i dziesięcioletnią. Od kiedy unormowałam napięte stosunki z ich matką, częściej je widuję. Wcześniej robiła, co mogła, żeby utrudnić nam kontakt. Uważałam, że postępuje tak z czystej złośliwości. Później doszłam do wniosku, że próbowała zapobiec nadmiernemu przywiązaniu dzieci do mnie, by mniej cierpiały, kiedy umrę na raka. Teraz udawała okropnie zajętą ustawianiem koszy z włóczką.

- Julia jedzie nad jezioro Waszyngton z przyjaciółmi, a Hailey pod namiot z dziećmi sąsiadów.

- To znaczy, że zostajecie sami?

- Na to wygląda - mruknęła, nadal odwrócona do mnie plecami.

Odczekałam chwilę. Zdecydowałam w końcu poruszyć niewygodny temat.

- Brad mówił, że ostatnio widział Matta. Margaret wreszcie na mnie spojrzała. Wyraźnie widziałam, że próbuje odgadnąć, co wiem.

- Nie wspomniał o tym ani słowem.

- Widocznie uznał, że to nic ważnego - rzuciłam lekkim tonem.

- Chyba masz rację.

- Zaprosisz gdzieś mamę? - nie ustępowałam.

Niepokoiliła mnie myśl, że mogłaby zostać sama w święto. Pierwsze Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie bez taty były dla nas dniami żałoby, jak w każdej rodzinie, w której zabraknie kogoś bliskiego przy stole. Smutek towarzyszył nam również w walentynki i Czwartego Lipca.

- Jeszcze nic nie zaplanowałam. A ty? - Odbiła piłeczkę. Zrozumiałam, że wołałaby, żebym to ja gdzieś mamę wyciągnęła. Zapytałam o to wprost. Potwierdziła moje przypuszczenia. Chciałam jej wytłumaczyć, że ze względu na stan zdrowia mamy odpoczynek w ogrodzie przy domu byłby dla niej korzystniejszy niż wyprawa ze mną i z Bradem nad ocean. Zanim zdążyłam wyłożyć swój punkt widzenia, oświadczyła tonem nieznoszącym sprzeciwu, że najlepiej, żebym to ja zabrała ją ze sobą.

W końcu nie wytrzymałam napięcia. Usiłowałam znaleźć sposób, żeby poruszyć przemilczaną kwestię bez wpadania w

konflikty.

- Szkoda, że mi nie powiedziałaś, że Matt stracił pracę - zaczęłam ostrożnie. Margaret uparcie milczała, jakby nagle ogłuchła.

- To żaden wstyd, jestem przecież twoją siostrą. Jak mogłaś?! - wykrzyczałam cały żal. Puściły mi nerwy, zbyt długo chowałam urazę.

- To nasza sprawa, nie twoja.

- Ja przed tobą niczego nie ukrywam, dosłownie niczego - wypomniałam ze łzami w oczach.

Przez ostatni rok zwierzałam się siostrze z wszystkich trosk i nadziei. Obnażyłam przed nią duszę.

Sięgnęłam po kłębek, druty i rozpoczęłam robótkę - sweter na wystawę. Dzierganie zawsze mnie uspokaja. Zaczęłam pracować szybko, w nerwowym pośpiechu. Przerabiałam oczka coraz szybciej. Musiałam jakoś wyładować wzburzenie.

- To co innego... - Przerwała. Złapała swoją robótkę tak gwałtownie, że kłębek wypadł na podłogę. Podniosła go i zaraz szydełko zaczęło migać w jej ręku równie szybko jak moje druty. - Ta sprawa dotyczy nie mnie, lecz Matta - dodała po długim milczeniu.

- On nie miał takich oporów. Zna Brada krócej niż ty mnie, a jednak nie krył przed nim zmartwienia! - wykrzyknęłam, rozczarowana i urażona, że nie okazała nawet odrobiny skruchy.

Po cichu liczyłam na jakiegokolwiek usprawiedliwienie. Chciałam usłyszeć, że od dawna pragnęła ze mną porozmawiać, ale nie pozwolił jej wstyd, rozpacz czy cokolwiek innego. Widocznie jednak nie

odczuwała wyrzutów sumienia.

- Co i komu mówi Matt, to jego rzecz - ucięła ze wzrokiem wbitym w robótkę i wyrazem skupienia na twarzy, jakby nic więcej jej nie obchodziło. Robiła poncho dla Julii. Jeszcze przyspieszyła tempo pracy.

- Racja - mruknęłam, pociągając za nić tak szybko, że śliczny, jasnoniebieski kłębek upadł na ziemię. Przyklęknęłam, żeby go dosięgnąć.

Margaret dopadła go pierwsza i umieściła z powrotem w moim koszyku. Zauważyłam, że drżą jej ręce. Miałam ochotę ją objąć, poklepać po ramieniu, w jakikolwiek sposób okazać współczucie. Zrezygnowałam ze strachu przed ponownym odrzuceniem. Wróciłam do przerwanej roboty. W nerwach myliłam wzór, wiedziałam, że będę musiała wszystko spruć, ale nie miało to dla mnie znaczenia. Nie przerwałam pacy. Potrzebowałam jakiegoś zajęcia, żeby wyciszyć umysł. Po chwili trochę ochłonęłam.

- Informacja o zwolnieniu Matta wyjaśniła mi wiele spraw.

- Niby jakich? - spytała Margaret wojowniczym tonem.

- Poznałam wreszcie przyczynę twego złego nastroju, ponurych min, nieprzychylnego nastawienia do klientek.

- Jeśli uważasz, że źle pracuję, to mnie zwolnij - odburknęła.

- No wiesz?! Własną siostrę? Jakżebym mogła?!

- Jesteś przecież moim pracodawcą.

- Członkiem rodziny również. Dlatego tak bardzo mi przykro, że mnie oszukujesz. Kiedy ostatnio pytałam, czy w domu wszystko w

porządku, zapewniałaś, że tak.

- Nic ci do tego!

- Bardzo mi miło - warknęłam, powstrzymując łzy.

- Nie ma sprawy.

Użyła ulubionego powiedzonka córek. Młodzieżowe zwroty w ustach zasadniczej Margaret brzmiały dość komicznie. Zawsze rozśmieszały mnie do łez, ale nie w tej chwili. Cisnęłam rozpoczęty sweter do kosza.

- Zaczynj mnie wreszcie traktować jak członka rodziny! - wybuchłam. Ku mojemu przerażeniu Margaret ukryła twarz w dłoniach i gorzko zapłakała.

Odebrało mi mowę.

- Co z tobą, siostrzyczko? - wyszeptałam w końcu wyschniętymi wargami. Uciekła na zaplecze. Pognałam za nią, mimo że dwie klientki weszły do sklepu.

Na szczęście na razie o nic nie prosiły. Gdyby czegoś potrzebowały, i tak bym ich teraz nie obsłużyła. Margaret była najważniejsza. Tym razem zaryzykowałam. Przytuliłam ją. Nie odepchnęła mnie, co mnie niepomrotnie zdumiało. Oparła głowę na moim ramieniu.

- Matt jest zdruzgotany... Wierzył, że doczeka w firmie emerytury... Pracował dla Boeinga całe lata... - mówiła urywanymi zdaniem. - Chciałam ci o tym powiedzieć... Nie mogłam.

- Ale dlaczego? - spytałam. Czułam, że w jakiś sposób ją zawiodłam, tylko nie wiedziałam w jaki.

Margaret wyprostowała się. Otarła łzy z twarzy.

- Zaczęłaś mnie zapewniać, że jutro przyjdzie lepszy dzień, że wystarczy z nadzieją patrzeć w przyszłość, a szczęście samo zapuka do drzwi. Nie zniosłabym tej całej gadki o pozytywnym myśleniu - wyznała z goryczą.

Poraziła mnie trafność jej sądów. Mówią, że prawda w oczy kole. Mnie kłuła jak nigdy. Gdyby Margaret przyszła do mnie ze swoim problemem kilka tygodni wcześniej, próbowałabym ją pocieszyć niemal dokładnie w taki sposób, jak przedstawiła. A ona, nieszczęsna, uważałaby, że chełpię się własnym szczęściem. Tylko utwierdziłabym ją w przekonaniu, że syty głodnego nie zrozumie.

- W jaki sposób mogę ci pomóc?

- W żaden. Nie potrzebuję rady i nie chcę twojego zmartwienia. Moje własne wystarczy za nas wszystkich. - Spróbowała się uśmiechnąć. - Bądź tylko dobrą siostrą.

- Wolałabym zrobić coś konkretnego - nalegałam.

Poczucie, że zawiodłam na całej linii doskwierało nieznośnie. Pragnęłam jej to wynagrodzić.

- Wystarczy, jak mnie wysłuchasz - powiedziała Margaret ze łzami w oczach, obejmując mnie za szyję.

- Moglibyśmy z Bradem przyjść do was Czwartego Lipca - zasugerowałam.

- Ostatnio nie stanowią miłego towarzystwa, jak sama zauważyłaś - przypomniała z niewesołym uśmiechem.

- Dołożymy wszelkich starań, żeby wprowadzić dobry nastrój.

Jesteśmy przecież rodziną.

- Dziękuję - wyszeptała. Łzy płynęły strumieniem po jej policzkach.

Objęłam ją jeszcze raz, wdzięczna, że okazała mi zaufanie, i zawstydzona, że tak długo odwlekałam zasadniczą rozmowę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ELISE BEAUMONT

Elise przygotowała się na spotkanie z byłym mężem tak dobrze, jak potrafiła. Marvin „Maverick” Beaumont przyjeżdżał tego dnia po południu. Irytowało ją, że córka od wielu dni sprzątała, odkurzała i gotowała z takim zaangażowaniem, jakby czekała na króla. Dla kogo innego nie urabiałaby sobie ręk po łokcie. Elise trochę jej pomagała, przede wszystkim wymyślając przeróżne zajęcia dla dzieci, żeby nie przeszkadzały. Ledwie usiadła z książką, żeby im poczytać, zaaferowana Aurora wtargnęła do nienagannie wysprzątanego pokoju.

- Gdzie wsadziłaś wanilię, mamó?

Elise odłożyła „Hobbita” z ciężkim westchnieniem.

- Jest w kredensie, od strony pieca, na prawo.

- Nie znalazłam.

- W takim razie źle szukałaś. Sprawdź jeszcze raz - odrzekła Elise tak spokojnie, jak tylko potrafiła. Wstała, wyszła do kuchni, otworzyła drzwiczki i wręczyła córce poszukiwaną buteleczkę. - Co

pieczesz?

- Ciasto marchewkowe, ulubiony przysmak taty. Elise przygotowywała je dla męża wiele lat temu.

Później dała córce przepis. Sama od dawna go nie robiła ani nie jadła. Zbyt wiele jej przypominało. Maverick zawsze tak pięknie okazywał wdzięczność! Właśnie te chwile najbardziej chciała wyrzucić z pamięci. Przywoływała wyłącznie rozczarowania i zmartwienia, ponieważ usprawiedliwiały decyzję o rozwiązaniu małżeństwa. Kochała go do szaleństwa. Była przekonana, że gdyby pozostała w tym chorym związku, zwariowałaby ze zgrzyoty. Aurora popatrzyła na nią badawczo.

- Dziękuję, mamusiu. Wiem, że nie będzie ci łatwo - dodała z westchnieniem.

- Bądź spokojna, nie będę mu wchodzić w drogę. Tylko cię proszę, żebyś nie próbowała nas z powrotem skojarzyć. - Nie wątpiła, że Maverick, podobnie jak ona, będzie unikał zbyt częstych kontaktów.

- Obiecuję.

Elise podziękowała, po czym wróciła do salonu do chłopców. Luke i John, pozostawieni na parę minut bez opieki, korzystając ze swobody, baraszkowali na świeżo odkurzonej dywan. Zdążyli już rozrzucić stertę czasopism. Elise ułożyła je w porządną stosik. Klasnęła w dłonie.

- Koniec zabawy! Siadajcie.

Posłuchali bez entuzjazmu. John usiadł babci na kolanach. Oparł

głowę o jej ramię. Odkąd skończył sześć lat, rzadko pozwalał sobie na taką poufałość, dlatego ceniła każdą chwilę bliskości.

Maverick przyjechał godzinę później, niż zapowiedział, za to z taką pompą, jaka pewnie towarzyszyła Hannibalowi przy przekraczaniu Alp. Zaanonsował swoje przybycie głośnym pozdrowieniem od samego progu. W rękach trzymał masę prezentów. Luke i John natychmiast go obścibali, spragnieni czułości i oczywiście upominków. Krzyczeli i skakali wokół niego. Wprost wychodzili ze skóry, żeby skupić na sobie jego uwagę.

Elise widziała go po raz ostatni dwadzieścia lat temu. Zapowiedział, że przyjedzie na ślub Aurory z Davidem, ale lot odwołano z powodu śnieżycy. Elise podejrzewała, że zatrzymała go nie tyle burza, ile partyjka pokera. Zarówno Luke, jak i John urodzili się podczas trwania karcianych turniejów. Za każdym razem Maverick przysyłał córce ogromny bukiet kwiatów, tak jakby mogły wynagrodzić jego nieobecność.

Zamierzała umknąć do siebie zaraz po powitaniu. Tymczasem stała jak wmurowana. Nie mogła od niego oderwać oczu. Rude włosy zupełnie posiwiały, zapuścił też bielusińką, starannie wypielęgowaną brodę. Zachował wysoki wzrost, ponad metr osiemdziesiąt. Wyglądał jak okaz zdrowia. Ciągnęło ją do niego zawsze, kiedy przebywał w pobliżu. Siłą woli powstrzymała się, żeby nie paść mu w ramiona. Kochała go dawniej ponad życie, może teraz również. Wciąż na nowo przypominała sobie, że ta miłość tylko jej szkodziła. Bolesne doświadczenia nauczyły ją, że ten człowiek nie

zasługuje na zaufanie. Powtarzała sobie do znudzenia, że uczucia nie powinny jej przesłaniać niezaprzeczalnej wymowy faktów.

Maverick uściskał Aurorę i dzieci. Rozdawał upominki z uroczystą powagą niczym święty Mikołaj w Boże Narodzenie. Chłopcy natychmiast usiedli na podłodze i rozpakowali paczki. Aurora zaniósła swoją, mniejszą, do salonu. Usiadła z boku na sofie. Następnie uchyliła wieczko. Elise nie powstrzymała ciekawości. Przystanęła w holu.

- Jakie to piękne, tatusiu. Po prostu piękne - wyszeptała Aurora przez ściśnięte ze wzruszenia gardło. Wyjęła z pudełeczka czarną perłę w kształcie łezki na długim złotym łańcuszku. Patrzyła na ojca z zachwytem. - Będzie moim najcenniejszym skarbem.

Elise dawniej dostawała od męża biżuterię, ale nigdy tak cenną, co nie miało większego znaczenia. Jego obecna hojność nie świadczyła o niczym, prócz szczęścia w kartach. Widocznie sporo wygrał. Zawsze stosował zasadę: „łatwo przyszło, łatwo poszło”. Doskonale pamiętała, jak beztrósco przepuszczał wszystko, co zyskał. Wbrew jej woli oczy nadal same za nim podążały. Czują do niego taki sam pociąg, jak za czasów młodości, jakby czas stanął w miejscu, jakby nigdy nie doszło do rozstania. Widziała smutek w jego oczach. Zanim pomyślała, odruchowo podeszła bliżej. Wyglądało na to, że i on doznał wielu rozczarowań. Zaskoczyło ją to spostrzeżenie. Maverick pierwszy przerwał milczenie.

- Witaj, Elise - powiedział cicho.

- Marvin... - Pochyliła głowę, żeby uniknąć jego wzroku. Zbyt

silnie na nią działał.

- Maverick, jeśli pozwolisz.

Posłusznie, choć bez przekonania powtórzyła pseudonim. Ona pokochała i poślubiła Marvina, lecz on nie cierpiał prawdziwego imienia, tak jak nie znosił zwyczajnego, prostego życia. Wybrał przepych, blichtr, szybkie zyski i łatwe zwycięstwa, co doprowadziło do rozpadu małżeństwa.

- Myślałem również o podarunku dla ciebie, ale zrezygnowałem, ponieważ wiem, że i tak byś nie przyjęła - wyznał ze smutkiem.

- Słusznie postąpiłeś. W każdym razie dziękuję za pamięć - odrzekła, chociaż ciekawiło ją, co by dla niej wybrał.

Maverick zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

- Ładnie wyglądasz - pochwalił.

Elise bezwiednie przyczesła ręką włosy. Komplement sprawił jej wielką przyjemność. Zachowała na tyle przytomności umysłu, żeby odpowiedzieć:

- Ty też.

- Dziadku, dziadku, chcesz zobaczyć, gdzie będziesz spał? - dopytywał się Luke, ciągnąc go za rękaw.

- Z przyjemnością. - Maverick odwrócił się plecami do Elise, wziął Johna na ręce i podążył za starszym z wnuków do pokoju.

Bracia na wyścigi objaśniali mu przeznaczenie poszczególnych pomieszczeń. Pokazali mu swój pokój i sypialnię Elise naprzeciwko.

- Babcia ma własną łazienkę, ale mama zabroniła nam z niej

korzystać, choćbyśmy nie wiem jak pilnie potrzebowali - tłumaczył John. Po chwili zastanowienia zadał dość kłopotliwe pytanie: - Czy jak wymiotujesz, to odsuwasz tę swoją białą brodę?

Maverick odchylił głowę do tyłu i roześmiał się serdecznie. Elise nie rozumiała, czemu bawi go tak obrzydliwa uwaga. Upomniała surowo niesfornego wnuka.

- Będziesz spał na tamtym łóżku z tyłu, a my razem na tamtym. - Pokazał John. - Mama zmieniła prześcieradło.

- Bo John jeszcze moczy materac - wtrącił Luke.

- Nieprawda! - wrzasnął John i rzucił się z pięściami na brata. Elise chciała ich rozdzielić, ale były mąż ją uprzedził. Odwrócił ich uwagę, prosząc o pokazanie pozostałej części domu. Elise skorzystała z okazji, żeby wrócić do swego pokoju. Czterdzieści pięć minut później siedziała z podkurczonymi nogami w fotelu. Robiła na drutach, oglądając telewizję. Nie śledziła audycji zbyt uważnie. Irytowało ją, że przyjazd Mavericka rozdzielił ją z najbliższymi. Ktoś zapukał do drzwi. Aurora wsadziła głowę do środka.

- Mam nadzieję, że zjesz z nami kolację? - Posłała matce błagalne spojrzenie. - David z tej okazji wcześniej wrócił z pracy. To dla mnie bardzo ważne.

Elise najchętniej zrezygnowałaby ze wspólnego posiłku, ale nie potrafiła odmówić swej wspaniałej córce, która mimo całego zamieszania bardzo o nią dbała. Wyraziła zgodę, żeby nie sprawiać jej zawodu. Aurora podziękowała za zrozumienie ze łzami w oczach.

Elise z przykrością stwierdziła, że córka po raz pierwszy w życiu

zasiada do stołu w towarzystwie obojga rodziców. Ze względu na nią żałowała, że małżeństwo z Maverickiem nie przetrwało próby czasu. Łzy napłynęły jej do oczu, mimo że nie była osobą skłoną do wzruszeń. Gdy weszła do jadalni, David już wrócił z pracy. Właśnie nalewał dorosłym wina. Lubiła zięcia. Uważała go za wspaniałego męża. Dziękowała losowi, że przynajmniej córka wyszła za odpowiedzialnego, przyzwoitego człowieka, który uczciwą pracą zarabiał na utrzymanie rodziny.

Wyszła do kuchni, by pomóc Aurorze w przygotowaniach. Podczas gdy dwaj mężczyźni gawędzili przy kieliszku wina, kobiety ustawiały na stole ziemniaki, sałatki i półmiski z plastrami pieczeni.

- Ale ucza! - wykrzyknął Luke z zachwytem.

- Zupełnie jak w Święto Dziękczynienia, tylko bez indyka - zawtórował mu rudowłosy John. Przysunął sobie krzesło. - Usiądę koło dziadka.

- Ja też chcę - zaprotestował starszy brat.

Omiał nie doszło do kolejnej bójki. Maverick błyskawicznie rozstrzygnął spór. Zdecydował, że usiądzie pośrodku. Wbrew obawom Elise rodzinna kolacja upłynęła w bardzo milej atmosferze. Maverick zabawiał domowników wspomnieniami z rozlicznych podróży. Zwiedził prawie cały świat od Alaski do Argentyny, od Paryża po Polinezję. Widział miejsca, które ona знаła tylko z książek. Obiecywała sobie, że i ona kiedyś je obejrzy. Szanse na realizację tych marzeń malały po każdej wizycie u adwokata.

Zanim podano deser, Elise umieściła naczynia w zmywarce.

Następnie przygotowała kawę. Najchętniej zasiadłaby w swoim pokoju z robótką. Przypuszczała, że Aurora nie będzie miała nic przeciwko temu. Z pewnością chętnie spędzi resztę wieczoru z ojcem i mężem. zaproponowała wnukom, że pomoże im przygotować się do snu. Jak zwykle usłyszała w odpowiedzi pomruki niezadowolenia. Niczego innego nie oczekiwała.

- Przeczytam wam kolejny rozdział „Hobbita” - kusila. Utyskiwania nieco przycichły.

- Ja im poczytam, jeśli pozwolisz - poprosił Maverick.

Oferta bardzo Elise ucieszyła, uważała jednak za swój obowiązek go ostrzec. Po jednym rozdziale z reguły następowały prośby i błagania o następny. Zawsze na niej wymusili parę dodatkowych stron. Nie potrafiła im odmówić. Cieszyło ją, że zaszczepiła im miłość do książek. Miała nadzieję, że przetrwa całe życie. Czasami gasiła światło godzinę później, niż planowała. Maverick powtórzył prośbę.

- No i co, zgadzasz się, Elise?

- Proszę bardzo.

Ponownie usiadła w swoim pokoju przed telewizorem, lecz słuchała tylko jednym uchem. Drugim usiłowała pochwycić odgłosy negocjacji z sypialni naprzeciwko. Nie wątpiła, że wkrótce do nich dojdzie. Ze złośliwą satysfakcją pomyślała, że Maverick niebawem otrzyma pierwszą w życiu lekcję bycia dziadkiem. Jednak do jej uszu nie dochodziły żadne podejrzane dźwięki. Przyciszyła telewizor. Cisza. Otworzyła drzwi. Maverick czytał swoim aksamitnym

barytonem z piękną dykcją i wielkim zaangażowaniem. Chłopcy nie wtrącali żadnych komentarzy. Z pewnością wciągnęła ich akcja, ale też zachwyił aktorski talent dziadka.

Wbrew temu, co sądziła Aurora, Elise życzyła jej jak najlepszych relacji z ojcem. Postępowanie Mavericka wobec jedynaczki budziło w niej mieszane uczucia. Wprawdzie regularnie płacił alimenty i utrzymywał stały kontakt, jednak naprawdę nie uczestniczył w jej życiu. Nie potrafiła odgadnąć, z jakich powodów nagle postanowił nadrobić zaległości.

Wróciła na swój fotel. Po dwudziestu minutach ponownie przystawiła ucho do drzwi. O mało nie dostała zawału, gdy usłyszała pukanie. Chwyciła jedną ręką za serce, a drugą za klamkę. Ujrzała byłego męża. Uznała, że przyszedł po radę, jak skłonić wnuki do spania.

- Co z dziećmi? - spytała.

- Śpią jak aniołki.

Nie wierzyła własnym uszom. John i Luke nigdy nie ustępowali bez walki. Weszło im to w nawyk. Zmarszczyła brwi. Jej zaskoczenie nie umknęło uwagi Mavericka. Uśmiechnął się.

- Przeczytałem im jeden rozdział. John błagał o następny.

- Ustąpiłeś?

- Osiągnąłem kompromis za pomocą pewnej obietnicy.

- Chwała ci za to. - Popatrzyła na niego z zachwytem. Wprost utonęła w jego oczach. W pewnym momencie uświadomiła sobie, że

znów zaczyna ulegać jego urokowi. Zirytowana własną słabością, uniosła głowę do góry.

- Po co przyszedłeś?

Nie odpowiedział od razu. Spostrzegła, że powstrzymuje uśmiech. Zawsze czytał w jej myślach.

- Powiedzieć ci dobranoc i zapewnić, że bardzo się cieszę, że cię znowu widzę. Elise nie rozumiała, dlaczego trzydzieści siedem lat po rozwodzie nadal tak silnie na nią działa. Gardziła sobą za to, że zbyt mocno pokochała tego nieodpowiedzialnego człowieka. Z trudem wykrztusiła słowa podziękowania. Ku jej zaskoczeniu Maverick wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. Jasne oczy błyszczały intensywnym błękitem. Elise ledwo trzymała się na nogach. Była bliska omdlenia.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem. Zawsze tak uważałem. Elise czuła, jak jej serce z całej siły uderza o żebra. Odstąpiła o krok, żeby przerwać kontakt, zanim zrobi coś, czego później będzie żałować.

- Dobranoc - wyszeptała.

Potrzebowała wiele siły woli, żeby zamknąć drzwi. Gdy została sama, pomyślała, że stara miłość nie zardzewiała mimo nieustannych wysiłków z jej strony. Powiedziała sobie, że póki ten gracz mieszka z nią pod jednym dachem, nie wolno jej tracić czujności. Nawet na sekundę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

BETHANNE HAMLIN

Po spotkaniu z Grantem Bethanne przez cały tydzień nie przespała ani jednej nocy. Rozsadzała ją wściekłość. Podły egoista odmówił wydania trzystu dolarów na własnego syna. Nawet nie uznał za stosowne podać powodów odmowy, ale Bethanne i bez tego je znała. Wykorzystał okazję do zemsty. Wkrótce po jego wyprowadzce szesnastoletni wtedy syn powiedział mu bez ogródek, co myśli o porzuceniu przez niego rodziny, co Granta bardzo rozgniewało. Od tamtej pory panowały między nimi napięte stosunki. Zatopiona w niewesołych rozważaniach Bethanne nawet nie zauważyła, że córka weszła do kuchni.

- Wszystko w porządku, mamó? - Głos Annie wyrwał ją z zadumy.

- Tak. Przepraszam, zamyśliłam się.

- Myślisz o tacie? - Usiadła obok przy stole z filiżanką herbaty w ręku.

- Ostatnio nawet dość często. - Bethanne nawet nie próbowała zaprzeczać.

- Ja też. Nie mogę uwierzyć, że ciągle jeszcze z nią jest.

Annie nigdy nie wymawiała imienia Tiffany. Używała określeń „tamta” albo „ta suka”. Żywiła względem ojca mieszane uczucia. Z jednej strony, kochała go, tęskniła, pragnęła, by wrócił, z drugiej - nie mogła mu darować, że opuścił własną rodzinę. Nawet do niej nie dzwonił. Za to Annie szukała z nim kontaktu. Miała zamęt w głowie.

Nie chciała przyjąć do wiadomości, że to on zdradził najbliższych. Całą winą obarczyła kochankę. Widziała w niej złodziejkę, która ukradła ojca rodzinie. Po przeczytaniu pamiętnika córki Bethanne przestała wierzyć, że o własnych siłach dojdzie do równowagi psychicznej. Niepokoiła się o nią, ale ponieważ nie wiedziała, co robić, czekała na rozwój wypadków, modląc się, żeby rozgoryczenie minęło jak najprędzej. W takich sytuacjach najbardziej brakowało jej matki.

Martha Gibson zmarła nagle na tętniaka w tym samym roku, w którym urodziła się Annie. Ojciec Bethanne po śmierci żony przeżył załamanie nerwowe. Podupadł na zdrowiu, jego umysł również nie funkcjonował sprawnie. Mieszkał w domu opieki w

Arizonie. Bethanne utrzymywała z nim kontakt, chociaż nawet nie odczuwał potrzeby widywania córki.

- Myślę, że wezmą ślub - powiedziała cicho Annie.

- Tak sądzisz? - Bethanne próbowała ukryć zdenerwowanie, ale bezwiednie odwróciła głowę w jej kierunku.

Annie wiedziała o obecnym życiu Granta więcej niż pozostali członkowie rodziny. Nie rozmawiała z nim zbyt często, ale i tak częściej niż matka i brat. Bethanne nagle zrozumiała powód jego skąpstwa: oszczędzał pieniądze na pierścionek z wielkim brylantem dla Tiffany, może nawet na luksusową podróż poślubną. Bethanne nie dostała pierścionka. Wzięli ślub podczas studiów. Ledwie starczyło pieniędzy na jedną noc w trzygwiazdkowym hotelu na wybrzeżu

Oregonu. W poniedziałek rano wrócili na uczelnię.

- Nienawidzę jej, mamie - wyznała Annie. - Wiem, że nie powinnam, ale gdyby nie ona, zostałyby z nami.

- Gdyby jej nie poznał, pewnie odszedłby do jakiejś innej - tłumaczyła Bethanne, tłumiąc własne emocje.

Doskonale pamiętała wystąpienie swego adwokata podczas sprawy rozwodowej. Na spotkaniu w kancelarii, gdy je przygotowywał, z trudem koncentrowała uwagę. Uświadomił jej, że nie ponosi żadnej winy za rozpad małżeństwa. Była dobrą żoną, matką, dochowała przysięgi wierności. Wszystkie siły poświęcała rodzinie. Nie narzekała, że gotuje mu, sprząta jego dom i wychowuje jego dzieci. O przyjęciach, które urządzała u siebie na Czwartego Lipca czy Boże Narodzenie, krążyły legendy. Ona wykonywała całą robotę, a Grant z dumą odgrywał rolę gospodarza uroczystości. Nie miała mu tego za złe, byli przecież jednością.

Tamtego dnia w biurze adwokata zrozumiała także, że były mąż usiłuje przerzucić na nią winę, żeby usprawiedliwić zdradę. Chociaż zawiódł jako mąż i ojciec, usiłował jej wmówić, że go zaniedbywała, skupiona wyłącznie na dzieciach. Wierutne kłamstwo! Mimo wszystko tamte oskarżenia wciąż brzmiały jej w uszach zwielokrotnionym echem. Roztrząsała je często.

Annie chwyciła ją za rękę. Bethanne dopiero teraz zwróciła na nią uwagę.

- Patrzysz przeze mnie gdzieś w dal, mamie. Myślamy jesteś

daleko stąd - zauważyła.

- Jak ci poszło na kursie? - spytała, żeby odwrócić jej uwagę. Widocznie wyczuła, że coś ją dręczy, dlatego spróbowała poprawić jej nastrój.

- Wspaniale, słowo honoru.

Druga lekcja upłynęła o wiele przyjemniej niż pierwsza. Ledwie siadły przy stole, Elise przeprosiła za swe opryskliwe zachowanie z ubiegłego tygodnia. Wyjaśniła, że tuż przed wyjściem na zajęcia otrzymała niepomyślną wiadomość. Nie zdążyła opanować złych emocji. Prosiła o wybaczenie, jeśli kogokolwiek uraziła. Bethanne wyjaśniła, dlaczego próbowała zrezygnować z kursu i z jakich powodów żałowała wydanych na naukę pieniędzy. Nie przybyło ich przez ten tydzień, ale uznała argumenty Annie. Postanowiła zacząć nowe życie, zrobić dla własnej przyjemności coś, czego nigdy dotąd nie robiła. Nawet Courtney przyszła w lepszym nastroju. Oznajmiła, że schudła cały kilogram. W pierwszej chwili Bethanne uznała, że dostała zaćmienia umysłu. Z początku zrozumiała, że dziewczyna przypisuje robieniu na drutach odchudzające działanie. Ku jej zaskoczeniu Courtney potwierdziła tę dziwną tezę. Uzasadniła ją w zupełnie logiczny sposób. Wyjaśniła, że odkąd ma zajęte ręce i umysł, rzadziej zagląda do lodówki. Dwie godziny minęły jak z bicza strzelił. Bethanne nie żałowała już zainwestowanych pieniędzy. Poczyła nawet pewne postępy w robieniu skarpetek. Konkretnie jednej. Polubiła też towarzyszkę z kursu.

- Wiedziałam, że to cię wciągnie - oświadczyła Annie z

triumfem. Oczy jej błyszczały radością.

Zadzwonił telefon. Córka pospiesznie podniosła słuchawkę. Bethanne bacznie obserwowała jej poczynania.

- Tak, jest w domu - poinformowała rozmówcę. Przycisnęła słuchawkę do brzucha. Po chwili wahania poinformowała: - Do ciebie, mamó. Mężczyzna.

- Pewnie ten facet z banku znów mnie upomni, że przekroczyłam stan konta. - Bethanne wzniosła oczy do nieba.

Już dwukrotnie popełniła błąd w rachunkach. Z jej ostatnich wyliczeń wynikało, że powinno zostać jeszcze pięćdziesiąt dolarów, ale sporządzenie prawidłowego budżetu przekraczało jej możliwości. Matematyka nigdy nie należała do jej ulubionych przedmiotów. Okropnie skrępowana, przedstawiła się imieniem i nazwiskiem, usiłując nadać głosowi spokojny, rzeczowy ton.

- Mówi Paul Ormond - usłyszała z drugiej strony.

Zaparło jej dech z wrażenia. Były mąż Tiffany szukał z nią kontaktu. Wzięli rozwód w tym samym czasie, co ona i Grant. Bethanne przeżywała tortury, wyobrażając sobie, jak dwoje kochanków spacerowało pod rękę po sądowych korytarzach wśród chichotów i czułych spojrzeń. Nic ich nie obchodziło, że porzuceni, zdradzeni małżonkowie cierpią w samotności. Do tej pory spotkała Paula tylko raz. Kusiło ją, żeby zadzwonić i spytać, czy sam wykrył romans żony, czy też poinformowała go tak cynicznie jak Grant ją, w Dzień Zakochanych. W końcu uznała, że nie warto rozdrapywać niezabliźnionych ran, i dała sobie spokój.

- Witaj, Paul - powitała go nieśmiało.

- Zastanawiam się, czy zechciałabyś ze mną porozmawiać.

- Bardzo chętnie - odrzekła ostrożnie. Ponieważ odpowiedziała jej cisza, dodała: - Teraz?

- Wolałbym trochę później, po piątej. - Zamilkł na chwilę, jakby się zawahał. - Jeżeli zgodzisz się pójść ze mną na kolację do „Anthony’ego” o szóstej, zarezerwuję stolik. Ja funduję - dodał, jakby w obawie, że odmówi.

Pierwsze od niepamiętnych czasów zaproszenie ogromnie ucieszyło Bethanne. Nie miała zresztą nic lepszego do roboty. W trakcie procesu rozwodowego często widywała przyjaciół. Odwiedzali ją, pocieszali, podtrzymywali na duchu, ale nie zapraszali do siebie. Większość imprez wymaga przybycia z osobą towarzyszącą. Samotna, choć nie z własnej woli, kobieta przestała być pożądanym gościem. Właśnie wtedy, kiedy najbardziej potrzebowała bratniej duszy, powstała wokół niej pustka.

Podziękowała uprzejmie, po czym odłożyła słuchawkę. Z entuzjazmem przyjęła tak atrakcyjną propozycję. Odczuwała silne emocje jak przed pierwszą randką, chociaż nie oczekiwała romantycznych uniesień. Restauracja z widokiem na ocean leżała w pobliżu Pike Place Market. Słysnęła z doskonałych dań rybnych.

- Kto to taki? - spytała Annie.

- Pewien stary znajomy - odrzekła wymijająco. Nie miała ochoty na zwierzenia.

- Wyciąga cię gdzieś? - drażzyła dalej córka. Patrzyła na matkę z niedowierzaniem, jakby nie dopuszczała takiej ewentualności.

- Uważasz, że nie powinnam iść?

- Skąd ja mam wiedzieć? - Annie wzruszyła ramionami. - Kto z nas jest dorosły?

- Racja - przyznała Bethanne. - A więc jako osoba dorosła zdecydowałam, że pójdę zobaczyć... dawnego znajomego - dokończyła nieco drżącym głosem.

Zanim opuściła dom, dzieci gdzieś wyszły. Zostawiła im kartkę z informacją na stole w kuchni, tak jak i od nich tego wymagała. Poszukała parkingu osiedlowego w centrum, ponieważ nie stać jej było na drogie opłaty. Na szczęście znalazła miejsce o trzy kamienice od restauracji. Gdy doszła do „Anthony’ego”, Paul Ormond czekał już na nią przed drzwiami. Pomachał jej ręką na powitanie. Miał około trzydziestu pięciu lat, ciemne oczy i włosy oraz niewielki brzusek. Włożył oficjalny garnitur i krawat. O ile Bethanne pamiętała, pracował w jakimś międzynarodowym przedsiębiorstwie żeglugowym. Próbowала odgadnąć, z jakich powodów ponętna Tiffany poślubiła tak przeciętnego mężczyznę. Wyobrażała ją sobie jako snobkę, dla której aparycja męża znaczy równie wiele, jak własna.

Na przywitanie Paul podziękował jej, że przyszła. Wprowadził ją do środka. Kiedy wymienił nazwisko, hostessa zaprowadziła ich do zarezerwowanego stolika. Zamówili po lampce wina. Paul dłuższy czas bez słowa patrzył przez okno. Co dziwne, jego milczenie wcale

nie przeszkadzało Bethanne. Nie czuła żadnego skrępowania. Nie próbowała na siłę nawiązać rozmowy.

- Pewnie cię zaskoczyłem tym zaproszeniem - zagadnął Paul dopiero po kilku minutach.

- Od naszych spraw rozwodowych minęło już trochę czasu - odrzekła ostrożnie.

- Ja mam zupełnie inne odczucie.

- Prawdę mówiąc, ja też - przyznała bez ogródek. Chciała mu opowiedzieć, jak Grant ją potraktował, gdy poprosiła o sfinansowanie obozu syna, ale zrezygnowała. Powiedziała sobie, że nie po to przyszła, żeby zanudzać go swoimi kłopotami;

- Kiedy wykryłaś ich romans? - spytał Paul.

- Do samego końca niczego nie podejrzewałam. Mówią, że żona zawsze dowiaduje się ostatnia. Święta prawda. Sam mi powiedział dopiero wtedy, gdy zdecydował się odejść. A jak to wyglądało u ciebie?

- Ja wiedziałem prawie od samego początku, ale nie przyjmowałem tego do wiadomości.

- Jak długo byliście małżeństwem?

- Siedem lat, w tym cztery szczęśliwe. Później Tiffany poznała Granta. Nabrałem podejrzeń, ponieważ ciągle odkładała decyzję o powiększeniu rodziny.

Grant powiedział Bethanne, że nie mieli dzieci. Doszła do wniosku, że dzięki temu skrzywdzili mniej niewinnych istot. Upiła łyk chardonaya, później drugi.

- Annie sądzi, że niebawem wezmą ślub. Paul uniósł brwi.

- To chyba nieuniknione.

Bethanne otworzyła kartę dań, choć bolesny temat odebrał jej apetyt.

- Chyba nigdy nie dojdę do siebie po tym koszmarze - wyznała.

- Proszę, nie myśl w ten sposób. Zrozum, tak jest lepiej dla ciebie.

- Niby tak, ale nadal czuję żal - przyznała z goryczą.

Mimo że minęły całe miesiące od rozvodu, wciąż doskwierała jej samotność. Wątpiła, czy ból kiedykolwiek ustąpi.

- Posłuchaj, dlaczego to my mamy być nieszczęśliwi? To oni nas oszukali i to oni powinni odczuwać dyskomfort. Próbowałem sam siebie przekonać, że nie zbudują szczęścia na naszej krzywdzie, ale te argumenty wcale nie poprawiły mi samopoczucia - wyznał na koniec z irytacją.

- Nie wyleczysz rany w sercu za pomocą logicznego rozumowania. Proponuję zmienić temat na jakikolwiek przyjemniejszy. Musimy dalej żyć, nie odwrócimy biegu wydarzeń. Lepiej zamówmy kolację - powiedziała Bethanne.

Przypuszczała, że wiarołomni małżonkowie korzystają ze wszelkich możliwych uciech bez śladu poczucia winy. Była pewna, że balują co noc, wolni i szczęśliwi, podczas gdy na nią spadła cała odpowiedzialność za utrzymanie starego domostwa i dwojga sfrustrowanych, pozbawionych oparcia w ojcu nastolatków.

Paul skinął głową. Kiedy obydwójce przejrzeni kartę dań,

przywołał kelnera. Zamówili po miseczce zupy ze skorupiaków. Do tego Bethanne wzięła wędzonego łososia, a Paul makaron z owocami morza.

- Czy rzeczywiście spróbowałaś ułożyć sobie życie od nowa? - zapytał. Pochwyciwszy spłoszone spojrzenie Bethanne, wyjaśnił: - Pytam, ponieważ ja sam sobie nie umiem poradzić. Liczyłem na wskazówkę, od czego zacząć.

Bethanne milczała przez chwilę.

- Ja zapisałam się na kurs dziewiarski - wyznała z pewnym zażenowaniem.

- Raczej nie wezmę z ciebie przykładu. - Przeciętną twarz rozjaśnił nagle figlarny, niemalże chłopięcy uśmiech. - To typowo kobiecy sposób na stres.

- Wielu mężczyzn również robi na drutach.

- Naprawdę?

- Tak słyszałam.

- Ja zacząłem grać w golfa, ale nie odkryłem w sobie talentu. Zamilkli na chwilę. Kelner przyniósł zupę. Po spróbowaniu obydwójce równocześnie wydali pomruk uznania. Smakowała naprawdę wyśmienicie. Bethanne usiłowała rozszyfrować skład jak zwykle, gdy poszukiwała nowych przepisów. Ucieszyło ją, że zaczyna wracać do dawnych kobiecych zainteresowań. Uznała, że zrobiła pierwszy krok do wyjścia z marazmu. Posmakowała też łososia. Ocena wypadła pozytywnie, choć sama nie przyprawiłaby go majonezem z curry. Uważała, że należy unikać łączenia mocnych aromatów. Doszła do

wniosku, że najwyższa pora powrócić do przerwanej rozmowy.

- Spotykasz się z kimś? - spytała. Paul pokręcił głową.

- A ty?

- Dzisiaj po raz pierwszy od dwudziestu dwóch lat. - Wskazała na niego z uśmiechem.

- Ja od siedmiu.

- Chyba trzeba to jakoś uczcić.

- Koniecznie - zachichotał. Skinął na kelnera i zamówił jeszcze wina. Bethanne nie nazwałaby Paula najatrakcyjniejszym z mężczyzn. Nie wytrzymał porównania z Grantem. Jednak hojność i otwarty sposób bycia wywarły na niej wielkie wrażenie. Chociaż przeszedł przez to samo piekło co ona, przeprosił, że jego żona zrujnowała małżeństwo Bethanne. Na odchodnym spytał, jak może jej pomóc. Potrzebowała tylko jednej rzeczy. Korzystając z okazji, spytała, czy zna kogoś, kto mógłby ją zatrudnić.

- W jakim charakterze?

- Wszystko jedno. Szukam jakiegokolwiek posady.

- Umiesz obsługiwać komputer?

- Nie bardzo - westchnęła.

Dzieci pokazały jej, jak korzystać z Internetu i podstawowych programów. Nic więcej nie potrafiła.

- Może powinnaś pomyśleć o jakimś szkoleniu? - zasugerował.

Nie odpowiedziała, choć w duchu przyznawała mu rację. Po tylu latach poza rynkiem pracy przerażała ją każde wyzwanie. Poza tym nie wyobrażała sobie, jak wytrzymałaby codziennie osiem godzin w

biurze. Przewidywała, że zanim ktokolwiek zechce ją zatrudnić, czeka ją droga przez mękę, prawdopodobnie jeszcze bardziej wyboista niż proces rozwodowy. Paul nalegał, że odprowadzi ją do samochodu. Na parkingu podziękowali sobie nawzajem za miły wieczór. Uścisnęli sobie ręce.

- Jeżeli dokuczy ci samotność, zadzwoń - zaproponowała na koniec.

- Naprawdę nie masz nic przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie.

W drodze powrotnej słuchała radia. Dotarła do domu tuż przed dziesiątą wieczór. Dzieci czekały przed drzwiami. Powitały ją wyrzutami:

- Gdzieś ty była? Zamartwialiśmy się o ciebie. Nie uprzedziłaś, że wrócisz tak późno. Wypytyjesz nas o każdą minutę poza domem, a sama znikasz bez śladu! Kompletny brak odpowiedzialności!

- Wpuście mnie wreszcie do środka? Przecież mówiłam, że idę na spotkanie ze znajomym. Cóż, przy miłej pogawędce czas szybko mija - tłumaczyła niezdarnie.

- Zostawiłam wam przecież kartkę.

- Co z tego? Nie napisałaś, dokąd ani z kim idziesz - powiedział Andrew już nieco łagodniej. - Chyba nie byłaś na randce?

- O coś takiego cię nie podejrzewam. - Annie również przybrała nieco uprzejmiejszy ton. - Ale coś tu nie jest w porządku.

- Myślcie, co chcecie. Sami nalegaliście, żebym wyszła do ludzi. Właśnie skorzystałam z waszych rad i próbuję zacząć nowe życie -

rzuciła lekkim tonem. Po raz pierwszy zacytowała bez odrazy ulubione sformułowanie dzieci.

- Czy to znaczy, że mamy do tego przywyknąć? Skinęła głową bez cienia wyrzutów sumienia. Wiedziała, że nie da im powodów do obaw. Była ich oparciem, ich opoką, ich matką. I tak miało pozostać. Nie zamierzała ich zawieść wzorem byłego męża.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

COURTNEY PULANSKI

Według wskazań babcinej wagi Courtney schudła dwa kilogramy. Miała nadzieję, że może polegać na starożytnym urządzeniu. Gdy stała na jednej nodze z przekrzywioną głową, patrząc jednym okiem na wskazówkę, ubywało jeszcze pół kilo. Czuła ogromną satysfakcję. Po raz pierwszy od wielu miesięcy przestrzegała reżimu żywieniowego. Ćwiczenia fizyczne też zrobiły swoje. Siostra nakłaniała ją przez Internet na przejście na niskokaloryczną dietę. Jednak Courtney znalazła znacznie prostszy od liczenia kalorii sposób walki z nadwagą. Wyeliminowała z jadłospisu wszystkie produkty na literę „c”: cukier, cukierki, ciastka, czekoladę, chipsy, czyli wszystko to, co pochłaniała kilogramami przez ostatnie cztery lata.

Juliana pisała do niej codziennie z Alaski. Courtney uwielbiała jej opowieści o życiu w domku myśliwskim, dzikiej przyrodzie, współpracownikach i gościach. Jason wysyłał jej wiadomość raz lub

dwa razy w tygodniu. Odpisywała im z wdzięcznością i radością.

Z dumą informowała Julianę o każdym straconym kilogramie, nie zdradziła tylko swego sposobu na uzyskanie szczupłej sylwetki. Ojciec mimo nawału pracy również często pisywał. Doceniała jego starania. Bardzo tęsknił za dziećmi, nieustannie snuł plany powrotu. Jednakże zanim będzie mógł je zrealizować, wszystkich członków rodziny czekał najdłuższy i najtrudniejszy rok w życiu.

Jedyną poważną wadą pobytu w Seattle był dla Courtney brak towarzystwa rówieśników. Po niefortunnym spotkaniu z młodymi pływaczkami zrezygnowała z pływalni w poniedziałki i środy, kiedy trenował szkolny klub sportowy. Pływała przez trzy poranki w tygodniu, a w pozostałe dni jeździła na rowerze. Korzystała z tego środka lokomocji również podczas wyjazdów na kurs dziewiarski, chociaż babcia uważała ten sposób podróżowania przy dużym natężeniu ruchu w centrum miasta za wyjątkowo niebezpieczny. Pokonanie pięciokilometrowego dystansu przez wzgórza sprawiało Courtney sporo trudności. Tym większą odczuwała satysfakcję, że sprostała nowemu, niełatwemu wyzwaniu. Tylko w jednym miejscu, przed Capitol Hill, musiała zsiąść z roweru i podejść pod górę na piechotę. Nie wątpiła, że po kilku treningach nabierze lepszej kondycji i pokona również tę ostatnią przeszkodę. Włożyła podkoszulek, spodenki i kask i zeszła po schodach na dół.

- Znowu wychodzisz? - zapytała Vera.

- Nie na długo, babuś - zapewniła. Uznała ostatnio, że „babcia” brzmi bardzo dziecinnie.

- Uważaj na siebie! - zawołała starsza pani, odwróciwszy na chwilę wzrok od telewizora. - Kiedy wrócisz?

- Daj mi godzinkę, dobrze? - poprosiła, spoglądając na zegarek. Babcia nie odpowiedziała. Pewnie nie dosłyszała, co się dość często zdarzało.

Courtney poprawiła kask, włożyła rękawice, następnie wyszła do garażu po rower.

Pedałowała szybko, wiatr smagał jej twarz. Na parkingu przy supersamie „Safeway” ujrzała znajomą postać. Bethanne również ją spostrzegła. Courtney poprzestałaby na kiwnięciu ręką, gdyby tamta jej nie zawołała. Podjechała bliżej. Przystojny młody człowiek o szerokich barach i krótkich ciemnych włosach pchał wózek z zakupami Bethanne w kierunku samochodu. Nieco zakłopotana Courtney pozdrowiła krótko obydwójce, po czym sięgnęła po butelkę z wodą i upiła łyk, żeby pokryć zmieszanie.

- Pragnę ci przedstawić mojego syna. Andrew pracuje tutaj na część etatu, jak widzisz. - Bethanne wskazała kamizelkę z firmowym nadrukiem.

Na zajęciach wspominała coś o dzieciach, ale Courtney nie słuchała zbyt uważnie. Zapamiętała tylko, że prócz syna ma jeszcze córkę. Wolałaby, żeby Andrew nie oglądał jej spoczonej, z twarzą purpurową od wysiłku i w dodatku w szortach. Na ogół zakrywała zbyt masywne nogi.

- Cześć - powitał ją bez entuzjazmu.

- Cześć - mruknęła, okropnie zawstydzona.

- Courtney chodzi ze mną na kurs dziewiarski. To ta dziewczyna, o której ci kiedyś mówiłam. Od września rozpocznie naukę w ostatniej klasie w Liceum imienia Waszyngtona - poinformowała syna. - Andrew również - dodała.

- Też chodzisz do Waszyngtona? - spytała Courtney. Skinął głową.

- O ile pamiętam, wspominałeś, że masz wolny bilet na dzisiejszy wieczór na mecz Marinersów - ciągnęła jego matka. Zanim zdążył odpowiedzieć, dorzuciła szybko: - Proponuję, żebyś zaprosił Courtney. Brakuje jej towarzystwa rówieśników, dobrze by było, żeby poznała twoich przyjaciół.

- Nie musisz tego robić - zapewniła Courtney z całą mocą. Było jej przykro, że Bethanne w dobrej wierze postawiła syna w kłopotliwej sytuacji.

- Chciałabyś pójść? - zapytał Andrew.

- Zgadnij - rzuciła niedbale.

Marzyła o spotkaniu w gronie młodych ludzi, ale dokładała wszelkich starań, żeby nie dać po sobie poznać, jak bardzo jej na tym zależy.

- Wpadniesz po nią? - nalegała Bethanne.

- O ile dostanę samochód - powiedział z naciskiem.

Courtney natychmiast odgadła, że stanowi to warunek spełnienia prośby matki.

- Dobrze, pożyczę ci - obiecała Bethanne, wyraźnie rozbawiona.

Andrew wziął od Courtney adres oraz numer telefonu. Obiecał

zadzwoić po pracy.

Courtney wracała do domu jakby w zwolnionym tempie. Nadmiar emocji odebrał jej siły do szybkiej jazdy. Właśnie o poznaniu takiego sympatycznego, bystrego chłopaka marzyła przez całe życie. Do rozpoczęcia meczu pozostało jeszcze wiele godzin, ale zaraz po powrocie do domu rozpoczęła przygotowania. Zastała babcię przy stole. Jadła właśnie lunch. Courtney nie usiadła z nią. Pochwyciła tylko jabłko. Wbiła w nie zęby i pospieszyła w kierunku schodów.

- Dokąd to?! - krzyknęła Vera.

- Poznałam syna Bethanne. To jedna z uczestniczek kursu dziewiarskiego - wyjaśniła na widok zdziwionej miny babci. - Zaprosił mnie na dziś wieczór na mecz.

- To dopiero za kilka godzin.

- Wiem - odkrzyknęła już z góry - ale muszę umyć głowę i całą resztę! Och, babuś, co ja na siebie włożę? - jęknęła. Po chwili zastanowienia uświadomiła sobie, że starsza pani nie udzieli jej zbawiennej rady, gdyż nie orientuje się w obowiązującej modzie. - Nieważne, coś tam wygrzebię z szafy - mruknęła.

Po kąpieli zmieniła ubranie co najmniej piętnaście razy. W każdym ważyła się i przeglądała. W końcu wybrała dzinsy oraz biały podkoszulek, na który narzuciła żółtą bluzkę w kwiaty. Wprawdzie ważyła w tym stroju więcej niż w innych, ale wyglądała w nim najlepiej. Podkreślał ciemną barwę oczu i włosów.

Andrew zadzwonił o piątej. Oznajmił, że przyjedzie za pół

godziny. Mecz rozpoczynał się o szóstej. Courtney nie chciała wystawać przed drzwiami. Wolałaby też, żeby nie wchodził do środka. Wybrała kompromisowe rozwiązanie: wypatrywała go z okna salonu. Gdy ujrzała jego samochód, ucałowała babcię w policzek i wyszła na spotkanie.

- Baw się dobrze! - krzyknęła za nią Vera.

- Na pewno będzie świetnie! - odkrzyknęła z prawdziwą radością. Każda propozycja była ciekawsza niż siedzenie przy komputerze. Oglądanie telewizji w wakacje uważała za stratę czasu.

Andrew otworzył jej drzwi od strony pasażera. Powitał ją bez większego entuzjazmu. Podziękowała, że po nią przyjechał. Dopiero gdy odwróciła głowę, żeby zapiąć pas, zauważyła w samochodzie jeszcze jedną osobę. Andrew wyjaśnił, że to jego siostra, która w tym roku rozpocznie naukę w liceum. Uśmiech zgasł na twarzy Courtney, gdy rozpoznała pływaczkę z młodzieżowej drużyny. To właśnie ona szeptała coś do ucha koleżance, spoglądając na nią znacząco. Courtney miała nadzieję, że nie rozpozna jej w ubraniu. Chyba jej życzeniu stało się zadość, bo Annie ani słowem nie wspomniała o spotkaniu na basenie.

- Andrew i mama zmusili mnie, żebym do was dołączyła - mruknęła Annie. Courtney zrobiło się bardzo przykro, że jedzie z nimi z przymusu. Andrew posłał siostrze groźne spojrzenie.

- Od jak dawna mieszkasz w Seattle? - spytał, żeby zatuszować nietakt.

- Dopiero od kilku tygodni. Przebywam u babci.

Opowiedziała o pracy ojca, o wielkim znaczeniu nowego mostu w Brazylii, o studiach brata i pracy siostry na Alasce. Wspomniała też, jak bardzo tęskni za rodzinnym miastem i przyjaciółmi z Chicago. Przypuszczała, że trochę przesadziła z ilością informacji, pewnie dlatego że bardzo potrzebowała kontaktu z rówieśnikami.

- Czy twoi rodzice również się rozwiedli? - spytała Annie.

- Nie. Mama zginęła w wypadku samochodowym cztery lata temu - odpowiedziała po chwili milczenia.

- To straszne - westchnął Andrew ze współczuciem. Zapadła cisza, niemalże dzwoniła w uszach. Nic więcej nie pozostało do powiedzenia.

- Szkoda, że nasz ojciec nie umarł - stwierdziła nagle Annie grobowym głosem.

- Nie wolno ci mówić takich rzeczy! - ofuknął ją brat.

- Naprawdę tak myślę! - krzyknęła z desperacją. - To skończony łotr.

- Nasi rodzice niedawno się rozwiedli. Siostra bardzo przeżywa jego odejście - szepnął Andrew najciszej, jak potrafił.

- I tak cię słyszę - warknęła dziewczyna.

Zaparkowali w bocznej uliczce. Po wyjściu z samochodu Courtney spostrzegła, że Annie bacznie ją obserwuje. Wstrzymała oddech. Poczowała skurcz w żołądku. Serce ciążyło jej jak głaz. Modliła się, żeby jej nie rozpoznała. Nie została wysłuchana.

- Ja cię znam - stwierdziła Annie.

- Chodzę z twoją mamą na kurs dziewiarski - podsunęła, w

nadziei że ta informacja ją zmyli.

- Nie, widziałam cię na pływalni z grupą starszków.

- Podeszła bliżej i dokończyła teatralnym szeptem”. - Nie ma obaw, nie zdradzę cię. Nie spotkasz mnie tam już. Zrezygnowałam z zajęć tydzień temu. Mama nic nie wie, a Andrew mnie nie zdradzi. Zawarliśmy układ. Poprosił mnie, żebym wam dzisiaj towarzyszyła, ponieważ jego dziewczyna jest bardzo zazdrosna.

Andrew przez cały czas obserwował siostrę zwężonymi oczami z coraz bardziej ponurą miną.

- Bądź uprzejma zamknąć wreszcie buzię - uciszył ją w końcu.

Wzrokiem błagał Courtney o wybaczenie.

- Nie ma sprawy - zapewniła lekkim tonem.

Mówiła serio. Naprawdę nie żywiła do żadnego z nich urazy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wyczarowywanie oczko za oczkiem konarów drzewa czy kształtu domu, jak też dostosowywanie skarpetki do wymiarów stopy ma w sobie coś z magii.

Cat Bordhi, autorka „Socks Soar on Two Circular Needles”, „A Treasury of Magical Knitting” i „Second Treasury of Magical Knitting” www.catbordhi.com

LYDIA HOFFMAN

Czekałam z niecierpliwością, aż Brad do mnie przyjedzie po

dostarczeniu towaru do sąsiednich sklepów. Ponieważ czytałam sporo romansów, mogę was zapewnić, że żaden mężczyzna na świecie nie przypomina idealnego romantycznego bohatera bardziej niż on. Chociaż ostatni rok przyniósł mi wiele trosk, nigdy nie byłam tak szczęśliwa. W moim położeniu takie stwierdzenie brzmi jak wyzwanie rzucone losowi. Od szesnastego roku życia, od chwili wykrycia nowotworu, żyję w nieustannym strachu. Wspomniałam już, że rok temu doktor Wilson wezwał mnie na kontrolę, ponieważ przy rutynowym badaniu wykrył jakieś niepokojące objawy. Byłam pewna, że rak ponownie zaatakował. Zrezygnowana i załamana, zerwałam z Bradem pod pierwszym lepszym pretekstem. Nie podałam prawdziwego powodu rozstania. Nie ustąpił łatwo. Jeszcze bardziej go pokochałam za to, że tak konsekwentnie o mnie walczył. Odszedł dopiero wtedy, gdy zraziłam go do siebie tak, że nie mógł już dłużej ze mną wytrzymać. Gdy dowiedziałam się, że jestem zdrowa, nie winiłam Brada, że w końcu dał za wygraną. Uprzykrzałam mu życie, jak tylko mogłam. Na szczęście wysłuchał mnie, uznał moje tłumaczenie i wrócił. Odzyskanie Brada zawdzięczam przede wszystkim Margaret. Bez jej zachęty pewnie zabrakłoby mi odwagi, by wyciągnąć rękę do zgody. W każdym razie najgorsze mamy już za sobą. Jestem szczęśliwa, że go odzyskałam.

Poprzedniego wieczoru spróbowałam z nim omówić plany na Czwartego Lipca. Brad zażyczył sobie, żebym nie potwierdzała, że odwiedzimy Margaret i Matta, przed jego wizytą w sklepie. Czekałam na to święto z utęsknieniem nie tylko z tego względu, że bardzo

potrzebowałam odpoczynku. Przede wszystkim cieszyła mnie perspektywa wspólnej zabawy z ukochanym i jego synem.

W sklepie panował ostatnio duży ruch. Odczuwałam wielką satysfakcję, jednak po ośmiu godzinach na nogach każdego dnia dopadało mnie zmęczenie. Margaret pomagała, jak mogła, lecz niewiele z niej miałam pożytku. Zła sytuacja w domu odebrała jej energię do pracy. Rozumiałam ją, doceniałam jej wysiłki i podtrzymywałam na duchu.

Piątkowe spotkania dobroczynne przynosiły doskonałe efekty. Najbardziej aktywnie działała Jacqueline. Co tydzień spędzała całe godziny na dzierganiu prostokątów na koce dla fundacji „Ogrzejcie Amerykę!”. Nie żałowała na pomoc bliźnim ani pieniędzy, ani czasu. Miała go wprawdzie znacznie więcej niż pracująca Alix czy zajęta opieką nad małym Cameronem Carol, niemniej jednak imponowała mi jej szlachetna postawa.

Kobiety z nowego kursu robienia skarpetek tworzyły interesującą mieszankę. Dzięki temu, że z biegiem czasu nieco się odprężyły, zaczęłam je lepiej poznawać. Uwielbiam patrzeć, jak wspólne dzierganie zbliża ludzi. Odczuwałam wielką satysfakcję, że osoby o tak różnych osobowościach, pochodzeniu i wieku nawiązały dzięki nowemu hobby nić porozumienia, co z początku wydawało się niemożliwe. Nietaktowne uwagi Elise na pierwszej lekcji zapowiadały porażkę całego przedsięwzięcia. Byłam jej wdzięczna, że przepraszając za nieuprzejme zachowanie, przywróciła przyjazną atmosferę. Trochę mi przeszkadza, że to ona nadaje ton spotkaniom,

nie ja. Zauważyłam, że ma predyspozycje do przewodzenia grupie.

Tuż po dziewiątej ujrzałam przed sklepem ciężarówkę Brada. Czekałam z niecierpliwością, aż wejdzie do środka. Na powitanie zawsze obdarzał mnie komplementem, nazywał „piękną”. To część naszego rytuału. Później umykamy na zaplecze przed ciekawskimi spojrzeniami Margaret na buziaka i porcję pieszczot. Tym razem nie musieliśmy ukrywać czułości. Margaret jeszcze nie przyszła. Ostatnio spóźniała się do pracy co najmniej pół godziny. Mimo że szczerze jej współczuję, coraz bardziej irytuje mnie taki brak odpowiedzialności. Czekam tylko na bardziej sprzyjającą sytuację, żeby przywołać ją do porządku.

Dzwonek u drzwi wyrwał mnie z niewesołych rozważań. Wystarczy kilka minut w towarzystwie Brada, żebym odzyskała humor. Podszedł do mnie z paczkami przędzy w rękach. Inaczej niż zwykle powitał mnie tylko jednym słowem:

- Cześć.

- Nie nazwiesz mnie piękną? Czyżby przez noc wyrosły mi ośle uszy albo jeszcze coś gorszego? - zażartowałam.

- Coś jeszcze gorszego - powtórzył z chmurną miną. Po jego zwykłej wesołości nie pozostał nawet ślad.

- Co z tobą, Brad? - spytałam zaskoczona. Spłoszone, umykające w bok spojrzenie obudziło moją czujność.

- Masz jakieś kłopoty z Codym? - dopytywałam się dalej, przerażona, że coś złego spotkało mojego małego ulubieńca.

Przepadam za synkiem Brada. Nazywa mnie mamą. Jeżeli

sprawy pójdą po mojej myśli, wkrótce mu ją zastąpię.

- Nie, u niego wszystko w porządku.

- Nie poznaję cię dzisiaj. Jesteś jakiś nieswój. Wy tłumacz mi, co się dzieje - nalegałam.

- Wolałbym odłożyć to na później. - Westchnął ciężko.

- A ja chciałabym już teraz dowiedzieć się, o co chodzi - nie dawałam za wygraną.

Wyczułam, że najchętniej umknąłby, gdzie pieprz rośnie. Nie zamierzałam pozwolić mu odejść bez słowa wyjaśnienia. Jesteśmy razem od roku, a nigdy nie widziałam go w tak fatalnym nastroju.

- Nie mogę z tobą spędzić Czwartego Lipca - wykrztusił wreszcie po długim milczeniu.

- Dlaczego? - Pomimo że doznałam gorzkiego rozczarowania, usiłowałam nadać głosowi spokojne brzmienie.

Brad udawał, że nie słyszy. Z zapalem wyładowywał zawartość skrzynek, ustawiał pudełka koło kasy na ladzie. Z nerwów wbrew swoim zwyczajom podpisałam fakturę bez sprawdzenia. Drżała mi ręka. W końcu straciłam cierpliwość.

- Wyrzuć to z siebie wreszcie! - wykrzyknęłam.

- Chyba nie może być aż tak źle?!

Wyprostował się. Nigdy wcześniej nie widziałam u niego takiej powagi.

- Lepiej usiądź.

- Nie. Wysłucham cię na stojąco - zaproponowałam. Czułam, że tracę grunt pod nogami. Właściwie wyraz jego twarzy już powiedział

mi wszystko. Do tej pory odbyłam w życiu dwie tego rodzaju rozmowy. Za każdym razem mężczyzna, który wcześniej wyznawał mi miłość, oznajmiał, że odchodzi. Nawet ich za to nie winałam. Dwukrotnie zagrażała mi śmierć. Nie żądałam od moich partnerów, by patrzyli jej w oczy wraz ze mną. Ale teraz... Brad potarł ręką udo. Nabrał powietrza w płuca.

- Nigdzie z tobą nie pójdę, ponieważ Cody i ja spędzimy ten dzień z Janice. - Zanim zdążyłam przyjąć informację do wiadomości, dodał szybko: - Zadzwoiła kilka dni temu. Twierdzi, że ostatnio wiele o nas myślała. Prosi, żebym dał jej jeszcze jedną szansę. Doszła do wniosku, że popełniła wielki błąd, porzucając mnie i Cody'ego - oświadczył Brad z ciężkim westchnieniem. Rysy mu stwardniały.

Wiedziałam, że ze względu na dziecko Brad dokłada wszelkich starań, żeby utrzymać pokojowe stosunki z byłą żoną. To z jej winy doszło do rozwodu. Bez żalu zostawiła mu syna, szczęśliwa, że uwolnił ją od zobowiązań.

- Rzeczywiście, w samą porę! Może wspomniałeś jej przypadkiem, że poprosiłeś mnie o rękę? - Zabrzmiało to może cynicznie, ale przemawiała przeze mnie gorącz. Przejrzałam w mgnieniu oka grę jego byłej żony. Janice bawiła się z nim w kotka i myszkę. Nie chciała z nim żyć, ale trzymała go w odwodzie. Dlatego postanowiła nie oddawać go innej. Chociaż Brad stanowczo pokręcił głową w odpowiedzi na moje pytanie, przypuszczałam, że Cody zdradził matce nasze plany, być może nawet mimo woli. Nie wierzyłam, że Brad rzeczywiście pragnie jej powrotu. Spróbowałam

otworzyć mu oczy. - Z pewnością wie, że zamierzamy wziąć ślub. Postanowiła nam przeszkodzić.

- Słyszałem w jej głosie szczerą skruchę. - Rozłożył bezradnie ręce. - Jeżeli odgrywała komedię, zasłużyła na Oscara.

Pojęłam, że męska duma nie pozwala mu przyjąć brutalnej prawdy do wiadomości. Wiedziałam, co dalej nastąpi, jeżeli pozwoli sobie manipulować. Usiłowałam zaapelować do jego sumienia.

- Czy to znaczy, że tylko zabijałeś ze mną czas oczekiwania na jej powrót?

- Oczywiście, że nie.

- Kochasz ją?

- Nie - odpowiedział bez wahania. - Kochałem ją, kiedy byliśmy małżeństwem, a nawet jeszcze jakiś czas później. Ale uczucie wygasło. Nic już do niej nie czuję. Uważam jednak, że dziecko potrzebuje matki.

- A co z nami? Zamierzasz zerwać zaręczyny?

- Nie, ale chciałbym cię prosić o coś, do czego nie mam prawa.

- Żądasz, żebym zaczekała, aż Janice znów wybierze wolność? Niedoczekanie! - odparowałam ze złością. - Albo ona, albo ja!

- Spróbuj mnie chociaż zrozumieć. To bardziej skomplikowana sprawa, niż myślisz. - Posłał mi błagalne, skruszone spojrzenie.

- Wcale nie, to bardzo proste. Pozwalasz sobie manipulować. Chcesz do końca życia zostać jej pachołkiem, gotowym przybiec na każde skinienie?

- Nie chodzi o mnie. Robię to dla dobra syna.

- Za późno o nim pomyślała - nie ustępowałam. Czepiałam się resztek nadziei, że weźmie pod uwagę moje położenie.

Chciałam, żeby wreszcie zrozumiał, że łamie mi serce.

- Jestem to winien Cody'emu. Kocha matkę i pragnie, żebyśmy znów byli rodziną. - Zamknął oczy, jakby nie mógł dłużej znieść widoku mojej zbolalej twarzy. - Wybacz, Lydio. Dałbym wiele, żeby cię nie ranić.

- Ja też kocham Cody'ego! - wykrzyknęłam w rozpacz. Czułam, że zaraz zasłabnę. Odwróciłam się plecami do Brada.

- On ciebie też.

- Cóż z tego? Nigdy nie zostanę jego matką - stwierdziłam z bólem serca. Zrozumiałam, że Brad kochał Janice pierwszą i jedyną prawdziwą miłością. Nigdy nie przestał. Cokolwiek bym zrobiła, dla niego byłam tylko marną imitacją. Z wysiłkiem spojrzałam mu w oczy.

- Pewnie teraz jesteś zadowolony, że odłożyłam decyzję o ślubie?

- Nie, Lydio. Wcale tego nie chciałem. Spróbuj mnie zrozumieć. Przez dłuższy czas staliśmy obok siebie w milczeniu. Odnosiłam wrażenie, że świat zamknął się wokół mnie. Brakowało mi przestrzeni, powietrza. Ból rozsadzał mi serce. Czułam, że przegrałam walkę o niego. Usiłowałam przynajmniej uratować resztki godności.

- Widzę, że już dokonałeś wyboru. Nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć tobie, Janice i Cody'emu szczęścia. Za jakiś czas twoja żona dojdzie do wniosku, że popełniła kolejny błąd, rezygnując z

niezależności. Ale ja nie będę czekać, aż zwróci ci wolność. Nie pociąga mnie ta zabawa.

- To nie jest zabawa. Chciałem cię tylko prosić...

- Nie. Niezależnie od tego, czy pozwoliłeś jej wrócić z miłości czy ze względu na syna, nie pozwolę, żebyś wzywał mnie lub odsyłał do wszystkich diabłów według jej kaprysów. Nie odpowiada mi rola tej drugiej, rezerwowej - wyrzuciłam z siebie cały gniew. Z największym trudem powstrzymywałam łzy. - Zamieszkacie razem? - zapytałam jeszcze na koniec.

- Nie. - Brad zdecydowanie pokręcił głową. - Każde z nas zostaje u siebie. Nie chciałem podejmować żadnej konkretnej decyzji przed rozmową z tobą.

Jeżeli próbował mnie pocieszyć, to mu się nie udało. Zrozumiałam, że Janice go omotała. Rozmawiałam z nią kilka razy w ciągu ostatnich miesięcy. Bez ogródek przyznawała, że chociaż kocha syna, nie czuje powołania do roli żony i matki.

- Kocham cię - wyznałam drżącym głosem. - Ale ta cała zabawa przypomina mi zawody w przeciąganiu liny. Jednego dnia prosisz, żebym dzieliła z tobą życie, a następnego porzucasz, żeby spróbować szczęścia z byłą żoną. To ponad moje siły.

Przez chwilę stał przede mną w milczeniu z zaciśniętymi zębami. W końcu powiedział:

- Spróbuję tak dostosować godziny pracy, żebyś nie musiała mnie widywać. Podziękowałam zaskakująco spokojnym tonem, choć

serce mi krwawiło.

Odwróciłam wzrok, żeby nie widział, jak bardzo cierpię. Mężczyzna, którego kochałam, odwrócił się do mnie plecami i odszedł z mojego życia. Ledwie zamknął za sobą drzwi, opadłam bez sił na krzesło. Ukryłam twarz w dłoniach, oddychałam głęboko, walcząc ze wszechogarniającą rozpaczą. Tak niedawno czekałam z niecierpliwą radością na wspólne święto. Teraz straciłam nie tylko Brada, ale również Cody'ego, który nauczył mnie miłości, dla którego pragnęłam zostać matką.

Dzwonek u drzwi zadzwonił głośno, natarczywie. Opuściłam ręce. Nadludzkim wysiłkiem przywołałam na twarz uśmiech. Na widok Margaret zgasł na moich ustach.

- Spóźniłaś się - ofuknęłam ją szorstko.
- Wiem - ucięła krótko.

Nawet nie szukała wiarygodnej wymówki. Zirykowała mnie do reszty.

- Jeżeli zależy ci na pracy, zechciej, proszę, przychodzić o czasie. To, że jestem twoją siostrą, nie zwalnia cię od przestrzegania dyscypliny - wyrzuciłam z siebie całą złość.

- Przyjęłam upomnienie do wiadomości - wycedziła przez zaciśnięte zęby. Wyszłam bez słowa na zaplecze. Bezskutecznie usiłowałam opanować drżenie rąk. Mówiłam sobie, że jeśli nie wezmę się w garść, wkrótce zostanie ze mnie wrak. Nie pomagało. Margaret podążyła za mną.

- Chyba wstałaś dziś z łóżka lewą nogą - stwierdziła.

Spróbowałam nalać kawy do szklanki, ale nawet wykonanie tak prostej czynności było ponad moje siły. Odstawiłam z powrotem dzbanek. Popatrzyłam na siostrę. Jej przerażone spojrzenie powiedziało mi wyraźniej niż lustro, że wyglądam okropnie. Z pewnością poszarzałam na twarzy.

- Co się stało, Lydio? - wyszeptała. Otworzyłam usta. Nie padło z nich ani jedno słowo.

Rozpacz dosłownie odebrała mi mowę. Jęknęłam tylko, całym ciałem wstrząsały dreszcze. Poczułam, że Margaret otacza mnie ramionami. Całe szczęście, inaczej upadłabym na podłogę. Z sekundy na sekundę traciłam siły.

- Co z tobą, siostrzyczko? - dopytywała się dalej. - Jakies problemy z Bradem? Spotkałam go na zewnątrz. Nawet mnie nie przywitał.

Nadal nie mogłam wydobyć głosu ze ściśniętego gardła. Dopiero niedawno po raz pierwszy od wielu lat czułam, że naprawdę żyję i rozkwitam. I nagle wszystkie marzenia o osobistym szczęściu w mgnieniu oka legły w gruzach. Znalazłam wielką miłość tylko po to, żeby zaraz ją utracić. Świat przestał dla mnie istnieć. Zrozumiałam, jak złudne bywają nadzieje.

- Muszę iść na górę - wyszeptałam, kiedy wreszcie zebrałam siły, by przemówić. - Poradzisz sobie sama w sklepie przez jakiś czas?

- Oczywiście.

- Dziękuję.

Podeszłam do okna, żeby zabrać Wąsika z wystawy. Kątem oka

dostrzegłam Brada. Siedział w kabinie ciężarówki z głową wspartą na kierownicy. Ukrył twarz w dłoniach. Margaret przystanęła za mną. Podążyła wzrokiem za moim spojrzeniem.

- Chodzi o Brada, prawda? - spytała ponownie.

- Wraca do byłej żony.

- Tak mi przykro! - Odwróciła mnie twarzą do siebie. Widziałam w jej oczach szczere współczucie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ELISE BEAUMONT

Elise wróciła ze sklepu „Świat Włóczki” w podłym nastroju. Doznała rozczarowania. Zajęcia na kursie dziewiarskim zostały odwołane z powodu choroby Lydii. Margaret usiłowała ją zastąpić, ale niewiele zdziałała. Prawdopodobnie brakowało jej doświadczenia w robieniu na drutach. Wyglądało na to, że sama jeszcze nigdy nie wydziergała skarpetek. Obiecała natomiast, że Lydia przedłuży szkolenie o tydzień, żeby nadrobić straconą lekcję. Ponadto zaproponowała trzydziestoprocentową zniżkę na każdy rodzaj towaru, jaki kupią tego dnia. Elise nie dokonała żadnego zakupu. Nie potrzebowała włóczki, tylko fachowej porady. Irytowało ją, że musi na tydzień odłożyć pracę nad parą skarpetek, które robiła na prezent dla zięcia.

Aurora natychmiast odgadła przyczynę wcześniejszego powrotu matki do domu.

- Czyżby odwołano zajęcia na kursie? - spytała na przywitanie.

- Niestety tak - mruknęła niezadowolona. - Wielka szkoda. Sama nie umiem ukształtować pięty. - Nie wyjaśniła, że robi skarpetki na prezent dla Davida.

Żałowała, że nie została w mieście. Zamiast iść do biblioteki czy też odwiedzić znajomych, pospieszyła nie wiadomo po co do domu, gdzie nie miała nic do roboty. Niepokoiła ją ta nagła zmiana przyzwyczajzeń. Skrycie podejrzewała, że ciągnie ją do Mavericka. Robiła, co mogła, żeby zachować dystans, lecz przychodziło jej to z wielkim trudem. Mieszkali naprzeciwko siebie, poza tym jadali wspólnie jeden do dwóch posiłków dziennie. Były mąż nie przepuścił żadnej okazji, żeby szepnąć jej jakieś miłe słówko. Elise uważała, że czaruje ją dla zabawy albo też żeby udowodnić sobie, że nie stracił na nią wpływu. Nie zamierzała zaspokajać jego próżności. Postanowiła sobie twardo, że nie ulegnie jego urokowi jak córka i reszta domowników.

- Dobrze, że wróciłaś - oświadczyła Aurora. - Wychodzę załatwić parę spraw. Tata obiecał zająć się dziećmi, ale przypuszczam, że sam nie da sobie rady.

- Chcesz, żebym mu pomogła?

- Wyświadczyłabyś mi wielką przysługę. - Podkreśliła ważkość tej prośby błagalnym spojrzeniem.

Elise najchętniej by odmówiła, ale nie wypadało. Podejrzewała, że Maverick wykorzysta okazję, żeby wypróbować na niej swój

słynny czar. Posiadał taki talent krasomówczy, że przekonałby chyba wszystkich świętych, żeby wpuścili go do nieba, na co zresztą prawdopodobnie po cichu liczył.

Aurora objęła matkę za szyję.

- Dziękuję z całego serca, mamó. Powiem tacie, że już jesteś w domu. Elise zostawiła otwarte drzwi pokoju, tak jak robiła przed przyjazdem Mavericka. Bóg raczy wiedzieć, jak długo on jeszcze tu zostanie. Zapowiedział, że dwa tygodnie, tymczasem minął już tydzień i on nawet słowem nie wspomniał o wyjeździe. Elise z utęsknieniem wyczekiwała końca tak kłopotliwej dla siebie wizyty. Przetrawanie każdego dnia wymagało nieustannej czujności. Posortowała rzeczy przeznaczone do prania, wyniosła białe do pralni na tyłach kuchni i puściła wodę do pralki. Następnie przeszła do salonu. Ujrzała Mavericka na środku pokoju. U każdego ramienia wisiał uczepiony jeden chłopiec. Na widok Elise przerwali zabawę.

- Dzieci proszą mnie o spacer do parku - poinformował ją.

- To idź z nimi.

- Pójdę, jeśli do nas dołączysz.

Zanim zdążyła zaprotestować, John i Luke zaczęli nalegać, żeby koniecznie im towarzyszyła. Ponieważ przyrzekła Aurorze pomoc, nie pozostało jej nic innego, jak wyrazić zgodę.

- Dobrze, tylko włożę sweter.

- Jest bardzo ciepło - zapewnił Luke.

Jak dla kogo - pomyślała. Koniec czerwca był tego roku wyjątkowo chłodny, ale nie dla rozbieganych, rozbrykanych

dzieciaków. Podczas gdy ona informowała córkę przez telefon, dokąd idą, Maverick, John i Luke czekali na nią na zewnątrz.

Niewielki park, oddalony o dwa bloki od domu Davida i Aurory, należałoby właściwie nazwać skwerkiem. Pomędzy zadbanymi rabatami, w otoczeniu krzewów i ozdobnych wiśni znajdował się tam plac zabaw. Chłopcy najchętniej korzystali ze zjeżdżalni i huśtawek. Ledwie dotarli w ich pobliże, pognali na przełaj przez świeżo wystrzyżony trawnik ku upatrzonym obiektom. Maverick podążył za byłą żoną w kierunku najbliższej ławki. Elise planowała zaczekać w milczeniu, aż John i Luke zakończą zabawę. Maverick obserwował igraszki wnuków z prawdziwą przyjemnością. Gdy zrobili coś zabawnego, wybuchał szczerym śmiechem, od czasu do czasu rzucał im okrzyki zachęty.

Elise musiała przyznać, że pomimo braku doświadczenia był wspaniałym dziadkiem. Naprawdę umiał postępować z dziećmi. Z kobietami również - przypomniawszy sobie. Postanowiła jedynie odpowiadać na pytania w razie konieczności, ale w żadnym wypadku nie podtrzymywać rozmowy.

- Nie zazdrościsz im energii? - zagadnął.

- O, tak - odrzekła zdawkowo.

Maverick przez dłuższy czas nie powiedział nic. Pobił chyba rekord życiowy. Potrafił mówić dosłownie bez przerwy. Kiedy znów spróbował nawiązać rozmowę, Elise żałowała z całego serca, że nie zachował milczenia.

- Zaskoczyło mnie, że zamieszkałaś u Aurory.

Przez jej ciało przeszedł zimny dreszcz. Odruchowo owinęła szczelniej sweter wokół ciała. Maverick poruszył bolesny temat. Przez ostatnich kilka tygodni nie otrzymała żadnej wiadomości od prawnika. Z dnia na dzień traciła nadzieję na odzyskanie choćby części pieniędzy. Chora z rozpacz i złości, usiłowała nie myśleć o kłopotach.

- Innymi słowy, interesuje cię, co zmusiło tak niezależną osobę jak ja do drastycznych oszczędności?

- Można to w ten sposób ująć - przyznał. - Co się stało?

- Marzyłam o tym, by kupić sobie dom. Po zwiedzeniu wzorcowego domu, prezentowanego przez pewne przedsiębiorstwo, zainwestowałam wszystkie zaoszczędzone pieniądze w działkę i przedpłatę. Wkrótce potem firma ogłosiła bankructwo. Wraz z innymi poszkodowanymi złożyliśmy zbiorowy pozew do sądu. Nigdy nie przypuszczałam, że przyjdzie mi na emeryturze włączyć się po sądach i kancelariach prawniczych - zakończyła z goryczą.

Głos uwiązał jej w gardle, jak zwykle gdy poruszała temat swej największej życiowej porażki. Było jej ogromnie wstyd, że nie sprawdziła dokładnie wiarygodności firmy. Została wyprowadzona w pole z powodu własnej naiwności.

- Nie możesz odzyskać zainwestowanych pieniędzy?

- Próbuję. Sądzę jednak, że to, czego nie zdążyli zdefraudować nierzetelni przedsiębiorcy, pochłoną honoraria adwokatów oraz koszty procesu. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, wolałabym zakończyć ten temat - dodała z irytacją.

- Bardzo mi przykro. Czy policja ściga tego łotra?

- Niestety nie. Nie padliśmy ofiarą oszustwa, tylko niegospodarności - przyznała. - Wiem, że sama jestem sobie winna - dokończyła pospiesznie, żeby uprzedzić ewentualny komentarz.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

Życzliwość Mavericka wywarła na Elise wielkie wrażenie, chociaż wmawiała sobie, że nie potrzebuje ani jego współczucia, ani troski. W rzeczywistości ponad wszystko pragnęła, żeby okazał jej zrozumienie.

- Szkoda, że nie wzięłam robótki - odpowiedziała wymijająco. - Przynajmniej zajęłabym ręce. To nieco uspokaja.

- Jeżeli chcesz, zaraz ci ją przyniosę - zaoferował, wstając z miejsca, gotowy natychmiast spełnić jej życzenie.

- Nie, dziękuję. Nie bądź dla mnie zbyt dobry. Nie życzę sobie, żebyś mi usługiwał.

Maverick usiadł z powrotem. Jego twarz na moment wykrzywił grymas złości, który w mgnieniu oka ustąpił miejsca ciepłemu, szczeremu spojrzeniu.

- Kocham cię, Elise.

Tym razem to ona gwałtownie wstała z ławki.

- Jak śmiesz?! Nie waż się nigdy więcej powtarzać tych słów!

- Kiedy to prawda.

- Nie wierzę. Czy kochałeś mnie również wtedy, gdy wydałeś na zakłady pieniądze przeznaczone na czynsz? A wtedy gdy nie starczyło na mleko dla dziecka?

- Oczywiście, że cię kochałem, najdroższa. Doskonale wiedziałem, na co stawiam. Nie mogłem przegrać tamtego zakładu. I nie przegrałem.

- Wyznawaleś mi miłość, ale hazard kochałeś o wiele bardziej - wypomniała z rozgoryczeniem.

- To prawda - przyznał bez ogródek.

Poklepał ławkę, gestem zapraszając, by ponownie zajęła miejsce obok niego.

Elise odczekała chwilę, zanim spełniła niemą prośbę. Zawsze miała do niego słabość. Teraz nie była już ani młoda, ani naiwna jak dawniej. Nabrała odporności - przynajmniej tak chciała o sobie myśleć.

- Czy tak pozostało do tej pory? - spytała wbrew woli. Ku własnemu zaskoczeniu ponad wszystko zapragnęła zajrzeć w głąb jego duszy.

- Pewnie mi nie uwierzysz - oświadczył po chwili wahania - ale przysięgam, że porzuciłem karty na zawsze. Ten rozdział mojego życia, choć przyniósł mi mnóstwo satysfakcji, uważam za zakończony. Zdobyłem renome, która obecnie nic już dla mnie nie znaczy. Teraz najważniejsza jest rodzina. Dlatego właśnie wróciłem do Seattle.

- Rzeczywiście ci nie wierzę - odparła. Nie dodała, że w przeszłości wielokrotnie słyszała podobne obietnice bez pokrycia. - Tutaj także nie brakuje kasyn.

- Nie pójdę do żadnego. Zamierzam zamieszkać gdzieś w

poobliżu Aurory, żeby spędzać jak najwięcej czasu z nią i z wnukami. Straciłem wiele lat. Nie widziałem nawet, jak moja córka dorastała. Czuję, że Bóg dał mi jeszcze jedną szansę. Nie wolno mi jej zmarnować. Przysięgam ci, Elise, stałem się zupełnie innym człowiekiem.

- Przykro mi, Mavericka Bardzo chciałabym ci uwierzyć, ale nie potrafię.

- Znalazłem odpowiednie mieszkanie, tu niedaleko na osiedlu - ciągnął, jakby nie usłyszał ostatniego zdania.

- Już za nie zapłaciłem, ale zostanie oddane do użytku dopiero w sierpniu. Aurora i David pozwolili mi zostać u nich tak długo, aż otrzymam klucze.

Elise bardzo chciała mu zaufać, ale już nie potrafiła. Zawsze miał dobre intencje. Wielokrotnie obiecywał poprawę i zawsze po tygodniu czy dwóch hazard wciągał go do tego stopnia, że stawiał w grze ostatniego centa, bez względu na to, czy żonie starczało na jedzenie dla dziecka. Elise przeżywała nadzieje i rozczarowania niezliczenie wiele razy. Następnym już nie pragnęła.

- Babciu! Dziadku! - Głos Luke'a wyrwał ją z zadumy. Chłopiec podbiegł do nich, zdyszany i spocony.

W ślad za nim podążał mały John.

- Możemy już wracać - oznajmił młodszy brat.

Zaskoczyli Elise. Na ogół długo musiała ich namawiać do powrotu. Negocjacje przeważnie trwały godzinę albo i dwie. Tym razem Luke z własnej inicjatywy chwycił dziadka pod ramię, żeby

szybciej wstał z ławki. Nietypowe zachowanie nieco zaniepokoiło Elise.

- Chcielibyśmy zagrać w tę nową grę, której nas nauczyłeś - nalegał Luke. Elise nabrała poważnych podejrzeń.

- Co to za gra? - spytała niby mimochodem.

- W karty - wyjaśnił chłopiec.

- Pochodzi z Teksasu - dodał z dumą John.

- Co takiego?! - wykrzyknęła.

Ze wzburzenia serce przyspieszyło do galopu. Narastała w niej złość.

- Nie robię niczego złego, to tylko rodzaj dziecinnej zabawy - zapewnił Maverick, patrząc jej w oczy.

- Uczysz dzieci hazardu - oświadczyła ze wzburzeniem, wsparłszy ręce na biodrach.

Nie zaprzeczył. Mogła przewidzieć taki rozwój wypadków.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

COURTNEY PULANSKI

Chociaż feralny początek spotkania wcale nie zapowiadał miłego wieczoru, wspólne oglądanie meczu z Andrew i Annie dostarczyło Courtney dużo przyjemności. Poznała wielu przyjaciół chłopaka. Zachowywali się wobec niej bardzo przyjaźnie. Tylko jedna Annie siedziała z nadąsaną miną. Jej zachowanie pozostawiało wiele do życzenia. Otwarcie ignorowała brata i Courtney. Ledwie zamieniła z nimi kilka słów, a i to z niechęcią. Dlatego Courtney była

zaskoczona, gdy w piątek wieczorem zadzwoniła, żeby zaprosić ją do kina. Bez zastanowienia wyraziła zgodę. Nie miała wielkiego wyboru prócz gry w bingo z babcią.

- Na co chciałabyś pójść? - spytała z ciekawością.

- Czy to nie wszystko jedno? - odrzekła Annie po chwili wahania. - Po prostu potrzebuję trochę rozrywki.

- Racja. Ja też chętnie obejrzę jakikolwiek film - zgodziła się Courtney. Nie zdradziła, że najbardziej odpowiadałaby jej komedia romantyczna.

Ustały miejsce i godzinę spotkania. Dokładnie o siódmej babcia podrzuciła Courtney w pobliże kina „Pacific Place” w drodze na partyjkę bingo. Courtney czekała w umówionym miejscu, póki Bethanne nie przywiozła córki. Annie wysiadła z samochodu. Zatrzęsnęła za sobą drzwi. Bethanne pomachała im ręką na pożegnanie. Ledwie jej auto znikło za rogiem, powitalny uśmiech zgasł na ustach Annie.

- Możesz spadać - mruknęła.

- Co takiego?! - wykrzyknęła Courtney, urażona, ale nie zaskoczona.

- Potrzebowałam alibi, żeby uspokoić mamę.

- W takim razie dokąd naprawdę idziesz?

- Na spotkanie z przyjaciółmi.

Wyraźnie dała Courtney do zrozumienia, że jej do grona przyjaciół nie zalicza. Ponieważ nie pociągała jej perspektywa samotnej wędrowni bez celu po ulicach, mimo wszystko zdecydowała

do niej dołączyć. Tak bardzo pragnęła towarzystwa młodych ludzi, że jakoś przełknęła obelgę. Poprosiła, żeby Annie zabrała ją ze sobą. Dziewczyna obrzuciła ją lekceważącym spojrzeniem.

- No to chodź, ale nie w takim stroju.

- Co ci nie pasuje?

- W zasadzie może być, potrzebujesz tylko mocniejszego makijażu. Chodźmy! - Odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie szybkim krokiem.

Courtney ledwie za nią nadążała. W centrum handlowym w piątkowy wieczór panował nieopisany ścisk i zgiełk. Tłumy ludzi obarczonych zakupami podążały we wszystkich możliwych kierunkach. Courtney wyteżała wzrok, żeby nie stracić towarzyszki z oczu. W końcu Annie przystanęła przy stoisku z kosmetykami. Wzięła z wystawy jaskrawoczerwoną pomadkę.

- W tej ci będzie do twarzy - orzekła.

Popatrzyła na cenę, zmarszczyła brwi, po czym odłożyła kosmetyk na miejsce. Ledwie Courtney zdążyła spojrzeć na cienie do powiek, Annie pospieszyła dalej, w kierunku toalet. Natychmiast weszła do kabiny. Courtney zaczęła przy umywalkach. Wyjęła z torby kosmetyczkę. Zanim zdążyła nałożyć trochę cieni na powieki, Annie wyszła z ubikacji zupełnie odmieniona. Grzeczną bluzeczkę zastąpiła czymś w rodzaju skąpej koszulki z tak głębokim dekoltem, że odsłaniał niemalże cały biust. Zamiast dzinsów nosiła teraz króciutkie, obcisłe spodenki, tak mocno wycięte, że przypominały raczej drelichowe majteczki.

- Zaskoczona? Mama zrobiłaby identyczną minę - skomentowała ze śmiechem. Prawie natychmiast spoważniała. Popatrzyła na Courtney badawczo zwężonymi w szparki oczami. - Nie powiesz jej?
- Groźna mina zapowiadała kłopoty w razie wyjawienia tajemnicy.

- Nie.

- Na pewno? Courtney skinęła głową.

- W nagrodę zorganizowałam prezent dla ciebie. To moja specjalność. - Rzuciła w jej kierunku tę samą pomadkę, którą oglądała na stoisku.

Courtney przysięgłaby, że widziała, jak odkładała ją na ladę. Złapała ją w locie. Niewielki przedmiot dosłownie parzył ją w rękę. Nie chciała zatrzymać kradzionej rzeczy. Miała nadzieję, że policja nie zaaresztuje młodej kleptomanki w jej obecności.

Pobladła ze strachu. Doświadczenie nauczyło ją, że nie warto ryzykować. Po śmierci matki popełniała podobne szaleństwa. Została przyłapana na kradzieży w droгим butik. Ochroniarze zawiadomili nie tylko policję, ale co gorsza ojca. Do końca życia nie zapomni wyrazu rozżalenia na jego zbolalej twarzy. Nigdy w życiu nie chciałaby już przeżyć podobnego poniżenia. W czasie gdy Annie poprawiała fryzurę i makijaż, po kryjomu wyrzuciła kradzioną szminkę do kosza. Annie zakończyła malowanie. Ruszyła w kierunku wyjścia. Widząc, że Courtney nadal stoi w miejscu, westchnęła ciężko.

- No co, idziesz czy nie?

Courtney schowała kosmetyczkę do torebki. Nie dociekała,

dokąd Annie zmierza. Zdecydowała towarzyszyć jej dokądkolwiek, chociaż przeczuwała kłopoty. Bezbłędnie rozpoznała oznaki zachwiania równowagi psychicznej. Wszystko wskazywało na to, że nieszczęśliwa, zbuntowana nastolatka koniecznie chce ściągnąć na swą głowę nieszczęście. Courtney postanowiła jej w tym przeszkodzić. Czowała się za nią odpowiedzialna zarówno ze względu na znajomość z Bethanne, jak i na pamięć własnych gorzkich przeżyć sprzed kilku lat.

Annie poprowadziła ją teraz gdzieś w kierunku północnym. Paplała wesoło o szkole, muzyce i innych błahostkach, jakby zaakceptowała jej towarzystwo. Courtney ujrzała Space Needle, wieżę o wysokości 184 metrów, wybudowaną jako symbol Wystawy Światowej w 1962 roku, co oznaczało, że dotarły w pobliże centrum Seattle. Na jakimś parkingu zastały sporą grupę młodzieży. Z poobtłukiwanego samochodu wysiadł chudy młodzieniec z długimi, tłustymi włosami. Podszedł do Annie, obrzucił jej towarzyszkę podejrzliwym spojrzeniem i spytał, co to za jedna.

- To Courtney. Jest w porządku.

- Mam na imię Chris - mruknął chłopak, obejmując Annie w talii.

- Cześć. - Wyciągnęła rękę na powitanie, chociaż budził w niej odrazę.

Ze sposobu, w jaki tulił do siebie Annie, domyśliła się, że ci dwoje stanowią parę.

- Masz towar? - spytała Annie. Chłopak skinął głową.

- No to na co czekamy? - wybuchnęła łobuzerskim śmiechem.

Courtney wywnioskowała, że zamierzają niepostrzeżenie zniknąć jej z oczu. Dopiero kiedy wsiedli do auta, Chris jakby sobie o niej przypomniał. Otworzył tylne drzwi.

- Wsiadaj. Jeżeli Annie twierdzi, że można ci zaufać, to jedź z nami.

Z ociąganiem usiadła na tylnym siedzeniu. Ledwie zdążyła zająć miejsce, zaryczał silnik. Chris ruszył. Courtney usiłowała odnaleźć pas bezpieczeństwa. Z przerażeniem odkryła, że samochód go wcale nie posiada.

- Dokąd mnie zabieracie? - spytała nieśmiało.

- Lepiej, żebyś nie wiedziała.

Kluczyli bocznymi uliczkami w różnych kierunkach, w górę i w dół. Courtney próbowała zapamiętać trasę, lecz po kilku zakrętach straciła orientację. Tylko powiew powietrza od przepływającego promu oraz liczne składy towarowe świadczyły o tym, że dojechali w pobliże portu. Już po ósmej wieczór Chris zatrzymał auto na parkingu.

- Idziemy - zarządził.

- Dokąd?

- Na imprezkę.

- Na co?

- Nie wiesz, co to takiego? - Annie popatrzyła na nią z takim politowaniem, jakby spadła z księżyca.

- Wiem - odparła Courtney.

Podejrzewała, że chodzi o nielegalną melinę. W Chicago

słyszała o istnieniu tego rodzaju lokali, ale nigdy żadnego nie odwiedziła.

- Próbowalaś już extasy? - spytał Chris, obejmując Annie ramieniem. Courtney pokręciła głową. Cofnęła się o krok.

- Nie martw się, coś ci załatwimy - obiecała Annie.

- Nie, dziękuję. Pierwszy raz tylko sobie popatrzę - usiłowała wybrnąć z opresji.

Annie popatrzyła znacząco na Chrisa. Wzruszył ramionami.

- Jak chcesz.

Weszli do jednego z opuszczonych magazynów. W środku panowały ciemności oraz nieopisany hałas. Od głośnej muzyki aż uszy bolały. Po kilku minutach oczy przywykły do mroku. Courtney wyteńczyła wzrok. Spróbowała rozeznaczyć, co się wokół niej dzieje. Jakieś pary tańczyły w zapamiętaniu. Pod ścianami inni goście popijali napoje, chyba piwo i wodę mineralną. Wyglądali na całkowicie zobojętniałych czy też zamroczonych. W powietrzu wisiał gęsty dym. Rozpoznała gryzący zapach marihuany.

Chris od razu wyciągnął Annie na parkiet. Courtney nie spuszczała z niej oka. Już podczas wyprawy na mecz zauważyła jej rozdrażnienie i buntowniczą postawę. Podejrzewała, że rozsadza ją złość na cały świat. Wkroczyła na niebezpieczną ścieżkę autodestrukcji. Courtney bez trudu rozpoznała oznaki zaburzeń emocjonalnych. Sama po śmierci matki przeżyła trudny okres. Ona również popełniła wiele głupstw. Zlekceważyła naukę, oceny spadły, zawierała też znajomości z nieodpowiednimi osobami. Miała na

sumieniu kilka szczeniackich wybryków. Chłopcy jej jeszcze wtedy nie interesowali, była na to za młoda. Na szczęście zmądrzała, zanim zdążyła sięgnąć po narkotyki. Żałowała swego postępowania. Nie życzyła Annie podobnych kłopotów ani wstydu. Pozostając na uboczu, uważnie śledziła jej poczynania. Wybrała punkt obserwacyjny pod ścianą. Cofając się w tamtym kierunku, omal nie wpadła na skulonego w kącie człowieka. Zamarła z przerażenia, widząc, jak wbija sobie w ramię igłę. Wkrótce po zastrzyku, najprawdopodobniej z heroiny, odrzucił głowę do tyłu, następnie padł bez czucia na ziemię.

Annie podbiegła do niej.

- Nie stój jak kołek! - wrzasnęła. - Tańcz!

Courtney wyszła na parkiet. Niezdarnie naśladowała ruchy innych uczestników zabawy. Machała rękami, udając, że tańczy. Czowała się niezręcznie, nie na miejscu, myślała, że wygląda jak mała. Gdyby Julianna zobaczyła ją w takim towarzystwie, nigdy by jej nie wybaczyła. Ojciec pewnie dostałby zawału na wieść, że zwiedzała narkotykową melinę. Ale Courtney nie miała innego wyjścia. Nie znała drogi powrotnej, nie umiałyby nawet trafić do domu. Muzyka rozbrzmiewała coraz głośniejsze. Courtney odnosiła wrażenie, że ściany drżą od łomotu. Annie i Chris wyglądali, jakby zapomnieli o całym świecie, całkowicie zaabsorbowani sobą nawzajem. Stracili poczucie rzeczywistości do tego stopnia, że dziewczyna nawet nie zauważyła, że torba upadła jej na podłogę. Podniosła ją Courtney. Obserwowała całą scenę z coraz większym niepokojem. Annie chwiała się,

wczepiona w Chrisa, spocona, zupełnie nieświadoma, co się wokół niej dzieje. Courtney dałaby głowę, że zażyła jakiś środek odurzający. Uznała, że najwyższa pora interweniować, niezależnie od tego, co Annie o niej pomyśli. Otworzyła jej torbę. Wśród zmiętych ubrań wymacała telefon komórkowy. Spośród zapisanych w pamięci numerów wyszukała dwie znajome osoby: matkę i brata. Doszła do wniosku, że jeżeli zawiadomi Andrew, łatwiej uzyska przebaczenie. Tak też zrobiła. Odebrał dopiero po czwartym sygnale.

- Czego? - burknął na powitanie, najwyraźniej wściekły.

- Tu Courtney! - wrzasnęła, żeby przekrzyczeć piekielny hałas.

- Czemu dzwonisz z telefonu mojej siostry?

- Annie wpadła w tarapaty, a ja nie wiem, co robić. - Starannie dobierała słowa, tak żeby potraktował ją serio i żeby go za bardzo nie wystraszyć.

- Gdzie jesteście?

- Nie mam pojęcia! W jakiejś spelunie, w opuszczonym składzie towarowym, gdzieś nad brzegiem oceanu! - krzyczała na całe gardło, żeby ją usłyszał. - O nie! - jęknęła na koniec.

- Co się stało?

- Zdjęła bluzkę, została topless. Jest pod wpływem narkotyków, chyba extasy - zawołała, zrozpaczona.

Uciekając od zgiełku, pospieszyła ku drzwiom. Wyszła na zewnątrz. Wokół panowały całkowite ciemności.

- Czy Chris was tam zabrał?

- Tak.

- No to chyba was znajdę. Pilnuj jej. Przyjadę jak najszybciej. -
Zamilkł na chwilę, jakby się zawahał.

- Bardzo ci dziękuję - dokończył pośpiesznie, po czym natychmiast przerwał połączenie.

Courtney biegiem wróciła do środka. Przedzierała się przez tłum zamroczonych postaci, intensywnie wypatrując Annie. W końcu ją znalazła. Z odchyłoną do tyłu głową obejmowała nogami jakiegoś obcego mężczyznę. Beładnie wymachiwała rękami. Chris trzymał w ramionach brunetkę ze zjeżonymi włosami. Wyglądali, jakby uprawiali seks. Courtney z odrazą odwróciła głowę. Nie wiedziała, czy powinna zostać przy Annie czy wybiec na dwór, żeby wskazać Andrew poszukiwany lokal. Po namyśle wybrała to drugie rozwiązanie. Kiedy tak stała sama w ciemnościach, wyobrażnia podpowiadała jej coraz gorsze scenariusze dalszego przebiegu wydarzeń w lokalu. W końcu ujrzała samochód Bethanne. Wydawało się, że minęły całe wieki, zanim wreszcie nadjechał.

Andrew wysiadł i podbiegł do niej z kocem w ręku.

- Gdzie ona jest?!

- Tam, w magazynie. Z jakimś facetem, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Truchlała ze strachu, w jakim stanie zastała nieszczęsną dziewczynę. Wątpiła, czy kiedykolwiek jej wybaczy, że zawiadomiła brata, ale nie dbała już o jej opinię.

Zależało jej wyłącznie na tym, żeby ją ratować. Andrew kazał jej poczekać na zewnątrz. Posłuchała, choć niechętnie. Przypuszczała, że odurzona narkotykami nastolatka będzie stawiała zacięty opór.

Uważała, że sam nie da rady nad nią zapanować, że będzie potrzebował drugiej osoby do pomocy. Przerażona potworną wizją, już chciała zadzwonić po policję, gdy wrócił Andrew. Niósł na rękach owiniętą w koc siostrę. Jej głowa zwisała bezwładnie.

- Co z nią? - spytała z niepokojem.

- Pomóż mi umieścić ją w samochodzie.

Posadzili Annie na tylnym siedzeniu. Courtney wyjęła z jej torby bluzkę, w której wyszła z domu. Usiłowała ubrać półnagą, nieprzytomną dziewczynę. Nie było to łatwe zadanie. Jakoś zdołała wcisnąć ręce w rękawy. Podczas zapinania guzików Annie padła twarzą w dół na siedzenie. Andrew uniósł jej nogi, ułożył ją w pozycji leżącej i owinął ciasno kocem. Nagle Annie uniosła głowę. Popatrzyła na Courtney.

- Jak się bawiłaś? - wybełkotała.

- Świetnie - mruknęła Courtney. Usiadła obok kierowcy.

- Leż i nic nie gadaj - rozkazał Andrew szorstkim tonem.

Ledwie ruszyli, Annie zaczęła jęczeć. Courtney usłyszała gdzieś z tyłu policyjne syreny. Nie wykluczała, że policja wpadła na trop narkotykowej meliny.

- Co z nią jest? - spytała.

Andrew w lot odgadł, że nie pyta o obecny stan Annie, tylko o jego przyczyny.

- Myślę, że próbuje ukarać ojca za opuszczenie rodziny. Nie pogodziła się z rozwodem rodziców. Robi, co może, żeby pożałowali swojej decyzji. Najgorsze, że nie rozumie, że największą krzywdę

wyrządza sama sobie.

- Boję się, że będzie mieć do mnie pretensje.

- Na pewno nie.

- Nie byłabym tego taka pewna - mruknęła. Uważała, że znacznie lepiej rozumie, co Annie czuje po stracie ojca niż jej brat. Gdy zmarła mama, Courtney straciła ochotę do życia. Wraciała ze szkoły, wiedząc, że już nigdy nie usłyszy kochanego głosu. Przestała pielęgnować tradycje. Nie cieszyły jej rodzinne święta, od kiedy przy stole zostało puste miejsce. Zaczęła postrzegać świat jako wrogie, nieprzyjazne miejsce. Nie potępiała Annie. Rozumiała, dlaczego sięgnęła po narkotyki. Ona sama popadła w nałóg chorobliwego obżarstwa. Dojście do względnej równowagi psychicznej zajęło jej cztery lata. Dopiero po tak długim czasie nabrała sił do walki ze zgubną słabością. Popatrzyła na Andrew.

- Chciałabym z nią później porozmawiać.

Chłopak oderwał wzrok od szosy na dość długo, żeby zajrzeć jej głęboko w oczy.

- Ona potrzebuje pomocy specjalisty.

- Wiem. - Miała nadzieję, że jeszcze nie jest za późno.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Większość z nas dzierga części garderoby dla kogoś bliskiego. Przerabianiu każdego oczka towarzyszą ciepłe myśli o drugim człowieku. W ten sposób pielęgnujemy i umacniamy więzi

międzyludzkie.

Eugene Bourgeois, The Philosopher's Wool Co. Inverhuron, Ontario www.philosopherswool.com

LYDIA HOFFMAN

Dzięki mojej rodzinie jakoś przetrwałam Czwartego Lipca. Matt i Margaret okazywali mi wiele serdeczności. Tylko mama jeden, jedyny raz spytała o Brada. Nie wiem, co Margaret jej powiedziała, ale później nie padło już ani słowo na jego temat. Mama przycichła, wyglądała na zmieszaną i zagubioną. Zabawiałam ją rozmową o ogrodzie, sklepie, trochę podyskutowałyśmy o programach telewizyjnych, które obydwie oglądałyśmy, jednak moje myśli nieustannie krążyły wokół Brada i Cody'ego. Z rozpaczy odczuwałam stały ból w klatce piersiowej. Zrozumiałam, że właśnie fizyczne cierpienie towarzyszące osobistym porażkom ludzie określają mianem złamanego serca. Usiłowałam sobie wytłumaczyć, że Cody potrzebuje matki, mimo to chciało mi się płakać, bo to Janice jest z nimi, a nie ja.

Przyrządziliśmy sobie typowo amerykańskie dania z rusztu: kurczaki i pieczoną kukurydzę, do tego surówkę z kapusty. Później poczęstowałam wszystkich ciastkami z „French Cafe”. Wybrałam specjalność Alix: ptysie i napoleonki.

Po deserze odwiozłam mamę do domu. Była zbyt zmęczona, żeby czekać do wieczora na pokaz sztucznych ogni.

Fakt, że Brad nadal przyjeżdżał do mnie z towarem, jeszcze pogłębiał moje przygnębienie. Margaret powiedziała mi we wtorek, że

prosił o zastępstwo, ale nie uzyskał zgody. Uwierzyłam bez zastrzeżeń. Kiedy z nim zerwałam, szefowie uwzględnili jego prośbę o zmianę harmonogramu pracy. Gdy do niego wróciłam, pozwolono mu jeździć dawną trasą. Nic dziwnego, że dyrekcja nie wyraziła zgody na kolejną rozsadę. Zwyczajnie straciła do niego cierpliwość. Tak więc zewnętrzne okoliczności zmuszały nas do regularnych spotkań na gruncie zawodowym.

Pocieszało mnie tylko to, że Margaret ostatnio jakby poweselała. Okazywała mi wiele życzliwości. Po tygodniach załamania od chwili utraty pracy przez Matta doszła do równowagi. Przypuszczałam, że nadal przeżywa trudne chwile, ale ukrywa przede mną własne zmartwienie, żeby mnie podnieść na duchu. Bardzo chciałam wierzyć, że dba o dobrą atmosferę w pracy z miłości do mnie. Doceniałam jej wysiłki. Od czasu rozstania Brad przyjechał do nas cztery lub pięć razy. Margaret zawsze mnie zastępowała podczas przyjęcia towaru. Byłam jej wdzięczna. Nie potrafiłabym rozmawiać z Bradem jak ze zwyczajnym znajomym, jakby między nami nic nie było. Z pewnością moje zachowanie zdradziłoby, że nadal cierpię. Nie zniosłabym takiego upokorzenia.

Drugą pociechę stanowiło powodzenie piątkowych spotkań charytatywnych. Pracowałyśmy dla kilku organizacji. Kiedy wymyśliłam tę działalność, moje uczennice wybrały dzierganie kawałków koców dla fundacji „Ogrzejcie Amerykę!”. Margaret łączy szydełkiem wykonane przez nie prostokąty o wymiarach 17,8 x 22,9 cm w jedną całość. Wykonanie poszczególnych części nie przedstawia

żadnych trudności, nie pochłania też wiele czasu. Jacqueline, Carol i Alix prowadzą niezwykle aktywny tryb życia. Właśnie z tego względu ten projekt najbardziej przypadł im do gustu. Poza tym cieszy je, że każdą rzecz tworzą wspólnym wysiłkiem.

Elise deklarowała, że do nich dołączy, ale jak do tej pory jeszcze nie spełniła obietnicy. Dałam jej trochę włóczki z darów. Robi w domu koc na rzecz projektu Linus. Alix wydziergała ich już kilka w czasie wolnym od nauki w Akademii Gastronomicznej w Seattle i pracy na część etatu we „French Cafe”.

Margaret była w sklepie w piątek po południu, gdy wszystkie trzy uczestniczki mojego pierwszego kursu przyszły na zajęcia dobroczynne. Powitałyśmy je z radością. Pierwsza przybyła Jacqueline.

- Wróciłam! - oznajmiła od progu.

Zawsze robiła teatralne wejście. Z początku denerwowały mnie te występy. Z czasem do nich przywykłam, a nawet je polubiłam, podobnie jak Margaret. Jacqueline jak zwykle wyglądała na damę. Z kunsztownej fryzury nie wystawał ani jeden włos. Podkreślała z powagą, że to zasługa dobrego lakieru. Dawno straciłam rachubę, kiedy i dokąd podróżowała wraz z Reece'em. W ubiegłym roku popłynęli na rejs po wyspach greckich, odbyli wędrowkę po Krainie Jezior w Anglii, wreszcie wzięli udział w połowach łososi na Alasce. Jacqueline wyjaśniła, że o tej ostatniej wyprawie jej mąż marzył od lat. Ku mojemu zdziwieniu podzielała jego entuzjizm. Przyniosła mi nawet parę kawałków wędzonego łososia.

- Jak się masz? - spytała na powitanie. Prawie natychmiast uściskała mnie, nie czekając na odpowiedź.

- Dobrze - skłamałam.

Usiadła przy stole. Zaczęła robić prostokąty z ręcznie uprzedzonej, czystej wełny po czternaście dolarów za motek. W swej wielkiej szczodrości sama kupowała najlepszej jakości włóczki na cele dobroczynne, nie zważając na cenę. Nigdy nie korzystała z resztek z darów. Rozejrzała się po pustym wnętrzu, zdziwiona, że nikogo jeszcze nie ma. Przeważnie przychodziła z pewnym opóźnieniem.

- Widzę, że przybyłam pierwsza - zauważyła. - W takim razie ty pierwsza usłyszysz nowinę. Wyobraź sobie, że Tammy Lee znowu jest w ciąży. Ręce opadają - dodała z szerokim uśmiechem.

Doskonale pamiętałam, że z początku nie akceptowała synowej z Południa. Nawet nie wymieniała jej imienia, zastępowała je obelżywymi przezwiskami. Kiedy ją lepiej poznała, diametralnie zmieniła nastawienie. Szczerze polubiła cierpliwą, miłą dziewczynę o złotym sercu. Obecnie głośno wychwala jej zalety. Pokochała swą pierwszą wnuczkę, Amelię. Byłam pewna, że równie wielką miłością otoczy nowego członka rodziny.

- To dziewczynka. Przyjdzie na świat w lutym, prawdopodobnie około dnia świętego Walentego. Czyż to nie cudowne?! Po zajęciach chciałabym obejrzeć wzory ubranek dla niemowląt. Czeka mnie mnóstwo pracy!

Parsknęłyśmy śmiechem. W tym momencie weszła Carol. Co

najdziwniejsze, sama.

- Gdzie Cameron? - spytałam.

Przepadałam za jej rocznym synkiem. Carol i Doug od lat bezskutecznie starali się o dziecko. Spróbowali nawet sztucznego zapłodnienia. Bez efektu. Spełnienie ich marzeń miało wszelkie znamiona cudu. Dzięki pomocy Alix dostali synka dosłownie w prezencie od losu. Jej współmieszkanka oczekiwała niechcianego dziecka. Alix zapoznała nieszczęsną dziewczynę z bezdzietnym małżeństwem. Dzięki jej pomocy adoptowali Camerona.

- Został z tatą. Doug ma dzisiaj wolne - wyjaśniła Carol. Wymieniła pozdrowienia z Jacqueline, po czym wyjęła robótkę. Jej wizyta sprawiła mi wielką radość. Opieka nad maleństwem absorbowała ją całkowicie. Dołączała do nas tylko na czas popołudniowej drzemki dzidziusia. Stawiała wózek obok stołu, a kiedy mały się obudził, natychmiast nas opuszczała. Był dla niej wszystkim: największą miłością, sensem i treścią życia. Mawiała, że jego pojawienie zacieśniło jeszcze mocniej więzi małżeńskie. Cameron całkowicie zawładnął sercami dwojga małżonków. Miałam ochotę im powiedzieć, żeby cenili każdą piękną chwilę jak największy skarb, gdyż szczęście bywa ulotne, łatwo je utracić. Moje przeminęło bezpowrotnie dwa tygodnie temu.

Druty szybko migały w rękach Carol. Ta zapalona, wielce utalentowana dziewiarka lubi nowe wyzwania. Pokazałam jej zaledwie początki techniki robienia skarpet na dwóch okrągłych drutach. Reszty nauczyła się sama. Nagle zmarszczyła brwi.

- Otrzymałam niedawno wiadomość od brata - oświadczyła. -
Ponownie się ożenił.

- Nie zaprosił was na ślub?

- Nie. Zawiadomił nas dopiero po fakcie.

Z tonu jej głosu odgadłam, że doznała sporego rozczarowania. Opowiadała mi o Ricku już wcześniej. Pracował jako pilot w pasażerskich liniach lotniczych. Przedstawiała go jako niedojrzałego, lekkomyślnego egoistę.

Romanse ze stewardesami i pasażerkami zrujnowały pierwszy związek z kobietą, którą Carol bardzo lubiła.

- Mam nadzieję, że drugie małżeństwo przetrwa dłużej. Wysłaliśmy im z Dougiem prezent. Ostatnio niezbyt często pisze.

Z niezadowolonej miny przyjaciółki wywnioskowałam, że i ona nie wygląda z utęsknieniem wieści od marnotrawnego braciszka. Otworzyła usta, lecz zanim zdążyła coś dodać, w drzwiach stanęła Alix. Wszystkie obecne osoby pozdrowiły ją chórem.

- Kogo-ja-widzę?! - zawołała jednym tchem.

Alix to osoba nietypowa. Kiedy przyszła na pierwszą lekcję, myślałam, że mam do czynienia z łobuzicą. Oświadczyła, że wydzierga kocyk, ponieważ sąd skazał ją na odpracowanie pewnej liczby godzin w czynie społecznym. Następnie spytała, czy robótki ręczne pomagają rozładować agresję. Mimo że z początku zrobiła fatalne wrażenie, wkrótce pokochałyśmy ją wszystkie. Czas i miłość złagodziły szorstkie strony jej charakteru. Od zeszłego roku spotyka się z pastorem, którego zna jeszcze ze szkoły. Twierdzi, że to

poważny związek. Nie zdziwi mnie, jeśli w najbliższym czasie ogłoszą zaręczyny.

Alix zmarszczyła brwi. Popatrzyła mi w oczy.

- Wiem o Bradzie. Jeśli chcesz, mogę mu zrobić krzywdę. Powiedz tylko słowo. Nie potrafiłam ocenić, czy żartuje, czy mówi serio. Na wszelki wypadek udałam rozbawienie.

- Nie cierpię z jego powodu - skłamałam, podobnie jak w rozmowie z Jacqueline.

- Na pewno? Skinęłam głową.

Alix zasiadła do roboty. Ja zajęłam miejsce na końcu stołu. Kończyłam czapkę dla osoby po chemioterapii. Z uśmiechem obserwowałam postępy koleżanek. Spróbowałam sobie wyobrazić, jaki koc stworzą wspólnym wysiłkiem dla fundacji „Ogrzejcie Amerykę!”. Jacqueline dziergała różowo-liliowe prostokąty z czystej wełny, Carol - jasnoniebieskie z włóczki, która została jej ze sweterka dla Camerona. Alix dostała ode mnie zielono-żółtą mieszankę od jednego z darczyńców.

- Upiekłam ciasteczka francuskie - obwieściła z dumą Alix. - Są bardzo delikatne, trudno je wykonać. Wyszły doskonale. Natychmiast je sprzedalam.

- Cudownie! - wykrzyknęła Jacqueline. - W przyszłym tygodniu wydaję oficjalne przyjęcie. Zamówię u ciebie całą blachę.

- Ty dostaniesz je za darmo. Przygotuję w domu. Alix nadal mieszkała w służbówce u Jacqueline i Reece'a. Z początku zatrudnili ją jako pomoc domową. Kiedy rozpoczęła naukę, zrezygnowała z tej

posady z powodu nadmiaru obowiązków. Donovanowie wynajęli więc dochodzącą gospozię. Alix tylko doglądała domu, gdy wyjeżdżali za granicę.

- Wyobraźcie sobie, że dostałam pierwszą w życiu posadę w wyuczonym zawodzie cukiernika. W dodatku w tym samym lokalu co wcześniej, ponieważ w dawnym sklepie z kasetami wideo urządzono obecnie wytworną kawiarnię w stylu francuskim.

- Nie załatwiliśmy jej tego stanowiska. Otrzymała je wyłącznie dzięki własnym wysokim kwalifikacjom - dodała Jacqueline.

- Słowo honoru! - dorzuciła Alix. - Każdy, kto spróbuje moich ekierok albo ptysiów, przyzna, że sporo umiem.

- Nie wódź nas na pokuszenie! - upomniała ją Jacqueline. Przymknęła oczy z rozmarzeniem. - Powinam zapomnieć o łąkociach. Jestem na diecie. Słodocy unikam jak ognia, oczywiście z wyjątkiem oficjalnych imprez.

- A propos odchudzania: ostatnio przyjełam na kurs nastolatkę, która twierdzi, że robienie na drutach pomaga jej zrzucić zbędne kilogramy. - Roześmiałam się. - Brzmi to dosyć niewiarygodnie, ale Courtney zapewnia, że odkąd znalazła zajęcie dla rąk, rzadziej zagląda do lodówki. I co najdziwniejsze, faktycznie zeszczupłała już trochę.

- Być może to niezła metoda. Opowiedz coś więcej o tej panience.

- Pamiętacie Verę Pulanski? To jej wnuczka. Przyjechała do niej na rok. Zda tutaj maturę.

- Zmiana otoczenia to spory stres. Ciekawe, jak jej leci w nowym miejscu? - dopytywała się Alix.

- Na razie nieźle.

- Uczysz oprócz niej jakieś ciekawe osoby? - chciała wiedzieć Carol.

- Przychodzi też Bethanne, świeżo po rozwodzie. Jeszcze nie odnalazła samej siebie - odrzekłam dość ogólnikowo.

Coraz bardziej się o nią martwiłam. W kółko powtarzała, że poszukuje pracy. Podsunęłyśmy jej parę pomysłów. Nawet nie spróbowała zastosować którejkolwiek z naszych rad. Wyglądało na to, że cierpi na depresję. Brakowało jej energii, motywacji, nie potrafiła nawet wytyczyć sobie konkretnego życiowego celu. Żyła tylko dla swych nastoletnich dzieci. Za kilka lat, gdy odejdą z domu, pozostanie w kompletnej pustce. Odłożyłam na bok czapeczkę. Następnie rozpoczęłam próbkę wzoru z najnowszej mieszanki wełny i akrylu, którą niedawno otrzymałam od przedstawiciela handlowego.

- Uczę jeszcze Elise, emerytowaną bibliotekarkę - relacjonowałam dalej. - O niej wiem bardzo niewiele. Z początku uznałam ją za świętoszkę, ale z czasem zmieniłam zdanie. Teraz widzę, że to osoba skryta, niełatwo nawiązuje kontakt z ludźmi. Przypuszczam, że nie ma wielu przyjaciół.

- Wspomniałaś jej może o moim Klubie Urodzinowym? Przyjmiemy ją z otwartymi rękami - zadeklarowała Jacqueline. Ta dusza towarzystwa nie przepuściła żadnej okazji, żeby poszerzyć krąg znajomych.

- Elise nie sprawia wrażenia entuzjastki jakichkolwiek stowarzyszeń - ostrzegłam.

- Ale nasze z pewnością polubi. Zawsze znajdziemy pretekst do dobrej zabawy. Jeżeli w danym miesiącu nikt z nas nie przyszedł na świat, świętujemy urodziny znanego pisarza. Na przykład w czerwcu urządziłyśmy przyjęcia ku czci Judy Garland i Dorothy Sayers. Świetnie się bawiliśmy - zachichotała jak kilkunastoletnia trzpiotka.

Aż trudno uwierzyć, że rok temu wkroczyła do sklepu wyniosła i dumna jak królowa. Przypisuję tę przemianę ponownemu rozkwitowi miłości do męża i pojednaniu z nieakceptowaną wcześniej synową.

Obiecałam bez przekonania, że przekażę Elise tę propozycję. Nie potrafiłam rozszyfrować jej charakteru. Odniosłam wrażenie, że ta skryta, pełna wewnętrznych zahamowań osoba boi się otworzyć przed obcymi. Tylko o córce i wnukach opowiadała otwarcie, ze szczerym entuzjazmem. Na ostatniej lekcji zachowywała jeszcze większą rezerwę niż zwykle. Ilekroć próbowałam ją wciągnąć w rozmowę, tłumaczyła z przeproszającym uśmiechem, że nie ma nastroju do konwersacji. Mimo wszystko ujawniła tego dnia parę informacji o sobie. Otóż jej były mąż przyjechał ostatnio w odwiedziny. Zamierza znaleźć sobie mieszkanie gdzieś w okolicy. Elise nie wyglądała na zachwyconą, że po latach nieobecności nieoczekiwanie wtargnął w życie jej rodziny.

Zadzwonił dzwonek u drzwi. Ponieważ był piątek, obawiałam się, że przyjechał Brad. W takim wypadku poprosiłabym Margaret o przyjęcie towaru. Już i tak wiele mi dzisiaj pomogła. Całe popołudnie

sama obsługiwała klientów. Doskonale rozumiała, że potrzebuję wytchnienia w gronie przyjaciół z robótką w rękę. Na widok Elise odetchnęłam z ulgą. Powitałam ją ciepło.

- Właśnie o tobie mówiłyśmy - zagadnęłam.

Nowo przybyła obrzuciła towarzystwo przy stole lękliwym spojrzeniem. Przedstawiłam ją wszystkim obecnym. Jacqueline szybko uprzątnęła swoje przybory z sąsiedniego krzesła, żeby zrobić jej miejsce obok siebie.

- Wiemy już od Lydii, że przeszłaś ostatnio na emeryturę. Byłoby nam bardzo miło, gdybyś zechciała dołączyć do naszego Klubu Urodzinowego. Kiedy obchodzisz urodziny?

- W styczniu - odrzekła Elise z dość niepewną miną.

- W moim wieku to, że przybywa lat, nie stanowi już powodu do radości. Nie widzę powodu do świętowania.

- Chyba żartujesz! - zaprotestowała Jacqueline, wybuchnąwszy śmiechem. - Rozpoczęcie każdego roku życia to doskonały pretekst, żeby urządzić imprezę. Życie jest takie krótkie, należy z niego korzystać. Najbliższe przyjęcie wydajemy we wtorek. Wpadnę po ciebie. Na pewno polubisz nasze spotkania.

- Nie znam tam nikogo - usiłowała protestować Elise.

- Znasz mnie.

- Ale... ile to będzie kosztować?

- Ponieważ twoje urodziny w tym roku przypadły, pierwszy raz ja cię zapraszam. - Zanim Elise zdążyła zgłosić kolejne zastrzeżenia, obwieściła tonem nieznoszącym sprzeciwu, który wszystkie tak

dobrze znamy:

- Koniec dyskusji. Przychodzisz i kropka!

- No dobrze - zgodziła się Elise bez przekonania. Niepewna mina świadczyła o tym, że traktuje uczestnictwo w imprezie jak obowiązek, a nie jak rozrywkę.

Serdeczność przyjaciółek rozgrzała natomiast moje serce. Uśmiechnęłam się do wszystkich z wdzięcznością. W tym momencie ponownie usłyszałam dzwonek u drzwi. Na widok Brada uśmiech zgasł na moich ustach.

Ponownie ogarnął mnie smutek. Na szczęście Margaret natychmiast pospieszyła na odsiecz. Posłała mi z drugiego końca pokoju uspokajające spojrzenie. Obiecała, że się nim zajmie.

Alix zmarszczyła brwi.

- Jeśli chcesz, mogę mu nieźle dokuczyć - szepnęła mi do ucha. - Daj tylko znać.

Nadal nie wiedziałam, czy żartuje, czy naprawdę zamierza zrobić coś złego. Wystarczyło jedno spojrzenie na Brada, żeby stwierdzić, że cierpi równie mocno jak ja. Nie trzeba go było dodatkowo dręczyć. I tak wyglądał na załamane.

- To nie będzie konieczne - zapewniłam.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ELISE BEAUMONT

Organizowane przez Bibliotekę Publiczną w Seattle spotkania w

Klubie Książki odbywały się w drugi poniedziałek każdego miesiąca. Elise już dawno zaplanowała sobie, że będzie na nie uczęszczać na emeryturze. Uwielbiała je. Lipcowe seminarium poświęcono powieści Susan Wreeland, „Dziewczyna w hiacyntowych błękitach”. Ożywiona dyskusja przyniosła nową, zaskakującą interpretację znanego dzieła. Wróciła zadowolona, radosna, jakby nagle przybyło jej energii. Propozycja Jacqueline również powoli zaczynała przemawiać do jej wyobraźni. Zapragnęła przynajmniej raz skorzystać z zaproszenia do Klubu Urodzinowego. Przyrzekła sobie, że będzie się dobrze bawić.

Wysiadła z autobusu przy bloku sąsiadującym z domem córki. Weszła do środka. Wewnątrz panowała niezwykła cisza. Na ogół już w progu witali ją Luke i John. Usiłowała sobie przypomnieć, czy Aurora ustalała z nią plany na popołudnie.

- Wróciłam! - zawołała. - Uczestniczyłam we wspaniałym spotkaniu, najlepszym jak do tej pory. I, wyobraź sobie... - Przerwała na widok Mavericka.

Wyszedł z kuchni w fartuchu, z umazaną pastą pomidorową drewnianą łyżką w ręce.

- Aurora wyszła z chłopcami na całe popołudnie. To taki nieplanowany, spontaniczny wypad. A ja gotuję - dodał, jakby nie było widać, co robi. - Lasagne. Zawsze je lubiłaś.

Elise westchnęła ciężko. Cała radość wyparowała w jednej sekundzie. Nie skomentowała ostatniego zdania, choć pewnie oczekiwał pochwały. Wyobraziła sobie, że zdążył już jak zwykle zabrudzić wszystkie możliwe naczynia aż do ostatniej miseczki.

Zawsze zostawiał po sobie w kuchni nieopisany rozgardiasz.

- Czy Aurora o tym wie?

- Sama mi podsunęła ten pomysł. Zjesz ze mną, prawda? Zasiądziemy do stołu tylko we dwoje. Reszta rodziny zapewne nieprędko wróci. - Posłał jej zniewalający uśmiech, któremu nigdy nie potrafiła się oprzeć.

Nie bardzo wierzyła, że to Aurora namówiła go na gotowanie. Odparcie pokusy kosztowało ją sporo wysiłku. W końcu zdrowy rozsądek zwyciężył.

- Dziękuję. Zjadłam co nieco w bufecie po zajęciach w Klubie Książki.

- Co czytaliście? - Spostrzegłszy, że zamierza umknąć, zastąpił jej drogę.

- Książkę - ucięła.

Maverick zachichotał, jakby usłyszał najlepszy dowcip.

- Bądź uprzejmy mnie przepuścić. Chciałabym pójść do siebie. Maverick zignorował jej prośbę.

- Właśnie wstawiłem danie do pieca. Będzie gotowe za godzinę.

- Kiedy wróci Aurora z dziećmi?

- Trudno powiedzieć. Chyba koło ósmej. Poszli do jakiejś koleżanki, bodajże Susan. - Ostatnie zdanie wymówił z wahaniem, jakby nie był pewny, czy dobrze zapamiętał.

Pytająca intonacja nie umknęła uwagi Elise. Gdyby uczestniczył w życiu córki, znałby jej przyjaciół.

- Aurora przyjaźni się z Susan Katz od najmłodszych lat -

przypomniała z urazą. - Ma dwie córeczki w wieku Luke'a i Johna. Czy pojedą nad jezioro?

- Przypuszczam, że tak.

Dopiero teraz Elise uwierzyła, że nie wrócą do wieczora. Przy bardzo aktywnym, w dodatku nieuregulowanym trybie życia Aurorze i Susan trudno było skoordynować wolne terminy. Skoro już znalazły okazję do spotkania, przypuszczała, że zechcą przedłużyć pobyt nad jeziorem, gdzie obydwie chętnie wypoczywały z dziećmi. Sądziła, że w drodze powrotnej jeszcze wstąpią gdzieś razem na kolację.

- David nie wróci do środy - poinformowała byłego męża.

- Wiem. Zostaliśmy tylko we dwoje.

- Nie, zostałeś sam - sprostowała ze złośliwą satysfakcją. - Mówiłam, że już jadłam. Widocznie nie uważałeś. Nie jestem głodna. Spędzę resztę wieczoru w swoim pokoju.

Uśmiech zgasł na ustach Mavericka. Widać było, że odmowa sprawiła mu wielką przykrość. Elise poczuła wyrzuty sumienia. Odetchnęła z ulgą, kiedy wrócił do kuchni. Nadal jednak dręczyło ją poczucie winy. W dodatku irytowało ją, że nadal dba o jego samopoczucie. W zdecydowanie złym humorze przemierzyła długi korytarz prowadzący do sypialni.

Godzinę później siedziała przed telewizorem z robótką w rękę, słuchając jednym uchem wieczornych wiadomości. Wykonała już piętnaście prostokątów dla fundacji „Ogrzejcie Amerykę!” i cały koc na rzecz projektu Linus. W oczekiwaniu na następną lekcję i kolejne instrukcje dotyczące robienia skarpet na dwóch parach okrągłych

drutów dziergała dla organizacji dobroczynnych. Kończyła właśnie fragment koca, kiedy poczuła, że głód ściska jej żołądek. Po dyskusji w Klubie Książki zjadła zaledwie kilka kawałków marchewki, selera i plasterek sera z bufetu wegetariańskiego. Nic dziwnego, że lekkie przekąski nie na długo zaspokoily apetyt. Maverick jakby czytał w jej myślach. Wybrał najwłaściwszy moment, żeby zapukać do drzwi.

- Przyszedłem spytać, czy przypadkiem nie zmieniałaś zdania - zagadnął. - Samotne spożywanie posiłków to żadna przyjemność.

Wraz z nim wpłynęła do pokoju fala smakowitych aromatów: bazylii, oregano, czosnku, pomidorów. Podwójna zachęta skruszyła opór Elise.

- Spróbuję coś przekąsić - zgodziła się. Zanim wyszła, głos rozsądku podszeptał jeszcze, że na przyszłość warto by zgromadzić w pokoju zapasy żywności.

- Nie pożałujesz - zapewnił Maverick z niekłamanym entuzjazmem. Zaprowadził ją do jadalni.

Wszystko wskazywało na to, że przygotował tę kolację specjalnie na jej cześć. Środek stołu zdobił bukiet świeżych stokrotek. Dwa nakrycia z najlepszej porcelany Aurory ustawił po przeciwnych stronach stołu. Do kryształowych pucharów nalał czerwonego wina, prawdopodobnie merlota. Choć minęło wiele lat od ostatniego posiłku we dwoje, Elise doskonale pamiętała jego upodobania. W dniu oświadczyń również przygotował dla niej wieczerzę: owoce morza z kremowym sosem z krabów i krewetek. Aż dziwne, że wciąż wspominała ucztę sprzed kilkudziesięciu lat.

Maverick odsunął dla niej krzesło. Popatrzyła znacząco na napełniony winem puchar.

- Byłeś pewien, że przyjdę, prawda? - spytała szorstkim tonem.

- Liczyłem na to, że zwabi cię zapach moich potraw.

Elise poczuła silny skurcz żołądka, wywołany nie tylko głodem. Świadoma ryzyka, jak dotąd skutecznie unikała przebywania sam na sam z byłym mężem. Niepokoiło ją, że tak łatwo uległa jego namowom. Skoro już jednak przyjęła zaproszenie, nie wypadało zrezygnować, tym bardziej że organizm gwałtownie domagał się pożywienia. Maverick przyniósł przyprawioną czosnkiem sałatkę, zwaną Cesarską. Ledwie usiadł, uniósł do góry swój kieliszek.

- Proponuję wznieść toast.

- Miło z twojej strony, ale nie widzę powodu - zaprotestowała.

Głos jej drżał. - Nie jesteśmy na randce. Jeden wspólny posiłek nie wskrzesi wygasłych uczuć. Szkoda nawet liczyć, ile lat upłynęło od rozvodu. - Wbrew ostatniemu zdaniu, dokładnie pamiętała datę rozstania.

Maverick zignorował gorzkie słowa.

- Za Elise, jedyną miłość mojego życia.

- Nie chcę więcej słuchać takich rzeczy - wykrztusiła przez ściśnięte gardło, urażona, że po całych dziesięcioleciach nieobecności znowu próbuje zawrócić jej w głowie. Odsunęła krzesło, gotowa umknąć do pokoju przy następnej niestosownej uwadze.

Maverick odstawił szklankę. Najspokojniej w świecie sięgnął po widelec, jakby nie dostrzegał jej wzburzenia. Ponieważ wyglądało na

to, że nie zamierza jej dłużej dręczyć, poszła w jego ślady. Pierwsze kęsy z trudem przechodziły przez ściśnięte gardło. Po kilku następnych przyznała po cichu, że warto było zostać przy stole. Umiejętności kulinarne należały do najlepiej rozwiniętych spośród rozlicznych talentów Mavericka. Gdyby spróbował uczciwej pracy zamiast czekać na uśmiech fortuny przy karcianym stoliku, zostałby pewnie sławnym szefem kuchni w renomowanym lokalu. Tymczasem on strawił życie na pogoni za mrzonkami, nie osiągając niczego.

Gdy skończyli sałatkę, Maverick podał lasagne. Smakowały równie bosko, jak pachniały. Elise zjadła znacznie więcej niż zwykle. Spożywali je w milczeniu. Ledwie skończyli, poprosił o chwilę rozmowy.

- Ciekawe o czym? - mruknęła Elise bez cienia zainteresowania. Ku jej zdziwieniu Maverick odchylił głowę do tyłu i roześmiał się na całe gardło.

- Co cię tak rozbawiło? - spytała z urazą w głosie.

Ponownie pożałowała, że przyjęła zaproszenie. Postanowiła sobie twardo, że kolejnej pokusie już nie ulegnie.

- Uwielbiam tę twoją hardość. Doskonale pamiętam to wyniosłe spojrzenie z okresu naszego małżeństwa. Nadal za nim przepadam - zakończył z triumfalnym uśmiechem.

Elise wzięła do ust ostatnią porcję z sosem i topionym serem, żeby uniknąć odpowiedzi. Powiedziała sobie, że nie zostanie ani minuty dłużej. Kiedy skończy jedzenie, natychmiast wróci do swej bezpiecznej przystani.

- Zawsze gdy przybierałaś taką groźną minę, zakładałem się sam ze sobą, ile czasu minie, zanim skłonię cię do uśmiechu. - Posłał jej szelmowskie spojrzenie. - Obejmowałem cię z tyłu i całowałem, aż...

- Nic takiego nie robiłeś - przerwała mu w pół słowa.

Tłumiła przyjemne wspomnienia właśnie dlatego, że doskonale pamiętała, z jaką łatwością nią manipulował. Igrał z jej uczuciami, wykorzystywał słabość. I zawsze osiągał to, czego chciał. Na domiar złego bez skrępowania przyznawał, że nawet zaloty traktował jak rodzaj gry. Irytowało ją, że urządził sobie zabawę jej kosztem.

- Jestem pewien, że pamiętasz - szepnął.

- Zrobiłam, co mogłam, żeby zapomnieć. Życie z tobą nie było usłane różami - wytknęła obojętnym tonem.

Uśmiech zgasł na ustach Mavericka.

- Zdaję sobie z tego sprawę - przyznał z powagą.

- Nadal pozostałeś tym samym człowiekiem. Choćbyś nie wiem ile razy przysięgał, nie porzucisz kart.

- Nie masz racji. Nie muszę grać hazardowo. Nie jestem uzależniony - zapewnił spokojnie.

- Zupełnie jakbym słuchała alkoholika, który w drodze do karczmy przysięga, że nie zajrzy do kieliszka. - Pokręciła głową z dezaprobatą. Nie wierzyła, że zerwał z nałogiem. Dopiero co uczył wnuków zasad pokera.

- Słowo honoru, porzuciłem dawne życie, Elise. Nie chcę już uzależniać swojego szczęścia od liczby oczek w kościach czy dobrej karty w pokerze. Potrzebuję rodziny. I ciebie.

Zaskoczył ją. Drżały jej ręce. O mało nie rozlała wina na obrus. Wyszło jej w gardle.

- Za późno - powiedziała, gdy wreszcie odzyskała głos. - Trzydzieści siedem lat za późno.

Maverick, niezrażony, uniósł kieliszek w jej kierunku, jakby wznosił toast.

- Ja uważam, że przybyłem w samą porę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

BETHANNE HAMLIN

Bethanne wyłączyła odkurzacz. Zaczęła nasłuchiwać. Rzeczywiście dzwonił telefon. Najchętniej włączyłaby sekretarkę, ale ponieważ złożyła ostatnio kilka podań o pracę, wołała odebrać osobiście, żeby nie zmarnować okazji, gdyby telefonował ewentualny pracodawca. Pospieszyła do kuchni. Wzięła głęboki oddech, zanim podniosła słuchawkę. Przedstawiła się spokojnym, rzeczowym tonem. Na dźwięk głosu byłego męża omal nie zemdląca. Po spotkaniu w kawiarni przy Blossom Street nie chciała go więcej widzieć ani słyszeć. Na samo wspomnienie ogarniała ją wściekłość.

- Witaj, Grant, jak przykro cię słyszeć - powitała go jadownicie słodkim tonem.

- Koniecznie musimy porozmawiać. Zaraz do ciebie wpadnę.

Miała ochotę wypomnieć, że nie zapytał jej o zdanie, i zaznaczyć, że tym razem to do niej należy decyzja. Wiedziała jednak, że łatwo go nie spławi. Po wielu latach pożycia znała go zbyt dobrze,

żeby wszczynać kłótnię. Wyczuła zdenerwowanie w jego głosie. Podejrzewała, że jakaś pilna sprawa przygnała go nagle w samym środku dnia. Wyraziła zgodę. Po odłożeniu słuchawki wróciła do przerwane go sprzątania.

Dokładnie siedem minut później usłyszała równocześnie walenie pięścią w drzwi i szarpanie za klamkę. Widocznie wiele miesięcy po rozwodzie nadal uważał, że ma prawo przyjść, kiedy mu się żywnie podoba. Niedoczekanie! - pomyślała z mściwą satysfakcją. Gdy tylko otrzymała dom w wyniku podziału majątku, natychmiast zmieniła zamki. Tym niemalże symbolicznym gestem wyrzuciła go ze swego życia. Podeszła do drzwi bez pośpiechu. Z ociąganiem odsunęła zasuwę. Odczuwała satysfakcję, że przynajmniej raz każe mu czekać na dworze.

- Myślałaś, że wyważę drzwi? - warknął na przywitanie.

- Nie zamierzałam ci na to pozwolić. - Ostatnie słowo wymówiła ze szczególnym naciskiem, żeby zrozumiał, kto tu teraz rządzi.

Grant wparował prosto do kuchni. Stał naprzeciwko byłej żony. Wbił w jej twarz rozwścieczone spojrzenie.

- Ty skłoniłaś do tego Annie?

- Do czego?

- Doskonale wiesz - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Gdzie ona jest?

- Mogę ci tylko powiedzieć, że nie ma jej w domu - mruknęła.

Odgadła, że córka znowu coś spociła. Wsparła biodra o szafkę kuchenną i skrzyżowała ręce na piersi. Nie odczuwała wyrzutów

sumienia. Usiłowała go ostrzec, że Annie planuje zemstę na Tiffany. Ponieważ zlekceważył jej obawy, tak jak wielokrotnie w przeszłości, nie widziała powodów, żeby spieszyć mu z pomocą wbrew jego woli. Uznała, że skoro nie interesują go uczucia córki, sam powinien sobie radzić ze skutkami jej frustracji.

- Nie uprzedziłaś mnie, mimo że wiedziałaś, co knuje.

- Próbowałam przedstawić ci jej problemy emocjonalne. Poinformowałam cię także, że czytałam jej pamiętnik - tłumaczyła cierpliwie, jakby przemawiała do upośledzonego dziecka. Nie wiedziała, co konkretnie szykuje jej córka, ale nie ulegało wątpliwości, że zżera ją nienawiść do Tiffany.

- O ile pamiętam, nie usłyszałem nic ponad to, że jest wściekła.

- Ponieważ nie dałeś mi dojść do słowa. Przekonywałeś, że gniew z czasem sam minie. Co zrobiła?

- Naprawdę nie wiesz?

Bethanne wzruszyła ramionami. W dzienniczku Annie znalazła opisy samych szczeniackich wybryków, raczej zabawnych niż gorszących. Natomiast jej stan psychiczny poważnie niepokoił Bethanne. Gorzkie, pełne jadu słowa świadczyły o poważnych zaburzeniach emocjonalnych. Spróbowała wyciągnąć od Annie jakąkolwiek informację na temat planowanego ataku. Bez skutku. A ojca wcale nie interesowały uczucia porzuconej córki. Pozostawiona samej sobie Bethanne poszła do psychologa wkrótce po zakończonym fiaskiem spotkaniu w kawiarni. Zamierzała namówić dziewczynę na rozpoczęcie psychoterapii.

- Podejrzewam, że wysłała Tiffany obraźliwy list przez Internet albo zamówiła dla niej kolejną porcję katalogów. Obwinia ją o rozpad rodziny.

- Ujawnianie osobom postronnym cudzych danych osobowych to nie żart, tylko poważne wykroczenie. Mimo wszystko przechodziliśmy do porządku dziennego nad niechcianymi przesyłkami, ale teraz już przebrała miarę.

- Tak mi przykro, że przybyło wam w domu śmieci. Wyrazy współczucia - zadrwiła Bethanne.

- Dzięki za zrozumienie - odburknął. - Ostatnią godzinę spędziłem na uspokajaniu Tiff. Na szczęście w porę spostrzegła, że ktoś dosypał jej cukru do zbiornika paliwa. Dostała rozstroju nerwowego. To już poważne przestępstwo. Nietrudno wytypować podejrzaną. Jeszcze nie zawiadomiliśmy policji, ale... - Złowieszczo zawiesił głos.

- O, nie! - jęknęła Bethanne. Nie podejrzewała, że Annie popełni aż tak poważne wykroczenie. Reakcja Granta załamała ją do reszty. Chociaż dawno pozbawił ją złudzeń co do swych rodzinnych uczuć, nie sądziła, że aż tak nisko upadł, żeby złożyć doniesienie na rodzoną córkę. - Naprawdę jesteś gotów ją oskarżyć?

- Nie ja, tylko Tiff. To ją Annie prześladowuje. Biedna, maleńka Tiff - pomyślała Bethanne z gorzką ironią.

- W takim razie niech ona spróbuje zawrzeć z nią pokój.

- Łatwo ci mówić! - wykrzyknął oburzony. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki koszmar nam zgotowała. Przez jej działalność nasz

dom przypomina śmietnisko. Zasypują nas całe lawiny niechcianej korespondencji. Nie masz na nią żadnego wpływu?

- Posłuchaj. Annie jest również twoją córką. Jej świat legł w gruzach, ponieważ rozumek tatusia jest zlokalizowany poniżej pasa.

- Do diabła, Bethanne! Nie zamierzam wysłuchiwać od ciebie zniewag wiele miesięcy po rozwodzie!

- W takim razie zakończmy tę dyskusję. - Wskazała mu drzwi. - Precz z mojego domu!

- Twojego? Nie zapominaj, że dostałaś go ode mnie.

- Wielka mi szczodrość! Nie starcza mi na opłaty. Tkwię w długach po uszy! - wypomniała z oburzeniem.

- Co świadczy tylko o twojej gospodarności. Każdego centa otrzymujesz ode mnie. A propos, znalazłaś już pracę? - zapytał z fałszywą słodyczą.

Bethanne zamknęła oczy. Usiłowała opanować gniew. Wiedziała, że dalsza dyskusja do niczego nie doprowadzi. Grant najwyraźniej doszedł do tego samego wniosku.

- No dobrze, dajmy temu spokój - powiedział pojednawczo. - Nie przyszedłem z tobą walczyć. Musimy jak najszybciej znaleźć sposób, żeby ukrócić wybryki Annie.

- Do mnie nie żywi urazy. Ty wyrządziłaś jej krzywdę i ty zrób coś, żeby ją udobruchać - odrzekła z naciskiem.

Uważała, że zrobiła co w jej mocy, żeby pomóc nieszczęśliwej, opuszczonej przez ojca dziewczynie i że najwyższa pora, żeby człowiek, który przysporzył jej cierpień, wziął na siebie część

odpowiedzialności za jej dalszy los.

Grant przeczesał włosy palcami. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że tak daleko się posunęła. Skoro usiłowała uszkodzić samochód Tiff, trudno przewidzieć, czy nie planuje bezpośredniego ataku.

- To o Tiffany się martwisz?! - wykrzyknęła, wstrząśnięta jego egoizmem. - Czyżby rodzona córka nie zasługiwała chociażby na odrobinę troski z twojej strony?

- Niestety nie potrafię do niej dotrzeć - przyznał bezradnie. - Nienawidzi mnie z całego serca. Przynajmniej odnoszę takie wrażenie. Straciłem na nią wpływ. Jeśli zechcesz mi coś doradzić, chętnie wysłucham.

- Nic nie rozumiesz. Pewnie mi nie uwierzysz, ale bardzo cię kocha. Potrzebuje ojca. Rozwiodłeś się ze mną, ale przecież nie z dziećmi. Dawniej dzwoniłeś do niej raz na tydzień lub dwa razy. O ile wiem, ostatnio przestałeś. Kiedy ostatnio rozmawiałeś z Annie lub z Andrew? - dopytywała się drżącym ze wzburzenia głosem.

- Byłem ostatnio bardzo zajęty - mruknął niewyraźnie, patrząc na czubki własnych butów.

- I to ma być usprawiedliwienie?! - krzyknęła.

- Nie próbuj wzbudzić we mnie poczucia winy. Żadne z nich nawet nie odwiedziło mnie w mieszkaniu, z obawy że mogą spotkać Tiff. Nie chcą mieć z nią nic do czynienia.

- W takim razie wyciągnij Annie do restauracji - poradziła

Bethanne już nieco spokojniej. Uznała, że warto zapomnieć o urażonej dumie dla dobra dzieci. Potrzebowała jego pomocy. - Przekonaj ją, że nadal ci na niej zależy, o ile to prawda. Potraktuj ją poważnie. Inaczej spotkanie przyniesie więcej szkody niż pożytku. Bezbłędnie wyczuje fałsz.

- Dziękuję za radę. Zadzwońię do niej za kilka dni - obiecał z pokorą niczym skarcony uczeń. Posiał jej wymuszony uśmiech. - Ale jak mam podejść do Andrew? Odmawia spotkania, czy to w obecności Tiff, czy też bez niej - wyznał ze smutkiem.

- Idź we wrześniu na któryś z jego meczów - poradziła. Niewiele brakowało, a wniosłaby oczy do nieba, błagając, by starczyło jej cierpliwości. Zachowanie spokoju przychodziło jej z coraz większym trudem. - Daję głowę, że zainteresowanie ojca sprawi mu przyjemność. Z pewnością zechce odnowić kontakty.

Grant przez chwilę rozważał jej słowa.

- Chyba tak zrobię.

Dla Bethanne oznaczało to tylko tyle, że spełni obietnicę, jeżeli akurat nie będzie miał nic lepszego do roboty. Czekala, aż Grant sobie pójdzie. Ale on nadal zwlekał, jakby jeszcze coś leżało mu na sercu.

- Podobno widywano cię ostatnio z Paulem Ormondem?

- Kto ci o tym powiedział?

- Wieści szybko się rozchodzą - odparł z krzywym uśmiechem. - Kolega z biura widział was pewnego wieczoru u „Anthony’ego”.

- Jak mnie rozpoznał?

- Twoje zdjęcie stało u mnie na biurku.

Bethanne natychmiast wychwyciła, że użył czasu przeszłego. Pomyślała, że los spletał jej kolejnego figla. Grant przez dwa lata skutecznie ukrywał romans, a ledwie ona po raz pierwszy od dwudziestu dwóch lat zjadła kolację z mężczyzną, już ćwierkały o tym wróble na dachu.

- Jesteście parą? - zapytał Grant prosto z mostu.

- Nie twoja sprawa - odburknęła.

O mało nie zdradziła, że nie łączy ich nic poza przyjaźnią. W ostatniej chwili zmieniła zamiar. Posiadanie własnej tajemnicy dostarczyło jej nieco satysfakcji. Paul zadzwonił raptem dwa razy od czasu spotkania w restauracji. Podtrzymywał ją na duchu i dodawał otuchy do dalszego poszukiwania pracy. Wysoko sobie ceniła pierwszą od niepamiętnych czasów przyjaźń z mężczyzną.

- Innymi słowy radzisz mi, żebym pilnował własnego nosa?

- Właśnie - odparła z promiennym uśmiechem.

- Sam sobie tego życzyłeś kilka miesięcy temu. Mam teraz własne życie, tak jak chciałeś. Wyłącznie moje - podkreśliła na koniec.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

COURTNEY PULANSKI>

Courtney była zrozpaczona. Chora z wściekłości Annie siedziała na jej łóżku. Nie wybaczyła jej, że zawiadomiła brata o wyprawie do narkotykowej meliny. Pyskowała bez przerwy od pięciu minut.

- Nie miałaś prawa mnie zdradzać! Andrew twierdzi, że

powinnam ci podziękować, ale nie widzę powodu. Niedoczekanie twoje! - wykrzyczała na koniec.

- Nie oczekuję wyrazów uznania - mruknęła Courtney. - Nie zrobiłam tego dla przyjemności. Musiałam.

- Że też się od razu nie domyśliłam, jaka z ciebie świętoszka!

- Myśl sobie, co chcesz, ale spróbuj przynajmniej wysłuchać.

Pewnie mi nie uwierzysz, ale wiem, co czujesz.

- Niemożliwe. - Annie energicznie potrząsnęła głową.

- Moja mama zginęła w wypadku.

- I co, mam ci współczuć? - Popatrzyła na nią ze złością.

- Nie. Zamknij się i słuchaj. Jestem pewna, że po odejściu ojca doświadczyłaś podobnych cierpień jak ja po stracie mamy.

- Wręcz przeciwnie. Żałuję, że jeszcze żyje.

- Nieprawda. - Courtney wczepiła palce obu rąk w ramiona Annie. - Śmierć zabiera człowieka na zawsze. Kiedy mama umarła, oddałabym wszystko, dosłownie wszystko, żeby ją wskrzesić. Ale umarli nie wracają. Nie rozumiesz, co to znaczy, gdy jednego dnia słyszysz czyjś głos, czyjś śmiech, a następnego milknie na wieki. Minęły cztery lata, a mnie nadal tak samo jej brakuje. Myślę o niej każdego dnia, w każdej minucie. Nie chciała umierać. Wracała z restauracji z lunchu z przyjaciółką. Ciężarówka z pękniętą oponą straciła równowagę i zjechała na przeciwległy pas ruchu. - Przerwała. Łzy napłynęły jej do oczu. Rzadko opowiadała komukolwiek o wypadku. Zrobiła wyjątek dla Annie tylko po to, żeby ją przekonać, że łączą je podobne przeżycia. Ona również często wpadała w

konflikty z mamą, bywała na nią zła, ale teraz oddałaby wszystko, żeby znów być przy niej.

- Nie mów mi, co powinnam czuć! - krzyknęła Annie.

Courtney nie dbała już o to, że babcia je usłyszy. Za wszelką cenę usiłowała dotrzeć do zdesperowanej dziewczyny.

- Czasami wmawiałam sobie, że mama nadal żyje... - zaczęła.

- Oszczędź mi dalszych zwierzeń. Cudze cierpienia mnie nie wzruszają, mam dosyć własnych. - Annie zagryzła wargi. Gwałtownie wstała z łóżka z oczami pełnymi łez. Sięgnęła po torbę. - Bardzo cię proszę, nie wyświadczaj mi więcej przysług. - Z tymi słowami opuściła pokój.

- Załatwione - mruknęła Courtney w poczuciu absolutnej klęski. Tamtej nocy, gdy dzwoniła do Andrew, podjęła wielkie ryzyko. Annie nie doceniła jej poświęcenia. Wstydziła się przed bratem swego żalostnego występu, ale całą złość przelała na Courtney. Mimo że straciła koleżankę, Courtney nie żałowała decyzji. Kompromitację można jakoś przeżyć, ale zażycie extasy niekoniecznie. Słyszała o śmiertelnych zatruciach narkotykiem w Chicago.

- Co się stało, Courtney? - zawołała babcia z parteru. - Twoja koleżanka wybiegła w okropnym pośpiechu.

Courtney z ociąganiem wstała z łóżka.

- Nic szczególnego. Wszystko w najlepszym porządku - skłamała.

- Dobrze, że w końcu znalazłaś przyjaciółkę w swoim wieku - cieszyła się Vera Pulanski. - Idę popracować do Stowarzyszenia

Misyjnego. Dołączysz do mnie?

- Wolałabym pojeździć na rowerze - przyznała nieśmiało.

Absolutnie nie pociągało jej pakowanie przeznaczonych do wysyłki do Chin darów w towarzystwie starszych pań. Jeszcze nie dojrzała do rozmów o chorobach i boleściach.

- Dokąd chcesz pojechać?

Courtney dawno odwykła od tego rodzaju pytań. Ojciec zostawiał jej wiele swobody. Odczuwała konieczność składania sprawozdań z każdej minuty poza domem jak nieznośny ciężar. Gorączkowo szukała wiarygodnego powodu wyjazdu, który zyskałby aprobatę babci.

- Zawiozłabym do sklepu części koców, które wydziergałaś dla fundacji.

- Świetnie, pozdrów ode mnie Lydię.

- Z przyjemnością.

Złapała kask i rękawice. W pośpiechu zbiegła po schodach. Rozsadzała ją złość. Uratowała Annie przed samozagładą, a zamiast podziękowania usłyszała obelgi. Liczyła na to, że szybka jazda pomoże jej wrócić do równowagi. Wynik porannego ważenia również nie poprawił jej nastroju. Po tygodniu drastycznych wyrzeczeń powinna schudnąć co najmniej pół kilograma. Tymczasem właśnie tyle jej przybyło. Głos babci zatrzymał ją jeszcze w drodze do garażu.

- Kiedy wrócisz?

- Wkrótce.

- Masz pieniądze?

- Mam.

Nie czekała na dalsze pytania. Uciekła. Z całej siły naciskała na pedały. Czuła na twarzy powiew wiatru, a na karku ciepło słonecznych promieni. Pragnęła zapomnieć o porażce. Zdradziła Annie sekrety, których nie wyjawiała nikomu, w nadziei że nawiązą nic porozumienia. Niepotrzebnie traciła czas i energię. Dziewczyna potraktowała ją jak wroga.

Wyczerpana szybką jazdą, prawie bez tchu dotarła do Blossom Street. Zaraz za rogiem ujrzała okna „Świata Włóczki”. Ale znacznie silniej przyciągała wzrok wystawa po przeciwnej stronie ulicy, należąca do kawiarni. Leżały na niej przeróżne rodzaje ciastek. Zatrzymała rower przed sklepem z włóczką.

Z wysiłkiem odwróciła wzrok od smakołyków w oknie naprzeciwko. Usiłowała skupić uwagę na tym, co widziała wewnątrz „Świata Włóczki”. Na wystawie spał kot, Lydia i Margaret obsługiwały klientów. Nic ciekawego. Nawet gdyby weszła do środka, nikt nie znalazłby dla niej czasu. Oczy same podążyły z powrotem w zakazanym kierunku. Tydzień wcześniej Bethanne wychwalała pod niebiosa czekoladowe ekierki. Lydia również. Przy okazji napomknęła jeszcze o francuskich rogalikach, zwanych croissant. Zabrzmiało to tak, jakby pożerała słodkości kilogramami. Co najdziwniejsze, nie tyła. Przeciwnie niż Courtney. Po całym tygodniu głodówki przybyło jej pół kilo.

Nie dość, że wymyślona przez nią dieta wymagała nadludzkich wyrzeczeń, to jeszcze przynosiła odwrotny do zamierzonego skutek.

Rozczarowanie przepeliło czarę goryczy. Jeszcze raz zajrzała przez okno do sklepu z wólczką, po czym wbrew woli odwróciła głowę ku „French Cafe”. Przypomniała sobie dalszą część opowieści Lydii. Mówiła, że osoba, która wytwarza te pyszności, uczęszczała na pierwszy z organizowanych przez nią kursów dziewiarskich. Podobno ma na imię Alix, jak z naciskiem podkreśla nie przez „e”, tylko przez „i”. Rano piecze, a w niektóre popołudnia stoi za ladą. Musi być mistrzynią w swoim zawodzie, gdyż równocześnie uczy się w Akademii Gastronomicznej.

Pięć dolarów ciążyło w kieszeni Courtney niczym stukilowy głaz. Odczuwała przemożne pragnienie zjedzenia czegoś słodkiego. Ekierki, w dodatku z czekoladą, to wprawdzie zakazane ciastka, ale kto by tam zwracał uwagę na takie szczegóły. Ich nazwa nie zaczyna się przecież na „c” - udzieliła sobie rozgrzeszenia.

Przeprowadziła rower na drugą stronę ulicy. Oparła go o ścianę cukierni. Następnie weszła do środka. Dziewczyna za ladą nie wyglądała na pasjonatkę ręcznych robótek, ale babcia Courtney nie na darmo powtarzała w kółko, że pozory mylą. Chociaż na identyfikatorze widniało wyraźnie imię Alix, przez „i”, zapytała dla pewności:

- Czy pani ma na imię Alix?
- Tak? Czy ja panią znam?
- Najprawdopodobniej nie. Chodzę na kursy dziergania do Lydii.
- W takim razie musisz być Courtney! - Twarz dziewczyny rozjaśnił promienny uśmiech.

Skinęła głową, zaskoczona.

- Wspominała coś o mnie?

- Tak. Czy wiesz może, co zaszło między nią a Bradem?

- Nie więcej niż ty.

- Podobno zerwali. Mam nadzieję, że do siebie wrócą - powiedziała Alix ze szczerą troską.

Przez cały czas trwania rozmowy Courtney nie odrywała wzroku od witryny. Wymarzone ekierki na wyłożonej serwetką paterze przypominały małe dzieła sztuki. Kusiły nieodparcie. Nie były zbyt duże. Uznała, że mogłaby z czystym sumieniem zjeść dwie.

- Ile kosztuje czekoladowa ekierka? - spytała. Alix podała cenę. Courtney obliczyła, że stać ją na dwie sztuki i w dodatku na butelkę coli.

Oczywiście żadnej tam dietetycznej, tylko przyzwoitej, z cukrem. Jak szaleć to szaleć. Woda mineralna dawno już jej obrzydła. Uznała, że jeden dzień odpustu nie wyrządzi sylwetce zbyt wielkiej szkody.

- Lydia mówiła, że się odchudzasz - zagadnęła Alix.

- Wyrazy uznania. To bardzo trudne wyzwanie. Courtney w milczeniu skinęła głową.

- W takim razie polecam latte bez cukru, z niskotłuszczowej czekolady. Courtney długo rozważała niezbyt atrakcyjną propozycję. Oczy uciekały do ekierki, ślinka leciała. Nagle uświadomiła sobie, że rozmówczyni zaoferowała jej coś znacznie cenniejszego od wszystkich słodkości świata. Wsparcie moralne i przyjaźń. Ta ostatnia

nie zawiera co prawda kalorii, ale za to bardzo trudno ją zdobyć. Przekraczając próg kawiarni, nie oczekiwała takiej specjalności zakładu.

- Dobrze, poproszę o latte. - Dołożyła wszelkich starań, żeby zamówienie zabrzmiało możliwie entuzjastycznie.

- Doskonale. Czuję, że trafiłam w sedno. Nie pożałujesz. Courtney przyznała jej rację. Odetchnęła z ulgą. Gdyby nie życzliwa rada Alix, kupiłaby zakazane ciastka, a potem pochłonęła tak szybko, że nie zdążyłaby nawet poczuć smaku. Za to w biodrach znowu przybyłoby niepożądanych centymetrów.

- Dziękuję z całego serca - powiedziała, szczerze wzruszona.

- Nie ma za co. Przychodź, kiedy zechcesz. A jeśli dowiesz się czegoś o Bradzie i Lydii, daj mi znać.

- Obiecuję. - Courtney skinęła głową.

Upiła łyk. Smakowało wybornie, jak obiecała Alix. W dodatku nazwa aromatycznego napoju nie zaczynała się na literę „c”.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Robienie na drutach stanowi swoisty akt medytacji, ponieważ praca rąk skłania umysł do wypoczynku, wyzwala duszę i pozwala na swobodny przepływ myśli.

Autor nieznany, według Darlene Hayes www.handjiveknits.com

LYDIA HOFFMAN

Z samego rana we wtorek, ledwie Margaret przekroczyła próg sklepu, wyczułam, że coś jest nie w porządku. Zdecydowałam nie wyciągać jej na zwierzenia. Miałam nadzieję, że sama zawierzy mi swe troski, niezależnie od ich rodzaju. Nasze wzajemne stosunki uległy ostatnio znacznej poprawie. Sądzę, że serdeczność Margaret wynika ze współczucia dla mnie po odejściu Brada. Zawarłyśmy milczący pakt: ja nie dopytywałam się o rezultaty poszukiwania pracy przez Matta, ona nie wspominała o Bradzie. Dotrzymanie niepisanej umowy przychodziło mi z wielkim trudem. Pragnęłam dzielić problemy siostry. Byłam ciekawa, co u niej słyhać. Sądzę, że Margaret czuła to samo. Zataiłam przed nią nawet i to, że Brad zadzwonił do mnie pewnego wieczoru.

Gdy ujrzałam jego imię na ekranie telefonu, nie odebrałam. Nie byłam w stanie. Dopiero później przyszło mi do głowy, że równie dobrze Cody mógł skorzystać z aparatu ojca. Żałowałam, że nie sprawdziłam, który z nich szuka ze mną kontaktu. Bardzo tęskniłam za chłopcem. Kiedy rozgoryczenie po zerwaniu nieco osłabło, zaczęłam rozumieć motywy postępowania Brada. Postawił szczęście syna na pierwszym miejscu, niezależnie od tego, co czuł do mnie czy do Janice. Ponownie uwierzyłam, że mnie kocha, ale stłumił własne uczucie, żeby zwrócić Cody'emu matkę. Podziwiałam jego poświęcenie. Mogłam go tylko jeszcze bardziej szanować i kochać za tak szlachetną postawę.

Najdziwniejsze, że historia z Bradem przywołała wspomnienia z

okresu choroby. Porównywałam obu wspaniałych ojców: mojego i ojca Cody'ego. Szczerze żałowałam, że nie zdążyli się poznać. Z pewnością znaleźliby wspólny język. Wiem, że tata podtrzymałby Brada na duchu w chwilach zwątpienia. Oddałabym wszystko, żeby go znowu zobaczyć, ponownie usłyszeć jego głos.

- Wygląda na to, że znów trzeba zamówić włóczkę na skarpety. -
Głos Margaret wyrwał mnie z zadumy.

- Już?

Cały zapas samodzielnie tworzącej wzór włóczki został sprzedany wkrótce po dostawie.

Zajęcia na kursie dziewiarskim dostarczają mi wiele satysfakcji. Popełniłam tylko jeden błąd, że zaplanowałam je na wtorek po południu. W pierwszy dzień roboczy tygodnia zawsze mam setki spraw do załatwienia. Całe szczęście, że w lekcjach uczestniczą jedynie trzy osoby, co pozwala mi poświęcić każdej z uczennic odpowiednio dużo czasu. Dzięki temu nawiązałam z nimi autentyczną więź, podobnie jak z uczestniczkami pierwszego szkolenia.

Któregoś dnia Elise naświetliła nam rodzinne komplikacje, wynikające z wizyty byłego męża. Zaskoczyła mnie. Nie sądziłam, że ta skryta, powściągliwa osoba kiedykolwiek zechce rozmawiać o sprawach osobistych. Zaszokowała nas informacja, że wyszła za zawodowego karciarza. Cóż za niedobrana para - myślałam - hazardzista i bibliotekarka! Zupełnie jak w powieści. Z tym że w ich wypadku życie raczej nie dopisze szczęśliwego zakończenia do tej niesamowitej historii. Gdy nieco ochłonęliśmy po wstrząsie,

wywiązała się ożywiona dyskusja.

Bethanne Hamlin z tygodnia na tydzień nabiera pewności siebie, mimo że ona również miała problemy z byłym mężem. Wspominała o kłopotach z córką, jednak dość ogólnikowo, prawdopodobnie ze względu na jej przyjaźń z Courtney.

Tę ostatnią, przeuroczą nastolatkę, kochamy wszystkie. Często opowiada o ojcu. Każdy list od niego sprawia jej wielką radość. Dobrze, że zaczyna zdobywać przyjaciół. Chociaż nie wyjawia swych uczuć, odnoszę wrażenie, że syn Bethanne zapadł jej głęboko w serce. Zrzuciła wprawdzie kilka kilogramów, lecz nadal waży zdecydowanie za dużo. Wyobrażałam sobie, że gwiazdor szkolnej drużyny piłki nożnej wybierze raczej jakąś smukłą piękność o wysportowanej sylwetce.

Tuż przed pierwszą zadzwonił dzwonek u drzwi. Bethanne wkroczyła do sklepu energicznym krokiem. Jeszcze zanim usiadła, przedstawiła mi do oceny połowę wydzierganej skarpetki.

- Spójrz, Lydio, samodzielnie wymodelowałam piętę. Powinnam dostać medal! - obwieściła z nieskrywaną dumą. - Zajęło mi to całe godziny.

- Z tego wniosek, że niespecjalnie ci wychodziło - mruknęła Margaret z drugiego końca sklepu.

- Głowa do góry! - Spróbowałam dodać otuchy uczennicy. Zirytowana złośliwym komentarzem siostry, posłałam Bethanne zachęcający uśmiech, żeby jakoś zatuszować nietakt. - Praktyka czyni mistrza. Jak trochę poćwiczysz, bez wysiłku osiągniesz pożądany

efekt.

- Wcale się nie martwię. Rzeczywiście z początku popełniałam błędy, ale postanowiłam próbować aż do skutku. Kiedy dokładnie prześledziłam instrukcję, poszło dalej jak po maśle.

- Moje uznanie! - wykrzyknęłam radośnie.

O mało jej nie uściskałam. Byłam z niej naprawdę dumna. Poczyniła wielkie postępy, nie tylko w robótkach ręcznych.

- Gdyby jeszcze tak dobrze mi szło z poszukiwaniem pracy! - westchnęła ciężko.

Parę minut później przybyła Elise. Kobiety usiadły naprzeciwko siebie. Z zapalem porównywały efekty pracy. Elise umiała modelować piętę. Już wcześniej robiła skarpetki, lecz ich dzierganie na dwóch parach okrągłych drutów wymagało zupełnie innej techniki, którą poznała dopiero na moich lekcjach. Mimo wszystko osiągnęła doskonałość. Rzędy równiutkich oczek cieszyły oko, co wcale mnie nie dziwiło. Wyglądała na perfekcjonistkę w każdym calu.

- Dobra robota! - pochwaliłam.

Courtney przyjechała jako ostatnia. Przywiązała rower łańcuchem do najbliższej latarni. Wpadła do środka jak burza, okropnie zdyszana, przepaszając za spóźnienie. Po drodze ściągnęła kask i plecak. Odniosłam wrażenie, że jeszcze zeszczuplała. Nie komentowałam jednak jej wyglądu, żeby nie wprawiać jej w zakłopotanie. Minutę później już siedziała przy stole z robótką w ręku, gotowa i chętna do nauki.

- Jak leci? - zagadnęłam, gdy wszystkie zajęły miejsca.

Dotarliśmy właśnie do najbardziej skomplikowanej części roboty: klinowatych wstawek pomiędzy piętą a śródstopiem. Osobiście uważam technikę dwóch par okrągłych drutów za najłatwiejszą, ale wiele dziewczynek woli robić skarpety na czterech lub pięciu drutach zaostrzonych z dwóch stron. Istnieje jeszcze sposób z jedną parą, połączoną metrową żyłką. Prawdę mówiąc, nie przepadam za tą metodą, szumnie zwaną magiczną pętlą.

Jak zwykle na początku obejrzałam wykonane do tej pory połówki skarpet. Przestrzegałam zwyczaju zbiorowej oceny prac nawet wtedy, gdy już wcześniej widziałam każdą z osobna. Rytuał publicznych oględzin stanowił dla moich kursantek oficjalne potwierdzenie nabytych umiejętności, a także zachętę do dalszych wysiłków. Stwierdziłam, że wszystkie zasłużyły na pochwałę. Pogratulowałam im sukcesu. Następnie opisałam dalszą procedurę. Trzy kobiety z zapalem przystąpiły do pracy.

- Szkoda, że znalezienie posady nie przychodzi tak łatwo - westchnęła ponownie Bethanne.

- Pomyślałam o tym samym - powiedziała Elise. - Gdzie składałaś podania?

- Wszędzie! - wykrzyknęła Bethanne. - To znaczy w każdym miejscu, które mi przyszło do głowy - sprostowała z ociąganiem. - Rzecz w tym, że przeraża mnie perspektywa opuszczenia dzieci na wiele godzin dziennie.

Margaret przerwała na chwilę obsługiwania klientki.

- Ależ to prawie dorośli, samodzielni ludzie - wtrąciła, ignorując

moje ostrzegawcze spojrzenie. - Ja zostawiam swoje córki, kiedy wychodzę do pracy.

- I co, dobrze ci z tym? - spytała Bethanne po chwili namysłu.

- Zostają z ojcem - przyznała Margaret. - Oczywiście wolelibyśmy, żeby pracował, ale skoro los tak zrządził, cieszy mnie, że spędza z nimi wiele czasu. Dzięki temu nawiązali bliższą więź.

- Prawdę mówiąc, boję się zostawić Annie bez dozoru. Trudno przewidzieć, co jej wpadnie do głowy. Uwierzcie mi, nie z powodu lenistwa zwlekam z podjęciem zatrudnienia. Nie potrafiłabym skupić uwagi na obowiązkach zawodowych, ponieważ cały czas byłabym o nią niespokojna.

Courtney posłała Bethanne porozumiewawcze spojrzenie. Ja także ją rozumiałam, dzięki temu, że Brad przedstawił mi kiedyś dylematy samotnego rodzica. Ośmioletni Cody nie znosił świetlicy, ale musiał do niej uczęszczać. Brad uznał, że jest za mały, żeby zostawał sam w domu.

- Odpowiadałam na wszystkie możliwe ogłoszenia, począwszy od kelnerki, a na asystentce w gabinecie stomatologicznym kończąc - ciągnęła Bethanne. - W gruncie rzeczy dobrze, że nie przyjęli mnie do restauracji. Ale gdzie indziej niestety też nie.

- Nie sędzę, żeby naprawdę pociągała cię praca u dentysty - orzekła Elise.

- Raczej nie.

- Tak właśnie przypuszczałam. - Roześmiała się. - Z takim nastawieniem nikt cię nie zatrudni.

- Jeśli czegoś szybko nie znajdę, wkrótce zostanę bez dachu nad głową. Nawet jeżeli przesadzała, serdecznie jej współczułam. Gdybym więcej zarabiała, sama bym ją przyjęła. Niestety, nie mogłam sobie pozwolić na dodatkową pracownicę.

- Wspominałaś kiedyś, że najlepiej ci wychodziło urządzenie przyjęć, zwłaszcza dla dzieci.

Uświadomiłam sobie, że Elise ma rację. Podczas pogawędek przy dzierganiu Bethanne z entuzjazmem opowiadała, jakie niespodzianki szykowała na urodziny syna i córki. Wykazywała wiele inwencji. Naprawdę umiała zapewnić najmłodszym świetną zabawę. Byłam wdzięczna Elise, że zwróciła jej uwagę na niezwykle, rzadko spotykane zdolności.

Bethanne pokiwała głową bez przekonania.

- Niestety, tego typu umiejętności nikogo nie interesują.

- Nie bądź tego taka pewna - zaprotestowała Elise.

- Chętnie powierzyłabym ci zorganizowanie urodzin Luke'a.

Moja córka posiada wiele talentów z wyjątkiem organizacyjnego.

- Mam rozumieć, że chcesz mi zapłacić za pomoc?

- Bethanne wyprostowała plecy. Patrzyła na rozmówczynię rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

- To chyba oczywiste.

Zaimponowała mi wspaniałomyślność Elise. Doskonale pamiętałam o jej kłopotach finansowych.

- Mam mnóstwo doskonałych pomysłów dla małych chłopców! - wykrzyknęła Bethanne z ożywieniem. - Co go najbardziej interesuje?

- Ostatnio dinozaury.

- Świetnie! Można zakopać w ogrodzie wypełnione niespodziankami jaja gadów i wysłać dzieciaki na poszukiwanie. Jeżeli córka obawia się, że zdewastują rabaty, poukrywamy je w domu.

- Kapitalne! - podchwyciła Elise. Jej twarz rozjaśnił promienny uśmiech. - Bez problemu znajdziemy bezpieczne miejsca w ogrodzie.

- Już wiem! - przerwała Bethanne. - Luke pewnie już wyrósł z kreskówek o jaskiniowcach, ale tort w kształcie przedpotopowego jaszczura z pewnością go zachwyci. Potrafię taki upiec.

Wizja Bethanne przywołała smutne wspomnienie. Wydzierałam kiedyś dla Cody'ego sweter z dinozaurem.

Tak go polubił, że nawet w nim spał. Żal ścisnął mi serce. Z wysiłkiem stłumiłam przygnębiające myśli.

- Chętnie zorganizuję dla ciebie tę imprezę - zadeklarowała Bethanne. Nagle uśmiech znikł z jej twarzy. - Nie sądzę jednak, żebym mogła utrzymać rodzinę z tego rodzaju dorywczych zajęć.

- Nie byłabym tego taka pewna - powtórzyła Elise ze stoickim spokojem.

- Naprawdę w to wierzycie? - Bethanne popatrzyła po obecnych w poszukiwaniu wsparcia.

Rzeczywiście je znalazła. Wszystkie kobiety, nawet sceptyczna z natury Margaret, pokiwały głowami z aprobatą.

- Oczywiście. Amelia niedługo skończy roczek - wtrąciłam. - O ile znam Jacqueline, zechce nadać urodzinom wnuczki rangę

wielkiego wydarzenia. Podsuń jej parę pomysłów, a na pewno któryś kupi. Zapiszę ci jej numer telefonu. Daję głowę, że zapłaci każdą cenę za fachowe usługi oparte na oryginalnych rozwiązaniach - przekonywałam.

- Zadzwoń! - wykrzyknęła rozpromieniona. Nigdy wcześniej nie widziałam jej tak radosnej. Druty szybko migały w jej rękach, a umysł intensywnie pracował. Już po chwili przedstawiła pierwsze projekty: - Urządzimy mały piknik z misiami albo wieczór baśni, albo...

Zanim zdążyła dokończyć zdanie, Margaret podeszła do niej z kartką w ręku. Moja praktyczna siostra nie traciła czasu. Już zapisała dla niej numer telefonu.

- Jeżeli potrzebujesz asystentki, chętnie ci pomogę bez żadnego wynagrodzenia - zadeklarowała Courtney.

- Nudzę się tutaj jak mops.

- Jakaś ty dobra! - wykrzyknęła Bethanne. Do oczu napłynęły jej łzy wzruszenia.

- To ty mi wyświadcysz przysługę. Brakuje mi rozrywek. Bethanne ze łzami w oczach popatrzyła po wszystkich obecnych.

- Dziękuję wam z całego serca. Zwłaszcza tobie, Elise. Uświadomiłaś mi, co naprawdę umiem i lubię robić. Posłucham twojej rady. Jestem pewna, że odniosę sukces. - Rzuciła robótkę, przyskoczyła do koleżanki, uścisnęła ją i wycalowała. Promieniała taką radością, jakby podarowano jej nowe życie.

Nigdy wcześniej nie słyszałam w jej głosie takiej pewności

siebie. Ja również postanowiłam udzielić jej moralnego wsparcia.

- Bezbłędnie wyczuwasz upodobania młodych ludzi. Chyba do końca życia nie zapomnę relacji z „Wieczoru Gwiazd” z okazji dwunastych urodzin Annie. Pamiętasz? Ucharakteryzowałaś wszystkie jej koleżanki na znane piosenkarki. Dziewczęta tańczyły, naśladowały ich ruchy i śpiewały z playbacku przeboje swych ulubionych artystek. Ich występy zostały nagrane na kasecie wideo. Wyobrażam sobie, z jaką radością ją oglądały.

- Mnie z kolei zachwyciła historia poszukiwania skarbu piratów na plaży, kiedy Andrew kończył siedem lat - dorzuciła Courtney.

- Rysowanie map dało mi wiele satysfakcji. Zgromadziłam trochę sztucznej biżuterii, dokupiłam monet z czekolady. Uszyłam też małym rozbójnikom po przepasce na jedno oko. Wtedy odkryłam swoje prawdziwe powołanie. Bawiłam się równie dobrze, jak dzieciaki - wspominała z rozrzewnieniem Bethanne. - Później wielokrotnie pomagałam znajomym, ale nawet mi nie przemknęło przez głowę, że ktoś zechciałby mi za to płacić.

- Andrew do tej pory wspomina tamte urodziny jako najciekawsze w życiu. Żałuję, że nie znałam nikogo, kto by dla mnie takie urządził - zapewniła Courtney.

- Z pewnością każdy chłopiec marzy o takiej przygodzie - poparła ją Elise.

- Dziękuję. - Bethanne skinęła głową. - Grant kupił sobie wtedy wielką pluszową papugę. Grał herszta bandy, Długiego Srebrnego Johna. - Mówiąc o byłym mężu, od razu posmutniała.

- Wierzę, że znajdziesz wielu klientów - wtrąciła Margaret. Chciała jeszcze coś dodać, ale nie zdążyła. Przeszkodził jej dźwięk dzwonka u drzwi. Do sklepu wkroczył starszy, dystyngowany dżentelmen. Niewielu mężczyzn tu bywa. Lwią część mojej klienteli stanowią kobiety.

Na dźwięk dzwonka Elise odwróciła głowę. Ujrawszy przybysza, pobladła jak ściana.

- Maverick - szepnęła.

- Dzień dobry, przyszedłem po Elise - oświadczył nowo przybyły bez śladu skrępowania, patrząc na nią z czułością. - Przejeżdżałem tędy. Pomyślałem, że zabiorę cię do domu.

Zaskoczyła mnie jego swoboda. Większość mężczyzn czuje się nieswojo w moim tradycyjnie damskim sklepiku.

- Jeszcze... trochę zostanę - wykrztusiła Elise.

Głos jej drżał, policzki płonęły. Z nerwów spuściła nawet oczko, lecz szybko naprawiła błąd.

Obserwowałam tych dwoje z zaciekawieniem. Mimo że minęło wiele lat od rozvodu, bez trudu odgadłam, że nadal łączy ich silne uczucie. Aż dziwne, że Elise nie wspomniała o tym ani słowem. Wygląd jej byłego męża także mnie zaskoczył. Nie odpowiadał powszechnym wyobrażeniom o nałogowym hazardziście. Z białymi włosami i brodą przypominał mi piosenkarza country, Charliego Ricka. Dopiero po bliższym przyjrzeniu zauważyłam, że jest od niego wyższy i silniej zbudowany.

- Nie spiesz się. Zaparkowałem tu, niedaleko. Zaczekam na

zewnątrz, w samochodzie - uspokajał Elise Maverick.

- Och... dobrze - mruknęła ze wzrokiem wbitym w robótkę. Piętnaście minut później uczennice zaczęły jedna po drugiej wychodzić, omawiając plany kolejnego spotkania. Ciekawe, że wszystkie robiły skarpetki dla mężczyzn: Courtney dla ojca, Bethanne chyba dla syna. Tylko Elise nie zdradziła swoich zamiarów. Przypuszczałam, że dostanie je były mąż.

- Elise podsunęła Bethanne genialną myśl - stwierdziłam, gdy już zostałyśmy same z Margaret.

Sprzątałam po zajęciach ze zdwojoną energią. Poczucie wspólnoty i świadomość, że uczennice nawiązały mocną nić przyjaźni, dodawały mi skrzydeł. Odwróciłam głowę w kierunku siostry. Zauważyłam, że płacze. Usiłowała to przede mną ukryć. Pospiesznie wytarła łzy. Przeraziła mnie jej rozpacz.

- Co się stało, siostrzyczko? - spytałam wbrew wcześniejszym postanowieniom. - Powiedz mi, proszę.

- Dostaliśmy wczoraj wiadomość pocztą elektroniczną. Przeczytałam ją bez wiedzy Matta. Oszczędza, na czym może, ja też, ale to nie wystarczy... Lydio, nie przypuszczałam, że jest tak źle. Dług hipoteczny urósł do takich kwot, że pewnie niedługo stracimy dom. Gdy spytałam, czemu zataił przede mną tę informację, odparł, że i bez tego dość mam kłopotów na głowie. Rozumiem, że usiłował mnie ochronić, ale nie powinien niczego przede mną ukrywać. Jesteśmy przecież małżeństwem.

- O nie! - jęknęłam, kompletnie zdruzgotana. Wyłożyłabym

każdą sumę, żeby ich ratować, ale wszystkie oszczędności zainwestowałam w sklep. - Ile pieniędzy potrzebujecie?

- Napisali, że do przyszłego poniedziałku należy wpłacić dziesięć tysięcy dolarów.

- O, Boże, naprawdę nie wiem, co robić.

- Matt zapewnia, że wszystko będzie dobrze, a ja... mu wierzę.

Niepotrzebnie obciążam cię swymi kłopotami. To dlatego, że przeżyłam szok - dokończyła.

Dokładała wszelkich starań, żeby zbagatelizować problem, ale nie zwiodła mnie. Nie miałam żadnych złudzeń, że sprawy same się ułożą. Mojej siostrze groziła bezdomność, a ja nie umiałam jej pomóc.

ROZDZIAŁ DWÓDZIESTY DRUGI

ELISE BEAUMONT

Elise w zamyśleniu przedzierała liście sałaty na surówkę do kolacji. Maverick zabrał wnuki do pobliskiego parku. Luke i John wyciągali go tam przy każdej okazji. Nigdy nie odmawiał. Gdyby był równie dobrym mężem, jak ojcem i dziadkiem, ich małżeństwo by przetrwało. Elise nawet przed sobą się nie przyznawała, że polubiła jego towarzystwo. Z tygodnia na tydzień coraz rzadziej powtarzała sobie, że nie można na nim polegać. W końcu przestała go unikać. Nie skruszył jej oporu gładkimi słówkami ani pustymi obietnicami. Gdy patrzyła, ile miłości okazuje córce i jej dzieciom, serce Elise topniało niczym bryła lodu w ciepłe kominka, tym bardziej że i jej uczucia

szanował. Nie próbował jej do siebie przekonywać, nie szukał usprawiedliwień dla dawnych win. Nadal walczyła ze sobą zawzięcie, lecz przegrywała. Maverick nieodparcie ją pociągał.

W pralni ucichło warczenie wirówki. Wyszła przełożyć pranie do kosza na bieliznę. Prócz niej w domu nie było nikogo. Aurora poszła do Bethanne, by omówić plany urodzinowego przyjęcia dla Luke'a. Wysłuchawszy relacji matki z dyskusji na ostatnich zajęciach, zapagnęła ją zaangażować. Uparła się tylko, że sama pokryje koszty. Po dość ostrej wymianie zdań pozwoliła w końcu Elise zapłacić za tort.

Elise pospieszyła do kuchni, żeby zdążyć z przygotowaniem kolacji przed powrotem córki. Utarła już ser. Przygotowała także sos do dania o niezbyt wyszukanej nazwie: „zapiekanka z makaronem”.

Kilka minut później przeniosła ubrania wnuków z pralni do ich pokoju. Nie przekroczyła jego progu od dnia przyjazdu Mavericka. Ponieważ życzyła sobie, żeby szanował jej prywatność, dawała przykład własnym postępowaniem. Odsunęła górną szufladę komody. Ujrzała w niej rzeczy Mavericka. W drugiej i trzeciej znalazła ubrania chłopców. Dołożyła świeżo uprane. Od otwarcia do zamknięcia górnej szuflady upłynął zaledwie ułamek sekundy. Niestety wystarczył, żeby dostrzegła pomiędzy bielizną brzeg ramki do fotografii.

Nie powinno jej obchodzić, czyje zdjęcia przechowuje, niemniej jednak zżerała ją ciekawość. Popatrzyła z lękiem na drzwi. Serce biło jej mocno. Na małym stoliku przy sofie leżała tylko otwarta książka, żadnych zdjęć. Walczyła jeszcze ze sobą, ale wewnętrzne

zahamowania słabły z każdą sekundą. Nie powinna grzebać w jego rzeczach, ale z drugiej strony... jedno spojrzenie nie wyrządzi wielkiej szkody, a ona będzie wiedziała, czyj wizerunek przechowuje Maverick. Z drżeniem serca odsunęła zakazaną szufladę. Spod złożonego podkoszulka wystawał brzeg srebrnej, nieco zmatowiałej ramki. Nie aprobowała grzebania w cudzych rzeczach, zawzięcie walczyła z pokusą. W końcu postanowiła, że nawet jej nie dotknie, uniesie tylko zasłaniający ją podkoszulek. Była prawie pewna, że ujrzy pamiątkę z któregoś ze zwycięskich turniejów karcianych.

Jednym palcem uniosła sztukę bielizny. Z wrażenia zabrakło jej tchu. Spomiędzy ubrań patrzyło na nią jej własne oblicze sprzed lat. Maverick sfotografował ją podczas spaceru w pobliskim parku wkrótce po tym, jak odkryła, że nosi w łonie dziecko. Stała przy krzaku róż, z twarzą zwróconą do obiektywu. Oczy błyszczały szczęściem i miłością. Nie знаła jeszcze całej prawdy o człowieku, którego poślubiła. Nie przeczuwała nawet, jakie rozczarowania ją czekają. Maverick utrwalił ją na kliszy rozmarzoną, pełną nadziei i wiary we wspaniałą przyszłość rodziny i rosnącego w jej łonie maleństwa. Jeszcze raz popatrzyła w twarz tamtej kobiety sprzed lat. Nigdy wcześniej ani później nie była tak bezgranicznie szczęśliwa. Wbrew jej woli powróciły najpiękniejsze wspomnienia, a wraz z nimi te same co dawniej emocje.

- Pamiętasz, kiedy zrobiłem to zdjęcie?

Głos Mavericka wyrwał ją z zadumy. Stał na środku sypialni. Nie słyszała, kiedy wszedł. Odskoczyła od komody. Zabrakło jej tchu.

Chwyciła się ręką za serce. Było jej okropnie wstyd, że przyłapał ją na gorącym uczynku.

- Przepraszam - wykrztusiła, odwróciwszy wzrok.

- Za małe szpiegostwo?

Zawstydzona, skruszona, skinęła głową, unikając kontaktu wzrokowego. Ponownie poprosiła o wybaczenie. Pragnęła tylko umknąć, gdzie pieprz rośnie.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Pamiętasz, kiedy zrobiłem to zdjęcie? - powtórzył powoli, dobitnie.

Elise odjęło mowę. Pokiwała tylko z wysiłkiem głową.

- Wozilem je ze sobą wszędzie przez te wszystkie lata. Kiedy zaczęło blaknąć, kupiłem ramkę. Chciałem cię mieć przy sobie.

- Och! - westchnęła. - Jesteśmy przecież rozwiedzeni. Wbrew własnym odczuciom celowo przybrała szorstki ton. Nie chciała go znowu pokochać. Stał tak blisko, zaledwie kilka kroków od niej. Czowała ten sam świeży zapach wody kolońskiej, którego żywiczna nuta w okresie małżeństwa pobudzała jej zmysły jak afrodyzjak. Mimo woli zrobiła krok w jego kierunku. Wciągnęła w nozdrza zniewalający aromat. Wiele ryzykowała. Po tylu latach rozłąki Maverick nadal działał na nią równie silnie, jak dawniej. Przeszedł przez pokój, stanął naprzeciwko, ujął ją pod brodę i uniósł jej głowę tak, że nie mogła już uniknąć spojrzenia mu w oczy.

- Już ci powiedziałem, że kochałem cię wtedy i nie przestałem kochać przez całe życie. Jedna fotografia to niewiele, ale nic więcej nie miałem - dokończył szeptem.

Elise nie odzyskała jeszcze mowy. Kiwała tylko głową. Wstrzymała oddech. Czuła, że Maverick zamierza ją pocałować. Z pewnością by to zrobił, gdyby Luke i John nagle nie wpadli do pokoju niczym szalejące tornado. Wściekli i zawzięci, wymachiwali rękami, kopali i tłukli się nawzajem. Widocznie jeszcze w garażu wszczęli kłótnię o miejsce na rowery.

Maverick z niechęcią odstąpił od Elise. Natychmiast opanował sytuację. Skorzystała z okazji, żeby niepostrzeżenie umknąć do kuchni. Chwyciła oburącz za blat stołu. Ciężko dyszała, nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Niewiele brakowało, a byłyby mąż skradłby jej pocałunek. Najbardziej przerażała ją własna reakcja. Gdyby wnukowie nie przeszkodzili, nie byłaby zdolna stawić mu oporu. Jej wola zawsze słabła w obecności Mavericka. Na szczęście szybko znalazła zajęcie dla rąk. Dokończyła sałatkę, wymieszała sos miętowo-pomidorowy, nastawiła wodę na spaghetti. Dwadzieścia minut później usłyszała, że ktoś zamyka drzwi garażu. Odetchnęła z ulgą. Aurora lub David wrócili do domu. Wkrótce potem w drzwiach stanęła córka. Ujrzawszy matkę przy kuchni, wydała okrzyk zachwyty. Pochwyciła ją w objęcia.

- Och, mamusiu, bardzo ci dziękuję!

- Za co znowu? Za kolację? Próbuję przynajmniej być na tyle użyteczna, na ile potrafię - odparła zdumiona Elise. Połączyła odsączony makaron z sosem i tartym serem.

- Za to też, ale przede wszystkim za informację o Bethanne. To wielki talent. Sypie pomysłami jak z rękawa. Przedyskutowałyśmy

przeróżne scenariusze, w końcu zdecydowałam pozostać jednak przy dinozaurach - relacjonowała z ożywieniem. - Zanim ją poznałam, zamierzałam zabrać wszystkich na pizzę i lody. Za tę samą sumę urządzimy Luke'owi urodziny, które zapamięta do końca życia.

Instynkt nie zawiódł Elise. Słusznie przewidziała, że zapracowani rodzice chętnie zapłacą Bethanne za zorganizowanie niezapomnianej zabawy dla swoich pociech.

- Gayle z naprzeciwka też zamówiła jej usługi, chociaż urodziny Soni przypadają dopiero za miesiąc.

- Wspaniale! - Elise uśmiechnęła się szeroko.

Otworzyła piekarnik i wstawiła do niego kamionkowy garnek z potrawą. W tym momencie Maverick wszedł do kuchni.

- O czym mowa? - spytał, zaglądając w oczy Elise.

- To długa historia. Koleżanka z kursu dziewiarskiego poszukuje pracy - odrzekła lakonicznie.

Uznała, że naświetlenie sytuacji Bethanne wymagałoby zbyt szczegółowych wyjaśnień.

- Gayle była oczarowana - relacjonowała dalej Aurora. - W drodze do domu zdążyła zawiadomić aż trzy koleżanki, że poznała genialną animatorkę.

- Bardzo mi miło - mruknęła Elise, nieco zażenowana.

- Powinnaś być z siebie dumna. Bethanne zdradziła mi, że to ty odkryłaś jej powołanie.

- Kolacja już prawie gotowa - obwieściła Elise, żeby odwrócić zainteresowanie od swojej osoby.

Krępować ją, że skupia na sobie uwagę. Aż się zarumieniła z zakłopotania.

- Co przygotowałaś? - wtrącił podejrzliwie Luke, najbardziej wybredny z całej rodziny.

Maverick zajrzał do piekarnika.

- Trudno powiedzieć, ale to coś wygląda jak robaki we krwi - poinformował wnuka z kamienną twarzą.

- Trochę taktu, Mavericku Beaumont! - wykrzyknęła Elise z oburzeniem. Oczy chłopca zrobiły się okrągłe z przejęcia. Pognał do pokoju, by przekazać bratu fascynującą nowinę.

- Moja wersja brzmi znacznie ciekawiej niż zapiekanka z makaronu - wyjaśnił Maverick ze stoickim spokojem.

Elise dopiero teraz doceniła inwencję byłego męża. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Następnie zaproponowała, że nakryje do stołu.

- Jeszcze za wcześnie - zaprotestowała Aurora. - Lepiej przynieście z tatą trochę kwiatów na bukiet. Moje róże kwitną tego lata wyjątkowo pięknie.

Kiedy indziej Elise pewnie wysłałaby Mavericka do ogrodu albo sama pospieszyła spełnić prośbę córki. Ale nie teraz. Czując, że nie powinna wychodzić z nim na dwór, mimo to wyraziła zgodę. Ruszyli ramię w ramię w kierunku pnącego krzewu, rozpiętego na drewnianym ogrodzeniu na tyłach domu. David podarował Aurorze z okazji pierwszej rocznicy ślubu sadzonkę bardzo starej odmiany róży. Zakwitła już po roku. W późne, lipcowe popołudnie odurzający

aromat wypełniał powietrze. Elise z lubością wciągnęła go w nozdrza. Podniosła rękę, żeby zerwać kilka kwiatów.

Maverick delikatnie pochwycił jej dłoń. Splótł jej palce ze swoimi.

- Proponuję, żebyśmy najpierw kilka minut pospacerowali, jeśli pozwolisz.

- Dobrze - wyszeptała zmienionym z emocji głosem. - Bardzo miły pomysł. Było więcej niż miło. Przechadzka sprawiła jej znacznie większą przyjemność, niż przypuszczała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

BETHANNE HAMLIN

- Najdziwniejsze, że Grant miał rację - oznajmiła Bethanne Paulowi Ormondowi, sięgając po kolejny kawałek tortilli. - Kilka miesięcy temu wytknął mi w dość nieprzyjemny sposób, że powinnam zacząć zarabiać na własne utrzymanie. Przypomni mi, że niedługo przestanie płacić alimenty. Przy okazji udzielił mi bezcennej rady - zasugerował, że bym wykorzystała wrodzone zdolności. Napomknął w dość lekceważącym tonie, że nadawałabym się na nianię. O inne talenty mnie nie podejrzewa. Doprowadził mnie wtedy do pasji, ale gdy gniew minął, przyznałam mu rację.

Paul uśmiechnął się. Bethanne ponownie ze zdumieniem stwierdziła, że robi na niej coraz silniejsze wrażenie, chociaż nie określiłaby go jako atrakcyjnego. Przystępny sposób bycia oraz

piękny, ciepły uśmiech czyniły go pociągającym.

Umówiła się z nim na kolację wkrótce po urodzinach wnuka Elise. Mimo że od dnia przyjęcia zlecenia do jego realizacji pozostało niewiele czasu, impreza wypadła wprost fantastycznie. Chłopcy z entuzjazmem kopali w ogrodzie w poszukiwaniu jaj prehistorycznych gadów. Później każdy z nich otrzymał zadanie dopasowania ogona do sylwetki swojego zwierzaka. Akcesoria do obydwu gier przygotowały wspólnie z Annie.

- Wyobraź sobie, że podczas przyjęcia u Luke'a przyjąłem trzy dalsze zamówienia. I jeszcze jedno na kursie dziewiarskim. Wszyscy pragną, żebym przyłożyła swoją „złotą rączkę” do przygotowania uroczystości dla ich dzieci - obwieściła z dumą. - Ale pewnie już o tym wspominałam.

- Nawet nieraz.

Nie czuła skrępowania. Zasłużyła sobie na chwilę triumfu. Najbardziej cieszyło ją, że zarobiła na obóz dla syna. Gdy wręczała mu pieniądze, wręcz rozsadzała ją duma. Wzięła do ust kęs egzotycznej potrawy, którą przedtem unurzała w gęstym sosie.

- Gdy dzieci podrosły, Grant często wytykał mi, że robię zbyt wiele szumu wokół każdego rodzinnego święta. Nazywał moje starania stratą czasu i pieniędzy. Nie przypuszczał, że jego żona właśnie na tej umiejętności zbuduje swą przyszłą karierę. Była żona - skorygowała z ciężkim westchnieniem. - Chyba nigdy nie przywyknę do tej myśli.

- Ja też jeszcze się nie oswoiłem ze statusem rozwodnika.

- Miło mi, że zadzwoniłeś - spróbowała odwrócić swoją i jego uwagę od smutnego tematu.

- Chciałem wiedzieć, jak ci poszło.

- Doskonale. Jestem taka szczęśliwa... i bardzo mi smakują meksykańskie dania - dokończyła, żeby wiedział, że docenia zaproszenie.

- Mnie też. - Sięgnął po margaritę. Zanim upił łyk, zlizął sól z brzegu kieliszka. Widok koniuszka języka Paula nasunął Bethanne niestosowne skojarzenia.

Dawno nie kochała się z mężczyzną. Próbowała stłumić te myśli. Bezskutecznie.

- Czy nie brakuje ci... seksu? - spytała, ściszywszy głos do szeptu, by nikt postronny nie usłyszał.

- A co to takiego?

Wybuchnęli serdecznym śmiechem, jakby od dawna nie słyszeli lepszego dowcipu.

- A tobie?

Skinęła głową. On też. Nikogo innego nie odważyłaby się pytać o tak osobiste sprawy, ale wobec Paula nie odczuwała skrępowania. Stać ją było na szczerść, ponieważ uważała go za serdecznego przyjaciela. Bez zahamowań zawierzali sobie troski i radości, mówili bez ogródek nawet o niezbyt szlachetnych uczuciach jak zazdrość czy gniew. Taka otwartość działała oczyszczająco na dwie zranione dusze. Wysoko sobie ceniła tę przyjaźń. Akurat tego wieczoru zawartość alkoholu w dwóch kieliszkach mocnego trunku dodatkowo pomogła

przełamać wewnętrzne opory.

- Co słyhać u Annie? - zmienił temat Paul.

- Po ostatnim chuligańskim wybryku, gdy nasypała cukru do zbiornika paliwa w samochodzie Tiffany, przeprowadziłam z nią kilka poważnych rozmów.

Z początku córka wszystkiemu zaprzeczała. Później się przyznała. Zrozpaczona, wyrzuciła z siebie cały żal. Bethanne omal serce nie pękło. Namówiła ją na psychoterapię. Po dwóch wizytach Annie spojrzała na swą sytuację z nowego punktu widzenia. Nawiązała ponownie kontakt psychiczny z matką. Wypłakały razem jeszcze wiele łez, lecz powoli dochodziła do równowagi psychicznej. Bethanne uwierzyła wreszcie, że Annie odzyska siły, żeby poradzić sobie w życiu, z ojcem czy też bez niego.

- Czy Grant wreszcie znalazł dla niej czas?

- Zadzwoił kiedyś do domu. - Wzruszyła ramionami.

- Nie słyszałam ani słowa, ale przesadnie się nie nagadali. Po dwóch minutach Annie odłożyła słuchawkę.

- Tiffany otrzymała z firmy ubezpieczeniowej odszkodowanie za zniszczony silnik.

- Ona ci o tym mówiła? - spytała, bezgranicznie zdumiona. Paul prawie nigdy nie wspominał o byłej żonie.

- Nie, nasz agent. Na szczęście ubezpieczyła samochód również od aktów wandalizmu. Dobrze, że nie ujawniła sprawcy.

Bethanne skinęła głową. Gdyby Tiffany oskarżyła Annie, nie wybaczyłaby jej do końca życia. Nie potrafiła przewidzieć, po której

stronie stanąłby Grant. Uważała wprawdzie, że człowiek powinien ponosić konsekwencje własnych uczynków, ale nie wyobrażała sobie córki na ławie oskarżonych. Psycholog znalazł isticie salomonowe rozwiązanie. Skłonił dziewczynę, żeby wysłała do poszkodowanej list z przeprosinami. Bethanne miała nadzieję, że to wystarczy.

Nadeszła kelnerka. Bethanne zamówiła sałatkę *fajita*, a Paul kurczaka *enchilada*. Kiedy ponownie zostali sami przy stoliku, wrócili do przerwanege tematu.

- Annie nadal przeżywa trudny okres, ale chyba kryzys już minął. Z dnia na dzień robi postępy.

- Potrzebuje przyjaciół, kogoś, kto by ją zrozumiał - stwierdził Paul. - O, już widzę ten błysk w twoim oku! - zauważył nagle ze śmiechem.

- Jedną bliską koleżankę już ma. Tylko że ona, przeciwnie niż matka, nie zawsze potrafi właściwie ocenić, co dla niej dobre.

- Wysłuchuję dziś od ciebie samych pomyślnych wieści.

- Właśnie... - zachichotała. Nagle zamilkła, jakby zaskoczyła ją jakaś niespodziewana refleksja. Sięgnęła ręką przez stół i pochwyciła jego dłoń. - Nigdy nie przypuszczałam, że jeszcze kiedykolwiek wróci mi radość życia. Tymczasem uświadomiłam sobie, że jestem szczęśliwa jak nigdy dotąd. A ty? - usiłowała odczytać odpowiedź z jego oczu.

Naprawdę z całego serca życzyła mu wszystkiego dobrego. Upiła łyk margarity.

- Jeszcze nie do końca, lecz przeczuwam, że ta chwila wkrótce

nadejdzie - odrzekł z wahaniem, patrząc w bok. - Najlepiej się czuję w twoim towarzystwie. Myślałem wiele o tobie. O nas. Chciałbym cię częściej widywać.

Bethanne o mało się nie zakrztusiła. Zmarszczyła brwi. Nigdy nie pytała Paula o wiek, ale przypuszczała, że jest od niego co najmniej o dziesięć lat starsza. Zamierzała mu to uświadomić. Szukała odpowiednich słów, żeby odmowa nie zabrzmiała zbyt szorstko.

- Bardzo lubię twoje towarzystwo, cieszy mnie każde spotkanie z tobą, ale nie wyobrażałam sobie nas jako pary. Przyjaźń w zupełności mi wystarczy.

- Jak sobie życzysz. - Wzruszył ramionami z udaną obojętnością.

- Nie gniewaj się, proszę. Nie chciałam cię urazić.

- Przemyśl moją propozycję - poprosił jeszcze raz, już nieco odprężony. - Uważam, że pasujemy do siebie. Byłabyś dla mnie wymarzoną partnerką.

Bethanne powiodła wzrokiem po sali, czy nikt przy sąsiednich stolikach nie podsłuchuje. Następnie pochyliła się ku niemu.

- Czy dlatego mi to proponujesz, że wspomniałam o sprawach intymnych?

- Nie. Ani też dlatego, że żona zostawiła mnie dla twojego męża. Po prostu dobrze mi z tobą. Z kobietą, której ufam i którą szczerze polubiłem - zapewnił z całą mocą. Widząc jej zakłopotanie, dodał: - Zaskoczyłem cię, prawda?

- Właściwie nie. Tylko do tej pory myślałam o nas wyłącznie jak o parze przyjaciół. Najlepiej, jeśli na razie tak pozostanie. Czas

pokaże, co z tego wyniknie.

- Jesteś piękną kobietą, Bethanne - powiedział poważnie.
- A jednak nie zrezygnowałaś z uwodzenia.
- Nie. Może jednak coś z tego wyniknie - zacytował jej słowa.
- Lepiej nie zamawiajmy więcej alkoholu.
- Spokojnie, dopiero nabraliśmy rozmachu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

COURTNEY PULANSKI

Po tym, jak Annie opuściła w gniewie jej pokój, Courtney nie liczyła, że kiedykolwiek się odezwie. Rozżalona dziewczyna nie przyjęła do wiadomości, że działała dla jej dobra. Ponieważ odtrąciła pomocną dłoń, Courtney nie miała nawet śmiałości zapytać Bethanne, co u niej słyhać. I nagle, w poniedziałek po południu, zupełnie nieoczekiwanie zadzwoniła po dwóch tygodniach milczenia. Zaprosiła ją do siebie. Sprawiała jej bardzo miłą niespodziankę.

Babcia podrzuciła ją w pobliże w drodze do kościelnej biblioteki, gdzie pracowała społecznie raz w miesiącu. Zanim Courtney przybyła do Seattle, wyobrażała sobie, że starsza pani całymi popołudniami przesiaduje w fotelu z robótką w ręku. Jakże się myliła! Cztery razy w tygodniu Vera Pulanski chodziła o świcie na basen, robiła porządki w ogrodzie i na podwórzu, a działalności charytatywnej w różnych organizacjach kościelnych poświęcała tyle czasu, że starczyłoby na pełny etat.

Kiedy jej samochód odjechał, Courtney pozostała jeszcze trochę na chodniku, żeby obejrzeć dom Annie.

Zachwyciła ją elewacja z cegieł, strome schodki prowadzące na ganek ze spadzistym dachem oraz portal w kształcie łuku. Oryginalna konstrukcja przypominała jej niektóre budowle w Chicago. Zażęskniła za rodzinnym miastem, gdzie znała każdy zaułek i każdego sąsiada. Przerazała ją perspektywa zdawania matury w nowej szkole, wśród obcych ludzi. Przez jedenaście lat zdobywała przyjaciół, zacieśniała więzi, pielęgnowała znajomości po to, by w końcu wylądować sama w nieznanym otoczeniu. Brakowało jej przyjaciół, z których wielu znała niemal od urodzenia. Chociaż z trudem znosiła rozłąkę z bliskimi, zaakceptowała przeprowadzkę do Seattle jako konieczne i jedyne możliwe rozwiązanie. Julianna uświadomiła jej, że i tak po ukończeniu liceum czekałaby ją zmiana środowiska, toteż wcześniejsza przeprowadzka stanowiła tylko przygotowanie do wkroczenia w życie akademickie. Przekonała ją, że sprawdzi swoje zdolności przystosowawcze, zdobędzie doświadczenia, które zaprocentują w najbliższej przyszłości. Courtney była jej wdzięczna za mądre słowa otuchy. Stały kontakt z członkami rodziny nieco łagodził poczucie osamotnienia.

Annie otworzyła drzwi, zanim Courtney zdążyła zadzwonić. Miała na sobie obcisłe spodenki, luźny podkoszulek i ranne pantofle.

- Zobaczyłam samochód twojej babci na ulicy - powitała ją bez cienia uśmiechu.

Courtney zadawała sobie pytanie, czy naprawdę chciała ją

widzieć, czy matka kazała jej zadzwonić. Na wszelki wypadek nie wyraziła głośno wątpliwości. Cieszyła się, że w ogóle doszło do spotkania. Po zdawkowej wymianie grzeczności Annie odwróciła się do niej plecami i weszła na schody prowadzące na piętro. Courtney wolałaby najpierw zwiedzić przytulny dom z jasnymi ścianami, wypolerowaną do połysku drewnianą podłogą i mebelkami z tapicerką w odcieniach wiśni i głębokiej zieleni.

Zanim podążyła za Annie, zdążyła jeszcze dostrzec kątem oka proste, lecz niewątpliwie bardzo drogie dywany oraz świeże kwiaty na kominku. Tak jak przypuszczała, Bethanne miała doskonały gust. Na ścianach wisiał cały rząd fotografii. Zwróciła uwagę na jedną z nich, z dawnych, dobrych czasów, przedstawiającą całą rodzinę w komplecie. Zauważyła, że Andrew ze swymi błękitnymi oczami i mocnym, kwadratowym zarysem podbródka przypomina ojca, a Annie matkę. Dopiero później spostrzegła, że szkło w jednej z ramek zostało stłuczone. Ciekawa była, czy to również efekt frustracji Annie.

- Gdzie reszta rodziny? - zapytała, wchodząc po wyłożonych dywanami schodach.

- Brakuje ci ich? - mruknęła Annie z niechęcią. Courtney usiłowała nie zwracać uwagi na ponury ton jej głosu.

- Nie.

- To dobrze. - Annie przystanęła na piętrze. Widząc, że Courtney ogląda rodzinne zdjęcia, oświadczyła: - Kazałam mamie je powyrzucać, ale nie posłuchała.

- U nas wszędzie wiszą wizerunki mamy. Czasami wracałam do

domu, zadowolona czy podekscytowana jakimś ciekawym wydarzeniem. Wystarczyło, że na nie spojrzałam, a wybuchalam płaczem - wyznała Courtney.

Otarła łzy rękawem. Do tej pory odczuwała smutek na samo wspomnienie. Jeszcze bardziej było jej żal, że fotografie pochowano, gdy dom wynajęli obcy ludzie.

Annie milczała przez chwilę. Gdy ponownie przemówiła, wydobyła ze ściśniętego gardła zaledwie cichy szept:

- Kiedy tata odszedł, nie wątpiłam, że wkrótce do nas wróci. Znienawidziłam go za to, że nas zostawił. Chciałam go za to ukarać, a równocześnie pragnęłam, żebyśmy znów tworzyli pełną rodzinę.

- Na pogrzebie mojej mamy płakali wszyscy, nawet tata, tylko ja nie - ciągnęła Courtney.

Nikommu wcześniej nie opowiadała tych dramatycznych przeżyć. Przeczynała jednak, że Annie ją zrozumie.

- Czemu?

- Chyba z powodu szoku. Przyszło mnóstwo ludzi. Każdy podchodził i mówił, że mama pięknie wygląda. Nieprawda. Wyglądała jak... martwa. - Ściszyła głos, żeby Annie nie spostrzegła, że nadal tak samo rozpacza z powodu tragedii sprzed lat. - Chciałam tylko, żeby wszyscy sobie poszli, żeby zostawili mnie w spokoju. Dopiero nocą dotarło do mnie, że ją pochowaliśmy, że naprawdę jej nie ma i już nigdy nie będzie. Nie mogłam znieść tej myśli. Zaczęłam płakać.

- To musiało być straszne - powiedziała Annie, szczerze

przejęta.

- Było. Łkałam w nieskończoność, nie mogłam przestać, chociaż wszyscy usiłowali mnie pocieszać. Rozpaczliwie za nią tęskniłam. Żałowałam, że to nie ja zginęłam. Czułam, że umarła moja dusza.

- Co zrobił tata?

- Trzymał mnie w objęciach. Później Julianna i Jason usiedli na moim łóżku i płakaliśmy we czworo. - Łzy znowu popłynęły strumieniem z jej oczu. Otarła je ręką. - Jestem o wiele młodsza od siostry i brata. Wcześniej nie miałam z nimi zbyt dobrych układów z powodu różnicy wieku. Dopiero śmierć mamy zbliżyła nas do siebie tamtej nocy. I tak już pozostało - zakończyła, nieco zażenowana, że aż tak wiele powiedziała.

Z drugiej strony, koniecznie chciała uświadomić Annie, że poniosła o wiele mniejszą stratę, chociażby z tego powodu, że niebezpieczną. Ponieważ ojciec Annie pozostał przy życiu, pragnęła jej dać nadzieję, że nie wszystko stracone.

Annie patrzyła na nią niezbyt przytomnym wzrokiem, zupełnie zbита z tropu. Najwyraźniej nie wiedziała, co powiedzieć. W końcu wskazała jej drogę do swojego pokoju na końcu korytarza. Courtney pokonała ostatnie stopnie schodów. Po drodze rzuciła okiem na jeszcze jedno zdjęcie, zatknięte za ramę lustra. Przedstawiało Annie na zabawie szkolnej, w różowej sukni i kwiecistym szalu. Stała pod arkadą w otoczeniu chmury białych balonów. Towarzyszył jej chłopak w garniturze. Annie podążyła za jej spojrzeniem.

- To Conner - wyjaśniła. - Rzucił mnie kilka miesięcy temu.

Stwierdził, że nie chce chodzić z taką wywłoką jak ja!

- Jaki uprzejmy - zadrwiła Courtney.

Czuła, że dziewczynie nadal na nim zależy. Inaczej zdjęłaby fotografię.

- Miał rację. - Annie wzruszyła ramionami.

- Widywałaś go później?

- Raz, na meczu. Ma teraz nową dziewczynę. Ponieważ gra w tej samej drużynie co Andrew, trudno uniknąć spotkania. Podoba ci się mój brat? - spytała znienacka.

- Polubiłam go - przyznała Courtney dość lakonicznie, żeby nie zdradzić, co naprawdę myśli.

Andrew był miły, atrakcyjny i, według relacji Bethanne, wielce utalentowany. Courtney nie wątpiła, że w gwiazdorze szkolnej drużyny piłki nożnej kochają się wszystkie dziewczęta. Już na początku znajomości oceniła własne szanse jako zerowe. Zdecydowała, że nie warto inwestować uczuć w niedostępny obiekt. Życzyła sobie tylko, żeby zaliczył ją do grona przyjaciół.

- Andrew uświadomił mi, ile ci zawdzięczam. Rzeczywiście tamtej nocy wiele dla mnie zrobiłaś. W gruncie rzeczy nie miałam do ciebie żalu.

- Wiem. Byłaś wściekła na cały świat, a przede wszystkim na siebie. Nie wiadomo, kiedy straciłaś kontrolę nad sobą. Przekroczyłaś bardzo niebezpieczną granicę.

Annie patrzyła w podłogę.

- Bardzo mi przykro, że straciłaś mamę, ale prawdę mówiąc, nie

widzę analogii z moją sytuacją. Ona nie chciała odchodzić. Mój ojciec opuścił nas świadomie. Nic dla niego nie znaczymy. Nie obchodzi go nikt prócz tamtej kobiety - wyrzuciła z siebie jednym tchem. Aż poczerwieniała na twarzy z wściekłości.

Courtney miała ochotę ująć jej dłoń. Nie zrobiła tego. Bała się, że Annie znowu odtrąci gest przyjaźni.

- Nie twierdzę, że przeżyłyśmy to samo, ale każda z nas doświadczyła tych samych skutków odejścia kogoś z rodziny. Obydwie wraz z oparciem w bliskiej osobie utraciłyśmy poczucie bezpieczeństwa. Gdyby moja mama żyła, ojciec nie narażałby życia w Ameryce Południowej, a ja nie wylądowałabym w Seattle, sama jak palec.

- A gdyby mój ojciec trzymał spodnie zapięte na suwak, mama nie śpiewałaby „Happy Birthday” jakimś obcym szkrabom, żeby zarobić na życie - załkała. - Lepiej zmieńmy temat. Nienawidzę go i nikt mnie nie przekona, że na to nie zasłużył.

- Możemy pogadać o czymkolwiek - zgodziła się Courtney. Annie odetchnęła z ulgą.

- Szczerze mówiąc, uważam, że wybrała całkiem sympatyczne zajęcie - przyznała Annie po chwili milczenia, już nieco odprężona. - W dodatku nie najgorzej zarabia. Wciąż odbieramy telefony z nowymi zamówieniami. Pomagamy jej z bratem w miarę możliwości. Przygotowałam dla niej niespodziankę: projekt wizytówki. Chcesz zobaczyć?

- Jasne.

Annie wstała z łóżka, usiadła przy komputerze i włączyła program graficzny. Courtney stanęła za jej plecami. Na ekranie ujrzała szyld:

UROCZYSTOŚCI BETHANNE Specjalność: przyjęcia urodzinowe

W górnym rogu widniał pęk balonów, poniżej napisu tort ze świeczkami, a na dole numer telefonu.

- Wspaniale! - wykrzyknęła Courtney z niekłamany entuzjazmem.

- Może bez baloników wyglądałoby bardziej profesjonalnie, ale trochę za smutno, nie uważasz?

- Ja bym je usunęła - orzekła Courtney po dłuższych oględzinach. Annie kliknęła myszką. Obejrzała w skupieniu okrojony projekt wizytówki.

- Rzeczywiście, te dziecinne ozdóbki tylko psuły obraz - stwierdziła. - Niedawno ktoś zamówił imprezę dla dorosłych. Trzeba zadbać o poważną, profesjonalną reklamę. Odkąd zlecenia zaczęły napływać coraz szerszym strumieniem, myślimy z Andrew o stworzeniu strony internetowej. - Ponownie skupiła wzrok na ekranie. - Jakie zmiany byś jeszcze zaproponowała?

- Bardziej przejrzysty krój pisma. Ten jest śliczny, ale niezbyt czytelny. Spróbuj Verdany, Georgii lub Comic Sans.

- Mama prosi, żebym współpracowała z nią przy organizacji kolejnego przyjęcia. Mówi, że i ty zaoferowałaś pomoc. Skoro ty z nią idziesz, to ja też.

Courtney poczuła miłe ciepło w okolicy serca.

- Czy to znaczy, że zostałyśmy przyjaciółkami? - spytała. Nawet jeżeli zabrzmiało to trochę niezręcznie, musiała poznać prawdę.

Annie milczała przez chwilę, jakby rozważała, co powiedzieć.

- Bardzo bym chciała. Andrew ma rację, wiele ci zawdzięczam. Uratowałaś moją skórę. Wielkie dzięki - ze wzruszenia dokończyła już szeptem.

- Nie ma za co. Po śmierci mamy i ja popełniałam głupstwa. Kiedyś wznieciłam pożar na podwórzu za sklepem spożywczym, sama nie wiem dlaczego. Chyba z żalu do całego świata. - Spuściła głowę, zawstydzona. Nawet siostrze nie przyznała się do tego występku. - To było potwornie głupie. Gdyby ktoś mnie nakrył, wylądowałabym w poprawczaku.

- Ale do narkotykowych melin nie chodziłaś?

- Nie, na to jeszcze byłam za mała. Narobiłam za to sporo innych głupot. Annie uśmiechnęła się słabo. Potem przygryzła wargi.

- Terapeuta twierdzi, że zareagowałam na rozwód rodziców w sposób typowy dla ludzi o małej odporności psychicznej. Tłumaczył, że rodziny się rozpadają, bliscy czasami odchodzą, ale tak urządony jest świat i należy się z tym pogodzić. Ja nie potrafię. Wierzyłam, że ojciec mnie kocha.

- Oczywiście, że tak. - Courtney nie wierzyła, że miłość do dziecka może wygasnąć z dnia na dzień. Żałowała, że nie potrafi przekonać Annie.

- Być może - mruknęła Annie z niechęcią. - Ale bardziej zależy

mu na tamtej. - Łzy znów napłynęły do oczu. Wytarła je ręką. - Trudno, pewnie kiedyś sobie z tym poradzę.

Courtney zostawiła ostatnie zdanie bez komentarza. zaproponowała, żeby Annie wydrukowała projekt wizytówki, by odwrócić jej uwagę od przygnębiających wspomnień. Udawała, że nie dostrzega jej łez. Annie chętnie spełniła jej prośbę. Kliknęła myszką na ikonę drukarki. Usłyszały szum maszyny. Z zapartym tchem patrzyły, jak wychodzi z niej zapisana kartka. Odebrała ją Courtney. Przez dłuższy czas w skupieniu studiowała projekt.

- Jakie to piękne - szepnęła.

- Wizytówka powinna wyglądać przede wszystkim profesjonalnie.

- I wygląda - zapewniła Courtney. - Twoja mama zaniemówi z wrażenia.

- Dziękuję, Court. - Annie posłała jej uśmiech przez łzy.

Courtney słyszała to zdrobienie po raz pierwszy od dnia wyjazdu z domu. I po raz pierwszy opuściło ją uczucie wewnętrznej pustki. Do tej pory odczuwała ją paradoksalnie w okolicy żołądka, co przyniosło wiadome skutki.

- Hej, co tam robicie? - usłyszały głos Andrew.

Courtney odwróciła głowę. Brat Annie stał oparty o drzwi, z odpiętą torbą na ramieniu. Na wierzchu leżały buty treningowe. Najwyraźniej dopiero wrócił z boiska. Dziewczęta przedstawiły mu efekty swej pracy. Courtney wręczyła mu wydrukowaną wizytówkę.

- Dobrze! - wykrzyknął. Popatrzył jej w oczy. - Nie poszłybyście

ze mną na pizzę?

- Fundujesz? - zapytała Annie.

- Jasne, dostałem pensję w tym tygodniu. - Zaprosił gestem Courtney. - Możesz pójść z nami?

Bez wahania wyraziła zgodę. Zdecydowała, że zje niewielki kawałek z odrobiną sałatki. Nie wątpiła, że dotrzyma postanowienia. Nie odczuwała już tej dziwnej pustki w żołądku. Znalazła to, czego najbardziej potrzebowała - przyjaciół. W ich towarzystwie nie groził jej atak chorobliwego obżarstwa.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Osoby robiące na drutach w naturalny sposób nawiązują nici przyjaźni w pracy, poza pracą, a nawet za pośrednictwem Internetu. Dzięki wspólnej pasji tworzą krąg osób o podobnych zainteresowaniach.

Mary Colucci, przewodnicząca fundacji „Ogrzejcie Amerykę!”

LYDIA HOFFMAN

Niewiele ostatnio przebywałam w sklepie. Większość czasu spędzałam na negocjacjach ze specjalistami od kredytów trzech miejscowych banków. Nie sądziłam, że w którymkolwiek zechcą udzielić mi pożyczki, ale potrzebowałam poczucia, że przynajmniej próbuję pomóc siostrze. Dopiero w trzecim, niewielkim, pobliskim banku o nazwie Seattle First trafiłam na wspaniałego, życzliwego menedżera. Stwierdził, że chociaż prowadzę firmę dopiero od roku,

osiągam zyski. Uwzględnił również świadectwo zdrowia, wystawione przez doktora Wilsona. Orzekł, że wolno mi ubiegać się o pożyczkę i że prawdopodobnie ją dostanę. W sumie uznał mnie za wypłacalną klientkę. Tym samym oficjalnie potwierdził mój status wiarygodnego przedsiębiorcy. To dla mnie prawdziwe święto!

Margaret nic nie wiedziała o moich poczynaniach. Robiła dobrą minę do złej gry, podobnie jak ja w sprawie Brada. Matt nadal nie znalazł zatrudnienia w zawodzie. W Boeingu pracował na stanowisku inżyniera elektryka. Ostatnio został przyjęty do malowania domów. Nie znosił tego zajęcia, ale do spółki z żoną zarabiali na bieżące wydatki. Niestety na spłatę długu hipotecznego nie starczało.

Podpisałam wniosek o pożyczkę w pierwszy poniedziałek sierpnia. Lato mijało, a ja nie spełniłam żadnego z moich zamierzeń. Wiosną Brad obiecał zamontować nowe półki w sklepie. Spędziliśmy kilka fascynujących sobotnich popołudni na pomiarach, obliczeniach i rysowaniu projektów. Obydwoje z Codym niecierpliwie czekaliśmy, żeby pomóc w ich wykonaniu. Naprawdę ich potrzebowałam. W sklepie z włóczką trzeba rozsądnie zaplanować powierzchnię, żeby pomieścić nieustannie rosnący asortyment. Od właściwej ekspozycji zależą wyniki sprzedaży, a nowych wzorów przybywa jak grzybów po deszczu. Podpatrzyłam kiedyś ciekawy pomysł w sklepie w King County. Na suficie umieszczono wieszaki, z których zwisały różnobarwne próbki czystej, ręcznie uprzedzonej wełny. Postanowiłam zastosować to pomysłowe rozwiązanie u siebie na części powierzchni. Brad obiecał, że wkręci mi odpowiednie haki.

Sama umiałabym to zrobić. Ciągłe jednak zwlekałam z realizacją każdego pomysłu, który opracowaliśmy wspólnie z Bradem. Równie dobrze mogłabym sobie zamówić gotowe regały, lecz i tego nie zrobiłam.

Po odebraniu czeku z banku pojechałam prosto do Margaret. W sobotę, kiedy pytałam o plany na ten dzień, powiedziała, że zostaje w domu. Zastałam ją w ogrodzie, podlewała rabatki z kwiatami. Zatopiona w rozmyślaniach, nawet nie spostrzegła mojego przybycia.

- Dzień dobry, siostrzyczko! - zawołałam. Wzdrygnęła się, ręka jej zadrżała. Woda z węża popłynęła na ścieżkę.

- Czemu mnie straszysz? - warknęła.

- Przychodzę w bardzo ważnej sprawie.

- Nie mogłaś poczekać do poniedziałku?

- Nie.

Margaret nigdy nie była sympatyczną, ciepłą osobą. W przyływie złego humoru robi się jeszcze bardziej nieprzystępna, czasami wręcz opryskliwa. Chyba nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Ale serce ma dobre. Wiele mi pomaga w sklepie, mimo że gdzie indziej zarobiłaby więcej. Bardzo pragnęłam jej pomóc, okazać, jak bardzo ją kocham.

- Potrzebujesz czegoś? - spytała, mierząc mnie podejrzliwym spojrzeniem.

- O, tak, poproszę o szklankę mrożonej herbaty.

Margaret z ociąganiem skinęła głową. Westchnęła głęboko. Zakręciła kran na tyłach domu, po czym weszła na ganek. Podążyłam

za nią. W salonie ujrzałam całą masę kartonowych pudeł.

- Jesteśmy niewypłacalni. Termin wyprowadzki upływa w piątek. Chcę oszczędzić rodzinie piekła eksmisji. Wystarczy, że tracimy dom - pospieszyła z wyjaśnieniem, zanim zdążyłam zapytać. - W takiej sytuacji nie powinno mnie obchodzić podlewanie, ale na siłę szukałam jakiegoś zajęcia.

W kuchni znalazłam kolejne paczki. Dziękowałam Bogu, że w porę załatwiłam pożyczkę. Margaret wyciągnęła z kredensu dwie szklanki. Postawiła je na stole.

- Dobrze, że nie czekałam z wizytą do jutra - zaczęłam ostrożnie. Próbowałam ją delikatnie przygotować na kolejny wstrząs. - Bardzo cenię twoją współpracę.

- Ale? - spytała podejrzliwie, siadając naprzeciwko mnie.

- Nie ma żadnego ale!

- Chcesz mnie zwolnić?

- Skądże! - wykrzyknęłam - jesteś mi bardzo potrzebna.

Przyszłam ci pomóc.

- W pakowaniu?

Zrozumiałam, że popełniłam błąd. Zbyt długo trzymałam ją w napięciu. Tylko ją wystraszyłam. Powinnam od razu przekazać jej dobrą nowinę. Wyjęłam czek z torebki i wręczyłam go Margaret. Wzięła go, przeczytała, po czym zmarszczyła brwi.

- Skąd wzięłaś pieniądze? Wyciągnęłaś od mamy? Gdy opowiedziała mi o swoich problemach, wymogła przyrzeczenie, że nie pisnę słowa. Dotrzymałam obietnicy.

- Nie, wzięłam pożyczkę. Dyrekcja banku uznała mnie za osobę wypłacalną i godną zaufania - oświadczyłam. Sądzę, że mimo wszelkich wysiłków nie ukryłam triumfu.

Margaret trzymała czek oburącz, jakby się obawiała, że jej ucieknie.

- Co im naopowiadałaś?

- Nie zadawali zbyt wielu pytań - skłamałam. Naprawdę przesłuchiwało mnie aż dwóch urzędników.

Śledztwo trwało dłużej niż wywiad lekarski przy przyjęciu do szpitala.

- Prawdopodobnie w charakterze poręczenia majątkowego podałaś swój sklep.

- Nic więcej nie posiadam. - Skinęłam głową. Postawiłam na szalę moje marzenia, nadzieje, całą moją przyszłość, żeby ratować siostrę.

- Nie wolno ci tego robić! - krzyknęła ze łzami w oczach.

- Za późno - oświadczyłam zdecydowanym tonem.

Przewidziałam jej opory, dlatego kazałam wypisać czek na nazwisko Margaret. - Jutro z samego rana pójdziesz wpłacić pieniądze do swojego banku.

- Kiedy ja je zwrócę? - jęknęła.

- Nie pożyczam ci tych pieniędzy. Daję ci je.

Margaret patrzyła na mnie rozszerzonymi ze zdumienia oczami, jakby nie rozumiała ani słowa. Powtórzyłam ofertę jeszcze raz. Dokładnie ją przemyślałam. Gdybym udzieliła jej pożyczki, żyłaby

cały czas pod presją spłaty gigantycznej sumy. Wcześniej czy później nieustanne napięcie doprowadziłoby do konfliktu. Uważałam, że warto poświęcić dziesięć tysięcy dolarów, żeby uratować nie tylko rodzinę siostry, ale i nasze dobre stosunki.

- Zwrócę ci co do centa - zapewniła. - Niech tylko Matt dostanie pracę. Uznałam, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Spróbowałam trafić jej do przekonania w inny sposób. Wyciągnęłam rękę przez stół i ujęłam jej dłoń.

- Zrobisz, co zechcesz, ale powtarzam: nie jesteś mi nic winna. To dar miłości. Kto wie, może i ja będę kiedyś potrzebowała pomocy, tak jak bywało w przeszłości. W ubiegłym roku, gdy zachodziła obawa, że nastąpił nawrót choroby, poświęciłaś mi każdy dzień, każdą minutę i każdą myśl. Nie przetrwałabym kryzysu bez ciebie. Teraz moja kolej.

- Dziękuję - wyszeptała ze łzami w oczach.

Dopiłam mrożoną herbatę, podziękowałam i wróciłam do domu, zadowolona, że zrobiłam dobry uczynek. Nie otwieram sklepu w poniedziałki, co nie oznacza, że nie pracuję. Wykorzystuję ten dzień na uzupełnienie dokumentacji, porządku, remanenty oraz kontakty z kontrahentami.

Ledwie weszłam do sklepu, Wąsik wyszedł mi na spotkanie. Mój kot nie znosi samotności. Najwyraźniej było mu przykro, że zostawiłam go samego na całe przedpołudnie. Chodził koło mnie, ocierał się o nogi, prosząc o pieszczoty. Przykucnęłam i zaczęłam głaskać puszystą sierść od łebka do czubka ogona. Podziękował

błogim mruczeniem. Schylona nad zwierzakiem, zauważyłam na podłodze list w urzędowej kopercie. Leżał tuż za progiem, jakby ktoś wsunął go pod drzwi. Podniosłam go, zaciekawiona. Natychmiast rozpoznałam pismo Cody'ego po dwukrotnie większych od innych literach „d” i „y” w moim imieniu. Z drzeniem serca podniosłam kopertę. Zawierała dwa proste zdania:

Tęsknię za tobą. Czy możemy się spotkać?

Bezwiednie zmięłam kartkę w dłoniach. Od dnia, w którym Brad oznajmił, że wraca do Janice, nie zamieniliśmy ani jednego słowa. Przyjeżdżał do nas wprawdzie wielokrotnie, ale za każdym razem Margaret przyjmowała towar. Przypuszczam, że syn nie poinformował go, że do mnie napisał. Podejrzewam też, że to on dzwonił z telefonu ojca ten jeden raz, kiedy nie odebrałam. Własnego aparatu nie posiadał. Wcześniej ani później nigdy nie zatelefonował, pewnie otrzymał zakaz.

Wyjrzałam przez okno. Na ulicy przed sklepem stała znajoma ciężarówka. Zanim pomyślałam, otworzyłam drzwi. Nie wiedziałam, czy Brad przyjechał do mnie, czy do kogoś z sąsiedztwa. Wiedziałam jednak, że wcześniej czy później zawita również do „Świata Włóczki”. Równie dobrze mogłam wyjść mu na spotkanie. Nie sposób w nieskończoność unikać kontaktu. Stałam w drzwiach. Rozejrzałam się dookoła. Zanim przeszłam na drugą stronę ulicy, ujrzałam, jak wychodzi z kwiaciarni obok. Podeszłam do niego. Przybrawszy obojętny ton, poprosiłam o chwilę rozmowy. Zrobił

zdziwioną minę, ale wyraził zgodę. Pragnęłam go zapewnić, że rozumiem jego motyw, szanuję jego decyzję, że nadal Kocham i jego, i synka. Przemilczałam to wszystko. Poinformowałam go jedynie o liście.

- Kiedy, gdzie? - dopytywał się zaskoczony i zmieszany. W jego głosie usłyszałam jakby nutkę nadziei.

- Znalazłam go pod drzwiami dziś rano. Cody prosił mnie o spotkanie - powiedziałam, patrząc w bok, żeby nie odczytał z oczu mych uczuć.

- Tęskni za tobą - mruknął z ociąganiem.

- I wzajemnie. Wiem, że nie jest mu łatwo, ale nie dzwoniłam, ponieważ nie chciałam odciągać go od matki ani przysparzać rozterek.

- Doceniam twój takt - odrzekł, patrząc mi w oczy.

- Wolisz, żeby się ze mną nie spotykał? - spytałam. Myślałam, że pęknie mi serce. Chyba nie zdołałam ukryć rozżalenia.

Brad bezbłędnie odgadł moje uczucia. Energicznie pokręcił głową.

- Jeżeli Cody chce z tobą porozmawiać, nie widzę przeszkód.

- Dziękuję - wyszeptałam, wdzięczna za pozwolenie. - Zrozum, naprawdę życzę twemu synowi pełnej, zdrowej rodziny. Kiedy odszedłeś, bardzo cierpiałam, ale już nie żywię do ciebie urazy. Przeszłam do porządku dziennego nad rozstaniem. I nad tobą - dodałam, niezgodnie z prawdą. - Teraz, kiedy nawiązałam nową znajomość, nie widzę powodu, żeby nadal cię unikać. Najwyższa pora zakończyć tę dziecinadę - łgałam dalej.

W rzeczywistości nikt inny mnie nie interesował. Nawet nie próbowałam nikogo poznać i pewnie długo nie spróbuję.

- Czy to ktoś, kogo znam?

Pokręciłam tylko głową. Nie umiem i nie lubię kłamać. Byłam pewna, że Margaret by mnie nie wydała, wątpię jednak, czy Brad zechciałby ją o mnie zapytać. Od dnia, w którym mnie porzucił, traktowała go chłodno. Wróciłam do zasadniczej kwestii.

- Jeśli Cody szuka ze mną kontaktu, nie zabraniaj mu.

- Prosił o pozwolenie, ale nie byłem pewien...

- Nie zagrażam waszej rodzinie. Nie zamierzam ranić uczuć Janice - przerwałam.

- Nie sądzę, żeby ją to szczególnie obchodziło.

- W takim razie z niecierpliwością czekam na telefon - wypowiedziałam z uśmiechem urzędową formułkę, stosowaną najczęściej na zakończenie negocjacji handlowych.

Odkąd Janice zajęła moje miejsce w życiu Brada, nie żywiłam nadziei na odnowienie osobistej więzi. Jediną pociechą stanowił fakt, że Brad zezwolił mi na kontakty z Codym.

- Życzę miłego dnia - odpowiedział automatycznie w tym samym tonie, jakby zegnał pierwszą lepszą klientkę.

- Dziękuję - szepnęłam.

Po powrocie do sklepu drżącymi rękami zamknęłam zamek u drzwi. Wyczerpał mnie nadmiar emocji. Przeżyłam ich więcej niż w ciągu jakiegokolwiek poniedziałkowego przedpołudnia w całym życiu: dostałam pożyczkę, uratowałam siostrę, a na koniec okłamałam

mężczyznę, którego kocham.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

ELISE BEAUMONT

Właściwie nie wiadomo po co Elise zrobiła prawo jazdy. Komunikacja w Seattle działała bez zarzutu. Autobusy kursowały regularnie we wszystkich kierunkach, a kiedy zachodziła potrzeba szybkiego przemieszczenia, podwoziła ją Aurora albo jechała taksówką. Od czasu przyjazdu Mavericka zyskała jeszcze osobistego kierowcę. Z ochotą zabierał ją, dokąd chciała, a potem czekał cierpliwie, aż załatwi swoje sprawy, żeby zawieźć ją do domu czy też gdzie sobie życzyła.

Przez ostatnie dwa tygodnie jeździł z nią na lekcje dziergania. Siedział w samochodzie, póki nie skończyła zajęć. Opowiedziała mu wszystko o koleżankach z kursu. Zaznajomiła go z tajnikami nowego zawodu Bethanne, relacjonowała przebieg uroczystości w Klubie Urodzinowym Jacqueline. Oboje także trzymali kciuki za dobre wyniki w nauce Courtney. Nie unikała już teraz jego towarzystwa, nawet go szukała. Nie dowierzała, że na zawsze zerwał z hazardem, ale postanowiła korzystać z każdej miłej propozycji, zanim były mąż wróci do nałogu. Mimo że potępiała jego lekkomyślność, uwielbiała słuchać relacji z podróży. Fascynowały ją barwne opisy przygód z Europy, Australii czy Karaibów. Zwiedził prawie cały świat. Pływał łodzią po Nilu, przejechał australijski busz, został nawet na krótko

omyłkowo aresztowany w Paryżu. Spotkał wielu ciekawych ludzi. Sypał jak z rękawa anegdotami o sławnych osobistościach. Zawsze rozsądna, roztropna Elise po cichu zazdrościła mu fantazji. Doszła do wniosku, że doskonały sposób na życie leży pewnie gdzieś pośrodku, pomiędzy tymi dwoma skrajnościami.

W piątek po południu, gdy Aurora i David wyszli z dziećmi do Woodland Park Zoo, zaproponował jej przejażdżkę:

- Marzę o wyprawie w góry. Ostatni raz wszedłem na Mount Rainier cztery lata temu.

- Chyba trochę za późno. - Elise zmarszczyła brwi. - Wkrótce zapadnie wieczór.

- E tam! Nie znudziło ci się ciągle siedzieć z drutami w domu?

- To moje ulubione zajęcie - przypomniała chłodnym tonem.

- Co ci szkodzi zabrać robótkę do samochodu?

Elise gorączkowo szukała pretekstu odmowy. Spostrzegła bowiem, że ostatnio zbyt często ulega jego namowom, prawie za każdym razem. Niebezpieczny urok Mavericka znów zaczął na nią zbyt silnie oddziaływać. Nie znalazła jednak żadnej wiarygodnej wymówki.

- Dziękuję za pamięć, ale wolę zostać w domu - powiedziała po prostu. Maverick nie krył rozczarowania. Ze smętną miną opłukał talerz, wstawił do zmywarki i wyszedł z kuchni. Wkrótce wrócił. Usiadł w saloniku za kuchnią z powieścią szpiegowską w rękę. Po sprzątnięciu stołu Elise zajrzała do niego. Podejrzewała, że znów wypróbować na niej swe sztuczki. Nie zamierzała kolejny raz zostać

ofiara manipulacji.

- Możesz jechać beze mnie.

- Wiem. - Spojrzał na nią przelotnie znad okularów, po czym natychmiast wrócił do przerwanej lektury, jakby nic poza akcją go nie obchodziło.

Elise wróciła do siebie. Sięgnęła po robótkę. Pierwszą skarpetę już skończyła, obecnie pracowała nad drugą. We wtorek kupiła włóczkę na następną parę, tym razem dla córki. Po przerobieniu dwóch rzędów ogarnęło ją zniechęcenie. Wróciła do salonu.

- Dobrze, pojedę z tobą.

Twarz Mavericka rozjaśnił szeroki uśmiech. Elise pojęła, że celowo obudził w niej poczucie winy. Ten mistrz manipulacji zawsze podporządkowywał ją sobie bez większego wysiłku.

Dziesięć minut później wyjechali z miasta w kierunku Parku Narodowego Mount Rainier. Wbrew sugestiom Mavericka Elise nie zabrała ze sobą drutów. Oczekiwała znacznie mocniejszych wrażeń. Maverick, urodzony gawędziarz, w przeciwieństwie do niej potrafił snuć fascynujące opowieści o byle czym. Z dziecinną łatwością przeskakiwał z tematu na temat. Wedle jego relacji często wykorzystywał tę umiejętność podczas gry w celu dezorientowania przeciwnika. Wjechali na dwupasmową szosę, wiodącą do parku.

- Chciałbym usłyszeć coś więcej o twoich kłopotach - poprosił.

- Jeżeli masz na myśli perypetie z firmą budowlaną, to uważam sprawę za zamkniętą - mruknęła. Nie miała najmniejszej ochoty ujawniać bliższych szczegółów, świadczących o jej naiwności.

- Odzyskasz pieniądze?

- Oczywiście, ale dopiero po zakończeniu procesu sądowego. -
Zirytowana kłopotliwymi pytaniami spróbowała zmienić temat na bezpieczniejszy: - Nie pamiętam, kiedy ostatnio podróżowałam do rajów - westchnęła. Maverick zajrzał jej głęboko w oczy.

- Nie wierzę, że zapomniałaś naszą cudowną podróż poślubną.

Elise uświadomiła sobie, że wbrew woli znów wkroczyła na grząski grunt. Skorzystała z jeszcze jednej deski ratunku.

- Gdzie byłeś w ostatnią środę?

- Załatwiałem swoje sprawy. Zanim zadasz następne pytanie, pragnę cię zapewnić, że nie grałem w karty.

Elise pojęła, że popełniła kolejny błąd. Zamilkła. Po namyśle uznała, że jednak wspomnienia z przeszłości niosą ze sobą najmniej niebezpieczeństw.

- Z tym rajem to gruba przesada. Te okropne myszy popsuły nam podróż poślubną.

Maverick parsknął serdecznym śmiechem.

Wynajął wtedy pokój w romantycznej chatce w parku narodowym. W nocy Elise obudził odgłos chrupania czy też skrobania. Popełniła ten błąd, że zapaliła światło. Z przerażeniem ujrzała, jak sześciuosobowa mysia rodzina wchodzi rządkiem do torby Mavericka. Po kilku sekundach rozszerzonymi z przerażenia oczami obserwowała, jak zwierzątka wychodzą z niej gęsiego, każde z orzeszkiem w pyszczku. Jej krzyk obudził nie tylko Mavericka, ale pewnie również gości we wszystkich innych pokojach. Następnego

ranka złożyła skargę na fatalne warunki sanitarne. Recepcjonistka poinformowała ją, że na terenie parku narodowego obowiązuje całkowity zakaz zabijania żywych istot, wyjątek stanowi kuchnia, gdzie wolno zastawiać pułapki.

- Przypominasz sobie, jakim sposobem przywróciłem ci dobry nastrój? - zapytał Maverick stłumionym głosem.

Elise nie przyznałaby za żadne skarby, że nie zapomniała gorących pieszczot, za pomocą których odwrócił jej uwagę od natrętnych zwierzątek. Uparcie milczała, jako że uznała ostatnią uwagę za wysoce nietaktowną.

- Pamiętasz - stwierdził, nie kryjąc rozbawienia.

- Ależ skąd! - skłamała.

- Ile to już lat minęło? - uparcie wracał do krępującego tematu.

Najwyraźniej bawiło go jej zażenowanie.

- Z całą pewnością dla mnie więcej niż dla ciebie.

- Nie bądź taka pewna.

Odwróciła ku niemu głowę. Popatrzyła mu w oczy.

- Nie oszukasz mnie. Za dobrze cię znam, byliśmy przecież małżeństwem. Zawsze miałeś wielki apetyt na seks.

- Co ci wcale nie przeszkadzało. Nawet po rozpadzie małżeństwa nie broniłaś mi wstępu do sypialni.

- To był wielki błąd.

- Nie z mojej strony.

Elise czuła, że płoną jej policzki. Jeszcze rok po rozwodzie Maverick odwiedzał ją nocą co kilka dni. Przełamywał jej opory

czułymi słówkami. Czarował tak skutecznie, że zawsze mu ulegała. Nieoczekiwanie zaprzestał nocnych odwiedzin. Była pewna, że znalazł kobietę, która przymykała oko na jego wady i nie robiła wymówek.

Zaproponowała zmianę tematu, umyślnie przybierając znudzony ton. Ale on wcale nie zamierzał jej słuchać.

- Zawsze byłaś taką świętoszką, póki nie wzięłem cię w ramiona - zachichotał, ignorując jej protest. - Sądzę, że pozostałaś taka sama aż do dziś.

- Mam już sześćdziesiąt sześć lat, wstyd mi nawet słuchać takich głupstw! - krzyknęła. - Jeżeli natychmiast nie przestaniesz, przysięgam, że wysiądę w biegu!

- Zawsze to jakaś reakcja. Nie jesteśmy wprawdzie młodzi, ale życie z nas jeszcze nie uszło - roześmiał się cichutko.

Elise milczała, urażona. Jechali w ciszy jeszcze przez długi czas. Nagle, bez żadnej przyczyny Maverick ponownie parsknął śmiechem. Ku swemu zaskoczeniu, Elise mu zawtórowała. Maverick porozumiewawczo uścisnął jej dłoń. Dalsza część podróży upłynęła w bardzo miłej atmosferze. Oglądali cuda natury, a później zjedli po steku z pieczonymi ziemniakami na kolację w leśnym schronisku.

Wrócili późno. W domu panowała cisza i ciemności. Aurora, David i chłopcy, zmęczeni całodzienną wyprawą do zoo, poszli wcześniej spać. Maverick odprowadził Elise pod drzwi sypialni.

- Dziękuję za cudowny wieczór - szepnął.

- Wzajemnie. Dawno nie jadłam tak pysznej kolacji. -

Przemilczała, że nie tylko jedzenie ją zachwyciło. Cieszyła ją każda minuta tej romantycznej wycieczki. Nie przewidziała, co dalej nastąpi.

Maverick pochylił ku niej głowę. Poczowała na swoich ustach dotyk miękkich, wilgotnych warg. Mocne ramiona obejmowały ją w tali. Pocałunek trwał w nieskończoność. Kiedy wreszcie ją puścił, ledwie mogła ustać na nogach.

- Dobranoc, Elise - szepnął, gładząc ją po policzku, jakby chciał utrwalić w pamięci dotyk jej skóry.

Oszołomiona, zaskoczona, wymamrotała jakieś niewyraźne słowa pożegnania. O mało nie zemdląła zaraz po wejściu do pokoju. Podczas rozbierania drżały jej ręce. Zanim skończyła myć zęby, usłyszała ciche pukanie. Zamknęła oczy. Wahala się przez chwilę, czy otworzyć, czy udać, że nie słyszy. W końcu podeszła do drzwi. Tak jak się spodziewała, ujrzała za nimi Mavericka. Zajrzał jej głęboko w oczy.

- Wpuścisz mnie czy każesz odejść?

ROZDZIAŁ WUDZIESTY SIÓDMY

BETHANNE HAMLIN

- Nie odmawiam ci pomocy, ale potrzebuję trochę swobody - protestowała Annie, taszcząc do samochodu serwis do herbaty.

Rodzice młodej wielbicielki „Alicji w krainie czarów” zamówili na urodziny córki scenografię z jej ulubionej powieści. Bethanne zaprojektowała stroje, zabawy, nagrody, a nawet potrawy w baśniowym klimacie. Rekwizyty zajęły prawie cały bagażnik.

- Za dwa tygodnie zacznę chodzić do szkoły - przypomniała córka. - Co wtedy zrobisz?

Zadała właściwe pytanie. Bethanne uświadomiła sobie, że pomagają jej jedynie dwie uczennice. Andrew prawie nigdy nie uczestniczył w przygotowaniach do dziecięcych uroczystości. Najpierw wyjechał na obóz sportowy, a i później intensywnie trenował, toteż rzadko znajdował dla niej czas. Annie też wolała inne zajęcia. Najwięcej zaangażowania wykazywała Courtney. Na szczęście nikt z trójki młodych ludzi nie żądał wynagrodzenia. Bethanne była im szczerze wdzięczna. Każdego zarobionego centa inwestowała w rozwój działalności. Rozpierała ją duma, że osiągała zyski, a zwłaszcza że uzyskane dochody pozwoliły sfinansować wymarzone wakacje dla syna. W przyszłości zamierzała w taki sposób zorganizować sobie pracę, żeby chodzić na jak najwięcej z jego meczów.

- Na mojego brata raczej nie licz, żyje obecnie wyłącznie sportem - przypomniała Annie.

Bethanne i bez tego wiedziała, że po rozpoczęciu roku szkolnego przygotowanie wszystkich imprez spadnie tylko na jej barki. Na razie skupiała jednak całą uwagę na bieżących zadaniach.

- Ja też nie poświęcę ci zbyt wiele czasu. Wróciłam do drużyny pływackiej. Zadzwoiłam do trenera. Obiecał, że mnie przyjmie, pod warunkiem że nadrobię zaległości. Muszę wiele ćwiczyć, żeby dorównać koleżankom.

- Podjęłaś mądrą decyzję - pochwaliła matka.

Naprawdę ucieszyła ją ta wiadomość; świadczyła o tym, że Annie wreszcie przełamała kryzys. Wraz z dawnymi zainteresowaniami najwyraźniej wracała jej radość życia. Poza tym nareszcie dowiedziała się, gdzie córka zniknęła na całe popołudnie. Dziwiło ją tylko, że zataiła przed nią tak radosną nowinę. Przypuszczała, że czekała z tą informacją do czasu, aż uzyska dobre wyniki. Grant poinformował ją również, że zaprzestała dręczenia Tiffany, co oznaczało, że rzeczywiście wraca do równowagi psychicznej.

- Nie przedstawiłaś mi jeszcze swoich planów. Nie zapominaj, że z początkiem roku szkolnego zostajesz sama - naciskała Annie. - Ile zamówień przyjęłaś na wrzesień?

- Przestań mnie wreszcie męczyć! - krzyknęła Bethanne. Sięgnęła do torebki po kluczyki do samochodu. - Jeżeli natychmiast nie wyruszymy po Courtney, przyjedziemy na miejsce z opóźnieniem. Pomyślimy o tym w drodze.

Annie wsiadła do auta z chmurną miną. Ledwie zajęła miejsce, wróciła do tematu.

- No i co wymyśliłaś?

- Zatrudnię kogoś, na przykład Courtney - wymieniła pierwszą odpowiednią osobę, która przyszła jej do głowy.

Ta miła, godna zaufania dziewczyna lubiła dzieci. Urządzenie dla nich zabaw sprawiało jej prawdziwą przyjemność. Poświęcała temu zajęciu znacznie więcej czasu niż Annie i Andrew. Bethanne postanowiła wypłacać jej wynagrodzenie. Cieszyło ją również, że

nawiązała przyjaźń z jej córką. Nie wiedziała, o czym rozmawiały, ale spędzały w pokoju Annie całe godziny. Nie przypuszczała, że kiedykolwiek znajdą wspólny język, a jednak najwyraźniej tak się stało.

- Tego właśnie się obawiałam! - krzyknęła Annie. - Nie wolno ci zawracać jej głowy!

- Niby dlaczego? - spytała Bethanne bez większego zainteresowania. Wykorzystała postój na światłach, żeby jeszcze raz przejrzeć listę rekwizytów na przygotowywaną imprezę. Sprawdziła, czy zabrała wszystkie stroje, dekoracje i przysmaki. W przyszłości planowała sprawić sobie większy samochód do transportu rekwizytów. Zyskałaby więcej miejsca, chciała też wymalować na karoserii własne logo i numer telefonu.

- To nie w porządku - argumentowała Annie. - Zaczyna naukę w nowej szkole, zdaje maturę, zamierza też prowadzić szkolną kronikę. W liceum w Chicago została wybrana na redaktorkę naczelną szkolnego rocznika. Poza tym nie zna tu prawie nikogo.

- Zna ciebie i Andrew - wtrąciła Bethanne. Przelotnie popatrzyła na córkę. Dostrzegła w jej oczach strach. Czyżby podejrzewała, że zamierzam w nieskończoność wykorzystywać jej dobroć za darmo? - pomyślała. Nie zdążyła zapewnić Annie, że chce wynagradzać trud jej przyjaciółki.

- To mało. Nie zdobędzie przyjaciół na imprezach dla przedszkolaków. Trzeba dać jej szansę, zostawić trochę swobody. Znam dobrze jej charakter. Jeżeli ją poprosisz, nie odmówi. Włóżysz

tylko dodatkowy balast na jej barki. I tak ma ich dosyć, tym bardziej że na samym początku popełniła wielki błąd.

Rozbłysło zielone światło. Bethanne nacisnęła pedał gazu.

- Jaki? - spytała mimochodem.

- Nic nie wiesz?! - wykrzyknęła Annie z taką rozpaczą, jakby przyjaciółka zrujnowała sobie życie. - Bez konsultacji ze mną i z Andrew wybrała najgorszy z możliwych profili, zawodowo-techniczny.

Bethanne przypomniała sobie, co Courtney mówiła na ostatnich zajęciach o zapisach do szkoły. Nie miała wielkiego wyboru, nie spełniała kryteriów przyjęcia do lepszych klas. Natomiast pozostałe argumenty Annie trafiły jej do przekonania, chociaż z początku uważała, że dziewczyna powinna sama podjąć decyzję w sprawie ewentualnego zatrudnienia. Prawdopodobnie dobre wychowanie rzeczywiście nie pozwoliłoby Courtney odmówić jej prośbie. Nie chciała wywierać na nią presji. Zapewniła córkę, że poszuka kogoś innego. Jechały kilka minut w milczeniu. Nagle Annie oznajmiła:

- Dzwoniłam wczoraj do ojca.

- Bardzo dobrze, powinnaś utrzymywać z nim kontakt - odrzekła Bethanne z pozornym spokojem.

Dołożyła wszelkich starań, żeby nie okazać emocji. Wiedziała, że Annie nie poinformowałaby jej o rozmowie, gdyby nie miała czegoś ważnego do przekazania. Nastawiła uszu.

- Nadal jest na mnie zły za różne wybryki. Właściwie nie tyle on, ile tamta. Nie wybaczyła, że zepsułam jej samochód. Prosiłam,

żeby przeszedł do porządku dziennego nad przeszłością.

- Słusznie postąpiłaś. Powinien docenić, że przeprosiłaś, dojrzałaś i nie zamierzasz jej więcej dokuczać.

- Opowiedziałam mu o twoich sukcesach zawodowych.

- Dziękuję. - Bethanne posłała jej ciepły uśmiech. Była ogromnie ciekawa, jak Grant zareagował, ale wolała nie pytać. W powietrzu wisiało jakieś napięcie. Czuła, że najważniejsze dopiero nastąpi.

- To jeszcze nie wszystko - potwierdziła jej przypuszczenia Annie. - Brak mi odwagi, żeby przekazać ci kolejną wiadomość.

- Po prostu wyrzucić to z siebie.

- To nie takie proste. - Annie westchnęła ciężko.

- Dzisiaj po południu jadą do Vegas, żeby wziąć ślub w którejś z tamtejszych kaplic weselnych. Sądzę, że liczył na to, że cię poinformuję. - Popatrzyła na matkę z troską.

- Dobrze się czujesz?

- Tak. W gruncie rzeczy to niczego nie zmienia. I tak z nią mieszkał od czasu wyprowadzki. - Wzruszyła ramionami z udawaną obojętnością. Od dawna próbowała oswoić się z myślą, że Grant wcześniej czy później zalegalizuje związek z kochanką. Mimo wszystko przeżyła wstrząs. Ogarnął ją smutek. - A ty co odczuwasz?

Annie przez chwilę w milczeniu rozważała pytanie.

- Czuję, że tracę go bezpowrotnie. To smutne. Nawet go nie widziałam, ponieważ tamta nie życzy sobie, żebym go odwiedzała w domu. Tak jakbym się do nich wpraszała! - prychnęła ze złością. -

Chyba już mi nawet na nim nie zależy.

- Mnie też - wymamrotała Bethanne, niezupełnie zgodnie z prawdą. - Dobrze by było, żebyś jednak utrzymywała kontakt z ojcem, niezależnie od wzajemnych relacji pomiędzy dorosłymi.

Po zakończeniu imprezy Bethanne poczuła potrzebę porozmawiania z Paulem. Odczekała, aż Annie i Andrew wyjdą na koncert jakiegoś rapera do Key Arena. Dzieci przekonywały, że to znakomity artysta, lecz Bethanne nie zachwycała się tym rodzajem muzyki. Kiedy wyszły, zatelefonowała do Paula. Brakowało jej sił na gotowanie, ale pragnęła go ugościć.

- Przyjdiesz do mnie na kolację? - zaproponowała. - Zamówię pizzę.

- Z miłą chęcią. Właśnie zamierzałem do ciebie zadzwonić. Wypożyczę jakiś film. - Zamilkł na chwilę, jakby rozważał pewną myśl. - A teraz zdradź, co cię dręczy.

- Skąd wiesz, że coś jest nie w porządku?

- Nietrudno zgadnąć. Poznałem po głosie.

- Naprawdę?

- Odnoszę wrażenie, że unikasz odpowiedzi. Nie trzymaj mnie dłużej w napięciu.

- Nie mógłbyś poczekać, aż się spotkamy?

- Nie, chciałbym wiedzieć już teraz.

Bethanne westchnęła. Gdyby Annie nie zadzwoniła do ojca, prawda wcale nie wyszłaby na jaw.

- Grant i Tiffany wyjeżdżają dzisiaj do Vegas, zgadnij po co. Do

trzech razy sztuka.

- Wziąć ślub.

- Brawo, trafiłeś za pierwszym razem. Paul milczał przez co najmniej kilka sekund.

- W takim razie wezmę ze sobą butelkę wina.

- Tylko dużą, proszę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

COURTNEY PULANSKI

Piętnastego sierpnia w poniedziałek z samego rana Courtney pojechała zwiedzić Liceum im. Waszyngtona w ramach „Dni otwartych”. Po otrzymaniu planu zajęć usiłowała zapamiętać topografię budynku, żeby bez trudu odnaleźć sale lekcyjne. Zdaniem Annie wpadła jak śliwka w kompot. Wedle jej katastroficznej wizji czekała ją towarzyska banicja. Zrezygnowana, życzyła sobie tylko, żeby rok szkolny upłynął równie szybko jak wakacje. W południe opuściła budynek. Babcia proponowała, że ją podwiezie, lecz Courtney wybrała przejażdżkę na rowerze. Zaparkowała go z tyłu, koło boiska. Gdy po niego wróciła, trenowała tam drużyna piłki nożnej. Courtney wiedziała od Annie, że Andrew gra w obronie. Została chwilkę, żeby popatrzeć. Z trudem rozpoznała go w stroju ochronnym. Od czasu, gdy poszli razem do pizzerii, widziała go zaledwie przelotnie kilka razy w jej domu. Nie zamienili więcej niż

parę słów. Tamtego wieczoru zresztą również. Spotkał kolegów i zaraz opuścił dziewczęta, żeby dołączyć do swojej paczki. Niby nie miało to dla Courtney żadnego znaczenia, a jednak...

Usiadła na trybunie. Andrew wykopał piłkę daleko na pole przeciwnika. Przechwycił ją kolega z jego zespołu. Zadowolony z udanego podania Andrew podbiegł do przyjaciela i serdecznie go uściskał. Po gwizdku wszyscy piłkarze otoczyli półkolem trenera. Kilka minut później ruszyli w kierunku szatni. Andrew również zdjął kask. Został jeszcze przez chwilę na boisku, żeby pogadać z kolegą. Przez cały czas nie spuszczał oka z widowni. Wyglądało na to, że ją zauważył. Najwyraźniej usiłował rozpoznać osobę, która śledziła grę. Krępowало ją to. Postanowiła sobie pójść. Wstała i pomachała mu ręką na pożegnanie. Wtedy właśnie ruszył zdecydowanym krokiem w jej kierunku. Jego zainteresowanie ucieszyło ją, ale też wprowadziło w jeszcze większe zakłopotanie. Ponieważ nie wypadało odejść bez słowa, zeszła po schodkach. Przystanęła przy ogrodzeniu, oddzielającym boisko od widowni.

- Nie od razu cię poznałem - powiedział na przywitanie.

- I wzajemnie - odrzekła z uśmiechem. Miała nadzieję, że zauważył korzystną przemianę. Zeszczuplała prawie osiem kilogramów, ubrania zaczynały na niej wisieć. - Zaparkowałam tu rower, zwiedzałam szkołę z okazji „Dni otwartych” - wyjaśniła, żeby nie myślał, że przyszła tu z jego powodu. Dokładała wszelkich starań, żeby nie okazać, jak bardzo jej się podoba.

- Ach tak, organizują coś takiego co roku. - Kiwnął głową bez

większego zainteresowania. - Znasz już plan lekcji?

Courtney opowiedziała wszystko, co zdołała zapamiętać.

- Ja też chodzę na fakultatywne zajęcia z literatury*.

** W Stanach Zjednoczonych program szkoły średniej II stopnia jest niezwykle elastyczny. Większość szkół oferuje ogromną gamę przedmiotów „do wyboru”. Uczniowie zdolni mogą korzystać z wykładów i lekcji wykraczających poza program szkoły średniej. Mogą uczyć się według indywidualnych programów, zaliczać wybrane przedmioty awansem i otrzymywać tzw. kredyt uniwersytecki (informacja pochodzi z portalu internetowego Sciaga.pl.htm).*

- Naprawdę? - ucieszyła ją ta wiadomość. Zdaniem Annie wybrała najgorsze z możliwych lekcji.

Teraz przynajmniej знаła jednego towarzysza niedoli. Jakiś kolega z drużyny zawołał go z boiska. Odkrzyknął, że wraca za minutę.

- Lepiej już idź - doradziła Courtney.

- Dobrze. Nie miałem dotąd okazji ci podziękować. Jestem naprawdę wdzięczny, że wezwałaś mnie tamtego wieczoru. Masz na Annie zbawienny wpływ.

- Ja także potrzebowałam przyjaciółki - wyznała. Zanim Andrew odszedł, wymienili pozdrowienia.

Ledwie wkroczył na boisko, smukła, jasnowłosa piękność wybiegła mu na spotkanie z piskliwym okrzykiem radości. Chociaż nadal ociekał potem, oplątała go nogami i rękami i wycisnęła na jego ustach namiętny pocałunek.

- Cześć - usłyszała Courtney za plecami. Zabrzmiało to raczej jak okrzyk wojenny niż jak powitanie.

Odwróciła głowę. Ujrzała za sobą inną dziewczynę o chmurnym spojrzeniu. Przedstawiła się, udając, że nie dostrzega skwaszonej miny nowo przybyłej. Miała nadzieję, że uprzejmym zachowaniem przełamie jej niechęć. Potrzebowała wokół siebie życzliwych ludzi. Nie знаła w Seattle prawie nikogo w swoim wieku. Lydia z pewnością przekroczyła trzydziestkę, Bethanne najprawdopodobniej była w wieku jej ojca, a Elise jeszcze starsza.

- Jestem Shelly Johnson - powiedziała dziewczyna. - Przyszłam tu razem z Melanie.

Courtney domyśliła się, że chodzi o dziewczynę, która zawisała na szyi Andrew. Uznała, że nie zaszkodzi powiedzieć parę słów o sobie.

- Przyjechałam z Chicago. Zdaję w tym roku maturę.

- Tak jak Andrew. - Shelly zmierzyła ją nieprzychylnym spojrzeniem. Wyglądało na to, że usiłuje wybadać ich wzajemne relacje.

- Przyjaźnię się przede wszystkim z siostrą Andrew - poinformowała Courtney, żeby uniknąć nieporozumień, a przede wszystkim odsunąć od siebie podejrzenie, że uwodzi cudzego chłopaka.

- Pewnie już ci powiedziała, że Andrew chodzi z Mel od roku. Ona przewodniczy zespołowi cheerleaderek. Dobrana z nich para. Wszystko wskazuje na to, że ona zostanie królową Balu

Inauguracyjnego z okazji rozpoczęcia roku szkolnego, a on królem.

- Wspaniale - odparła Courtney, zdziwiona, że została uznana za rywalkę szkolnej piękności. Pospiesznie zakończyła rozmowę, wsiadła na rower i opuściła teren szkoły.

Mimo towarzyskiej porażki poczuła niespodziewany przypływ energii. Pedalowała energicznie aż do domu babci. W kuchni czekała na nią miska zupy oraz surówka z selera i marchwi. Courtney nie zasiadła do posiłku. Od razu ruszyła ku schodom.

- Przygotowałam ci lunch - oznajmiła babcia na przywitanie.

- Nie jestem głodna - odburknęła.

- Nie warcz na mnie, nic złego ci nie zrobiłam. Courtney przeprosiła, skruszona.

- Co z tobą, dziecko? Jesteś zmęczona?

Courtney tylko pokręciła głową. Tęskniła za swoją szkołą, miastem, znajomymi. Nie pasowała do tutejszego środowiska, nikt jej tu nie potrzebował. Brakowało jej bratniej duszy. Wiedziała, że żaden z babcinych sposobów nie poprawi jej nastroju. Starsza pani zalecała na wszystkie bolączki duszy drzemkę lub wysiłek fizyczny.

Zamknęła za sobą drzwi do pokoju, następnie włączyła komputer. Odetchnęła z ulgą na widok listu od ojca. Drżała ze strachu o niego, odkąd usłyszała o licznych porwaniach w Ameryce Południowej. Odpisała natychmiast. Dołożyła wszelkich starań, żeby relacja z wizyty w nowej szkole zabrzmiała optymistycznie. Zataiła swoje obawy, żeby nie dokładać mu zmartwień. Przeczytała jeszcze wiadomości od Julianny oraz od dwóch koleżanek z Chicago. Później

padła na łóżko. Patrzyła bezmyślnie w sufit, coraz bardziej przygnębiona. Doskonale pamiętała, że dziewczyna Andrew, zanim do niego podbiegła, obrzuciła ją wrogim spojrzeniem. Aż dziwne, że wyraziła w nim tyle nienawiści. Shelly również zaszczyciła ją rozmową prawdopodobnie tylko w tym celu, żeby zrobić wywiad, a potem zapewnić cudowną Mel, że jakaś tam Courtney nie dorasta jej do pięt. Uświadomiła sobie, że Annie nigdy nie wymieniła imienia dziewczyny brata, prawdopodobnie z braku okazji. W sumie oceniła pierwszą wyprawę do nowej szkoły jako zapowiedź całkowitej porażki.

- Przynieść ci jedzenie do pokoju? - zawołała babcia z dołu.

- Dziękuję, zjem później - odkrzyknęła.

Najchętniej zostałyby w swoim pokoju, aż smutek minie. Wystarczyło jednak, że wyobraziła sobie niezadowoloną minę babci po pokonaniu schodów na piętro, żeby zejść na dół.

Ponury nastrój wnuczki nie umknął uwagi Very Pulanski.

- Marnie wyglądasz - zauważyła. - Czy ktoś ci sprawił przykrość?

- Nie, wszystko w porządku - skłamała.

Widząc niepewną minę babci, spróbowała niezawodnego sposobu na uniknięcie dalszych kłopotliwych pytań: - Chyba nabrałam ochoty na zupę.

Tak jak przewidywała, twarz starszej pani rozjaśnił serdeczny uśmiech. Pospieszyła do kuchni. Courtney podążyła za nią. Usiadła przy stole. Na prośbę babci przedstawiła jej podczas jedzenia plan

lekcji.

- Leta uważa, że powinnaś przystąpić do szkolnej drużyny pływackiej. Twierdzi, że pływasz jak ryba.

Courtney powstrzymała uśmiech. Poczyła spore postępy, co nie znaczyło, że dorównałyby rówieśnikom. W gronie osiemdziesięciolatków młodej osobie nietrudno uchodzić za mistrzynię.

- Pomyślę o tym - zapewniła tylko po to, żeby sprawić starszej pani przyjemność.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Potrafisz to zrobić. Przerabiasz tylko jedno oczko naraz.

Myra Hansen, właścicielka Fancy Image Yarn w Shelton
www.FancyImageYarn.com

LYDIA HOFFMAN

Oczekiwałam z niecierpliwością następnej, ostatniej już na tym kursie lekcji. Elise, Bethanne i Courtney wykonały po jednej parze skarpetek na okrągłych drutach. Właśnie zaczynały następną. Z zachwytem obserwowałam, jak wspólna pasja spleta razem losy tak niepodobnych do siebie osób z różnych środowisk. Elise odkryła powołanie Bethanne, Courtney sprowadziła jej córkę na dobrą drogę, a co najważniejsze wszystkie trzy nawiązały nić przyjaźni ze mną i ze sobą nawzajem. Margaret również odzyskała dobry humor, od kiedy

przestała jej zagrażać utrata całego życiowego dorobku. Nie obchodziło mnie, w jaki sposób wytłumaczyła Mat-towi, skąd pochodziły pieniądze na spłatę kredytu. Grunt, że nie wspominała o owych dziesięciu tysiącach. Podarowałam je ze szczerego serca. W najbardziej dramatycznych latach mojego życia rodzina poświęciła dla mnie wszystko, toteż z przyjemnością skorzystałam z okazji, żeby spłacić dług wdzięczności nie tylko wobec siostry, lecz również wobec mamy, która ostatnio szczególnie potrzebowała mojej troski.

Elise przybyła na lekcję pierwsza. Zerknęłam przez okno. Ujrzałam przed sklepem dystyngowanego starszego pana w białym lincolnie. Wzruszało mnie jego poświęcenie dla byłej żony. Dzięki tej parze uwierzyłam w prawdziwość porzekadła, że stara miłość nie rdzewieje, chociaż mnie samej nie dotyczyło. Nie miałam nadziei na odzyskanie Brada. Nadal kochałam jego i syna. Wiedziałam, że ta miłość nie wygaśnie. Cody dzwonił do mnie raz lub dwa razy w tygodniu za wiedzą i zgodą ojca. Rzadko wspominał matkę. Chyba wyczuł, że wzmianka o Janice sprawiłaby mi ból. Napomknął tylko, że rodzice nadal mieszkają osobno. Przypuszczałam, że już niedługo.

- Dzień dobry wszystkim! - zawołała radośnie Elise od progu. Wprost promieniała szczęściem.

- Wyglądasz kwitnąco - zauważyłam.

- Widzę, że Maverick cię przywiózł - wtrąciła Margaret, wyjrzwawszy przez okno.

- Tłumaczyłam mu, że czekanie na mnie to strata czasu. Nie posłuchał. Siedzi w samochodzie i czyta gazetę. Twierdzi, że nie ma

nic lepszego do roboty. Po namyśle postanowiłam podarować mu pierwszą parę skarpet. Te robię dla Aurory, następne przeznaczę dla Davida - oznajmiła, rozkładając robótkę.

- Zaskoczyłaś go? - spytałam.

Właściwie to nie moja sprawa, ale nie powstrzymałam ciekawości. Sama zrobiłam pierwsze w życiu skarpety dla Brada. Znosił je doszczętnie, więc wydzier-gałam jeszcze kilka par. Gdyby Janice wiedziała, od kogo je dostał, wyrzuciłaby je do śmietnika - pomyślałam z goryczą.

Ledwie Elise zdążyła potwierdzić, że sprawiła byłemu mężowi miłą niespodziankę, do środka wpadła zdyszana Bethanne. Od razu pospieszyła za regały. Zajęła miejsce obok koleżanki.

- Mam nadzieję, że się nie spóźniłam? - zapytała na przywitanie.

- Ostatnio coraz trudniej mi zdążyć gdziekolwiek na czas. Ledwie nadążani z realizacją zleceń.

Z trudem ją poznawałam. Nowa, szczęśliwa, energiczna Bethanne w niczym nie przypominała tej z pierwszej lekcji. Podobno poznała nawet jakiegoś ciekawego mężczyznę, Pete'a czy też Paula, nie zapamiętałam imienia.

Zaraz po niej nadeszła Courtney. U niej również zauważyłam przemianę, tym razem, niestety, niekorzystną. Przycichła ostatnio, przygasła, pewnie przerażała ją perspektywa rozpoczęcia nauki w obcym środowisku. Miałam nadzieję, że się zaaklimatyzuje. Nie wypytywałam jednak, co ją trapi, czekałam, aż sama dojrzeje do zwierzeń.

- Oficjalnie jest to nasza ostatnia lekcja - zagaiłam, gdy już wszystkie zajęły miejsca. Zrobiłam efektowną pauzę. Z przyjemnością wysłuchałam jęków i pomruków niezadowolenia. - Jeżeli chcielibyście mnie nadal odwiedzać, zapraszam co tydzień o tej samej porze na konsultacje. Pragnę stworzyć coś w rodzaju kółka zainteresowań. Zawiadomię też dawne uczennice, może do nas dołączą.

Ponieważ wszystkie trzy z radością wyraziły chęć uczestnictwa, objaśniłam, że pragnę, aby każda z nich przynosiła aktualną robótkę, a ja w miarę potrzeby służyłabym radą. Zależało mi na tym, żeby związać z moim sklepem możliwie dużą liczbę osób, zainteresowanych robótkami ręcznymi. Świadomie nakładałam na siebie dodatkowy obowiązek w przewidywaniu obustronnych korzyści.

- Doskonały pomysł - przyklasnęła Elise. - Udział w twoim kursie przyniósł mi znacznie więcej satysfakcji, niż z początku przypuszczałam.

Ja osobiście uważałam, że zawdzięcza swe optymistyczne nastawienie do życia przede wszystkim ponownemu rozkwitowi uczuć do byłego męża. Nie wiedziałam, czy planują wspólną przyszłość, czy żyją tylko dniem dzisiejszym, lecz nie ulegało wątpliwości, że miłość im służy.

- Będę przychodzić, gdy tylko obowiązki mi pozwolą - zadeklarowała Bethanne. - Sądzę jednak, że niewiele osób urządza urodziny na początku tygodnia.

- Ja też mam taką nadzieję - powiedziałam. - Co zrobiłaś z pierwszą parą skarpetek? Dałaś je synowi?

- Nie, przyjacielowi - wyznała po chwili wahania z rumieńcem na policzkach.

- Paulowi? - wtrąciła Margaret, która właśnie przyniosła całą stertę wzorów.

- Nie patrz tak na mnie. To tylko kolega... Żona porzuciła go dla mojego męża... Niedawno wzięli ślub... Podtrzymywaliśmy się nawzajem na duchu, wymienialiśmy doświadczenia... - tłumaczyła nieskładnie, z przerwami, straszliwie zażenowana.

- Coś podobnego? Kiedy się pobrali? - zapytała Courtney, nie kryjąc zaskoczenia.

- Dosłownie kilka dni temu. Niby wiedziałam, że kiedyś to nastąpi, ale znacznie łatwiej znieść taki cios, gdy ktoś życzliwy dodaje człowiekowi otuchy. Paul chciałby nadać znajomości... bardziej romantyczny charakter. Obiecałam, że przemyślę propozycję, ale przeszkadza mi różnica wieku. Jestem od niego kilka lat starsza. Kazałam mu poszukać młodszej partnerki.

- W ogóle nie szukasz życiowego partnera? - spytała Margaret.

- Na razie nie.

- Będziesz do mnie przychodzić na konsultacje, Court? - zapytałam nastolatkę. Znałam ją już na tyle długo, że bez skrępowania użyłam zdrobnienia.

- Chyba we wtorki mam wolne popołudnia, ale muszę jeszcze zasięgnąć porady pedagoga, czy pogodzę zajęcia z nauką.

- Ejże! - zawołała niespodziewanie Elise. - Co nam szkodzi dostosować porę naszych spotkań do jej planu lekcji?

Wszystkie kobiety chórem wyraziły uznanie dla jej pomysowości. W tym momencie zadzwonił dzwonek u drzwi. Do sklepu wkroczyła moja ulubienica, Ja-cqueline. Na ogół uczestniczyła w każdej z piątkowych sesji dobroczynnych, o ile tylko przebywała w mieście. Ostatnio nie widywałam jej przez kilka tygodni, ponieważ wyjechała na wycieczkę z mężem. Powitałam ją serdecznie.

- Wróciłam z Nowego Jorku - oświadczyła na powitanie. - Chciałabym kupić trochę przędzy.

Obrzuciła półki łakomym spojrzeniem nałogowca. Jacqueline stać na każdą ilość najdroższej wełny. Faktycznie kupuje ją niemalże bez ograniczeń. Podobnie jak ja przekroczyła dawno granice zdrowego rozsądku. Wypróbowuje każdy nowy wzór. Przypuszczam, że każda z nas zgromadziła w domu więcej włóczki niż jeden człowiek, albo nawet dwóch ludzi może przerobić przez całe życie. Ostatnio Reece zamontował dla niej specjalny regał na akcesoria do robótek ręcznych. Zazdrościłam jej tej dodatkowej powierzchni. Jacqueline usiadła obok Elise. Pochwaliła jej osiągnięcia. Lubiła dominować w towarzystwie, lecz jej urok osobisty sprawiał, że nikomu to nie przeszkadzało. Zarażała wszystkich swą pasją i radością życia.

Zadzwonił telefon. Odebrała moja siostra. Nie słyszałam rozmowy, dopiero gdy podeszła do stołu, zauważyłam, że pobladła. Położyła mi rękę na ramieniu.

- Musimy natychmiast jechać do Swedish Hospital - powiedziała słabym głosem. - Chodzi o mamę.

Serce podskoczyło mi do gardła.

- Co się stało?

- Upadła w patio. Nie wiadomo, jak długo tam leżała. Znalazł ją sąsiad. Gwałtownie wstałam z krzesła, gotowa do wyjścia. Nagle uświadomiłam sobie, że prócz uczennic w sklepie przebywa wiele osób. Jedne oglądały włóczki, inne przerzucały katalogi z projektami.

- Idźcie, ja obsłużę klientki, póki nie wrócicie - zaproponowała Jacqueline. Bethanne, Elise i Courtney natychmiast również zaoferowały pomoc.

Podziękowałam im, poruszona do głębi. Były dla mnie nie tylko klientkami i kursantkami, lecz również przyjaciółkami. Zanim zdążyłyśmy zabrać torebki, w drzwiach stanął Brad. Margaret pospiesznie podpisała faktury. Następnie wyjaśniła, że jedziemy do mamy do szpitala.

- Co jej jest? Wyzdrowieje? - dopytywał z troską.

- Trudno powiedzieć, dopiero nas wezwano. Jeszcze nie znamy diagnozy - jęknęłam.

Bez zastanowienia padłam mu w objęcia. Potrzebowałam pocieszenia, bliskości życzliwego człowieka. Zapragnęłam poczuć ostatni raz mocny uścisk jego ramion. Zrozumiał mnie bez słów.

Zaniknął mnie w ramionach natychmiast, gdy tylko zrobiłam krok w jego kierunku. Margaret przypomniała, że czas nagli. Puścił mnie. Podziękowałam mu samym spojrzeniem za podtrzymanie na

duchu i szybko opuściłam sklep.

Mimo sprawnej obsługi minęły całe godziny, zanim ktokolwiek udzielił nam informacji o stanie mamy, albo też dla mnie czas włókł się nieznośnie. Wciąż na nowo zarzucałam sobie, że nie dbałam o nią, jak należy, że poświęcałam jej zbyt mało czasu.

Odwiedzałam ją zaledwie dwa lub trzy razy w tygodniu. Jak widać, zdecydowanie za rzadko. Nie wymagała więcej, nie prosiła o nic, przyjmowała to, co dawałam, z wdzięcznością. Margaret również jeździła do niej jak najczęściej, w miarę możliwości. Jednak przelotne, krótkotrwałe wizyty nie wystarczyły, by w porę rozpoznać zagrożenie. Dręczyły nas wyrzuty sumienia. Margaret cierpiała jeszcze bardziej ode mnie. Przygnębiał ją już sam zapach środków dezynfekcyjnych. Złapała mnie za ramię. Tym razem to ja podtrzymywałam ją na duchu. Spędziłam praktycznie całą młodość w placówkach służby zdrowia, zdążyłam już przywyknąć.

Czekałyśmy na informację na wygodnych krzesłach w świetlicy. W telewizji nadawano akurat, jak na ironię, mydlaną operę „Szpital Ogólny”. Przygnieciona potwornymi wyrzutami sumienia, nie śledziłam akcji. Nie usłyszałam ani słowa. Wyrzucałam sobie, że mama zachorowała z mojej winy, że ją zawiodłam. Nadszedł lekarz. Obydwie z Margaret powstałyśmy jak na komendę. Doktor bez żadnych wstępów przystąpił do rzeczy.

- Pacjentka zapadła w śpiączkę cukrzycową. Podaliśmy insulinę, prawdopodobnie z tego wyjdzie. Jednak to przewlekła choroba, nie wolno jej lekceważyć.

- Jak to możliwe? - wykrztusiła wstrząśnięta Margaret. - W naszej rodzinie nie było diabetyków, dlatego niczego nie podejrzewałyśmy.

- Mieszka sama? Pokiwałyśmy głowami.

- To niedobrze. Powinna pozostawać pod stałą obserwacją. Proponuję umieścić ją w domu opieki - powiedział, nie owijając w bawełnę.

Przeżyłam drugi w ciągu kilku minut wstrząs, równie silny jak poprzedni. Lekarz żądał, żebyśmy pozbawiły mamę jedyne domu, jaki знаła, w którym przeżyła pięćdziesiąt lat. Nie wyobrażałam sobie, jak tego dokonamy, ale pojęłam, że nie ma innego wyjścia.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

ELISE BEAUMONT

Elise usłyszała delikatne pukanie. W całym domu panowała cisza. Z niecierpliwością oczekiwała Mavericka. Podobnie jak przed laty, straciła dla niego nie tylko głowę, ale i wszelkie poczucie przyzwoitości. Znała go jak zły szeląg, co nie przeszkadzało kochać go do szaleństwa. Otworzyła mu drzwi. Zamknął ją w objęciach i długo, długo całował. Tamtej nocy, po wycieczce w góry, kochali się jeden, jedyny raz. Później długo trwali, wtuleni w siebie, chłonąc wzajemnie swe ciepło. Mimo onieśmienia i lęku ofiarowali sobie wiele czułości i szczęścia. Spędzili potem jeszcze wiele wspólnych nocy. Usypiali wtuleni w siebie, zakochani. Elise nigdy nie przypuszczała, że w jej jednoosobowym łóżku zagości mężczyzna.

Nie przeszkadzało jej, że wyglądali dziwacznie, niemalże wgnieci w ścianę. Trzymała go w ramionach do rana. O świcie Maverick wracał po kryjomu do pokoju wnuków. Nocne wizyty pozostały ich słodką tajemnicą, chociaż Elise po cichu podejrzewała, że David i Aurora tylko udają, że o niczym nie wiedzą.

Maverick odchylił kołdrę. Począł, aż Elise się położy, i dopiero wtedy zajął miejsce obok niej.

- Ależ to głupie - mruknął.

- To, że razem śpimy? - spytała, zaniepokojona.

W głębi duszy przyznawała mu rację, martwiło ją jednak, że były mąż odzyskał rozsądek. Groziła jej utrata na nowo odzyskanego szczęścia.

- Nie, to właśnie jest wspaniałe i jak najbardziej właściwe. Drażni mnie tylko ta cała konspiracja. Skończyłem sześćdziesiąt sześć lat, a muszę się ukrywać jak nastolatek.

- Przestań! - zachichotała.

- Nie powiesz chyba, że lubisz, kiedy uciekam jak złodziej, niemalże w środku nocy.

- Oczywiście, że nie.

- Chciałbym znowu uczynić z ciebie uczciwą kobietę.

- Czyżbyś proponował mi... małżeństwo? - wykrztusiła, bezgranicznie zdumiona. Nie była pewna, czy to dobry pomysł.

- Zamierzasz w nieskończoność żyć w grzechu?

- Przemyślę twoją propozycję - odrzekła dość niepewnie. Przez trzydzieści lat zdążyła przywyknąć do niezależności.

- Dobrze, ale pamiętaj, że cię kocham. Zawsze kochałem - zapewnił z całą mocą, pocierając nogą o jej udo.

Wierzyła mu, co nie znaczyło, że ufała. Gdyby pociągał ją hazard, poszłaby o zakład, że Maverick wcześniej czy później znów zasiądzie do kart. Pocałował ją w czubek głowy.

- Odwiedziłem dziś po południu agencję nieruchomości w sprawie mieszkania - oznajmił szeptem.

Wyszedł tego dnia z domu zaraz po obiedzie na prawie cztery godziny. Nie pierwszy raz zniknął nie wiadomo gdzie. Może i lepiej, że nic nie mówił, ale w ten sposób potwierdzał tylko najgorsze podejrzenia Elise.

W końcu nie wytrzymała niepewności. Spytała o cel tajemniczych wypraw. Dwukrotnie przyrzekał, że nie uprawia hazardu. Bardzo pragnęła mu wierzyć, a równocześnie nigdy nie zapomniała, że nie można polegać na jego słowach. Gdy przyjmowała oświadczyzny, wiedziała, z kim wiąże swój los, a jednak liczyła, że miłość go odmieni. Teraz nie żywiła już próżnych nadziei. Głos Mavericka wyrwał ją z zamyślenia.

- Dostałem klucze od mieszkania. Przeprowadzam się w przyszłym tygodniu. I tak już zbyt długo byłem ciężarem dla Aurory i Davida.

Elise oplotła go ciasno ramionami. Usiłowała ukryć rozczarowanie. Ogarnął ją smutek, że wkrótce go utraci. W gruncie rzeczy aprobowwała jego decyzję. Ona również wolałaby uwolnić od siebie młode małżeństwo. Niestety, nie miała dokąd pójść. Nie łudziła

się, że przed śmiercią odzyska choćby część zainwestowanych w nieistniejący dom pieniędzy. Sprawa przeciwko firmie budowlanej utknęła w sądzie nie wiadomo na jak długo.

- Chciałbym, żebyś ze mną zamieszkała - poprosił Maverick schrypniętym ze wzruszenia głosem.

- Sama nie wiem... - wymamrotała.

Odparcie tej pokusy przychodziło jej z większym trudem niż jakiegokolwiek innej.

- Jeżeli nie chcesz, nie musimy brać ślubu.

- A ty?

- O niczym innym nie marzę - wyznał. Przyciągnął ją jeszcze bliżej do siebie. Elise leżała długo w milczeniu, szczęśliwa, że czuje przy sobie jego ciepło, póki nie zasnął w jej ramionach. Ona nie spała do późna w nocy. Gdy się obudziła, już go nie było. W domu panowała cisza. Aurora już wstała. Ubrana w szlafrok, szykowała w kuchni śniadanie. David jak zwykle wyszedł do pracy już przed siódmą. Elise postanowiła wykorzystać te kilka minut, dopóki Maverick i wnukowie nie wstaną, na pogawędkę z córką. Nalała sobie kawy do filiżanki. Zanim zdążyła wypowiedzieć choćby jedno słowo, Aurora zagadnęła ją pierwsza:

- Wiesz, że tata się wyprowadza?

- Tak, powiedział mi... wczoraj wieczorem - wyznała z zażenowaniem, odwrócona plecami do córki. Udawała, że całą jej uwagę pochłania czynność mieszania śmietanki z kawą.

- Jednak znaleźliście wspólny język - zauważyła Aurora. - Nie

przypuszczałam, że przyjdzie wam to tak łatwo.

- Twój ojciec zawsze umiał czarować. - Elise posłała córce podejrzliwe spojrzenie. - No dobrze, jeśli już musisz wiedzieć, śpimy razem - wyrzuciła z siebie, okropnie zawstydzona, jakby wyznawała śmiertelny grzech.

Zabrzmiało to okropnie fałszywie, niezgodnie z jej prawdziwymi uczuciami. Ona sama bowiem odbierała zbliżenie do męża jako rzecz zupełnie naturalną i właściwą.

Aurora podniosła filiżankę do ust. Widać było, że usiłuje ukryć rozbawienie.

- To żadna tajemnica. Natychmiast odgadliśmy z Davidem, co was łączy.

- Poprosił mnie o rękę. Jeszcze nie podjęłam decyzji. Chyba rozumiesz moje rozterki. Znasz przecież swojego ojca.

- Właściwie nie za bardzo. Pewnie prawda o nim leży gdzieś pośrodku pomiędzy tym, co słyszałam, a tym, co sobie wyobrażam.

- Przecież od kilku tygodni obserwujesz go codziennie.

- To prawda. Podziwiam jego podejście do dzieci. Uważam go za wspaniałego człowieka. Zawsze go uwielbiałam.

- Wiem - szepnęła Elise. Nie miała już żalu do córki, że widzi w Mavericku same zalety. - Zrozum, popełniłam w życiu już tyle błędów, nie chciałabym ich powtarzać.

- Idź za głosem serca, mamusiu - poradziła Aurora. - Idź za głosem
serca.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

BETHANNE HAMLIN

Bethanne wciąż nie wierzyła we własne szczęście. Nie śmiała nawet głośno wyrażać radości, żeby nie kusić losu. Na każdej imprezie zbierała dwa lub trzy kolejne zamówienia. Przyznawała córce rację, że bez zatrudnienia pracownika nie podoła obowiązkowi, tym bardziej że za kilka dni, z początkiem roku szkolnego, straci oparcie w dzieciach. Postanowiła zatem wziąć kredyt na rozwinięcie działalności. Ponieważ wcześniej nigdy nie wypełniała formularzy bankowych, poprosiła o pomoc Paula. Bez wahania wyraził zgodę. Zaznaczył przy tym, że nigdy nie wątpił w jej talenty ani w powodzenie przedsięwzięcia. Obiecał przejrzeć dokumenty i udzielić jej rad, które pomogą w uzyskaniu pożyczki. Umówili się na spotkanie w poniedziałek w Myrtle Edwards Park na wybrzeżu.

Przed wyjściem zapakowała kanapki z pieczoną wołowiną, trochę owoców i napoje, żeby wyrazić mu wdzięczność przynajmniej za pomocą smacznego poczęstunku. Ona sama ze zdenerwowania straciła apetyt, jako że zaraz po spotkaniu jechała do banku.

Czekając na Paula, rozłożyła w parku przenośny stolik. Usiadła przy nim i obserwowała grę światła na lazurowej powierzchni wody. Wiatr od strony zatoki Puget niósł zapach morskiej bryzy. Prom opuszczał właśnie dok w drodze do miasta Winslow czy też na wyspę Bainbridge. Bethanne rzadko uczestniczyła w morskich podróżach. Zaraz po rozwodzie kupiła sobie bilet na prom do Bremerton. Stała na

pokładzie w zimny, zimowy dzień, zmoknięta i zziębnięta, z twarzą moką od łez. Pragnęła tylko dostać zapalenia płuc i umrzeć. Prócz śmierci nie widziała innego wybawienia od cierpień. Teraz, po wielu miesiącach, dziękowała Bogu, że nie wysłuchał wtedy jej modlitwy. Odnosiła wrażenie, że promienie słońca ogrzewają nie tylko morze i ląd, lecz również nadają blask jej życiu. Zatopiona w rozmyślaniach, przeoczyła nadejście Paula. Za to on dostrzegł jej zamyślenie.

- Widzę, że coś cię zaabsorbowało - zagadnął z przyjaznym uśmiechem. Bethanne odruchowo wyciągnęła ku niemu obie ręce. Ku jej zaskoczeniu pochwycił ją w objęcia. Ostatnio telefonowali do siebie niemal codziennie, prócz tego widywali się trzy lub cztery razy w tygodniu. Zwierzali się sobie nawzajem z wszelkich trosk, udzielali jedno drugiemu wsparcia. Bethanne narzuciła sobie jednak pewną dyscyplinę. Świadomie zachowywała rezerwę, żeby nie dopuścić do zaangażowania emocjonalnego.

- Co słyhać u mojej imprezowej dziewczyny? - zapytał Paul.

- Wszystko w najlepszym porządku - zapewniła trochę na wyrost. Nie wiedziała jeszcze, czy jej prośba o pożyczkę zostanie spełniona. - Przyniosłam ci parę smakołyków w dowód wdzięczności.

- Wskazała przenośną lodówkę, którą ze sobą przywiozła.

- Niby za co?

- Nie udawaj, że nie wiesz.

Nie wierzyła własnym uszom. Paul wspierał ją w chwilach załamania po rozwodzie, dodawał otuchy, gdy rozpoczynała własną działalność, a przede wszystkim sprawił, że odżyła i że pragnęła żyć.

To on wraz z przyjaciółkami ze „Świata Włóczki” ukształtował nową Bethanne z głową pełną projektów i marzeń, patrzącą z nadzieją w przyszłość. Wyliczała mu jeden po drugim wszystkie powody do wdzięczności, póki nie pochwycił jej dłoni.

- Hola, hola, nie rób ze mnie bohatera.

- Kiedy dla mnie rzeczywiście nim jesteś.

- Podobnie jak ty dla mnie - zapewnił. Nagle spoważniał.

Niespodziewana zmiana nastroju wprawiła Bethanne w zakłopotanie. Skupiła uwagę na wyjmowaniu produktów z przenośnej lodówki. Wyjęła ze środka kanapki z pieczoną wołowiną. Drżały jej przy tym ręce. Poprosiła Paula, żeby przestudiował podanie, zanim ona przygotuje poczęstunek. W ich wzajemnych relacjach zaszły ostatnio niepokojące zmiany. Pragnęli siebie nawzajem. Erotyczne napięcie rosło z każdym spotkaniem. Bethanne zawzięcie walczyła z niepożądanymi emocjami. Uważała, że romans zniweczyłby tylko znacznie cenniejszą, duchową więź, która ich do tej pory łączyła. Za żadne skarby nie chciała zrujnować najpiękniejszej przyjaźni w życiu, którą ceniła jak najdroższy skarb. Rozłożyła już na stoliku wszystkie wiktuały. Równocześnie Paul zakończył przeglądanie wypełnionych przez nią formularzy.

- Nigdy nie pracowałaś zawodowo? - zapytał.

- Tylko do czasu urodzenia Andrew. - Wskazała palcem odpowiednią rubrykę. Przez dwa lata dekorowała wystawy w butik. Bardzo lubiła to zajęcie.

- Od tamtej pory upłynęło osiemnaście lat.

- Przeczytaj o mojej pracy społecznej. Liczę na to, że te dane zaświadczą o mojej wiarygodności. - Widząc, że Paul z niepewną miną kiwa głową, zadała decydujące pytanie: - Czy gdybyś był urzędnikiem bankowym, udzieliłbyś mi kredytu? Tylko szczerze!

Paul nadal milczał. Bethanne wstrzymała oddech. Czekwała na jego opinię jak na wyrok. Ponieważ nie udzielał odpowiedzi, powtórzyła pytanie.

- Cóż, prawdę mówiąc, ten życiorys nie przemawia na twoją korzyść. Przez osiemnaście lat nie byłaś nigdzie zatrudniona, nie posiadałaś nawet własnego konta bankowego.

- Czy istnieje jakiś sposób, żeby przekonać urzędników, że można mi zaufać?

- Proponuję przedstawić wyniki finansowe twojej obecnej działalności. Nic gorszego nie mógł wymyślić. Bethanne nie miała pojęcia o prowadzeniu ksiąg. Wszystkie pokwitowania, rachunki czy faktury wrzucała jak leci do pudełka po butach. Jak zwykle w kryzysowych sytuacjach pomyślała o dzieciach. Wprawdzie Andrew w pierwszej klasie liceum uczęszczał na lekcje księgowości, lecz obecnie całkowicie absorbował go sport oraz praca na część etatu. W dodatku wkrótce zaczynał naukę w ostatniej klasie liceum. Bethanne doszła do wniosku, że najwyższy czas zapisać się na kurs rachunkowości.

- Kogóż my tu widzimy? - wyrwał ją z zamyślenia ironiczny męski głos.

- Witaj, Grant - odrzekła z uprzejmym uśmiechem.

Były mąż przeniósł wzrok na Paula i z powrotem na nią. Bethanne na pierwszy rzut oka dostrzegła nieco wygniecioną koszulę i przydługie włosy. Nie nazwałaby go zaniedbanym, jednak zdumiała ją nawet ta niewielka przemiana.

W trakcie trwania małżeństwa dbał o siebie aż do przesady. Żądał starannego prasowania ubrań. Bethanne zapisywała go nawet na wizyty do fryzjera. Aż dziwne, że przez dwa lata nie nauczył się sam troszczyć o swój wygląd. Wskazała ręką na towarzysza.

- Znasz Paula, prawda?

- Chyba kiedyś się spotkaliśmy.

Paul odłożył kanapkę. Skinął nowo przybyłemu głową. Grant odpowiedział podobnym gestem. Zapadło kłopotliwe milczenie. Przerwała je Bethanne.

- Podobno wzięliście ślub. Moje gratulacje, życzę wam szczęścia. Nie kłamała ani nie drwiła. Naprawdę nie żywiła już do niego urazy. Kochała go niegdyś ponad życie, ale skoro wzgardził tą miłością, nie zamierzała po nim rozpaczać. Nie szukała już zemsty ani nie zazdrościła szczęścia, które znalazł u boku innej kobiety. Przestała cierpieć nad rozpadem rodziny, od kiedy uświadomiła sobie, że już nic do niego nie czuje. Grant popatrzył łakomie na rozłożony na stoliku prowiant.

- Szczęściarz z tego Paula. Nieźle go dokarmiasz. Robiłaś najlepszą pieczeń, jakiej w życiu próbowałem.

- Pomagam Bethanne wypełnić dokumenty - wyjaśnił Paul.

- Ze względu na piękną pogodę zasugerował, żeby zrobić to w

parku - dodała Bethanne.

Najchętniej wróciłyby już do pracy, wołała jednak odczekać, aż były mąż sobie pójdzie. Nie widziała żadnego powodu, żeby wtajemniczać go w swoje interesy. Nie łączyło ich już nic prócz dwójki wspólnych dzieci.

Grant chyba wyczuł, że nikt go tu nie potrzebuje.

- Przepraszam, że przeszkodziłem. Zobaczyłem was z daleka, więc podszedłem powiedzieć „dzień dobry” - wymamrotał dość niezręcznie.

Skinął głową Paulowi.

- Miło było cię znowu zobaczyć.

Nie zabrzmiało to przekonująco. Bethanne nie powstrzymała ciekawości. Spytała, co u niego słyhać, i natychmiast tego pożałowała. Nie liczyła przecież na szczerą odpowiedź w obecności byłego męża Tiffany. Grant zapewnił bez wielkiego entuzjazmu, że wiedzie mu się doskonale. Szczerze w to wątpiła. Przez chwilę dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem w milczeniu. W końcu Grant powiedział:

- Andrew mówił, że opłaciłaś mu obóz.

- Sam mnie nakłaniałeś, żebym zaczęła zarabiać. Wyświadczyłeś mi wielką przysługę, chyba jedyną w życiu. Winna ci jestem podziękowanie. - Roześmiała się serdecznie, bez ironii. Wiadomość, że ojciec i syn nawiązali nic porozumienia, naprawdę ją ucieszyła. Odzyskała nadzieję, że kiedyś odbudują dawną więź.

Grant skinął głową z aprobatą.

- Cieszy mnie, że znalazłaś sobie źródło utrzymania.

- I to nie byle jakie - oświadczyła nie bez dumy. - W tym tygodniu organizuję sześć przyjęć. Dzieci mi pomagają. Annie z koleżanką zaprojektowały mi wizytówkę.

- Rodzinny sukces - skomentował Grant.

- Nie tylko na gruncie zawodowym - zapewniła.

- Życzę wam powodzenia - wymamrotał na pożegnanie, po czym dość pospiesznie odszedł.

Paul odprowadził go wzrokiem. Najwyraźniej posmutniał. Jego zły nastrój nie umknął uwagi Bethanne.

- Najwyższa pora o nich zapomnieć - szepnęła, dotknąwszy jego ramienia.

- Nie wiem, czy potrafię - westchnął ciężko.

- Oczywiście, że potrafisz, tylko potrzebujesz trochę czasu - zapewniła z całą mocą. Nadal wyczuwała w nim wewnętrzne napięcie.

- Przy tobie zaczynam wierzyć, że i ja kiedyś odzyskam radość życia. Dajesz mi wspaniały przykład radzenia sobie z cierpieniem. Czy mówiłem ci już kiedyś, jak bardzo cię podziwiam?

- Raz albo dwa.

- Pewnie cię to zaniepokoi, ale czuję, że zaczynam cię kochać - wyznał, ujmując jej dłoń.

Bethanne zamknęła oczy. Ona również go kochała, nie jak mężczyznę, lecz jak przyjaciela. Innej miłości nie pragnęła ani nie potrzebowała.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

ELISE BEAUMONT

Odkąd Maverick zamieszkał osobno, Elise za nim tęskniła. Zdecydowała pozostać u córki, niemniej jednak coraz bardziej brakowało jej jego zapachu, dotyku, obecności, tak samo jak wiele lat temu, po rozwodzie. Poczucie osamotnienia narastało z każdym dniem, mimo że prawie codziennie odwiedzał rodzinę pod jakimkolwiek pretekstem. Za każdym razem próbował nakłonić Elise, żeby z nim zamieszkała. Przekonywał, że raz na zawsze zerwał z dawnym życiem, że stał się zupełnie nowym, godnym zaufania człowiekiem. Walczyła ze sobą zawzięcie, na razie odpierała pokusy, lecz czuła, że rozsądek przegrywa z uczuciem. Jej wola słabła z dnia na dzień.

Tego ranka podświadomie na niego czekała. Maverick wiedział, że Aurora zabrała dzieci na zakupy, zamierzała kupić im ubrania na nowy rok szkolny. Elise przeczuwała, że Maverick wykorzysta okazję do spotkania we dwoje. Odkrył jej sekretną słabość - nieokiełznany apetyt na seks. Marzyła o gorących pieszczotach w środku upalnego popołudnia.

Od dnia jego przeprowadzki usiłowała powściągnąć swój temperament. Bezskutecznie. Nadal pragnęła byłego męża. Gdyby ktokolwiek inny poznał jej tajemnicę, umarłaby ze wstydu. Już teraz na jej policzki wystąpił rumieniec. To, że uwielbiała jego pieszczoty,

nie znaczyło jeszcze, że potrafiłaby z nim żyć. Ani przez chwilę nie wątpiła, że Maverick wcześniej czy później porzuci najbliższych, żeby zasiąść przy karcianym stoliku. Nie przeżyłaby ponownego zawodu.

Pół godziny po wyjściu córki przemierzyła kuchnię nerwowym krokiem. Kiedy zadzwonił dzwonek, pospieszyła otworzyć drzwi. Niestety nie ujrzała za nimi Mave-ricka, tylko Bethanne. Z trudem ukryła rozczarowanie, które prawie natychmiast ustąpiło miejsca zaniepokojeniu. Pobladła twarz przyjaciółki świadczyła o poważnych kłopotach. Słabym głosem przeprosiła za niespodziewane najście. Elise zaprosiła ją do środka, zaprowadziła do salonu, usadziła na sofie i usiadła obok niej. Zaproponowała filiżankę kawy.

Bethanne odmówiła. Nerwowo skubała wystającą z torebki nitkę.

- Przyrzekłam sobie, że nie uronię ani jednej łzy, a zobacz, jak wyglądam. Wrak człowieka! - zaszlochała.

- Co się stało? - spytała Elise z troską.

- Sześć banków uznało udzielenie mi pożyczki za zbyt wielkie ryzyko. Ostatni odwiedziłam za namową Lydii. Przebyła podobną drogę przez mękę jak ja. Dopiero tam pozytywnie rozpatrzono jej prośbę, mimo że niewiele wcześniej ode mnie rozpoczęła działalność. Ja takiego kredytu zaufania nie otrzymałam, chociaż za mnie poręczyła. Urzędnicy długo rozpatrywali moje podanie tylko po to, żeby je w końcu odrzucić. - Westchnęła ciężko. - Cóż, Lydia ma w małym palcu większy zmysł do interesów niż ja w głowie. Ale chcę się wszystkiego nauczyć.

- Jestem pewna, że przezwyciężysz trudności - pocieszała Elise.
- Jak mogę ci pomóc? - zapytała bezradnie. Nigdy nie widziała jej tak załamanej, nawet gdy opowiadała o rozwodzie. - Jestem pewna, że przezwyciężysz trudności.

Gdyby miała pieniądze, pożyczyłaby jej bez wahania. Ponieważ wskazała jej drogę wyjścia z kryzysu, nadal czuła się za nią odpowiedzialna. Z całego serca życzyła jej powodzenia.

Opanowanie emocji zajęło Bethanne co najmniej kilka sekund.

- Wystarczy, że zechciałaś mnie wysłuchać - przerwała wreszcie milczenie. - W życiu nie miałam lepszej przyjaciółki. Tak wiele ci zawdzięczam i tak bardzo cię podziwiam - wyszeptała ze wzruszeniem.

- Mnie? - Na twarzy Elise wystąpił rumieniec.

Pochwała sprawiła jej wielką przyjemność. Teraz z kolei w jej oczach rozbłysły łzy. Jako samotna matka doskonale rozumiała porzuconą przez męża kobietę. Poznała w życiu wielu ludzi, wielu również zdążyła już zapomnieć i to bez większego żalu. Z nikim nie nawiązała naprawdę głębokiej więzi, póki nie zaczęła uczęszczać na kurs dziewiarski do Lydii. Dopiero serdeczna atmosfera na zajęciach pomogła jej przełamać zahamowania. Mówiła koleżankom wszystko, nawet o Mavericku, oczywiście pomijając sprawy intymne, aczkolwiek nie zdziwiłaby się, gdyby same odgadły, co ją z nim łączy. Aż do początków lata rzadko nawet wymieniała jego imię. Głos Bethanne wyrwał ją z zamyślenia.

- Lydia twierdzi, że póki nie zaciągnęła kredytu w ostatnich

dniach, nie pożyczyła od nikogo ani centa. Sama zapłaciła za każdy motek przedzy w swoim sklepie. Naprawdę ją podziwiam.

- Bardzo mądra postawa. - Elise pokiwała głową z aprobatą. Nie pochwaliała nadmiernego optymizmu na wyrost.

Wielokrotnie ostrzegła córkę i zięcia, że łatwo wpaść w pułapkę zadłużenia, a potem trudno z niej wybrnąć, gdy odsetki rosną w zastraszającym tempie.

- Nie pytałam, na jaki cel Lydia zaciągnęła pożyczkę - ciągnęła Bethanne. - Nie chciałam wtykać nosa w nie swoje sprawy. Dopiero później Margaret odciągnęła mnie na bok i wyjaśniła, że zrobiła to dla niej.

- Nie do wiary, zawsze była dość skryta.

- Chyba usiłowała mnie pocieszyć. Serdecznie mi współczuje. Sama przeżyła koszmar. Jej mąż stracił pracę, od pół roku nie spłacali kredytu hipotecznego. Lydia uratowała ich przed eksmisją.

- Niech ją Bóg błogosławi - szepnęła Elise, poruszona do głębi, chociaż hojność Lydii bynajmniej jej nie zdumiała. Zawsze uważała ją za osobę wielkoduszną.

- Dbą o najbliższych, chociaż sama przeżywa trudny okres.

- W dodatku ostatnio oddały mamę do prywatnej kliniki, miejmy nadzieję, że tylko tymczasowo, ale i tak jej leczenie bardzo drogo kosztuje.

- Wygląda na to, że wszystkie wpadłyśmy ostatnio w kłopoty finansowe - westchnęła Bethanne. - Sama nie wiem, jak przeżyję następne pół roku.

- Bez obawy, przy tak wielkim popycie na twoje usługi bankructwo ci nie grozi. Bethanne odwróciła wzrok. Następnie westchnęła głęboko.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Nie, ja to wiem.

- Obyś okazała się dobrym prorokiem!

- Znalazłaś już kogoś do prowadzenia rachunków?

- Paul mi trochę pomaga.

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Zanim Elise zdążyła wstać, Maverick wkroczył do salonu, elegancki jak zwykle. Elise aż zapało dech. Jej serce gwałtownie przyspieszyło rytm. Popatrzył na jedną kobietę, przeniósł wzrok na drugą, przeprosił, że przybył nie w porę. Po chwili wahania zaproponował, że wpadnie kiedy indziej. Elise nie zdążyła zaprotestować. Wyręczyła ją Bethanne. Wstała z kanapy.

- Proszę zostać, na mnie już czas. Wstąpiłam tylko na chwilę, ponieważ potrzebowałam pociechy. Chciałam usłyszeć parę słów otuchy od serdecznej przyjaciółki.

Elise odprowadziła ją do drzwi, uściskała na pożegnanie. Umówiły się jeszcze na wtorek po południu, po czym Bethanne podziękowała i wyszła. Dopiero wtedy zauważyła, że Maverick podążył za nimi do przedpokoju. Przez chwilę uważnie obserwował jej twarz, później zapytał, co spotkało Bethanne. Elise pokrótce przedstawiła mu kłopoty przyjaciółki. Maverick zmarszczył brwi.

- Byłaś dla niej bardzo dobra.

- I wzajemnie.

Podszedł do niej powoli. Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie z taką czułością, że zapomniała o wszystkich troskach, własnych i cudzych.

- Niezwykła z ciebie kobieta - wyszeptał. - Chodź do mnie. Czułe spojrzenie oraz pocałunek, który później nastąpił, obiecywały najśłodsze rozkosze.

- Nie - odparła bez wahania.

- Potrzebuję cię.

- Nie mogę.

Doskonale wiedziała, że gdyby tylko przekroczyła próg jego mieszkania, przekonałby ją, by pozostała tam na zawsze. Nie mogła sobie na to pozwolić. Mimo wszystkich wad kochała go do szaleństwa. Walczyła z tą miłością, ponieważ nadal nie śmiała mu zaufać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

COURTNEY PULANSKI

Po dzwonku w szkole zapanował nieopisany chaos. Wszyscy uczniowie wylegli z klas. W czasie „Dni otwartych” podczas wakacji Courtney tak długo zwiedzała budynek, aż zapamiętała wszystkie zakamarki. Przynajmniej tak wtedy myślała. Nie wątpiła wówczas, że bez trudu odnajdzie każdą drogę. Teraz, gdy korytarze wypełniał tłum, wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Straciła orientację. Poza tym czuła się kompletnie rozbita, obca, nikomu niepotrzebna. Pocieszało ją jedynie to, że Andrew Hamlin uczęszczał na lekcje literatury, które

miała tego dnia w planie. Nie liczyła, że do niej podejdzie, ale cieszyło ją, że niebawem ujrzy przynajmniej jedną znajomą twarz. Po kolejnym dzwonku korytarze opustoszały w mgnieniu oka. Courtney nadal stała w miejscu, całkowicie zdezorientowana, z książkami przyciśniętymi do piersi, póki dyżurny nie wskazał jej właściwego kierunku. Weszła do klasy już po rozpoczęciu lekcji. Wszystkie oczy patrzyły tylko na nią. Straciła nadzieję, że przemknie niepostrzeżenie do ławki. Skruszona, zgarbiona, przeprosiła nauczyciela za spóźnienie, tłumacząc, że zgubiła drogę.

- Jesteś pewna, że jutro trafisz? - zapytał oschle pan Hazelton.

- Tak. - Skinęła głową ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Przemknęła do ostatniego rzędu. Ledwie usiadła, spróbowała odnaleźć Andrew. Wreszcie rozpoznała go trzy rzędy wcześniej, po lewej stronie. Czterdzieści pięć minut później, po kolejnym dzwonku zerknęła na swój plan zajęć. Miała wolną godzinę na lunch. Na samą myśl o samotnym posiłku w bufecie dostawała gęziej skórki. W Chicago spędziłaby długą przerwę na żartach i pogawędkach z kolegami. Tu była nowa, obca, nikomu niepotrzebna. Odczekała, aż wszyscy wyjdą. Z ociąganiem zebrała swoje rzeczy. Wyszła na korytarz. Ku swojemu zaskoczeniu ujrzała tam Andrew. Czekał specjalnie na nią, opalony, przystojny i jak zwykle miły.

- Jak leci? - zapytał na przywitanie.

- Tak jak było do przewidzenia - odrzekła lakonicznie.

Spostrzegła, że wszyscy uczniowie idą w tym samym kierunku. Podążyła za nimi. Andrew również. Przystanęła przy szafce, żeby

zostawić przybory szkolne. Zdziwiło ją, że Andrew znów na nią poczekał. Sprawił jej miłą niespodziankę.

- Umiem zrobić efektowne wejście, prawda? - usiłowała żartować z samej siebie, chociaż daleko jej było do śmiechu. Na widok przepięknego uśmiechu Andrew odwróciła wzrok. Zdecydowanie zbyt mocno ją pociągał. Powiedziała sobie, że nie powinna wypatrywać za nim oczu. - Nie spotkałam Annie - mruknęła, żeby pokryć zażenowanie.

- Szukała cię wcześniej. Czym przyjechałaś do szkoły? - zapytał po krótkiej przerwie.

Zadał wyjątkowo kłopotliwe pytanie. W wakacje jeździła wszędzie na rowerze i to z wielką ochotą. W czasie roku szkolnego nie wypadało korzystać z tak ubogiego środka lokomocji, a samochód zabrała babcia. Zresztą Courtney i tak nie umiała go prowadzić. Wsiadła więc jako jedyna maturzystka do szkolnego autobusu. Co za kompromitacja! Zdradziła mu ten wstydlivy sekret konspiracyjnym szeptem.

- Chętnie sam bym cię zabierał, ale wyjeżdżam z domu bardzo wcześnie. Trenuję przed lekcjami, a Annie podwozi mama.

- Ja nie mogę prosić babci o taką przysługę. Andrew pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Spróbujemy coś zorganizować. Jeden kumpel mieszka niedaleko od ciebie. Jeśli zwrócisz mu pieniądze za benzynę, na pewno zechce po ciebie przyjeżdżać.

Courtney posłała mu uśmiech wdzięczności. Nie wierzyła we

własne szczęście. Andrew podsunął jej genialne rozwiązanie, które nie tylko oszczędzało jej wstydu, lecz również dawało szansę poznania jeszcze jednego rówieśnika. Weszli do szkolnej kawiarenki. Zamiast dołączyć do kolegów, Andrew stanął za nią w kolejce do bufetu. Nie oczekiwała aż takiej uprzejmości.

- Świetnie wyglądasz - zauważył.

- Ty też - odwzajemniła komplement zgodnie z prawdą. Teraz już nic jej nie brakowało do szczęścia. Całe lato ciężko pracowała na poprawę sylwetki. Ogromnie ją ucieszyło, że właśnie on zauważył efekty.

- To dzięki wakacyjnym treningom. W ciągu roku szkolnego zawsze tyłem. - Wziął z kontuaru tacę. - Jak pogadam z Mikiem, to do ciebie wieczorem zadzwonię.

- Super.

Courtney wybrała surówkę bez majonezu. Po namyśle uznała, że skoro nawet ulubieniec wszystkich dziewcząt zauważył korzystną przemianę, zasłużyła na nagrodę za wytrwałość w odchudzaniu.

W ramach rekompensaty za długie tygodnie wyrzeczeń po raz pierwszy zamieniła przebrzydłą wodę mineralną na smaczniejszy napój. Ledwie zdążyła zapłacić za jedzenie, podbiegła do niej Annie.

- Chodź, Courtney, przedstawię cię koleżankom.

- Chętnie.

Courtney zabrała swoją tacę z lady. W ostatniej chwili uprzytomniła sobie, że gdyby odeszła bez słowa, uraziłaby dotychczasowego towarzysza. Odwróciła się ku niemu.

- Porozmawiamy jeszcze później, dobrze?

- Jasne. - Skinął głową, po czym pospiesznie odszedł w kierunku grupy nastolatków.

Gdy tylko zostały same, obwieściła Annie, że Andrew szuka kolegi, który by ją podwoził.

- Wiem, mama go o to prosiła.

Courtney z trudem ukryła rozczarowanie. Było jej przykro, że nie pomagał z własnej inicjatywy. Powiedziała sobie, że powinna być wdzięczna całej rodzinie za życzliwość, a jednak jej radość zdecydowanie przygasła. Jakaś mocno wymalowana dziewczyna w ubraniu z czarnej skóry, z mnóstwem kolczyków w najdziwniejszych miejscach zawołała Annie. Obok siedziała druga, również bardziej podobna do kosmitki niż do człowieka. Courtney z ociąganiem podeszła z Annie do ich stolika. Czowała, że nie pasuje do tego towarzystwa.

- Poznałam Courtney w wakacje - wyjaśniła Annie koleżankom. Następnie wskazała ręką najpierw jedną, później drugą - To Shyla, a to Tina.

Pierwsza z nich pozdrowiła ją z uśmiechem, druga bez uśmiechu.

- Startujesz na cheerleaderkę? - spytała Tina dość lekceważącym tonem.

Gdyby słowom nie towarzyszyło pogardliwe spojrzenie, Courtney być może uwierzyłaby, że uznała ją za dość smukłą do reprezentacji. Nie ulegało jednak wątpliwości, że zupełnie co innego

miała na myśli.

- Raczej nie - mruknęła. Annie popatrzyła na Tinę spode łba.

- Courtney niedawno przyjechała do Seattle. Chciałabym, żeby poznała trochę ludzi.

- Rzadko cię ostatnio widzujemy - wypomniała Tina, lekceważąc wyjaśnienie Annie.

- Byłam zajęta.

- Z Courtney? - wtrąciła Shyla.

- Bo co? - odrzekła Annie wojowniczym tonem.

- Lepiej zdecyduj, z kim wolisz trzymać, z nami czy z takimi grzecznymi panienkami.

- Chyba już podjęłam decyzję - odrzekła dumnie Annie. - Chodźmy stąd, Courtney. - Odeszła od stolika.

Courtney posłusznie pomaszzerowała za nią. Skóra jej cierpła na myśl, że mogłaby spotkać te dwie wampirzyce w ustronnym miejscu.

- Tak naprawdę nigdy do nas nie pasowałaś! - krzyknęła za nimi Tina. Annie poprowadziła Courtney na drugą stronę sali. Usiadły przy stoliku, który ktoś przed chwilą zwolnił.

- Przykro mi, że przeze mnie spotykają cię przykrości. Sprawiam ci tylko kłopoty.

- Nieprawda - zaprotestowała Annie bez większego przekonania.

- Nie chodzi o ciebie. Wyrosłam już z takiego towarzystwa. - Wbrew słowom wyglądała na bardzo strapioną. W milczeniu zjadła sałatkę, później zatopiła zęby w jabłku. Wreszcie dzwonek oznajmił koniec przerwy.

- Zobaczymy się później? - spytała na pożegnanie.

- Jasne - mruknęła Annie bez entuzjazmu.

Kiedy Courtney oddawała tacę do kuchni, dostrzegła nieopodal dwie dziewczyny z pochylonymi ku sobie głowami. Wymieniały szeptem jakieś uwagi, raz po raz zerkając w jej stronę. Rozpoznała ukochaną Andrew i jej wierną asystentkę. Miała ochotę w jakiś sposób dać im do zrozumienia, co myśli o obmawianiu ludzi za plecami, ale po namyśle zrezygnowała.

Pozostała część popołudnia nie przyniosła ważniejszych wydarzeń. Dobrze chociaż, że Courtney trafiała do kolejnych klas bez większego trudu i bez opóźnienia. Zawsze to jakiś postęp. Mimo wszystko pierwszy dzień w nowej szkole kompletnie wyczerpał jej siły. Idąc w kierunku szkolnego autobusu, odczuwała przykry ucisk w okolicy żołądka. Na podwórzu dostrzegła Annie w towarzystwie dwóch dziewczyn w czarnych skórach, które poznała w szkolnym bufecie. Rozmawiały o czymś, stojąc w ciasnym kręgu. Courtney przystanęła na stopniu autobusu.

- No co, wsiadasz czy nie? - ofuknął ją jakiś chłopak z tyłu.

Courtney wymamrotała krótkie przeprosiny, po czym czmychnęła na pierwsze wolne miejsce. Odwróciła głowę ku oknu. Zanim autobus ruszył, zdążyła jeszcze zobaczyć znajomą parę. Andrew obejmował Melanie w talii, a ona patrzyła mu w oczy z bezgranicznym uwielbieniem.

Ten ostatni widok do reszty popsuł Courtney nastrój. Nie pozostało jej nic innego, jak zacisnąć zęby i przetrwać tak fatalnie

rozpoczęty rok szkolny.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

ELISE BEAUMONT

Ledwie wnukowie wrócili do szkoły, zachowanie Mavericka uległo nagłej zmianie, co potwierdziło najgorsze przypuszczenia Elise. Odkąd przybył do Seattle, obserwowała go w napięciu, z niepokojem, pewna, że wcześniej czy później powróci do nałogu. Ku jej zaskoczeniu tym razem długo wytrzymał z dala od karcianego stolika. Jeżeli się umówił, zawsze przybywał punktualnie, przynajmniej do dnia spotkania w Klubie Książki. Tego dnia Elise czekała w nieskończoność, aż po nią przyjedzie. Obiecał zawieźć ją do biblioteki. Rozdrażnienie narastało z każdą minutą.

Nieobecność Mavericka utwierdziła ją w przekonaniu, że niepotrzebnie obdarzyła go zaufaniem. Kiedy nadeszła pora wyruszenia w drogę, powiedziała do córki:

- Twój ojciec wrócił do starych nawyków. Znow nie dotrzymuje słowa. Powinniśmy już wyjechać, a tu proszę, jeszcze go nie ma.

- Na pewno zatrzymało go coś ważnego - odrzekła spokojnie Aurora, zawsze gotowa bronić ojca. - Z pewnością wkrótce nadjedzie.

Nie przekonała matki. Elise zauważyła, że Maverick ostatnio zniknął gdzieś raz na tydzień. Przysięgał, że nie uprawia hazardu, lecz nie zdradził, gdzie bywa ani co robi. Elise nie naciskała, w obawie że usłyszy przykrą prawdę. Zwróciła też uwagę na zagadkowe narady

Mavericka z Aurorą za jej plecami. Próbowwała przejść do porządku dziennego nad tajemniczymi poszeptami po kątach, niemniej jednak czuła się odsunięta na bok, wykluczona z rodzinnych spraw. Bezskutecznie usiłowała stłumić rozzalenie. Przyznawała Aurorze rację tylko w jednym: nie wątpiła, że Maverick wymyśli wiarygodny powód spóźnienia, oczywiście nieprawdziwy. Aurora zaproponowała, że ją podwiezie, ale odmówiła. Zdecydowała pojechać autobusem.

- Tata z pewnością zaraz się pojawi - próbowała ją jeszcze zatrzymać córka. Elise nie czekała już dłużej. Skinęła głową bez przekonania, po czym wyszła na przystanek. Zarówno podczas jazdy, jak i przesiadki usiłowała opanować zdenerwowanie. Bez efektu. Nie pomyliła drogi tylko dlatego, że przez całe lata podróżowała miejskimi środkami lokomocji, głównie metrem. Doskonale знаła topografię miasta. Mimo wszystko przybyła z opóźnieniem, już w trakcie odczytu. Długo wyczekiwane spotkanie również nie przyniosło jej satysfakcji. Coraz bardziej niespokojna, praktycznie nie słuchała wykładu. Nie uczestniczyła też w dyskusji, zatopiona w ponurych rozważaniach. Strach narastał z każdą chwilą.

Żałowała z całego serca, że po tylu złych doświadczeniach pozwoliła się znowu omamić. Kochała Mavericka do szaleństwa, rozpaczliwie chciała mu wierzyć, a on znów robił wszystko, żeby przestała mu ufać. W drodze powrotnej minęła kilka salonów gry. Zawsze obok nich przechodziła, jednak do tej pory właściwie nie zdawała sobie sprawy z ich istnienia. Teraz zwróciła na nie uwagę pod naporem strasznych wspomnień z czasów młodości. Biegała wtedy po

takich lokalach z niemowlęciem na ręku, w nadziei że zdąży wyciągnąć marnotrawnego męża z którejś z jaskiń hazardu, zanim przegra co do centa pieniądze przeznaczone na żywność i czynsz. Tak jak wtedy, poczuła nagle przemożną potrzebę wkroczenia do środka i odszukania Mavericka. Stłumiła ją jednak błyskawicznie. Nie zniosłaby ponownie takiego upokorzenia. Wróciła do domu wyczerpana, nieszczęśliwa, rozbita. Nawet widok samochodu Mavericka przed domem nie uśmierzył jej lęku. Były mąż powitał ją w drzwiach, patrząc gdzieś w bok. Później nastąpiła szybka wymiana spojrzeń z Aurorą, po której córka opuściła pokój. Elise przysięgła sobie, że tym razem zachowa godność i nie będzie robić mu wyrzutów. Pozdrowiła go zdawkowym „dzień dobry”.

- Przykro mi, że cię zawiodłem - zaczął.

- Powinno ci być przykro - ucięła.

Zostawiła torebkę w przedpokoju i weszła do kuchni, by nalać sobie mrożonej herbaty i zwilżyć wyschnięte usta. Drżącymi rękami uniosła szklankę do ust. Kątem oka spostrzegła, że Maverick stoi kilka kroków od niej, ze splecionymi rękami, jak uczeń przyłapany na nieczym występku. Nie robiła mu wymówek. Szkoda jej było nawet słów. Drobnym zawodem przepełnił wprawdzie czarę gorzkości, ale niewiele znaczył wobec faktu, że przegrał własne małżeństwo, ojcostwo i całe lata młodości przy karcianym stoliku. Maverick wyciągnął do niej obie ręce.

- Wybacz mi, Elise - zaczął. - Nie chciałem ci sprawić przykrości.

- Bez przesady, jazda autobusem to nic strasznego - odrzekła z pozornym spokojem.

- Nie traktuj mnie, proszę, jak niegrzecznego chłopca, jestem przecież twoim mężem.

- Byłym - sprostowała.

- To prawda, ale...

- Grałeś w karty - wyrzuciła z siebie wreszcie, nie w tonie pytania, lecz stwierdzenia.

Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Była pewna, że uprawia hazard, odkąd zaczął znikać bez słowa, chociaż do tej pory brakowało jej odwagi, żeby spróbować uzyskać potwierdzenie swoich podejrzeń. Nie chciała przyjąć do wiadomości strasznej prawdy, sama szukała niegroźnych wyjaśnień jego nieobecności.

- Nie zechcesz mnie przynajmniej raz wysłuchać?

- Nie. Sam wybrałeś przed laty drogę życia, której nie akceptowałam. Teraz ponownie na nią wkroczyłeś. Nawet mnie to nie dziwi. Talia kart zawsze znaczyła dla ciebie o wiele więcej niż żona i córka. - Odstawiła szklankę, z której upiła ledwie łyk i pospieszyła do pokoju.

Maverick podążył za nią. Nawet w gniewie Elise zachowała tyle taktu, że nie zatrzaskała mu drzwi przed nosem. Zostawiła je otwarte. Kompletnie wyczerpana oparła plecy o framugę. Brakowało jej nawet sił, żeby dotrzeć do krzesła. Zamknęła oczy.

- Wysłuchaj mnie, najmilsza - błagał Maverick, stojąc na korytarzu. - Może mi nie uwierzysz, ale zawsze cię kochałem i nadal

kocham.

- Nie wątpię - odrzekła odruchowo, chociaż przyrzekła sobie, że nie dopuści do dalszej dyskusji. - Ale bardziej kochasz grę.

Twarz Mavericka wykrzywił grymas bólu. Elise pomyślała, że pewnie sama wygląda nie lepiej. Więcej już nie była w stanie znieść. Cichutko zamknęła drzwi.

- Pewnie zabrzmiałoby to jak wyznanie szaleńca, ale robię to dla ciebie - nie ustępował.

Elise zamarła w bezruchu ze wzrokiem wbitym w zamknięte drzwi. Tę wymówkę słyszała już setki razy, podobnie jak wszystkie inne. Maverick zawsze obiecywał złote góry, przysięgał, że poluje na fortunę dla dobra rodziny, nigdy nie przyznał się do uzależnienia. Z drugiej strony, osiągał chyba niezłe dochody, skoro zwiedził cały świat, nie zaniedbując płacenia alimentów. Elise była jednak pewna, że więcej tracił, niż zarabiał, jak każdy hazardzista.

- Rzeczywiście grałem dziś w pokera - wyznał w końcu. - Zwlekałem z ujawnieniem prawdy, ponieważ nie chciałem przysparzać ci trosk. Znam przecież twoje nastawienie. Włożyłem skarpetki od ciebie. Przyniosły mi szczęście. Wygrałem turniej - oznajmił na koniec z triumfem.

Elise uparcie milczała. Żałowała, że nie przeznaczyła upominku dla Davida, jak z początku planowała. Usłyszała właśnie najgorszą z możliwych wiadomości. Wiedziała, co dalej nastąpi: sukces do reszty przewróci Maverickowi w głowie. Zapomni o zasadach ostrożności, przestanie dbać o jej uczucia, straci resztki rozsądku. Postawi na jedną

kartę ostatniego centa, szczęście własnej rodziny, wreszcie nawet własną godność. I wcześniej czy później wszystko przegra. Wróci z pokorą do domu, załamany, przybity, goły jak święty turecki, z sercem pełnym żalu do całego świata.

- Nie chcesz wiedzieć, ile wygrałem?

- Nie! - wrzasnęła przez zamknięte drzwi.

Włączyła telewizor, żeby nie słyszeć, nawet gdyby zechciał ją poinformować wbrew woli. Dopiero dziesięć minut później zaczęła nasłuchiwać. Na korytarzu panowała cisza. Nie wiadomo, kiedy sobie poszedł.

Znacznie później wyszła do kuchni. Zastała tam tylko Aurore. Chłopcy bawili się na podwórku, David czytał gazetę w salonie. Elise nakryła stół do kolacji. Dla Mavericka również ustawiła nakrycie. Córka bacznie obserwowała jej poczynania.

- Tata prosił, żebym z tobą porozmawiała - zagadnęła po dość długim milczeniu.

- Nie ma o czym. On znowu gra.

- Wiem.

- Od jak dawna?

- Twierdzi, że dzisiaj po raz pierwszy zasiadł do kart.

Elise pobladła. Gotowa była za wszelką cenę wyprowadzić córkę z błędu. Nabrała bowiem przekonania, że Maverick i ją oszukał.

- Posłuchaj, wiem, jak bardzo go kochasz. Nie chcę cię do niego zrażać, ale musisz wreszcie przyjąć do wiadomości, że to nałogowy hazardzista.

- Zawodowy - sprostowała spokojnie Aurora. - Wcale nie musi grać, po prostu to lubi.

- Zrozum, hazard uzależnia tak samo jak alkohol czy narkotyki. Mąci umysł, rujnuje życie, odciąga człowieka od rodziny... - Przerwała. Niewiele brakowało, by przypomniała córce, z jakiego powodu nie widywała ojca przez całe lata.

- Nie osądzaj go zbyt surowo, on cię naprawdę bardzo kocha - powiedziała Aurora. - Przyrzekł, że po zakończeniu turnieju już nigdy nie zasiądzie do kart. Bierze w nim udział tylko dlatego, że pragnie ci pomóc.

- I ty mu wierzysz?

- Tak.

Elise opadły ręce. Nie przekonała córki, że talia kart zawsze znaczyła dla Mavericka więcej niż żona i dziecko. Parsknęła nerwowym śmiechem, aż David odłożył gazetę i przyszedł zobaczyć, co ją tak rozbawiło.

- Dziękuję za taką pomoc. Poradź mu lepiej, żeby nie kochał mnie aż tak bardzo. Nie widzisz, że znalazł kolejny pretekst, żeby powrócić do nałogu? - powiedziała, gdy wreszcie odzyskała mowę. - Proponuję zamknąć ten temat, powiedz mi tylko, kiedy wróci, żebym mogła wcześniej schronić się w swoim pokoju.

- Nie odtrącaj go, mamó - poprosiła Aurora jeszcze raz. Elise posmutniała. Nie zamierzała ranić uczuć córki. Doskonale rozumiała, że ta dorosła już kobieta, żona, matka, w głębi duszy pozostała małą dziewczynką, spragnioną ciepła i oparcia w najbliższych. Jak każde

dziecko pragnęła pogodzić zwaśnionych rodziców, przywrócić spokój w rodzinie. Elise serdecznie jej współczuła. Luke wyrwał ją z zamyślenia, wpadając z krzykiem do kuchni.

- Babciu, babciu, słyszałaś?!

- Milcz, Luke! - upomniała go Aurora.

- Co takiego? - Elise przykucnęła, żeby popatrzeć małemu w oczy. Nie ulegało wątpliwości, że córka skrywała przed nią jakąś tajemnicę. Liczyła już tylko na to, że wydobędzie ją z dziecka.

- Dziadek jedzie na Kariby na turniej pokerowy.

- Na Karaiby - poprawiła odruchowo Elise.

Popatrzyła znacząco na córkę. Otrzymała niezbity dowód na kręctwo byłego męża. Kilka godzin wcześniej przysięgał, że skończył z hazardem tylko po to, żeby jeszcze tego samego dnia umknąć na kolejne zawody.

TRZYDZIESTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Robienie na drutach to najbardziej pożyteczne i wdzięczne hobby. Uspokaja nerwy, daje satysfakcję, równocześnie rozwija i zaspokaja twórcze aspiracje. Uczynicie z tej przyjemności integralną część swego życia.

Kate Buller, prezes Handknittings Rowan Yarns, Jaeger Handknits, Patons, R2

LYDIA HOFFMAN

Margaret zastępowała mnie w sklepie wiele godzin dziennie, podczas gdy załatwiałam sprawy związane z przeniesieniem mamy do domu opieki. Przygotowania do przeprowadzki zajmowały mi mnóstwo czasu. Musiałam wypełnić masę dokumentów, uregulować płatności, uporządkować rachunki, skompletować historię choroby oraz polisy ubezpieczeniowe. Przeprowadziłam też sporo rozmów telefonicznych, przesiedziałam wiele godzin przy komputerze. Zostawiłam w agencjach nieruchomości ogłoszenia o sprzedaży domu mamy. Potrzebowałyśmy przecież pieniędzy na sfinansowanie jej pobytu w domu opieki. Dopiero teraz zrozumiałam, przez co przeszli moi rodzice, gdy wykryto u mnie nowotwór. W pełni doceniałam ich poświęcenie.

Dopiero w piątek po południu przeliczyłam zawartość kasy. Z przerażeniem stwierdziłam, że w drugim tygodniu września osiągnęłyśmy o połowę mniejszy dochód niż w analogicznym okresie w sierpniu, chociaż w wakacje na ogół popyt spada. Ponieważ spędzałam całe dni poza sklepem, nie oczekiwałam oszałamiających sukcesów finansowych, ale takiej katastrofy również nie. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że Margaret nie ma żyłki do handlu ani też nie podziela mojej namiętności do włóczek, ale tylko ją mogłam prosić o zastępstwo, ponieważ nikt nie zna tak dobrze sklepu ani gustów klientek jak ona. Nie przewidziałam tylko, że moja tygodniowa nieobecność przyniesie aż tak opłakane skutki. Ponownie przeliczyłam pieniądze. Niestety nie popełniłam pomyłki. Ogarnęła mnie zgroza.

Biorąc pożyczkę w banku, zażyczyłam sobie krótkiego, półtorarocznego terminu spłaty, co w praktyce oznaczało wysokie raty miesięczne. Prośba o rozłożenie płatności na dłuższy okres podważyłaby moją wiarygodność. Przypuszczałam bowiem, że moja prośba została pozytywnie rozpatrzona właśnie dlatego, że zadeklarowałam chęć szybkiego zwrotu należności. Poczułam skurcz w żołądku. Usiadłam przy biurku. W ciągu roku zdołałam podwoić obroty. Załamanie nastąpiło w najmniej odpowiednim momencie, akurat wtedy, kiedy nałożyłam na siebie poważne zobowiązania. Rozpaczliwie szukałam wyjścia z beznadziejnej sytuacji. Od razu odrzuciłam rozwiązania oszczędnościowe w rodzaju ograniczenia zakupów. Podciąłabym tylko gałąź, na której siedzę, jako że klientki przyciągał do mojego sklepu przede wszystkim szeroki asortyment wzorów. Zatopiona w rozmyślaniach, usłyszałam pukanie do drzwi dopiero wtedy, gdy ktoś zaczął do nich niecierpliwie łomotać.

Pospieszyłam otworzyć. W innej sytuacji poprosiłabym gościa, żeby przyszedł kiedy indziej, ale teraz liczył się każdy zarobek. Osoba, która mnie tym razem odwiedziła, nie przyszła jednak po zakupy. Ujrzałam na zewnątrz Brada. Stał przy oknie z nosem przyklepionym do szyby. Osłonił twarz dłońmi, usiłując zajrzeć do środka.

Ostatnio widziałam go miesiąc temu. Cody dzwonił do mnie kilka razy. Kontakty na odległość z całą pewnością mu nie wystarczały, tak samo jak mnie. Wyraźnie słyszałam smutek w jego głosie, a ostatnim razem, w sierpniu, również zakłopotanie.

Odpowiadał nieskładnie, półsłówkami, jakby w obawie, żeby nie powiedzieć za dużo. Przypuszczam, że matka stała obok. Nigdy już później nie zatelefonował.

Z ciężkim westchnieniem otworzyłam Bradowi drzwi. Bynajmniej nie pragnęłam jego towarzystwa. Tylko tego jeszcze mi brakowało po tak ciężkim dniu! Przystanąłam w progu, opierając ramię o futrynę. Zdecydowałam, że nie wpuszczę go do środka.

- Cześć - mruknęłam ponurym tonem, nie pozostawiającym wątpliwości co do mojego nastawienia.

- Dawno cię nie widziałem - zagadnął na przywitanie. Ponieważ nie skomentowałam oczywistego stwierdzenia, ciągnął dalej: - Podobno załatwiałaś dla mamy dom opieki?

- Planujemy ją tam przenieść w przyszłym tygodniu - odrzekłam. Brakowało mi zarówno sił, jak i chęci, żeby tłumaczyć, że wcześniej należy wypełnić całą masę dokumentów, przekazać do placówki opiekuńczej historię choroby, sfinalizować sprzedaż domu, a także uporządkować pozostałe kwestie prawne i finansowe. Chyba wiedział już od Margaret, co nas jeszcze czeka, bo zapytał z troską:

- Jak sobie z tym wszystkim radzisz?

- Zupełnie nieźle - odrzekłam lakonicznie.

Nie potrzebowałam jego współczucia, tylko jeszcze bardziej by mnie przygnębiło. Kusiło mnie za to, żeby zapytać o Janice. Po namyśle zrezygnowałam. W obecnej sytuacji sprawiłaby mi przykrość zarówno informacja o dobrych, jak i o złych stosunkach Brada z byłą żoną. Po koszmarnym tygodniu wolałam unikać kolejnych wstrząsów.

Zapraǳnęłam natomiast dowiedzieć się czegoś o Codym. Tęskniłam za nim. Brakowało mi przyjaznych pogawędek, relacji o wybrykach psa i postępach w tresurze. Pokochałam to dziecko jak własne. Nie powstrzymałam ciekawości, spytałam, jak mu się wiedzie.

- Świetnie! - zapewnił Brad z nieco przesadnym entuzjazmem. Najwyraźniej usiłował mnie przekonać, że połączenie rodziny posłużyło synkowi.

- Ucałuj go ode mnie.

- Oczywiście. - Zamilkł na chwilę. - Martwię się o ciebie. Przeżywasz bardzo ciężki okres - raczej stwierdził, niż zapytał.

- Skąd wiesz, przecież dawno mnie nie widziałeś? - zacytowałam jego słowa.

- Nieprawda. Obserwowałam cię przy okazji każdej dostawy, tylko nie próbowałam nawiązać kontaktu - sprostował z niewesołym uśmiechem. - Znam cię dobrze, masz strapienie wypisane na twarzy. Poza tym jesteś przemęczona. Pozwól, że wyciągnę cię do kawiarni.

- Nie, dziękuję. - Zdecydowanie pokręciłam głową. Akurat towarzystwo Brada Goetza nie przyniosłoby mi pociechy.

- To, że kogoś masz, nie przeszkadza chyba wyskoczyć gdzieś na chwilę ze starym przyjacielem? To przecież nic zdrożnego.

- Z zasady unikam żonatych mężczyzn - ucięłam.

Żałowałam z całego serca, że go okłamałam. Zawsze istniała możliwość, że Margaret uświadomi go, że nikt nie zajął po nim miejsca w moim sercu. Do wszystkich przykrości, które mnie ostatnio spotkały, doszedłby wtedy jeszcze wstyd.

- Ja akurat nie jestem żonaty, tylko rozwiedziony - sprostował.

- Więc doszło w końcu do pełnego pojednania czy nie? Brad milczał dość długo.

- Trudno powiedzieć. Jeszcze nie zapadła decyzja, negocjacje nadal trwają.

- Tym bardziej nie powinnam przeszkadzać. Dziękuję za pamięć, ale nie skorzystam.

Brad pożegnał się dość pośpiesznie i odszedł. Odprowadziłam go wzrokiem. Stałam jeszcze dość długo bez ruchu, bezwładnie wsparta o framugę, zanim zamknęłam drzwi. Wróciłam do biura, załamana do reszty. Za dziesięć minut znów usłyszałam pukanie. Przekonana, że Brad wrócił, z niechęcią podeszłam do okna. Zamiast niego ujrzałam Alix Townsend. W rękach trzymała najbardziej kuszącą z możliwych wejściówek - talerz czekoladowych ekierek. Wpuściłam ją z wielkim entuzjazmem. Tego popołudnia wpadłam na chwilę na zajęcia dobroczynne, ale jej nie zastałam. Pewnie pracowała na drugą zmianę, a rano poszła do szkoły. Powitała mnie szerokim uśmiechem.

- Zobaczyłam przez okno Brada. Nie chcę cię wyciągać na zwierzenia, ale pomyślałam, że możesz potrzebować pociechy.

Z trudem powstrzymałam śmiech. Podziwiałam jej intuicję. Gdyby Brad poczęstował mnie łakociami, łatwiej przełamałby moje opory.

- Twoje wypieki leczą wszelkie bolączki - zapewniłam, prowadząc ją na zaplecze. - Właśnie parzę kawę, masz ochotę?

- No jasne! - Alix podążyła za mną do biura.

Odsunęła na bok papiery, po czym usiadła na biurku. Nie byłaby sobą, gdyby zajęła miejsce na krześle jak przeciętny człowiek. Alix chodziła własnymi drogami, nie znosiła utartych szlaków. Polubiłam te ekstrawaganckie obyczaje. Doceniałam także jej hojność i lojalność. Napełniłam jej kubek kawą. Chyba wyszła mi trochę za mocna. Wbrew wcześniejszej deklaracji Alix nie powstrzymała ciekawości.

- Tak więc Brad cię odwiedził? - wróciła do niewygodnego tematu. Poruszyła w moim sercu czułą strunę. Kiedy trochę ochłonęłam po jego wyjściu, zaczęłam żałować, że tak chłodno go potraktowałam. W głębi duszy pragnęłam odnowić z nim kontakt. Powstrzymywał mnie tylko lęk i poczucie niepewności. Wolałam nie przyspieszać biegu wypadków. Pograżona we własnych rozterkach, niemalże zapomniałam o miłym gościu. Alix sama przypomniła o sobie, kładąc rękę na moim ramieniu.

- Co między wami zaszło? - zapytała, biorąc z talerza jedno z ciastek, które dla mnie przyniosła. Gdy zatopiła w nim zęby, odrobina masy wypłynęła ze środka na boki. Nie ukrywam, że ślinka mi leciała na ten widok.

- Nic szczególnego - mruknęłam. - Jak ci się układa z Jordanem?

- Ejże, nie zmieniaj tematu! - upomniała mnie ze zmarszczonymi brwiami.

Podsunęła w moim kierunku talerz z ekierkami.

Nie potrzebowałam dodatkowej zachęty. Z rozkoszą przyjąłam poczęstunek.

- Wolałabym nie rozmawiać o Bradzie.

- I wzajemnie. Często ucinamy sobie pogawędkę, gdy przywozi produkty do kawiarni. Jednak ledwie wymienię twoje imię, natychmiast milknie.

- Mamy swoje powody.

- Na to wygląda. Niech wam będzie. - Zeskoczyła z biurka na podłogę. - Wracając do Jordana. Idziemy dzisiaj do kina z grupką młodzieży. Wpadłam tylko, żeby cię pozdrowić.

- Miło z twojej strony. - Odprowadziłam ją do drzwi. Ledwie je zamknęłam, Wąsik przypomniał mi o sobie. Zabrałam go na górę.

Nie zapomniałam też o przysmakach od przyjaciółki. Trochę żałowałam, że zamiast zaryzykować wyprawę z Bradem do kawiarni, spędzę wieczór przed telewizorem, pochłaniając łakocie. Ogarnął mnie smutek. Mój kot głośnym miauczeniem uświadomił mi, że jednak nie zostałam zupełnie sama.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

BETHANNE HAMLIN

Bethanne ponownie przeliczyła koszty wszystkich trzech przyjęć, które przygotowywała w tym tygodniu. Po opłaceniu rachunków stwierdziła, że nie wystarczy nawet na jedzenie do końca tygodnia, czyli do momentu otrzymania alimentów oraz honorariów za wykonane zlecenia. Po podsumowaniu kwot na wszystkich czekach doszła do wniosku, że wpadła w tarapaty z własnej winy. Podpisywała

je nie tylko bez zastanowienia, lecz nawet bez wcześniejszego oszacowania kosztów. W rezultacie wydatki regularnie przewyższały dochody. W dodatku po rozpoczęciu roku szkolnego Annie i Andrew ciągle czegoś potrzebowali. Nie mogła im odmówić podręczników czy ubrań. Niestety dochodziły jeszcze koszty utrzymania domu oraz zakup akcesoriów na przyjęcia.

Zadzwonił telefon, nie z kolejnym zleceniem, tylko z banku. Bethanne modliła się, żeby urzędnik poinformował ją, że po dokładnym rozpatrzeniu jej podania dyrekcja zdecydowała udzielić jej pożyczki. Przypomniała sobie, że kilka lat temu Grant zabrał ją na wycieczkę do Las Vegas. Podróż kosztowała więcej, niż obecnie chciała pożyczyć. Oszalała wtedy z radości. Grant sprawił jej wspaniałą niespodziankę. Dopiero w świetle późniejszych wydarzeń wyszło na jaw, że jego niespodziewana hojność wynikała z poczucia winy.

Podniosła słuchawkę. Przedstawiła się możliwie pogodnym tonem. Niestety, modlitwa nie została wysłuchana. Uśmiech zgasł na jej ustach, gdy usłyszała, że przekroczyła stan konta aż o siedemdziesiąt pięć dolarów. Wcześniej urzędnicy przymykali oko na drobne przekroczenia, lecz tym razem zażądano od niej natychmiastowego zwrotu kwoty, wypisanej na czekach bez pokrycia. Nie zdawała sobie sprawy, że do tego stopnia przesadziła z nieprzemyślanymi wydatkami.

- Niemożliwe! - krzyknęła przerażona. - Pan chyba żartuje!
- Niestety nie.

Nie miała nawet takiej sumy, ale wiedziała, że to nie koniec kłopotów. Dochodziły jeszcze opłaty manipulacyjne i karne odsetki. Ponadto zbiornik paliwa w samochodzie świecił pustkami. Potrzebowała jeszcze co najmniej dwudziestu pięciu dolarów na zatankowanie. Zgroza!

- Ile to będzie kosztować, no ile?! - wykrzyknęła, zdesperowana.

- Kiedy pani przywiezie pieniądze? - nalegał urzędnik.

- Ureguluję część długu jeszcze dziś po południu - zapewniła zmienionym z przerażenia głosem.

Z trudem panowała nad emocjami. Zdawała sobie sprawę, że ten obcy człowiek dręczy ją nie ze złości, tylko z obowiązku, niemniej jednak czuła się upokorzona, przybita. Nie widziała innej możliwości niż zastawienie kosztowności w lombardzie. Po odłożeniu słuchawki wbiegła po schodach na piętro, by przejrzeć zawartość kasetki z biżuterią. Nie wyglądała imponująco.

Bethanne żałowała, że zamiast tamtej koszmarnie drogiej, niepotrzebnej podróży do Vegas Grant nie podarował jej bransoletki z brylantami. Wydali wtedy wszystko, co ze sobą zabrali, ale to nie powstrzymało go od powrotu do feralnego miasta w celu zalegalizowania związku z kochanką. Bethanne skrycie życzyła mu, żeby tym razem stracił więcej, nie tylko w sensie materialnym. Najwyraźniej rozpacz rozbudziła w niej żal i niechęć do całego świata. Duma nie pozwalała jej poprosić dzieci o pieniądze, chociaż posiadały własne konta, ani tym bardziej byłego męża. Zastawienie biżuterii u obcego kupca z lombardu mniej narażało jej godność na

szwank niż przyznanie się do nieudolności przed rodziną czy przyjaciółmi. Po namyśle wybrała obrączkę ślubną. Oddawała ją bez żalu, jej widok przywoływał złe wspomnienia. Dołożyła jeszcze złote kolczyki oraz pierścionek z szafirem. Uznała, że to powinno wystarczyć.

Dostała znacznie mniejszą kwotę, niż sobie wyliczyła, jednak na pierwszą wpłatę starczyło. Wyciągnęła właściwe wnioski z tej gorzkiej, lecz jakże potrzebnej lekcji. Przysięgła sobie, że już nigdy nie powtórzy dawnych błędów. Postanowiła nie kupować niczego na kredyt.

Wychodząc z banku, wpadła na byłego męża. Grant pochwycił ją za ramiona, żeby nie upadła. Bethanne poczerwieniała na twarzy, zupełnie jakby miała wypisane na czole, jaką sprawę załatwiała. Już otwierała usta, żeby wyjaśnić, po co przyszła, ale natychmiast z powrotem je zamknęła. Uświadomiła sobie, że nie ma żadnego obowiązku zdradzać mu wstydlivej tajemnicy. Grant odstąpił krok do tyłu. Wyczytała w jego oczach aprobatę.

- Świetnie wyglądasz - pochwalił.

- Dziękuję.

Bethanne do tej pory nie odżałowała wydanych na nową fryzurę pieniędzy. Annie wraz z Courtney zaciągnęły ją niemalże przemocą do fryzjera. Stylistka dokonała prawdziwego cudu z jej włosami. Następnie zaczęła ją namawiać na zmianę koloru. Bethanne protestowała, że nie stać jej na taki wydatek, ale ją zakrzyczały. Wybrały dla niej farbę drogiej, renomowanej firmy w odcieniu

ciemnego brązu z kasztanowym połyskiem. Musiała przyznać, że mimo młodego wieku wykazały dobry gust. W rezultacie zostawiła w salonie znacznie większą sumę, niż planowała.

- Co tu robisz? - zapytał Grant.

- Wpłacałam na konto pewną sumę - odrzekła z pozornym spokojem. W zasadzie nie kłamała, przemilczała tylko, że na poczet długu. - A ty?

- Ja pobierałem pieniądze. To znaczy... uszczupliłem oszczędności - uściślił z kwaśną miną.

- Na alimenty dla mnie? - spytała z fałszywą słodyczą.

- Nie. - Zmarszczył brwi.

- Czy to znaczy, że nowa żona cię rujnuje? - dociekała dalej, ze złośliwym błyskiem satysfakcji w oku.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo - mruknął, nie kryjąc rozdrażnienia. Dopiero teraz Bethanne zauważyła ciemne cienie pod oczami Granta. Chociaż w głębi duszy uważała, że dostał to, na co zasłużył, ogarnęło ją nagle współczucie. Bez zastanowienia, właściwie wbrew sobie, spytała, co go dręczy.

- Pewnie najbardziej ucieszyłaby cię odpowiedź, że popadłem w straszliwe tarapaty. - Zanim Bethanne zdążyła zaprzeczyć, dodał z naciskiem: - Otóż rozczaruję cię. Jestem tak szczęśliwy jak nigdy dotąd.

Nie zabrzmiało to szczerze. Nie umiał kłamać. Bethanne nie rozumiała, jak to możliwe, że żyjąc z nim pod jednym dachem, nie odkryła jego romansu. Doszła do wniosku, że podświadomie

lekceważyła niepokojące sygnały, ponieważ nie chciała przyjąć do wiadomości straszliwej prawdy.

- Przykro mi - mruknęła. Grant w milczeniu wzruszył ramionami.

Bethanne naprawdę serdecznie mu współczuła. Uświadomiła sobie, że odbyli pierwszą od czasu rozvodu kulturalną rozmowę, jak na ironię, na parkingu przed bankiem. W ciągu ułamka sekundy Grant pozbawił ją złudzeń.

- Jak się rozwija twoja znajomość z uroczym chłoptasiem? - zadrwił.

- Wypraszam sobie tego typu żarty. Jeśli chodzi ci o Paula, to mimo różnicy wieku znaleźliśmy wspólny język, podobnie jak ty z Tiffany. O ile pamiętam, jesteś od niej o piętnaście lat starszy. Poza tym nie zapominaj, że to wy zwróciliście nam obojgu wolność. Moje znajomości to teraz wyłącznie moja sprawa - odparła wyniośle.

- Teraz rozumiem, czemu tak dbasz o młody wygląd. To dla niego zmieniłaś fryzurę, prawda?

- Nie tylko - odburknęła.

- Akurat!

- Lepiej już pójdę - zdecydowała.

Zanim zaczął z niej kpić, zamierzała go poinformować, że syn należy do ścisłego grona faworytów z wielkimi szansami na tytuł króla Balu Inauguracyjnego, który ma się odbyć pod koniec miesiąca w liceum. Ponieważ ją uraził, przemilczała tę radosną nowinę.

Grant skinął głową. Wsadził ręce do kieszeni.

- Miło cię było spotkać. - Posłał jej przelotny uśmiech. - Nie żartuję, naprawdę tak myślę.

- Dziękuję, wzajemnie. Do widzenia.

W drodze do samochodu odwróciła głowę. Stał bez ruchu w tym samym miejscu, w którym go zostawiła. Odprowadzał ją wzrokiem. Niewiele brakowało, a pokiwałaby mu ręką na pożegnanie. W gruncie rzeczy nie życzyła mu źle. No, czasami, ale z biegiem czasu coraz rzadziej. W każdym razie tego lata wkroczyła na najlepszą drogę do całkowitego wybaczenia. Nienawidziła samotności, ale wytłumaczyła sobie, że rozwód niczego w jej życiu nie zmienił. Została opuszczona znacznie wcześniej. Przez dwa lata żyła pod jednym dachem z obcym mężczyzną, który kochał inną.

Od niedawna wszystko szło ku lepszemu. Zdobyła nowy zawód, wspańskiego przyjaciela w Paulu, a co najważniejsze, nawiązała ponownie kontakt psychiczny z dziećmi. Popadła wprawdzie w finansowe tarapaty, ale wyciągnęła właściwe wnioski. Nie powtórzy dawnych błędów, zacznie starannie kontrolować wydatki. Podsumowanie wypadło korzystnie. Natomiast zachowanie jej byłego męża świadczyło, że w życiu Granta zaszły niekorzystne zmiany. Nawet napomknął mimochodem o kłopotach.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

COURTNEY PULANSKI

Courtney od tygodnia nie otrzymała żadnej wiadomości od ojca, chociaż zwykle pisywał co dwa lub trzy dni. Lęk o jego

bezpieczeństwo narastał z każdym dniem. Wzrosła też częstotliwość korespondencji pomiędzy zaniepokojonym rodzeństwem. Courtney wspominała o swych troskach jedynie siostrze i bratu, natomiast starannie ukrywała je przed babcią. I wzajemnie. Obydwie raz po raz przekonywały siebie nawzajem, że pewnie ojcu brakuje czasu na pisanie albo jego komputer się zepsuł.

Jednak Vera Pulanski dziergała ostatnio jakoś więcej niż zwykle, pewnie po to, żeby uspokoić nerwy. Jason spróbował zasięgnąć informacji w jego firmie. Powiedziano mu jedynie, że Ralph Pulanski został oddelegowany w bezpieczny rejon i że dyrekcja spróbuje nawiązać z nim łączność. Mimo że po powrocie na uczelnię Juliannie ciągle brakowało pieniędzy, przegadała z młodszą siostrą ponad dwadzieścia minut przez telefon. Usłyszawszy jej głos, Courtney przycisnęła słuchawkę tak mocno do ucha, jakby próbowała zmniejszyć dzielący je dystans.

- Okropnie za tobą tęsknię! - wykrzyknęła na początek.
- Jak tam w nowej szkole?
- Wspaniale - zapewniła wbrew prawdzie.

W obliczu niepokoju o życie ukochanego ojca nie martwił jej już ani brak przyjaciół w nowym środowisku, ani poczucie izolacji, ani problemy Annie Hamlin.

- Nie kręć! Chcę znać prawdę - ofuknęła ją Julianna.

Podobnie jak matka potrafiła wychwycić w jej głosie każdą nieszczerą nutę. Courtney posmutniała jeszcze bardziej.

- Fatalnie - przyznała. - Wyobrażałam sobie, że jak schudnę, od

razu zyskam powodzenie, a chłopcy będą stać w kolejce po mój numer telefonu. Nic takiego nie nastąpiło - wyrzuciła z siebie cały żal.

Tak naprawdę nie marzyła o tłumach wielbicieli. Interesował ją tylko jeden, niestety zajęty. Annie twierdziła wprawdzie, że jej brat nie traktuje poważnie żyjącej w świecie marzeń Melanie, ale Courtney widziała na własne oczy, jak bardzo lgną do siebie.

- Straciłaś trzynaście kilogramów, to naprawdę wielkie osiągnięcie - przekonywała siostra. - Na pewno znacznie lepiej się czujesz.

- Owszem, przynajmniej fizycznie - potwierdziła Courtney. Faktycznie jej ulżyło. Podejmowała nadludzki wysiłek walki z nadwagą z głową pełną wielkich marzeń. Niestety, utrata zbędnych kilogramów nie przyniosła jej sukcesu towarzyskiego. W jej życiu nie zaszły żadne poważniejsze zmiany prócz tego, że spodnie na niej wisiały.

- Zadzwoń do mnie, jeżeli będziesz potrzebowała bratniej duszy - poprosiła Julianna.

- Jasne. Spróbuj zdobyć jakieś informacje o tacie.

- Zrobię, co w mojej mocy - przyrzekła Julianna.

Rozmowa ze starszą siostrą przyniosła Courtney ukojenie. Chociaż Julianna od trzech lat przebywała poza domem, łączyła ją głęboka więź z ojcem. Utrzymywała z nim stały kontakt. Dopiero kiedy Courtney nieco ochłonęła, uświadomiła sobie z zażenowaniem, że nawet nie spytała o jej samopoczucie.

W środę rano, osiem dni po otrzymaniu ostatniego listu,

Courtney poczuła, że brakuje jej siły, żeby iść do szkoły. Babcia zapewniła, że rozumie jej niepokój, co nie przeszkodziło jej zmusić wnuczkę do wyjścia.

- Niczego nie zyskasz, siedząc cały dzień przy telefonie - tłumaczyła. Courtney musiała jej przyznać rację, chociaż po dwóch nieprzespanych nocach marzyła o odpoczynku. Nie знаła wprawdzie prawie nikogo w nowej szkole, ale już sam udział w lekcjach odwracał na pewien czas jej uwagę od zmartwień. W pustym domu, bez żadnego zajęcia, popadłaby pewnie w depresję.

Mike, kolega Andrew, podwoził ją codziennie do szkoły. Płaciła mu dziesięć dolarów tygodniowo, wdzięczna, że uwolnił ją od przykrej konieczności korzystania ze szkolnego autobusu. Szkoda tylko, że jak do tej pory nie znalazła sposobu, by przełamać jego nieśmiałość. Przez tydzień dokładała wszelkich starań, żeby nawiązać z nim kontakt. Niestety tylko ona robiła wszystko, żeby podtrzymać konwersację. Po kilku takich monologach dała sobie spokój. Właśnie wtedy Mike nieoczekiwanie odkrył, do czego służy człowiekowi język. Kiedy wsiedli do piętnastoletniej hondy, spytał, czy otrzymała wiadomość od taty.

- Jeszcze nie.

- Martwisz się o niego?

- A jak myślisz? - odburknęła na zasadzie: „głupie pytanie - głupia odpowiedź”.

- Myślę, że bardzo - odparł niezrażony, jakby nie wyczuł ironii w jej głosie. Courtney zamilkła. Modliła się, żeby po powrocie do

domu zastać w skrzynce internetowej upragniony list.

- Przygotowałaś się do testu?

- Do jakiego znowu testu? - spytała, równie zdumiona co przerażona. Z powodu osobistych kłopotów nie uważała ostatnio na lekcjach.

- Z poezji.

- O nie! - jęknęła.

Przemknęło jej przez głowę, że najlepiej zrobi, jeśli nakłamię, że złapała grype, być może uzyska zwolnienie z zajęć. Innego ratunku nie widziała. Po namyśle odrzuciła ten pomysł, jako że w takich wypadkach prawda zbyt łatwo wychodzi na jaw.

Najchętniej natychmiast wróciłyby do domu. Do domu babci - sprostowała w myślach z goryczą. Nadal nie traktowała go jak swojego miejsca na ziemi.

Mike zatrzymał samochód na parkingu. Weszli razem do szkoły. On poszedł na prawo, ona na lewo. Zostało jej najwyżej pięć minut na przejrzenie notatek. Pamiętała tylko nazwiska dwóch poetów: Whitmana i Dickinson. Nikogo więcej, do licha!

Przystanąła na korytarzu przed salą. Drżącymi palcami przerzucała stronicę podręcznika, usiłując wchłonąć jak najwięcej wiedzy w jak najkrótszym czasie.

- Cześć! - oderwał ją od nauki czyjś głos.

Courtney podniosła wzrok. Obok niej stał Andrew z książkami pod pachą. O mało nie upuściła własnej. Natychmiast do niej wróciła.

- Zapomniałam, że piszemy dzisiaj test - wymamrotała

usprawiedliwienie drżącym głosem.

- Z czego? - Tym razem Andrew pobladł z przerażenia.

- Z dziewiętnastowiecznej poezji amerykańskiej - wyjaśniła.

- Kto ci o tym powiedział? - spytał z niepewną miną.

- Mike, w drodze do szkoły.

- To wyjaśnia wszystko. - Andrew odetchnął z ulgą.

- On wybrał literaturę jako jeden z przedmiotów głównych, my chodzimy na zajęcia fakultatywne. Przerabiamy zupełnie inny program. Pan Hazelton jeszcze nie wspominał o sprawdzianie.

- Dzięki Bogu! - westchnęła Courtney, wznosząc oczy do nieba. Kamień spadł jej z serca.

- No proszę, a mówią, że młodzież odchodzi od religii - zażartował Andrew. Obydwoje roześmiali się serdecznie.

- Co u ciebie? - spytał.

Courtney wzruszyła ramionami. O ojcu rozmawiać nie chciała, a nic innego jej ostatnio nie interesowało.

- A u ciebie?

Natychmiast pożałowała tego pytania. Doskonale wiedziała, podobnie jak wszyscy. Cała szkoła typowała go na faworyta w wyborach na króla Balu Inauguracyjnego z okazji rozpoczęcia roku szkolnego, a Melanie na królową. W eliminacjach obydwójce zostali zaliczeni w poczet członków „dworu królewskiego”. Wyboru najpiękniejszej pary w szkole dokonywano już podczas zabawy. Shelly, przyjaciółka Melanie, wróżyła obojgu pewne zwycięstwo.

- U mnie wszystko w porządku - mruknął bez większego

entuzjazmu, jakby wcale nie łaknął zaszczytów.

- Otrzymałaś wiadomość od taty?

- Niestety nie. - Zawahała się przez chwilę. Wreszcie nie wytrzymała napięcia. - Szaleję z niepokoju! Nie wiem, co sobie zrobię, jeśli coś mu się stało! - wyrzuciła z siebie całą rozpacz. W oczach rozbłysły łzy. Spuściła głowę, żeby Andrew ich nie dostrzegł.

Ku jej zaskoczeniu podszedł bliżej i otoczył ją ramieniem.

- Wierzę, że wszystko będzie dobrze - pocieszał.

- Na razie nie jest. Potrzebuję go - załkała już otwarcie. Po stracie matki ojciec był dla niej wszystkim. Gdyby i jego straciła, nie umiałaby dalej żyć.

- Rozumiem cię - zapewnił Andrew. - Gdyby mojej mamie cokolwiek zagrażało, reagowałbym tak samo. Wierzę jednak, że odnajdziesz się w każdej sytuacji, tak jak radziłaś Annie. Dzięki twojemu wsparciu stanęła na nogi. Ostatnią sensowną rzeczą, którą zrobiła, było zapisanie matki na kurs, na którym cię poznała. Później popełniała same szaleństwa. To ty sprowadziłaś ją na dobrą drogę. Swoim życiem też potrafisz pokierować niezależnie od tego, co ci przyniesie los.

Courtney pokiwała głową, nadal szlochając. Spostrzegła, że wszyscy uczniowie na nich patrzą. Krępowało ją, że zwracają na siebie uwagę, ale jemu najwyraźniej wcale to nie przeszkadzało. Wzruszenie odebrało jej mowę.

- Nigdy nie zapomnę, ile ci zawdzięczamy - ciągnął Andrew. - Słowa podziękowania nic nie znaczą, spróbuję ci jakoś pomóc. Czy

mogę cię dzisiaj odwiedzić po treningu?

Courtney osłupiała. Skinęła tylko głową, bezgranicznie zdumiona. Zadzwoił dzwonek na lekcję.

- Czas na nas. Do zobaczenia później - pożegnał ją Andrew.

Każde z nich pospieszyło do swojej klasy. Courtney nie mogła wyjść ze zdumienia, że doświadczyła w jednym dniu tak wielu różnorodnych emocji.

Po zajęciach Mike podwiózł ją pod dom babci. Natychmiast wbiegła po schodach na górę. Włączyła komputer, żeby przejrzeć korespondencję. Niestety, w skrzynce internetowej nie czekał upragniony list.

- Otrzymałaś jakąś wiadomość?! - krzyknęła babcia z parteru.

- Nie - jęknęła.

Zadzwoił telefon. Kiedy indziej zbiegłaby pewnie na łeb na szyję po schodach, żeby odebrać, lecz teraz nie miała ochoty na pogawędkę, nawet z Andrew. Gdyby straciła ojca, nie pocieszyłyby jej ani tony słodyczy, ani wagon najpiękniejszej włóczki.

- To do ciebie! - krzyknęła babcia.

Courtney z ociąganiem wyszła z pokoju. Schodząc po schodach, już z daleka widziała szeroki uśmiech na twarzy Very Pulanski. Gdy poznała głos ojca, zapłakała znowu, tym razem z radości. Słabo go słyszała. Zrozumiała jednak, że niespodziewanie oddelegowano go na pięć dni na budowę daleko w głąb dżungli, bez żadnej możliwości kontaktu. Ulewne deszcze odcięły ekipie drogę powrotu. Musieli zostać, aż wody opadną. Ralf Pulanski przeprosił na koniec, że

przysporzył rodzinie tylu zmartwień.

Zanim łyzy zdążyły obeschnąć, przekazała radosną wieść Jasonowi. Dzwoniła właśnie do Julianny, kiedy przyszedł Andrew.

- Ktoś mnie odwiedził, muszę kończyć - poinformowała siostrę półgłosem. Kątem oka dostrzegła, że Andrew stoi straszliwie skrępowany na środku salonu, podczas gdy babcia usiłuje go wciągnąć w rozmowę.

- Chłopak czy dziewczyna? - dopytywała Julianna.

- Chchch... - szepnęła konspiracyjnie.

- Andrew - odgadła natychmiast Julianna. Najwidoczniej Courtney mimo woli zdradziła jej więcej, niż zamierzała.

- Cześć. Miłego wieczoru - zakończyła Courtney pospiesznie. Babcia, jak przystało na gościnną gospodynię, już zdążyła usadzić gościa na sofie. Zabawiała go rozmową. Gdy tylko Courtney odłożyła słuchawkę, poinformowała ją, że już przekazała jej koledze radosną nowinę. Posłała przy tym ogromnie skrępowanej Courtney promienny uśmiech.

- Dzwoniłam właśnie do brata i siostry - wtrąciła szybko Courtney. Nie zagadała jednak swej towarzysko usposobionej babci.

- Czy to ten młody człowiek, o którym wspominałaś? - spytała Vera konspiracyjnym szeptem, na tyle głośno, że Andrew bez wątpienia usłyszał każde słowo. - Ten, dla którego robisz skarpetki? - dodała dla pewności.

Courtney żałowała, że nie potrafi zniknąć na zawołanie jak wróżka z telewizyjnej bajki. Poczzerwieniała na twarzy. Rozpaczliwie

dawała babci znaki, żeby zamilkła. Jednak uradowana niespodziewaną wizytą starsza pani nie zwróciła na nie uwagi.

- Wydziergała już jedną parę granatowych dla ojca. Te będą zielone - ciągnęła Vera najspokojniej w świecie. Nagle spostrzegła przerażoną minę Courtney. Zamilkła na chwilę. - O rety, chyba zdradziłam tajemnicę. To przecież miała być niespodzianka! - zawołała, po czym w ogromnym, niezwykłym dla niej pośpiechu pomknęła do kuchni.

Andrew wstał z sofy. Popatrzył na Courtney ze zdumieniem.

- Naprawdę robisz dla mnie skarpetki?

- Kończę wstawki do drugiej - przytaknęła straszliwie zawstydzona Courtney.

- Jeszcze nikt nie sprawił mi takiej niespodzianki. Jakaś ty słodka! - wykrzyknął z entuzjazmem.

Courtney milczała. Zdecydowanie wolałaby, żeby oszczędził jej tego typu komplementów.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

ELISE BEAUMONT

Niespodziewane zaproszenie od Bethanne, która poprosiła, żeby pomogła jej uporządkować rachunki, niezmiernie ucieszyło Elise. Nie była fachowcem w tej dziedzinie, jednak bardzo chciała coś zrobić dla przyjaciółki, zwłaszcza że zyskała świetny pretekst do wyjścia z domu. Aurora i David nie wymieniali ostatnio nawet imienia Mavericka, za to ich synowie nie ominęli żadnej okazji, żeby

wspomnieć zarówno o nim, jak i o jego udziale w turnieju na „Karibach”. Widocznie wyczuwali napięcie pomiędzy dziadkami i na swój sposób próbowali doprowadzić do pojednania. Elise życzyła mu szczęścia, lecz po tym, jak kolejny raz zawiódł jej zaufanie, straciła co do niego wszelkie złudzenia. Nie zamierzała dzielić życia z hazardzistą. Skończyła z nim na zawsze.

Podjechała autobusem pod dom Bethanne. Bardzo ją polubiła. Odkryła, że mają ze sobą znacznie więcej wspólnego, niż początkowo przypuszczała. Dwie samotne matki borykały się przez lata z podobnymi problemami. Przystanęła przed uroczym domem z ogrodem pośrodku ruchliwej dzielnicy miasta. Zrobił na niej bardzo korzystne wrażenie. Odsunęła na bok smutki i nacisnęła guzik dzwonka. Jej uwagę przykuły chryzantemy w miedzianym odcieniu. Zanim zdążyła je dokładnie obejrzeć, w drzwiach stanęła uśmiechnięta gospodyni.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powitała ją serdecznie.

- Poprosiłam cię o pomoc jako autorkę pomysłu na moją działalność. W przeciwieństwie do mnie potrafisz myśleć w sposób syntetyczny i wyciągać logiczne wnioski.

- Westchnęła głęboko. - Mnie liczenie kiepsko wychodzi. Już z tuzin razy próbowałam sporządzić bilans kosztów i zysków, a jeszcze nie uzyskałam wyniku.

Pokazała Elise rezultaty swojej pracy. W jednej kolumnie wypisała miesięczne wydatki, w drugiej - kwoty alimentów od Granta na siebie i dzieci. Na drugiej stronie oszacowała przewidywane zyski,

a także koszty zamówionych uroczystości oraz kwoty wydane na wcześniej zakupione materiały. Podczas gdy Elise studiowała zapiski, Bethanne obserwowała ją w napięciu.

- Powinnaś żądać wyższych honorariów - orzekła w końcu Elise. Zanim Bethanne zdążyła zaprotestować, spytała: - Ile dostajesz za godzinę pracy?

- Trudno wyliczyć. Do kosztów każdej imprezy dodaję dwadzieścia procent marży.

- Zdecydowanie za mało. Nie zapominaj, że oprócz wkładu pracy wnosisz swoje genialne pomysły.

- Brzmi bardzo górnolotnie - stwierdziła Bethanne.

- Miło mi to słyszeć.

- To szczerą prawdą. Za każdym razem opracowujesz indywidualny program uroczystości, dostosowany do upodobań jubilata. Podnosisz przyjęcie z okazji urodzin dziecka do rangi niepowtarzalnego, jedyne w swoim rodzaju wydarzenie. Tak świetna oprawa powinna zdecydowanie drożej kosztować. Szkoda, że nie potrafisz należycie docenić własnego talentu.

- Doskonale wiem, co umiem - ucięła Bethanne.

- Jednak zdaję sobie sprawę, że mało kogo w dzisiejszych czasach stać na wydawanie bajątkowych sum na zbytki.

- W takim razie sporządź listę standardowych, już wypróbowanych projektów wraz z cennikiem. Wtedy będziesz mogła pozostawić klientowi wybór pomiędzy typowym a indywidualnie opracowanym, luksusowym programem w wyższej cenie.

- Świetna myśl - podchwyciła Bethanne z błyskiem w oku. - Jeżeli kupię więcej akcesoriów w hurtowni, obniżę też koszty własne. Przy okazji zaoszczędzę sporo czasu na zaopatrzeniu.

- Proponuję również, żebyś nawiązała stałą współpracę z jakąś cukiernią, która dostarczałaby ciast.

Obydwie kobiety popatrzyły na siebie porozumiewawczo.

- Alix! - wykrzyknęły równocześnie.

- Jest naprawdę świetna - zapewniła Elise. - A jeśli dzięki niej wzrosną obroty „French Cafe”, dodatkowo zyska uznanie przełożonych.

- Cudownie! - wykrzyknęła Bethanne, chwytając przyjaciółkę w objęcia. - Dziękuję z całego serca. To nie ja zasługuję na miano geniusza, tylko ty! - powiedziała z pełnym przekonaniem.

Elise podziękowała za komplement z ciepłym uśmiechem. Zanim wyszła, jeszcze raz napomniała Bethanne, żeby wyżej wyceniała swoje usługi.

- Zaczynij od dwudziestu dolarów za godzinę. Tylko nie zapomnij wliczyć wszelkich prac przygotowawczych, porządkowych oraz czasu niezbędnego na zaopatrzenie i transport.

Bethanne obiecała, że zastosuje jej rady w praktyce.

W drodze do domu Elise stwierdziła ze zdumieniem, że prócz satysfakcji ze spełnienia dobrego uczynku wyniosła z wizyty również cenną naukę. Zaimponowała jej tolerancja przyjaciółki.

Bethanne nie żywiła już ani cienia urazy wobec byłego męża. Przeciwnie, twierdziła, że dzięki rozwodowi zyskała nową

osobowość. Chociaż sama Elise utożsamiała rozpad rodziny z życiową klęską, podziwiała mądrość przyjaciółki. Żałowała, że nie stać jej na naśladowanie chwalebego przykładu.

Po powrocie do domu zastała całą rodzinę w salonie przed telewizorem. Zdziwiło ją, że nie wykorzystali takiego pięknego popołudnia na wycieczkę w plener. Spytała, co ich zatrzymało w domu.

- Ciiiicho! - wyszeptał Luke. - Oglądamy dziadzia.

- Siadaj z nami, mamusiu - poprosiła Aurora. - W publicznej telewizji nadają transmisję z turnieju pokerowego.

- O nie, wielkie dzięki! - odburknęła Elise.

Odwróciła się tyłem do odbiornika tak szybko, że omal nie straciła równowagi, oburzona, że państwowe media otwarcie propagują hazard. Doskonale wiedziała, że sława tylko zaszkodzi Maverickowi, utwierdzi go w przekonaniu, że uprawia szlachetne rzemiosło i że osiągnął rangę mistrza. Umknęła do pokoju.

Kilka minut później Aurora delikatnie zapukała do jej drzwi. Elise już szykowała pogadankę wychowawczą. Zamierzała uświadomić córce, jak wielki błąd popełnia, wyrażając w obecności dzieci aprobatę dla wyczynów dziadka, świadczących jedynie o powrocie do zgubnego nałogu.

- Kiedy weszłaś do domu, wyglądałaś na strapioną - zaczęła Aurora dyplomatycznie. - Zupełnie niepotrzebnie. Tata...

- Lepiej nie mówmy o twoim ojcu - ucięła pospiesznie Elise. Ponownie pożałowała, że nie potrafi skorzystać z przykładu Bethanne

i patrzeć przez palce na wybryki byłego męża. Zdziwiło ją natomiast, że córka dostrzegła jej niezadowolenie. Nie ukrywała wprawdzie swego nastawienia, lecz nie przypuszczała, że ktokolwiek zwraca na nią uwagę. Wszyscy domownicy patrzyli w ekran jak urzeczeni.

- Jeżeli poświęcisz kilka minut na rozmowę o tacie, obiecuję, że więcej nie poruszę tego tematu. Błagam, to dla mnie bardzo ważne - poprosiła Aurora, siadając na brzegu łóżka.

Elise niechętnie skinęła głową. Dla uspokojenia wzburzonych nerwów sięgnęła po robótkę.

- Nie chcesz nawet wiedzieć, czy wygrał? - dopytywała Aurora.

- Niespecjalnie.

- Włożył na szczęście skarpetki, które od ciebie dostał.

- Martwe przedmioty nie przynoszą szczęścia - odparła Elise szorstkim tonem, przerażona, że córka wzorem ojca zaczyna ulegać irracjonalnym przesądom.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Pierwsza przerwała je Aurora.

- Tata ukrywa przed tobą najważniejsze - wyszeptała.

- Co takiego?

- On umiera.

Elise zamarła w bezruchu z drutami w ręku. Patrzyła na córkę rozszerzonymi z przerażenia oczami.

- Wykryto u niego rzadką odmianę białaczki, nie potrafię nawet powtórzyć nazwy. W tych dniach, gdy znikął z domu bez słowa, chodził na transfuzje krwi. Lekarze dają mu rok, najwyżej dwa lata, ale żaden nie poszedłby o zakład, że tyle pożyje. - Uświadomiwszy

sobie, że użyła niezbyt stosownego sformułowania związanego z hazardem, posłała matce przeproszący uśmiech.

- Umiera? - powtórzyła Elise przez ściśnięte gardło. Ta wiadomość ją sparaliżowała.

- Przyjechał do Seattle, żeby spędzić ostatnie dni życia z rodziną. Przysięga, że do dnia eliminacji ani razu nie zagrał. A ja mu wierzę - zakończyła ze łzami w oczach.

- Po co w takim razie do niego przystąpił? Tylko nie chcę słyszeć, że robi to dla mnie.

- Tak właśnie twierdzi. - Aurora bezradnie pokręciła głową. Elise nagle zrozumiała znaczenie wszystkich zmian w zachowaniu Mavericka.

Wiedziała już, dlaczego człowiek, który wcześniej nie mógł usiedzieć minuty na jednym miejscu, z nieskończoną cierpliwością wyczekiwał na nią godzinami w samochodzie. Elise zaakceptowała bez zastanowienia jego sposób bycia jako rzecz naturalną, nie podejrzewając, że z dnia na dzień opuszczają go siły. Pojęła wreszcie, czemu zamieszkał u córki i czemu dążył do pojednania z rodziną.

- On cię kocha, mamó - zapewniła Aurora. - Powtarzał mi to setki razy. Jestem pewna, że mówi prawdę.

- Wiem - wykrztusiła Elise, poruszona do głębi. - Ja też go kocham. Luke wszedł do sypialni bez pukania, powłócząc nogami. Z ciężkim westchnieniem podszedł do matki i oparł głowę na jej piersi.

- Co się stało? - spytała Elise.

- Jak to, nie wiesz? Dziadek przegrał! - wykrzyknął z rozpaczą.

Elise wyciągnęła ku niemu ramiona. Zamknęła oczy. Pomyślała, że jej byłemu mężowi nie dopisało szczęście ani w kartach, ani w życiu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

BETHANNE HAMLIN

Pewnego piątkowego popołudnia w połowie września, gdy Andrew i Annie przebywali na zajęciach w szkole, Paul zadzwonił do Bethanne z zaproszeniem do kina. Wyraziła zgodę, chociaż zaproponował obejrzenie jednego z filmów akcji, jakich raczej nie lubiła. Przy scenach przemocy zaciskała powieki. Donośna muzyka jeszcze potęgowała nastrój grozy. W końcu akcja ją wciągnęła. Jak zwykle w tym gatunku główny bohater zawsze wychodził cało z największych opresji. Z całego serca życzyła mu zwycięstwa w walce ze złem. W spokojniejszych momentach jej myśli krążyły wokół Granta. Nie powiedziała Paulowi ani nikomu innemu, że spotkała go niedawno w banku. Niemalże mu współczuła. Wyglądało na to, że w ostatecznym rozrachunku on sam najwięcej stracił na rozwodzie, do którego doprowadził. Jego starania o odzyskanie zaufania dzieci przyniosły mizerne rezultaty. Annie wprawdzie z nim rozmawiała, lecz rzadko i bez wielkiego entuzjazmu, za to Andrew konsekwentnie odmawiał wszelkiego kontaktu. Bethanne pragnęła, żeby znalazł w sobie dość siły, aby mu przebaczyć. W gruncie rzeczy nie potępiała syna.

Ona również nie do końca przeszła do porządku dziennego nad

rozpadem rodziny. Człowiek, z którym rozmawiała na parkingu przed bankiem, w niczym nie przypominał dawnego Granta, któremu przez lata zawierzała wszelkie troski, z którym dzieliła łożę i życie, który wraz z nią przystawał nad łóżeczkiem chorych dzieci. Doszła do wniosku, że zmiany następowały stopniowo. Z perspektywy czasu inaczej oceniała dawne wydarzenia. Musiała przyznać, że ona sama ponosi część winy. Straciła z nim kontakt psychiczny, zaniedbywała go, poświęcając całą energię wychowaniu syna i córki.

Nagle spostrzegła, że Paul zamiast śledzić akcję, obserwuje jej twarz.

- Dobrze się czujesz? - zapytał szeptem.

Skinęła głową. Paul jednak nie wyglądał na przekonanego. Widocznie jej smutna mina zdradziła, że coś ją gnębi, mimo że film dobrze się skończył, a bohater uszedł z życiem z różnych niebezpiecznych sytuacji.

Prosto z kina poszli do kawiarni. Usiedli naprzeciwko siebie przy stoliku. Kelnerka, która przyniosła im kawę, posłała Paulowi przyjazny uśmiech. Towarzyszyło mu kokieteryjne spojrzenie. To, że inne kobiety postrzegają go jako atrakcyjnego mężczyznę, wcale Bethanne nie dziwiło. Ją samą również coraz bardziej pociągał.

- Wiele ostatnio rozmyślasz - zauważył. Nasypał sobie cukru do kawy. - Ciekawe, o czym?

Bethanne wzruszyła ramionami, chociaż poczuła ukłucie bólu w okolicy serca. Zdecydowała przeprowadzić z nim zasadniczą rozmowę, którą ciągle odkładała na bliżej nieokreśloną przyszłość.

- Spotykasz się z kimś? - spytała prosto z mostu.

- Z nikim prócz ciebie.

- Nie zapominaj, że łączy nas wyłącznie układ koleżeński - przypomniała.

- W takim razie skąd ten smutek w twoich oczach? Przecież tego właśnie sobie życzyłaś.

- W tym sęk. Zauważyłam, że zaczynamy popadać we wzajemne uzależnienie.

- Co w tym złego? To zupełnie naturalne. Połączyły nas dramatyczne przeżycia. Nikomu nie ufam tak jak tobie. Ty najlepiej rozumiałaś mój ból, podtrzymywałaś mnie na duchu w najtrudniejszych chwilach, tobie jednej mogłem bez obaw powierzyć swe troski. Czyżby przeszkadzała ci różnica wieku?

- Nie. No, właściwie trochę - przyznała z wahaniem. - Widzę jednak poważniejsze niebezpieczeństwo. Nadmierne zaangażowanie emocjonalne może nam zamknąć drogę do szczęścia, odebrać chęć do poszukiwania stałego partnera na całe życie.

Nadeszła kelnerka. Obydwoje milczeli, póki nie napełniła filiżanek i nie odeszła.

- Mam rozumieć, że interesuje cię ktoś inny? - zapytał Paul, gdy zostali sami.

- Nie, ale nie o mnie tu chodzi. Potrzebujesz kogoś naprawdę bliskiego, na dobre i na złe.

- Ależ Bethanne, właśnie w tobie widzę doskonałą partnerkę. Liczyłem na to, że z tak wspaniałej przyjaźni jak nasza zrodzi się

głębsze uczucie.

- Wykluczone. Stworzylibyśmy tylko chory związek dwóch zranionych serc. Uznałam, że powinnam dać ci szansę zbudowania nowego życia z kimś nieobciążonym trudną przeszłością.

- Jednym słowem, odrzucasz mnie. Sprawiasz mi równie wielki ból, jak Tiffany, kiedy oznajmiła, że odchodzi do innego.

- Nic nie zrozumiałeś. Nie odbieram ci swojej przyjaźni. Zwracam ci tylko wolność - tłumaczyła powoli, dobitnie, starannie dobierając słowa.

- Tylko po co? Ty mi się podobasz.

- Z wzajemnością. Uważam cię za wspaniałego człowieka. Bardzo cię szanuję, w pełni doceniam, jak wiele dla mnie zrobiłeś. - Wyciągnęła rękę przez stół i ujęła jego dłoń. - Jednak uczciwość nakazuje mi uwolnić cię od siebie, dać ci szansę na nawiązanie nowych znajomości.

- Bardzo ładnie to ujęłaś, co nie zmienia faktu, że mnie odtrącasz - wytknął z gorzką ironią.

- Rozluźnienie więzi nie oznacza zerwania - przekonywała cierpliwie Bethanne. - Pragnę oprzeć naszą przyjaźń na normalnych, zdrowych zasadach. - Rozejrzała się dookoła, w obawie że co najmniej połowa gości w kawiarni słucha pasjonującego dialogu, po czym dokończyła przyciszonym głosem: - Życzę ci z całego serca, żebyś spotkał kobietę, która oszaleje z miłości do ciebie.

- Liczyłem na to, że to ciebie w sobie rozkocham.

- Nic prostszego - przyznała Bethanne z ciężkim westchnieniem.

- Już mi niewiele brakuje. Jeszcze trochę, a do reszty stracę dla ciebie głowę.

Zadowolona mina Paula świadczyła o tym, że komplement sprawił mu przyjemność.

- W takim razie co cię powstrzymuje?

- Świadomość, że nie jestem dla ciebie odpowiednią osobą.

- Pozwól, że sam to ocenię, chyba że chcesz mi delikatnie dać do zrozumienia, że to ja nie jestem mężczyzną, jakiego pragniesz.

- Nie o to chodzi. Potrzebujesz kobiety, z którą założysz prawdziwą rodzinę, która urodzi ci dzieci. Byłbyś wspaniałym ojcem.

- Westchnęła ciężko. Andrew i Annie podzielali jej opinię, mimo że widzieli go zaledwie kilka razy. - Powinnam ci to wcześniej powiedzieć, ale zwlekałam ze strachu, że cię utracę. Uwierz mi, nasza przyjaźń bardzo wiele dla mnie znaczy.

- Wezmę pod uwagę twój punkt widzenia - odrzekł Paul po chwili wahania. - Niezależnie od tego, jaką decyzję podejmę, nadal chciałbym cię widywać.

- Pochlebiasz mi jak zwykle. Po odejściu Granta nie wierzyłam, że jakikolwiek mężczyzna zechce jeszcze na mnie spojrzeć - wyznała, niemalże ze łzami w oczach. Przewidywała, że gdy Paul kogoś pokocha, po jakimś czasie o niej zapomni. - Przywróciłeś mi wiarę w siebie, przy tobie znowu poczułam się atrakcyjna.

- Naprawdę za taką cię uważam - zapewnił miękkim, ciepłym tonem.

- Dziękuję - wyszeptła, poruszona do głębi.

- Czy tylko mnie samego wypuszczasz na głębokie wody, czy ty też planujesz nowe znajomości?

- Oczywiście, że tak, ale jeszcze nie teraz - odparła dość enigmatycznie. W najbliższej przyszłości zamierzała przede wszystkim zadbać o interesy, utrwalić swoją pozycję zawodową oraz ponownie nawiązać więzi z własnymi dziećmi, pomnożyć dochody, a dopiero w następnej kolejności pomyśleć o osobistym szczęściu. Odkąd odkryła swoje nowe powołanie, stworzyła sobie nową tożsamość, doceniła zalety niezależności. Nauczyła się również żyć bez mężczyzny u boku. Kolejne zlecenia dodawały jej skrzydeł, rozwijały twórczą inwencję. Obecnie całą energię koncentrowała na rozpoznaniu i wykorzystaniu nieznanych do tej pory możliwości.

Dwa dni wcześniej koleżanka poznała ją ze znajomą, która poszukiwała fomy dostarczającej na zamówienie gotowe dania. Bethanne poleciła jej zaprzyjaźnionego przedsiębiorcę. Spotkanie nie przyniosło wprawdzie kolejnego zlecenia, zaowocowało za to nowymi pomysłami. Zaczęła na serio rozważać możliwość urządzania przyjęć dla dorosłych. Zapragnęła w przyszłości zostać również organizatorką uroczystości weselnych. Nie obawiała się już nowych wyzwań. Wytłumaczyła sobie, że wesele to w końcu tylko większa impreza. Głos Paula wyrwał ją z zadumy.

- Obiecuję, że poszukam sobie kogoś, jeśli i ty zrobisz to samo. Bethanne odetchnęła z ulgą. Zrozumiała, że uznał jej argumenty.

- Mądra decyzja - pochwaliła, żeby do reszty rozproszyć ewentualne wątpliwości. - Obydwoje potrzebujemy nowych

znajomości.

Paul ułożył łokcie na stole. Wsparł podbródek na dłoniach, niczym pilny uczeń na lekcji.

- Od czego powinienem, twoim zdaniem, zacząć? Bethanne z trudem powstrzymała uśmiech.

- Może od miejsca pracy? - podsunęła.

- Wykluczone. W moim biurze pracują same mężatki.

- No to próbuj na chybił trafił. Widziałam kiedyś ozdobną poduszkę z napisem: „Przeżyłam już tyle randek w ciemno, że chyba potrzebuję przyzwoitki” - zażartowała, żeby nieco rozładować atmosferę.

Paul wybuchnął śmiechem. Nagle spoważniał.

- Wątpię, czy ktokolwiek potrafi mnie rozbawić tak jak ty.

- Spróbuj poszukać kogoś jeszcze zabawniejszego.

- A ty? Gdzie zamierzasz się rozglądać? Może w klubach?

- Raczej nie. - Zbyła propozycję lekceważącym machnięciem ręki. - W moim zawodzie codziennie nawiązuję jakieś znajomości, wystarczy mieć oczy i uszy otwarte. Zresztą mogę jeszcze poczekać.

- Może jednak spróbuj od razu. - Posłał jej szelmowski uśmiech.

- Zobacz, na przykład ten gość w czapce bejsbolówce wygląda na samotnego.

- Jeżeli natychmiast nie przestaniesz ze mnie kpić, odpłacę ci pięknym za nadobne - zagroziła.

Popatrzyła znacząco na kelnerkę. Dziewczyna z plakietką „Cindy” zrozumiała, że prosi o dolewkę kawy. Zabrała dzbanek z

sąsiedniego stolika i podeszła do nich.

- Panno Cindy - zagadnęła Bethanne z ciepłym uśmiechem. - Ten pan ma na imię Paul i jest wolny.

Kelnerka nie wiedziała, jak zareagować. Okropnie zmieszana pochyliła głowę, udając, że koncentruje całą uwagę na napełnianiu filiżanek.

- Czy chciałaby pani spotykać się z takim mężczyzną jak mój kolega? - nie dawała za wygraną Bethanne.

- Oczywiście - odrzekła uprzejmie Cindy.

- A nie mówiłam?! - wykrzyknęła Bethanne z triumfem.

- Co pani robi jutro po piątej? - wtrącił Paul.

- Niestety, pracuję do dziewiątej - odrzekła z wyraźną przykrością. Już po chwili obydwój ustalali wspólne plany na następny wieczór. Następnie dziewczyna pożegnała z uśmiechem Bethanne i Paula, po czym powróciła do swoich zajęć.

- Jak widzisz, wziąłem sobie do serca twoje rady - oświadczył Paul, kiedy zostali sami. - Zrobiłem to tylko na twoją prośbę. Musisz mi jednak obiecać, że jeśli nowa znajomość nie wypali, nie odmówisz mi spotkania.

- Jesteś niepoprawny, Paul - westchnęła ciężko Bethanne. Jednak po namyśle wyraziła zgodę.

Paul uniósł w górę filiżankę z kawą, jakby wznosił toast.

- Całe szczęście, że doszliśmy do porozumienia.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Kocham dobre włóczki i książki. Jediną czynnością, która dostarcza mi równie wiele przyjemności jak robienie na drutach, jest czytanie.

Priscilla A. Gibson-Roberts, autorka poradników: „Simple Socks”, „Plain and Fancy” oraz „Ethnic Socks and Stockings”.

LYDIA HOFFMAN

W niedzielę po południu odwiedziłam mamę. W tak piękny jesienny dzień szkoda mi było później wracać do pustego mieszkania. Ciężko przeżywałam wszelkie święta, a tego właśnie dnia poczucie osamotnienia doskwierało szczególnie mocno. Jedinie towarzystwo Wąsika dostarczało mi pewnej pociechy.

Mama wyglądała lepiej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich miesięcy. Widok jej uśmiechniętej twarzy wlał w moje serce nieco otuchy. Z pewnością opuszczenie domu, w którym żyła przez pięćdziesiąt lat, stanowiło dla niej bolesne przeżycie. Podziwiałam ją, że tak dzielnie, bez żadnych protestów zniosła przeprowadzkę. Prawdopodobnie po dwóch tygodniach w prywatnej klinice traktowała pobyt w domu opieki jak wypoczynek w sanatorium. Pewnie już w szpitalu zrozumiała, że czeka ją radykalna zmiana trybu życia. Przyjęła ją może bez entuzjazmu, lecz z godnością, choć pewnie tęskniła za swoim różanym ogrodem tak samo jak ja. Widocznie zdawała sobie sprawę, że nie podołałaby już obowiązkom związanym z prowadzeniem domu. Zjadłyśmy razem lunch w jadalni, po czym przedstawiła mnie swoim nowym przyjaciółkom. Nie miałam

sumienia przypominać, że spotkałam Idę i Francine zarówno przed tygodniem, jak i przed dwoma. Obydwie starsze kobiety okazywały mi tak wielkie zainteresowanie, jakby również mnie nie pamiętały.

W piątek przed końcem pracy Margaret zaprosiła mnie na niedzielę. Grzecznie odmówiłam. Bardzo kocham siostrę, ale codzienne spotkania w pracy w zupełności mi wystarczą. Uważam, że przynajmniej raz w tygodniu powinniśmy od siebie odpocząć.

Chyba i ona czuje to samo, bo bez protestu przyjęła dość ogólne tłumaczenie, że mam na ten dzień inne plany. W naszych wzajemnych stosunkach zaszło ostatnio wiele pozytywnych zmian. Między innymi pod moim wpływem Margaret zaczęła doskonalić technikę robienia na drutach. Ja natomiast częściej szydełkuję, zupełnie jakby każda z nas próbowała bliżej poznać drugą poprzez dzielenie jej zainteresowań.

Ponieważ czekało mnie już tylko długie, samotne popołudnie, pojechałam nad jezioro Green, dookoła którego dawniej spacerowałam z Bradem, Codym i Ści-gaczem. Bardzo mi ich brakowało. Mimo że wielokrotnie kusilo mnie, żeby pokonać ulubioną, pięciokilometrową trasę, starannie unikałam tego miejsca, odkąd Brad mnie porzucił. Wreszcie postanowiłam przełamać opory. Powiedziałam sobie, że jeżeli spotkam go wraz z Janice, pozdrowię ich z uśmiechem jak starych znajomych i pójdę dalej w swoją stronę. Potrzebowałam ruchu na świeżym powietrzu. Uznałam, że szkoda rezygnować z przyjemności ze zwykłego tchórzostwa tylko dlatego, żeby uniknąć niezręcznych sytuacji. Doszłam do wniosku, że dorosły

człowiek powinien umieć wybrnąć z opresji z honorem.

Słońce jasno świeciło, liście zaczęły już zmieniać barwy, łagodna bryza od morza niosła powiew świeżego powietrza. Zatrzymałam samochód na parkingu, włożyłam tenisówki, schowałam torbę do bagażnika, po czym ruszyłam w wyznaczonym kierunku. Po przejściu zaledwie kilkuset metrów ujrzałam golden retrievera, który wyminął mnie galopem, wlokąc za sobą smycz. Zabrakło mi refleksu, żeby za nią złapać. Zbyt późno pomyślałam, że to może być pies Cody'ego. Po uważniejszym obejrzeniu zwierzaka stwierdziłam, że to jednak nie on. Był zdecydowanie za duży. Za kilka sekund usłyszałam wołanie Cody'ego. Dopiero wtedy zrozumiałam, że na początku odgadłam prawidłowo.

Odwróciłam głowę. Chłopczyk gnał tak szybko, że omal mnie nie potrafił. Dostrzegł mnie w ostatniej chwili. Stanął jak wryty i wytrzeszczył na mnie oczy. Później popatrzył w tył, w przód i znowu na mnie.

- Lydia! - wykrzyknął, po czym popędził ku mnie co sił w nogach. Pochwyciłam go za ramiona.

- Ścigacz mi uciekł. Muszę go złapać. Poczekaj tu na mnie, dobrze? - poprosił, patrząc mi błagalnie w oczy.

- No to go goń. Zaczekam na ciebie - obiecałam, chociaż wbrew wszelkim logicznym argumentom, które powtarzałam sobie jak tabliczkę mnożenia od początku spaceru, nie czułam się na siłach spojrzeć w oczy jego rodzicom.

Janice pewnie bardzo by się ucieszyła z okazji do pokazania

rywalce swojej władzy nad mężem i synem.

Ledwie kiwnęła palcem, odzyskała Brada bez najmniejszego wysiłku, a ja natychmiast poszłam w odstawkę. Zdawałam sobie sprawę, że moja niechęć do niej wynika przede wszystkim z doznanego rozczarowania, ale nie znalazłam sposobu, żeby opanować złe myśli. Gdyby nie dana Cody'emu obietnica, najchętniej uciekłabym, gdzie pieprz rośnie. Nie chciałam jednak sprawić mu zawodu. Zanim ochłonęłam, usłyszałam z daleka głos Brada. Nawoływał syna z wyraźną irytacją. Nic dziwnego, że nie odpowiadała mu perspektywa pogoni za rozbrykanym psem i dzieciakiem. Spojrzałam przez ramię. Ku mojemu zdumieniu ujrzałam jedynie Brada. Nigdzie w polu widzenia nie dostrzegłam Janice. Poczulałam ulgę. Brad minął mnie biegiem, jakby nie zauważył mojej obecności. Dopiero kilka kroków dalej odwrócił głowę w moim kierunku. Na mój widok zareagował w identyczny sposób jak wcześniej jego syn. Stał w miejscu niczym wmurowany. Patrzył na mnie z mieszaniną zdumienia i zakłopotania. Najwyraźniej nie wiedział, jak powinien postąpić. W każdym razie nie wyciągnął ku mnie ramion na powitanie.

- Lydio - wyszeptał prawie bez tchu, jakby przebiegł już wiele kilometrów.

- Chyba szukasz Cody'ego i psa - zagadnęłam uprzejmie. Nie widziałam innego wyjścia prócz banalnej pogawędki na bezpieczny temat.

- Co ty tu robisz?

- Spaceruję.

Brad dosłownie oniemiał, jakbym oznajmiła mu zgoła nieoczekiwaną nowinę.

- Cody przebiegł tędy trzy minuty temu, Ścigacz około pół minuty wcześniej - poinformowałam, wskazując palcem kierunek, żeby niepotrzebnie nie tracił czasu.

Brad podszedł do mnie, nie odrywając wzroku od mojej twarzy. Rozejrzałam się dookoła. W tej chwili nawet nadejście Janice potraktowałabym jak wybawienie. Brad, coraz bardziej zakłopotany, wyjaśnił, że uciekł im pies, jakby nie dosłyszał, że przed chwilą sama go widziałam.

- Bardzo urósł - stwierdziłam.

- Kto? Cody czy Ścigacz?

- Obydwaj.

Ruszyłam dalej spacerkiem, Brad ramię w ramię ze mną. Skinął głową.

- Cody śmignął tego lata do góry aż o trzy centymetry. Spodnie z ubiegłego roku sięgają mu zaledwie do kostek. Musiałem mu kupić nowe do szkoły... - Przerwał nagle.

Nadszedł Cody z psem na smyczy.

- Lydio! - wyszeptał na mój widok. Ledwie dobywał głos ze ściśniętego gardła. - Balem się, że sobie pójdziesz.

- Nie złamałabym obietnicy - zapewniłam.

- Żeby wszyscy tak postępowali! - wykrzyknął. Podbiegł do mnie i otoczył mnie ramionami w talii.

Brad przejął od niego smycz. Widocznie lepiej od syna panował nad niesfornym psiakiem, bo Ścigacz posłusznie usiadł przy jego nodze, z wywieszonym ozorem.

- Gdzie twoja mama? - spytałam.

Wolałabym, żeby nas teraz nie zaskoczyła. Zapewne zażądałaby wyjaśnień. Chłopczyk wzruszył ramionami.

- Znasz ją przecież.

Prawdę mówiąc, niewiele o niej wiedziałam.

- Znowu nas opuściła - wtrącił Brad.

- Kiedy? - spytałam rozgoryczona. Sprawił mi wielką przykrość, nie wspominając ani słowem, że Janice przestała grać troskliwą mamusię. Gdyby mu na mnie zależało, poinformowałby mnie o tak ważnym, również dla mnie, wydarzeniu.

- Niedawno. Zamierzałem cię zawiadomić.

- Ale tego nie zrobiłeś - przerwałam z wyrzutem.

- Było nam bardzo smutno - próbował tłumaczyć Cody, nie dodał jednak, czy dlatego, że znów zostali porzuceni, czy z innych względów.

- Pewnie chciałabyś poznać przebieg ostatnich wydarzeń - rzucił Brad dość prowokującym tonem.

- Niekoniecznie. W każdym razie nie dzisiaj. Wolałabym najpierw przemyśleć to, co już usłyszałam - odparłam, odwróciwszy wzrok.

- Możemy przecież pospacerować razem z tobą - zaproponował Cody. - Przychodzisz tu co tydzień? My nie. Mama twierdziła, że

słońce i wiatr źle wpływają na cerę, a samych też nas nie puszczała.

- Ja też unikałam tego miejsca - odpowiedziałam prosto z mostu. Odetchnęłam z ulgą, że malec bez żadnych oporów poruszył trudny temat. - Najlepiej byłoby jednak, gdybyś to ty mi wszystko opowiedział - zwróciłam się do Brada.

Brad oddał synowi smycz. Poprosił, żeby jeszcze trochę pobiegał z psem.

- Wolałbym zostać z wami - zaprotestował Cody. - Ja też tęskniłem za Lydią.

- Nie zabraknie ci okazji do pogawędki - obiecał Brad.

Cody popatrzył na mnie niezdecydowany. Skinęłam głową. Posłał mi szelmowski uśmiech, następnie wystartował do galopu. Odprowadziliśmy go wzrokiem. Obserwowałam z rozbawieniem, jak usiłuje zapanować nad nieposłusznym pupilem. Gdy już znikł nam z oczu, Brad oznajmił bezbarwnym głosem, że Janice odeszła. Nie usłyszałam rewelacji, tyle to już wiedziałam.

- Mógłbyś powiedzieć coś więcej?

- Miałaś rację. Rola żony i matki wcale jej nie odpowiadała. Usiłowała nam tylko przeszkodzić. Kiedy Cody zaczął nazywać cię mamą, wpadła we wściekłość. Zrobiła, co w jej mocy, żeby zniszczyć nasz związek. Od dawna mi na niej nie zależy. Wyraziłem zgodę na jej powrót tylko ze względu na Cody'ego. Dziecko potrzebuje obydwójga rodziców.

- Ja też go kocham! - wykrzyknęłam. - Rozumiem twoje motywy, szkoda tylko, że ty nie brałaś pod uwagę moich uczuć.

- Pewnie znów doprowadzę cię do pasji, ale musisz wiedzieć, że do reszty obrzydły mi wszystkie kobiety i ich kaprysy. Kiedyś kochałem Janice. Zabiła tę miłość. Manipulowała mną bez skrupułów, a co gorsza, używała własnego dziecka w charakterze karty przetargowej.

- Czy to moja wina?! - Wyprowadził mnie z równowagi.

Niewiele brakowało, a wypomniałabym, że to on mnie odstawił na boczny tor. Nawet świadomość, że uczynił to dla synka, którego i ja pokochałam całym sercem, nie łagodziła mojego bólu.

- No właśnie. Teraz z kolei ty zgłaszasz do mnie pretensje. Nie oczekuj, że padnę ci do stóp, błagając o litość tylko dlatego, że Janice znów zatęskniła za wolnością. O ile pamiętam, błyskawicznie przygadałaś sobie pocieszyciela - wypomniał z urazą w głosie.

Ponownie zranił moją dumę. Ponieważ nie okazał nawet cienia skruchy, zdecydowałam nie wyprowadzać go z błędu.

- A co, miałam siedzieć w domu i usychać z tęsknoty za tobą?

- Nie, postąpiłaś bardzo słusznie - odrzekł po chwili wahania. Machnął ręką, jakby odganiał natrętną muchę. - Skończyłem z kobietami. Nie potrafię ich zrozumieć.

- Nie zapominaj, kto kogo zawiódł - wyrzuciłam wreszcie z siebie nagromadzone rozgoryczenie. Nie zamierzałam udawać, że przeszłam nad porzuceniem do porządku dziennego.

Moje słowa najwyraźniej nie wywarły na nim żadnego wrażenia. Powoli pokręcił głową.

- To już koniec. Nic nie wskórasz, Lydio. Nie chcę już ani

Janice, ani ciebie, ani żadnej innej. Wolę zostać sam niż spędzić resztę życia zdany na łaskę jakiejś zmiennej kobiety.

- Nie jestem zmienna!
- Wszystko jedno. Nie zamierzam pełzać u twoich stóp.
- I wzajemnie. Ja też nie będę za tobą biegać - odburknęłam.
- Tym lepiej dla mnie - zakończył dyskusję z ironicznym uśmiechem.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

COURTNEY PULANSKI

Babcia patrzyła ostatnio coraz bardziej niechętnym okiem na rowerowe wyprawy Courtney. W trosce o jej bezpieczeństwo raz po raz ostrzegała, że za dwa lub trzy tygodnie, w połowie października, jesienne deszcze oraz zapadające już w godzinach popołudniowych ciemności całkowicie uniemożliwią jazdę po śliskich drogach. Courtney żałowała, że wkrótce przyjdzie jej zrezygnować z najkorzystniejszej formy aktywności, która nie tylko pozwalała spalić nadmiar kalorii, ale również pomagała rozładować frustrację, a przede wszystkim zapomnieć o zawartości kuchennych szafek. Osiągnęła bardzo wiele. Odkąd zeszczuplała trzynaście kilogramów, utrzymywała stałą masę ciała. Przywykła też do niskokalorycznych pokarmów. Niestety nadal zbyt często zatrzymywała wzrok na wystawie cukierni albo przystawała przy automatach ze słodyczami, które nazywała trucizną.

Od początku roku szkolnego zdążyła też nawiązać parę przyjaźni, między innymi z Mikiem, swoim kierowcą, jak sam o sobie mówił. Mimo nieśmiałości wykazywał subtelne poczucie humoru.

Ni z tego, ni z owego rzucał nagle jakiś żarcik, który rozśmieszała ją do łez. Po cichu liczyła na to, że zaprosi ją na bal z okazji rozpoczęcia roku szkolnego. Powoli traciła jednak nadzieję. Wszystko wskazywało na to, że Mike wybierze inną partnerkę.

Dopiero niedawno Courtney poznała osoby ze swojego rocznika. Najwięcej czasu spędzała z Monicą i Jocelyn, które uczęszczały wraz z nią na lekcje trygonometrii. Wyglądało na to, że Jocelyn wpadła Mike'owi w oko. Courtney zapoznała ich ze sobą.

Jej najserdeczniejszą przyjaciółką nadal pozostawała Annie. Gawędziły godzinami przez telefon, a także na przerwach. Niestety nie uczestniczyły w tych samych zajęciach. Ogromnie lubiła też Andrew, aż za bardzo.

Po jednej z wycieczek Courtney skręciła w uliczkę prowadzącą do domu babci. Wprowadziła rower do garażu. Z kaskiem przewieszonym przez ramię wkroczyła do kuchni. Przystanęła przy zlewie, żeby napić się wody.

- Courtney, kochanie, dobrze, że jesteś. Masz gościa! - zawołała babcia z salonu.

Courtney błyskawicznie odstawiła szklankę. Przypomniała sobie, że nie zauważyła żadnego samochodu na podjeździe. Bez skutku usiłowała odgadnąć, kto ją odwiedził. Weszła do salonu. Na widok Andrew, siedzącego na sofie, omal nie upuściła kasku.

Dosłownie oniemiała z wrażenia. Powitał ją z szerokim uśmiechem.

- Cześć - wykrztusiła z największym trudem.

- Popatrz, wnusiu, włożył skarpetki, które dla niego zrobiłaś - zauważyła Vera Pulanski. - No dobrze, a teraz zostawiam was, młodzi, samych, pewnie macie wiele spraw do omówienia. - Przystanęła jeszcze w drzwiach.

- Mam w zamrażalniku ciasteczka z mąki owsianej. Jeżeli chcecie, szybko je odgrzeję.

Andrew wymienił z Courtney porozumiewawcze spojrzenia.

- Dziękuję, pani Pulanski, może innym razem.

Starsza pani spytała jeszcze na wszelki wypadek, czy Courtney czegoś nie potrzebuje. Dopiero kiedy usłyszała odmowną odpowiedź, pozdrowiła wnuczkę i jej kolegę skinieniem głowy, po czym bez dalszego ociągania rzeczywiście opuściła pokój.

- Co ty tu robisz? - spytała Courtney, gdy tylko zostali sami. Doskonale zdawała sobie sprawę, że spocona, z zaczerwienioną twarzą, wygląda wyjątkowo niekorzystnie. Gdyby Andrew wcześniej zapowiedział wizytę, zrezygnowałaby z przejażdżki.

- Przyszedłem pogadać.

- Jak dawno?

- Jakieś dziesięć minut temu. Twoja babcia zabawiała mnie rozmową. Byłaś uroczym bobaskiem.

- Pokazała ci moje zdjęcia z dzieciństwa?

- Nawet nagie.

- No nie! - wrzasnęła Courtney z przerażeniem. Takiej hańby

nigdy by babci nie wybaczyła.

- Żartowałem.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego. - Usiadła na otomanie w bezpiecznej odległości, w obawie że czuć od niej potem.

Andrew westchnął głęboko. Posłał jej przelotne spojrzenie.

- Pewnie słyszałaś, że nie chodzę już z Melanie? Przez całe lato nie układało się między nami zbyt dobrze, aż w końcu doszło do zerwania.

Zaskoczył ją. Courtney o niczym nie wiedziała. Nie zwracała uwagi na szkolne ploteczki, ponieważ przeważnie dotyczyły osób, których nie знаła. Andrew patrzył na nią wyczekująco. Nie wiedziała, co powiedzieć. Usilnie szukała odpowiednich słów.

- Bardzo mi przykro - wykrztusiła w końcu wbrew własnym odczuciom.

- Naprawdę?

- Rozstania zawsze bywają bolesne.

- Nie w naszym wypadku. Właściwie niewiele nas łączyło.

- A co z Balem Inauguracyjnym? - spytała Courtney, słabo zorientowana w miejscowych obyczajach.

- Właściwie to niczego nie zmienia. Jeżeli mnie wybiorą na króla, a Melanie na królową, przystąpimy razem do koronacji i to wszystko. Każde z nas ma prawo przyprowadzić ze sobą osobę towarzyszącą. A ty przyjdiesz?

Pokręciła głową.

- Myślałem, że Mike cię zaprosił. Gorączkowo szukała

wiarygodnego wytłumaczenia.

Gdyby zdradziła, że Mike interesuje się jej koleżanką, Andrew mógłby pomyśleć, że czeka na zaproszenie od niego. Być może nawet poczułby się w obowiązku zaproponować jej, żeby z nim poszła. Poza tym za żadne skarby nie chciała przyznać, że chłopcy w ogóle na nią nie zwracają uwagi.

- Pewnie brak mu śmiałości - wybrnęła wreszcie z opresji.
- Dość długo zwleka - zauważył Andrew.

Termin uroczystej inauguracji roku szkolnego przypadał za tydzień, prawie każdy znalazł już partnera, czasami nawet przypadkowego. Wiele dziewcząt i chłopców umawiało się tylko na zabawę, nawet jeśli nie łączyła ich wzajemna skłonność, tylko dlatego że należało przyjść z osobą towarzyszącą. Courtney dałaby głowę, że Mike pójdzie z Jocelyn. Monica też tak sądziła.

- Czemu pytasz? I z jakiego powodu mnie odwiedziłeś?
- A co, nie wolno mi odwiedzić koleżanki bez żadnego pretekstu? Courtney popatrzyła na niego podejrzliwie. Poczowała skurcz w okolicy serca.

Straszliwe podejrzenie zamieniło się w pewność. Nagle przypomniała sobie, że Bethanne skłoniła go, żeby zabrał ją na mecz, a potem poprosiła o wyszukanie kolegi z samochodem, który zechciałby ją podwozić do szkoły. Wstała gwałtownie z sofy. Przemierzyła pokój szybkimi krokami.

- Mama ci kazała, prawda?
- Nie, ona nie ma z tym nic wspólnego.

- Powiedzmy.

Andrew również powstał z miejsca. Przeczesał nerwowo włosy.

- Żałuję, że od razu nie przystąpiłem do rzeczy. Pewnie istnieją bardziej eleganckie sposoby zaproszenia dziewczyny na zabawę, ale...

- Żartujesz czy mówisz serio? - Serce podeszło jej do gardła. Nie śmiała wierzyć własnym uszom. Nie marzyła o takim szczęściu. Gdyby się okazało, że z niej zakpił, wdeptałby ją w ziemię.

Andrew skinął poważnie głową.

- Naprawdę bardzo bym chciał, żebyś mi towarzyszyła. Ostrzegam tylko, że Melanie może stwarzać problemy. Ciężko przeżyła rozstanie. Nadal jest o mnie zazdrosna. Nie przyjmuje do wiadomości, że to już koniec.

- Czemu mnie wcześniej nie uprzedziłeś? Andrew posłał jej nieśmiały uśmiech.

- Bałem się, że mi odmówisz - wyjaśnił, nie spuszczając wzroku z jej twarzy. Dopiero teraz Courtney uwierzyła w swoje szczęście. Nie wątpiła już w szczerą intencję. Jedyny problem stanowił już tylko brak odpowiedniej kreacji. Żałowała, że siostra jest zbyt daleko, żeby cokolwiek doradzić.

- Och, Andrew, jestem taka szczęśliwa! To dla mnie prawdziwy zaszczyt.

- Annie od początku zapewniała, że wyrazisz zgodę. Courtney spochmurniała.

- Czy to ona cię namówiła?

- Ależ skąd! Dała mi tylko pewną bezcenną radę. - Zawiesił

głos. - Zapewniała, że jeśli włożę skarpetki od ciebie, uzyskam to, czego chcę. Chyba naprawdę przyniosły mi powodzenie.

Courtney roześmiała się na całe gardło.

- Powiedz jej, że dobrze ci doradziła.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

BETHANNE HAMLIN

Bethanne przygotowywała właśnie przyjęcie dla ośmioletniego miłośnika westernów, historii o Indianach i Dzikim Zachodzie. Opracowała program, oparty na scenografii do „Samotnego Jeźdźca”. Zorganizowała nawet kilka bel siana. Rodzice chłopca wyrazili zgodę na rozpalenie ogniska na podwórzu. Wszyscy goście otrzymali zaproszenia wraz z informacją, że obowiązują stroje kowbojskie. Zamierzała zabrać ze sobą gitarę. Po zakończeniu gier i zabaw chciała posadzić dzieciaki przy ogniu i śpiewać im stare ballady. Przygotowała sobie stylowe botki, a także czerwoną apaszkę na szyję. Kupiła nawet odznakę szeryfa, żeby przypiąć ją do koszuli. Nucąc tęskną melodię, mieszała w kociołku wieprzowinę z fasolą z puszki. Dodała do gotowych produktów parę kropli dymnego aromatu. Rzeczywiście potrawa smakowała dokładnie tak, jakby przyrządzono ją na ognisku. Wszystko było już zapięte na ostatni guzik. Pozostało jej jeszcze tylko przedyskutować z synem scenariusz niektórych zabaw, opartych na znanych opowieściach o Dzikim Zachodzie. Czekwała z niecierpliwością na jego powrót ze szkoły.

Zgodnie z sugestią Elise sporządziła wykaz typowych imprez,

żeby nie opracowywać nowego programu dla każdego dziecka. Jedynie brak gotówki ograniczał jej twórczą inwencję. Z trudem godziła niezbędne inwestycje z opłatą świadczeń i codziennymi sprawunkami. Mimo trudności jakoś wiązała koniec z końcem. Nauczyła się bowiem oszczędzać. Na szczęście Annie i Andrew rozumieli sytuację. Znosili wszelkie wyrzeczenia bez słowa protestu.

Zadzwonił telefon. Bethanne podniosła bezprzewodową słuchawkę, nie przerywając mieszania. Mimo że fasola i mięso nie należały do najdroższych produktów, nie chciała ich przypalić. Pomyślała, że gdy tylko będzie ją na to stać, założy sobie drugi, służbowy aparat.

- Halo, tu Bethanne - zagadnęła wesoło.

- Dzień dobry, tu Gary Schroeder z Puget Sound Security. Kilka tygodni temu złożyła pani u nas wniosek o pożyczkę. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Bethanne spojrzała na zegar przy kuchence. Wskazywał, że za chwilę powinna wyjąć z piekarnika biszkopt na tort urodzinowy. Usiłowała sobie przypomnieć tego człowieka. Bez skutku. Przemierzyła miasto wzdłuż i wszerz, składając podania w każdej instytucji finansowej, jaką napotkała.

- W niczym pan nie przeszkadza, słucham.

- Jeżeli znajdzie pani czas, zapraszamy do naszego oddziału.

- Najpierw proszę mi powiedzieć, o co chodzi - zażądała.

W ramach oszczędności ograniczyła między innymi zbędne wyjazdy. Przytrzymując słuchawkę pomiędzy uchem a ramieniem,

otworzyła piekarnik, wyjęła foremkę i sprawdziła, czy ciasto gotowe.

- Czeka na panią czek - poinformował urzędnik.

- Jak to?

- Resztę wytłumaczę już na miejscu.

Bethanne zapewniła, że przyjedzie za pół godziny. Jej serce przyspieszyło rytm. Nie wierzyła własnym uszom. Zaufano jej, dostanie pieniądze na rozruch przedsiębiorstwa! Gdyby ten obcy człowiek osobiście obwieścił jej dobrą nowinę, wycalowałyby go pewnie z radości. Zanim wyruszyła w drogę, wyjęła ciasto, żeby wystygło na kuchennym blacie, a fasolę schowała do spizarki.

Zatrzymała samochód na parkingu. Po wejściu do budynku odszukała biurko Gary'ego Schroedera. Wyciągnęła ku niemu rękę i przedstawiła się. Wskazał jej krzesło.

Bethanne usiadła na samym brzegu.

- Jeżeli dobrze zrozumiałam, przyznali mi państwo pożyczkę?

- Prawdę mówiąc, nie.

- No to po co pan mnie tu ściągnął, panie Schroeder? Prowadzę interesy, czeka mnie mnóstwo pracy... - Urwała.

Zaparło jej dech z oburzenia. Nie rozumiała, w jakim celu poważny urzędnik stroił sobie z niej żarty. Niepotrzebnie straciła czas i benzynę. W zbiorniku pozostało już niewiele paliwa. Gwałtownie wstała, gotowa do natychmiastowego wyjścia. Zatrzymał ją Schroeder.

- Nie ma pani u nas konta... - zaczął.

- I nie otworzę za żadne skarby w takiej firmie, która zwabia

potencjalnych klientów za pomocą nieuczciwych zagrywek! - przerwała z gniewem.

Schroeder uniósł rękę w uspokajającym geście.

- Przepraszam, że panią zdenerwowałem, ale proszę mi poświęcić jeszcze kilka minut. To dość niezwykła sprawa. Zaraz wszystko wyjaśnię.

Bethanne usiadła z powrotem. Serce podskoczyło jej do gardła.

- Dzisiaj rano zadzwonił do nas pewien człowiek.

Pytał, czy ubiegała się pani u nas o pożyczkę. Zgodnie z przepisami odmówiłem mu informacji. Wtedy zadeklarował chęć wpłacenia pięciu tysięcy dolarów na pani konto.

- Przecież nie mam tu konta - wtrąciła zupełnie oszołomiona Bethanne.

- Tak właśnie mu powiedziałem. Wtedy zapytał, w jaki sposób może pani przekazać pieniądze.

- Nic nie rozumiem.

- Nic dziwnego. Ja też nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Mój rozmówca wyjaśnił, że ofiaruje pani tę sumę. Prosił o zachowanie jego danych w tajemnicy.

Bethanne pochyliła się ku niemu.

- To niemożliwe. Nikt nie robi obcym takich prezentów. Musi w tym być jakiś haczyk.

- Nie ma.

- Jest pan pewien?

- Ofiarodawca poczynił tylko jedno zastrzeżenie. Zobowiązał

panią do uczynienia w przyszłości podobnego gestu wobec osoby potrzebującej, gdy już pani stanie na własnych nogach.

Bethanne aż otworzyła usta ze zdumienia. Patrzyła na rozmówcę nieprzytomnym wzrokiem. Kiedy wreszcie sens informacji dotarł do jej świadomości, zaczęła poszukiwać w myślach imienia darczyńcy. Przez długi czas nie potrafiła wytypować żadnego ze znajomych, zdolnego do takiej szczodrości. Nagle doznała olśnienia. Nie знаła nikogo bardziej wielkodusznego od Paula Ormonda. Uznała, że tylko niezawodny przyjaciel mógł ją tak hojnie obdarować. Dla pewności zapytała, czy to on wypisał dla niej czek. Urzędnik pokręcił głową. Przypomniał, że nie wolno mu zdradzać nazwiska, ponieważ darczyńca zastrzegł sobie anonimowość.

- Ale to nie Paul?

- Nie - zaprzeczył z uprzejmym uśmiechem.

Bethanne ponownie wyteżyła umysł, jednak nie znalazła żadnego innego rozwiązania tej niezwyklej zagadki. Przemknęło jej nawet przez głowę, że być może Grant nagle uznał, że powinien jej wynagrodzić krzywdy. Szybko odrzuciła tę myśl. Nie podejrzewała go ani o szczodrość, ani o skromność. Nawet gdyby próbował uciszyć wyrzuty sumienia za pomocą przekazu pieniężnego, z pewnością nie uczyniłby tego w sposób anonimowy. Na wszelki wypadek wymieniła również jego nazwisko. Urzędnik ponownie pokręcił głową.

- Nie wolno mi zdradzać tożsamości ofiarodawcy. Zapewniam jednak, że nie dostała pani tego czeku od nikogo z bliskich. Zamiast niepotrzebnie łamać sobie głowę, proponuję pomyśleć, jak rozsądnie

zainwestować otrzymaną kwotę. Moim zdaniem, niezależnie od tego, kto okazał pani tak wiele zaufania, powinna pani udowodnić za wszelką cenę, że na nie zasłużyła.

Bethanne wstała z miejsca. Skinęła głową.

- Obiecuję, że nie zawiodę.

Naprawdę wzięła sobie do serca mądrą radę. Przysięgła, że nie zmarnuje wielkiego daru, który podarował jej los, a w przyszłości zwróci dług komuś innemu, kto znajdzie się w potrzebie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

COURTNEY PULANSKI

- Nic nie rozumiem, babciu - mruknęła Courtney na widok zaadresowanej do siebie koperty od nieznanego nadawcy.

Znalazła ją na schodach po przyjściu ze szkoły, ledwie zdążyła zrzucić plecak. Ze zdumienia zapomniała nawet, że kilka miesięcy temu przemianowała babcię na „babusię”.

Vera Pulanski z zaciekawieniem zerknęła na przesyłkę. Podeszła bliżej. Courtney wręczyła jej kopertę. Starsza pani zajrzała do środka.

- Toż to czek! - krzyknęła, gdy tylko obejrzała zawartość.

- Nie od ciebie przypadkiem? - dopytywała się wnuczka z niedowierzaniem. Inna osoba nie przyszła jej do głowy.

- Ależ drogie dziecko, gdybym dysponowała taką kwotą, z pewnością nie przeznaczyłabym jej na fatalaszki! Pokaż tę kartkę jeszcze raz.

Courtney wręczyła jej kawałek papieru, zapisany drukowanym pismem. Zawierał tylko dwa zdania:

KUP SOBIE PIĘKNĄ SUKNIĘ, GODNĄ TWEJ URODY.
ŻYCZĘ DOBREJ ZABAWY NA BALU INAUGURACYJNYM
TWÓJ DOBRY CZARODZIEJ

Vera bezradnie pokręciła głową.

- Nic nie rozumiem. Musiał to napisać ktoś, kto cię dobrze zna. Może ojciec?

- Nie, to lokalna przesyłka z wczorajszą datą nadania. Zresztą czemu tata miałby ukrywać przede mną swoją tożsamość?

Vera bezradnie wzruszyła ramionami.

- Zadzwoń do Andrew - powiedziała Courtney.

Usiadła na najniższym stopniu schodów. Z emocji drżały jej ręce. Z wielkimi trudnościami wybrała numer na tarczy staroświeckiego, czarnego aparatu. Odebrała Annie.

- Przydarzyła mi się tak nieprawdopodobna historia, że pewnie mi nie uwierzysz! - wykrzyknęła w słuchawkę bez żadnych wstępów.

- Ktoś podarował mi olbrzymią sumę na zakup sukni balowej. Całe pięćset dolarów!

Annie aż gwizdnęła ze zdumienia.

- Chyba żartujesz?!

- Nie, to prawda, choć trudno uwierzyć w takie cuda. Czy Andrew jest w domu? - Chciała natychmiast przekazać i jemu radosną nowinę.

Od dnia, kiedy ją odwiedził po raz ostatni, dzwonili do siebie

kilka razy dziennie. Poprzedniego wieczoru rozmawiali prawie dwie godziny. Bardzo jej zależało, żeby dobrze wypaść na uroczystościach z okazji rozpoczęcia roku szkolnego. Chciała, żeby był z niej dumny. Gdy po szkole rozniosła się wieść, że idzie na bal z gwiazdą sportu, wszyscy nagle zaczęli zwracać na nią uwagę. Najwybitniejsze postacie szkolnej społeczności, które wcześniej wcale jej nie zauważały, teraz zapragnęły ją poznać. Nagły wzrost popularności nie uderzył Courtney do głowy. Nie tolerowała fałszu ani oportunistów. Zachowywała uprzejmy dystans. Nie zabiegała o przynależność do młodzieżowej elity.

- Niestety, Andrew jeszcze nie wrócił z treningu - poinformowała Annie. W jej głosie pobrzmiwało rozczarowanie.

- Wybacz. Chyba to radość, że sprawię sobie wymarzoną kreację, zupełnie zaćmiła mi umysł. Powinnam była pomyśleć, że twój brat jeszcze jest w szkole.

Mówiła prawdę. Anonimowy dobroczyńca rozwiązał naprawdę poważny problem. Courtney nie miała ani stosownego ubrania na wielką galę, ani funduszy na tak kosztowny zakup. Kiedy tylko zawiadomiła Julianę, że została zaproszona na najświetniejszą imprezę w życiu, i to w dodatku przez wspaniałego chłopaka, ta wysłała jej swoją słodką, jasnobłękitną suknię z falbankami. Była naprawdę piękna, ale nie w stylu Courtney.

- Cieszę się, że chodzisz z moim bratem - oświadczyła Annie.

- Nie chodzimy ze sobą. Nie łączy nas nic poza szczerą przyjaźnią. Nie sądzę, żeby jutrzejszy wieczór cokolwiek zmienił.

- Ja tam swoje wiem, znam mojego brata lepiej niż ty -
zaprotestowała Annie. - Sama zobaczysz.

Courtney wprost zżerała ciekawość, brakło jej jednak śmiałości, żeby wypytywać o szczegóły. Postanowiła poczekać do balu. Liczyła na to, że sama odgadnie intencje Andrew. Annie również wybierała się na zabawę z kolegą z drużyny piłkarskiej brata. Monicę z kolei zaprosił kolega Mike'a. Cztery zaprzyjaźnione pary planowały jeszcze po imprezie wspólną wyprawę do miasta. Tak więc wszelkie znaki na niebie i ziemi zapowiadały wspaniały wieczór. Po wielu tygodniach osamotnienia Courtney wprost nie dowierzała własnemu szczęściu. Głos Annie wyrwał ją z zadumy.

- Twoja babcia pewnie powiedziałaaby, że Andrew się w tobie zadurzył.

- Och, Annie... Twój brat jest... cudowny - westchnęła Courtney.

Żadne słowa nie mogły w pełni oddać głębi jej uczuć. Andrew Hamlin sprawił, że odzyskała radość życia. Znajomość z nim nadała pobytowi w Seattle nowy sens. Dla kogoś takiego warto było opuścić rodzinne miasto, a nawet wszystkich przyjaciół z dzieciństwa.

- Kto ci przysłał pieniądze?

- Sama zgadnij. Ja wiem tyle co ty, czyli nic.

- Pewnie ojciec albo brat.

- Ani jeden, ani drugi. To chyba jakieś czary. Nigdy w życiu nie otrzymałam tak hojnego daru. Muszę kończyć, ktoś dzwoni do drzwi.

- Dobrze. Przekażę Andrew wiadomość.

Courtney podziękowała i odłożyła słuchawkę. W stanie

radosnego oszołomienia pospieszyła do drzwi. Na widok siostry zaparło jej dech z wrażenia. Stała w progu jak skamieniała.

- Witaj, siostrzyczko! - wykrzyknęła radośnie Julianna. - Nie wpuścisz mnie do środka? - Przyjrzała się jej uważnie. - Jakaś ty śliczna! Kto by pomyślał, że utrata tych kilkunastu kilogramów spowoduje tak wielką przemianę.

- Co ty tu robisz? - wykrztusiła Courtney przez ściśnięte ze wzruszenia gardło.

Łzy napłynęły jej do oczu. Następnie padła jej w ramiona, uściskała i ucałowała.

Kilka minut później jedna przez drugą opowiadały najnowsze wydarzenia. Ożywiona rozmowa w korytarzu wyciągnęła babcię z kuchni. Vera Pulanski na widok starszej z wnuczek wydała okrzyk zachwyty.

- Julianno, moja kochana! Jak do nas dotarłaś?!

- Samolotem. Dostałam list z informacją, że moja malutka siostrzyczka została zaproszona na wielki bal przez gwiazdę szkolnej drużyny piłkarskiej. Nadawca sugerował, że może potrzebować mojej rady i pomocy podczas przygotowań do tego doniosłego wydarzenia. W dodatku włożył do koperty bilet lotniczy, a to jeszcze nie koniec niespodzianek. Mój tajemniczy dobroczyńca napisał jeszcze, że przy Sea-Tac będzie na mnie czekał samochód, który mnie tu przywiezie.

- Ja z tym nie mam nic wspólnego! - zastrzegła Vera Pulanski.

- Wiem. Zostałam zobowiązana do zachowania tajemnicy aż do chwili przyjazdu - potwierdziła Julianna. W jej oczach także

błyszczały łyzy szczęścia. - Dostałam jeszcze czek na własne wydatki. Nie potrzebuję aż tyle. Przeznaczę część tej sumy na fryzjera i kosmetyczkę dla siostry.

Courtney wprost oniemiała z wrażenia. Babcia patrzyła to na jedną, to na drugą z wnuczek z mieszaniną zdumienia i zażenowania.

- Szkoda, że sama o tym wszystkim nie pomyślałam - wyznała ze wstydem. - Nic by to zresztą nie dało. Nie dysponuję aż takim majątkiem.

- Samochód czeka - oznajmiła Julianna uroczystym tonem. - Z kierowcą w liberii, no w każdym razie w czymś w rodzaju uniformu. Zabierze nas na obiad. Później odwiezie babcię do domu, a my z Courtney pójdziemy na zakupy. Czyż to nie cudowne? - zachichotała. - Zupełnie jak w bajce o Kopciuszku.

- Nie do wiary - wyszeptała Courtney, tak oszołomiona, jakby jakaś czarodziejska moc rzeczywiście przeniosła ją nagle do krainy baśni.

Niemalże zaczęła wyglądać dobrej wróżki czy też raczej czarodzieja z różdżką w ręku. Pomyślała z rozbawieniem, że obecnie postacie ze świata fantazji w przedziwny sposób nadążają za współczesnością - zamiast zaklęć czy tajemniczych akcesoriów posługują się tak nowoczesnymi środkami jak czek.

- Chyba naprawdę jakiś dobry czarownik wziął cię pod opiekę - zażartowała Julianna.

- Komu w drogę, temu czas - zarządziła babcia.

- Dajcie mi sweter. Nie mam dziś głowy do gotowania.

Courtney pomogła jeszcze siostrze zanieść bagaże na piętro. Umieściły je w jednym z wolnych pokoi.

- Jak długo zostaniesz?

- Do niedzieli po południu. Wygląda na to, że nasz dobroczyńca wie o nas wszystko, nawet to, kiedy muszę wrócić na uczelnię.

- Rozmawiałaś z Jasonem?

- To nie on. - Julianna ze śmiechem pokręciła głową.

- On również nie potrafi odgadnąć, kto nam sprawił prezent. Zresztą wiecznie ode mnie pożyczka, zupełnie jakbym miała własną mennicę.

Telefon zadzwonił dokładnie w chwili, gdy opuszczały dom. Courtney przez chwilę wahała się, czy odebrać. Ponieważ przedpotopowy aparat babci nie był wyposażony w automatyczną sekretarkę, późniejsze odsłuchanie wiadomości nie wchodziło w grę. Nie istniał żaden sposób sprawdzenia, kto telefonował w czasie nieobecności domowników. Gdyby to Andrew szukał z nią kontaktu, przegapiłaby okazję do przekazania mu niezwykłych wieści. Podniosła słuchawkę. Faktycznie usłyszała jego głos.

- Posłuchaj! - wykrzyknęła. - Przydarzają mi się dziś same niezwykle rzeczy. Później ci wszystko opowiem.

- Czemu nie teraz?

- Ponieważ czekają na mnie siostra, babcia i w dodatku kierowca, który zabierze nas do sklepu. Jedziemy po sukienkę na bal. Resztę przekaże ci Annie.

- Wygląda na to, że same dobre wiadomości spadają na nas

dzisiaj niczym złoty deszcz.

- Na ciebie też? Mów szybko - poprosiła prawie bez tchu. Wszyscy czekali na nią na zewnątrz, ale ciekawość zwyciężyła.

- Oficjalne wyniki wyborów zostaną ogłoszone dopiero jutro, ale wiem już, że zostałem wybrany na króla Balu Inauguracyjnego.

- Och, to wspaniale! Gratuluję!

- Jestem dumny, że właśnie ty będziesz mi towarzyszyć w piątek wieczorem. Courtney pożegnała się z nim i pognęła jak na skrzydłach do samochodu. Jej serce przepęłniała radość, a przede wszystkim wdzięczność dla anonimowego dobroczyńcy. Nigdy w życiu nie była tak niewymownie szczęśliwa.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Gdy nadchodzi cię zwątpienie, sięgnij po kłębek i rozwijaj swą twórczą wyobraźnię.

Sasha Kagan, Sasha Kagan Knitwear

LYDIA HOFFMAN

Od ostatniego spotkania z Bradem upłynął ponad tydzień. Gdy trochę ochłonęłam z gniewu, pożałowałam wielu pochopnie wypowiedzianych słów. Przypuszczałam, że on też. We wtorek rano, kiedy zdejmowałam z wystawy tabliczkę „Zamknięte”, skorzystałam z okazji, żeby rozejrzeć się po ulicy. Nie oczekiwałam wprawdzie jego przyjazdu o tak wczesnej porze, mimo to moje myśli ciągle krążyły

wokół niego. Nie wiedziałam jeszcze, co bym mu powiedziała, gdybym go jednak spotkała, ale na pewno nie użyłabym takich ostrych sformułowań jak w ubiegłym tygodniu nad jeziorem Green.

Ostatnie dni obfitowały w niezwykle wydarzenia. W piątek wieczorem odwiedziła mnie Courtney. Przedstawiła mi swoją siostrę. Usłyszałam też niewiarygodną opowieść o anonimowym dobroczyńcy. Courtney chyba miała nadzieję, że podpowiem jej, kto zadbał o jej wizerunek. Niestety i ja nie potrafiłam odgadnąć tożsamości tajemniczego czarodzieja. W sobotę Bethanne przyniosła równie fascynującą nowinę o nieznanym darczyńcy, który wymagał jedynie, żeby w przyszłości i ona pomogła potrzebującej osobie. Prosto ode mnie pospieszyła z ofertą współpracy do Alix. Zaproponowała jej dostarczanie ciast oraz wszelkich innych deserów na organizowane przez nią imprezy. Pomyślny, a zgoła nieoczekiwany zwrot w życiu przyjaciółek napełnił moje serce radością, mimo że sama nie liczyłam na uśmiech fortuny. Chociaż nie oczekiwałam, że i na mnie spadnie złoty deszcz, marzyłam o tym, żeby chociaż promyk magicznego blasku opromienił również moją szarą egzystencję.

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Margaret wkroczyła do sklepu lekkim krokiem, w pogodnym nastroju. Pozdrowiła mnie z niespotykaną u niej wesołością. Kusiło mnie, żeby spytać o przyczynę jej dobrego humoru. Postanowiłam jednak zaczekać, chociaż nie do końca liczyłam, że sama ją wyjawi. Nie zawsze potrafię przewidzieć jej następne posunięcie. Nadal nie umiem z nią postępować.

- Wygląda na to, że bardzo miło spędziłaś weekend - zaczęłam

ostrożnie, chociaż zżerała mnie ciekawość. Przypuszczałam, że poszła z mężem do kina albo na dobry obiad.

- Lepiej, niż sobie wyobrażasz! - wykrzyknęła z nietypowym dla niej, szerokim, promiennym uśmiechem.

- Ach, tak? - wyszeptałam prawie bez tchu. Z niecierpliwością czekałam na dalsze relacje. Margaret otworzyła torebkę. Wyjęła z niej kopertę, którą mi następnie w uroczysty sposób wręczyła.

- Co to takiego?

- Sama zobacz.

Otwierałam kopertę tak pospiesznie, że o mało jej nie podarłam. W środku znalazłam czek. Na widok wypisanej na nim kwoty dostałam zawrotów głowy. Opiewał na dziesięć tysięcy dolarów, dokładnie tyle, ile pożyczyłam z banku, żeby wspomóc siostrę i szwagra. Dołączona do niego kartka zawierała podziękowania dla mnie od Margaret i Matta.

- Co to ma znaczyć? - wyjąkałam.

- Matt dostał wspaniałą posadę.

Nie musiała dodawać, że znalazł zdecydowanie lepsze zajęcie niż malowanie ścian.

- Przecież podarowałam wam te pieniądze - zaprotestowałam.

- Doskonale pamiętam. Ale już tego samego dnia, kiedy udzieliłaś nam wsparcia, zdecydowaliśmy z Mattem, że gdy tylko staniemy na nogi, oddamy co do centa. I tak zrobiłaś dla nas bardzo wiele. Dzięki twojej hojności przetrwaliśmy najtrudniejszy okres w życiu. Nigdy wcześniej nie groziła nam bezdomność. Przeżyliśmy

prawdziwy koszmar. Do końca życia nie zapomnimy, że wyciągnęłaś nas z kłopotów. Teraz, gdy odzyskaliśmy niezależność finansową, z prawdziwą radością zwracamy dług.

- Ale... - wykrztusiłam i znowu zamilkłam. Dosłownie odebrało mi mowę.

- Najdziwniejsze, że Matt wcale nie składał podania o przyjęcie do pracy w tej firmie. We wtorek zadzwonił do nas pracownik działu kadr i poprosił, żeby Matt jak najszybciej złożył dokumenty. Tak też zrobił. Już następnego dnia wezwano go do siedziby przedsiębiorstwa na rozmowę kwalifikacyjną.

- Nieprawdopodobne!

- O tak! Nigdy nie widziałam Matta tak szczęśliwego. Cieszył się jak dziecko. Wczoraj zaczął pracę w swoim zawodzie, na stanowisku inżyniera elektryka. Z początku zamierzałam cię poinformować już w piątek, ale po namyśle doszliśmy do wniosku, że lepiej poczekać, aż otrzyma umowę. Postanowiliśmy, że gdy tylko zyskamy pewność, że został przyjęty, prześlemy ci dobrą wiadomość razem z czekiem.

- Nic nie rozumiem, Skąd wzięłaś dziesięć tysięcy? Matt nie dostał przecież jeszcze ani jednej pensji.

- Otrzymał nadzwyczajną gratyfikację z okazji podjęcia pracy.

- Wolałabym, żebyście na razie zatrzymali te pieniądze. Na pewno potrzebujecie wielu rzeczy, których sobie odmawialiście w okresie kryzysu. Ja mogę spokojnie poczekać. Oddacie mi, kiedy naprawdę staniecie na własnych nogach.

- Darujmy sobie tę dyskusję. Jesteśmy ci bardzo wdzięczni, ale decyzja już zapadła. Nie zamierzamy jej zmieniać.

- Och - wyszeptałam tylko przez ściśnięte gardło, poruszona do głębi. Niemalże widziałam, jak w powietrzu wokół mnie wiruje magiczny, złoty pył.

Margaret pewnie nawet nie przypuszczała, że otrzymanie pożyczki stanowiło punkt zwrotny w moim życiu. Może brzmi to bardzo górnolotnie, w końcu ludzie codziennie załatwiają tego rodzaju sprawy, ale po latach izolacji, spowodowanej chorobą, po raz pierwszy spróbowałam stawić czoła zwyczajnym, codziennym problemom. Podczas gdy moi rówieśnicy wchodzili w dorosłe życie, ja koncentrowałam całą energię na walce z chorobą. Dopóki nie otworzyłam sklepu, nie zdawałam sobie sprawy z własnego egoizmu. Dopiero tego lata zaczęłam poznawać i dzielić cudze troski i kłopoty. Wcześniej myślałam wyłącznie o sobie. Przyznam, że nie było mi wcale łatwo zacząć się troszczyć o innych.

Mimo że pomoc dla Margaret i Matta mocno nadszarpnęła mój budżet, nie wynagrodziłam im wszystkich wyrzeczeń, jakie dla mnie znosili. Niemalże w tym samym czasie mama niespodziewanie trafiła do szpitala.

Nadeszła pora, żebym o nią zadbała. Wypełnianie mnóstwa dokumentów, uporządkowanie spraw finansowych oraz wszelkich innych formalności związanych z przeprowadzką do domu opieki wyczerpywało nie tylko moją energię, lecz również cierpliwość. Uświadomiłam sobie jednak, że rodzice przeszli przez takie samo

piekło podczas obydwu ataków mojej choroby. Nigdy nie narzekali. Otrzymałam najlepszą pomoc medyczną tylko dlatego, że obydwójce walczyli o mój powrót do zdrowia, nie szczędząc sił i środków.

Trzecią, najbardziej dotkliwą lekcję pokory otrzymałam niemalże w tym samym czasie, kiedy Brad zostawił mnie dla Janice. Cierpiałam męki zawiedzionej miłości. Złamane serce okropnie bolało. Bez żenady użalałam się nad własnym losem. Dopiero później, gdy już nieco ochłonęłam po wstrząsie, zrozumiałam, że Brad poświęcił nie tylko moje, lecz także własne szczęście z miłości do syna. Bynajmniej nie pragnął pojednania z Janice, tylko uznał za swój obowiązek przywrócić dziecku matkę, nawet wbrew własnym odczuciom. Przyznaję, że nie dorównuję mu szlachetnością. Gdy wreszcie zrozumiałam motywy jego postępowania, poczułam pewną ulgę, co nie znaczy, że doznałam ukojenia. Nie wykazałam tyle zrozumienia, na ile zasłużył. Nadal żywiłam do niego urazę.

Zadzwonił dzwonek u drzwi. Nadszedł pierwszy klient. Liczyłam na to, że Margaret go przyjmie. Ponieważ jednak była zajęta porządkowaniem dokumentów, sama pospieszyłam do sklepu. Na widok Brada wstrzymałam oddech. Moje serce na ułamek sekundy przestało bić. Wspomnienie radosnego uśmiechu Margaret dodało mi otuchy.

- Witaj, wspaniały! - zawołałam wesoło.

- Dzień dobry, piękna.

Przez długi czas staliśmy naprzeciwko siebie, wymieniając uśmiechy, zanim wyciągnął ku mnie rękę. Nie potrzebowałam

dotatkowej zachęty. Popędziłam wprost w otwarte ramiona. Moje stopy ledwie dotykały ziemi. Pewnie każdy przechodzień, który zajrzał przez okno, dostrzegł zakochaną parę. Obejmowaliśmy się i całowaliśmy.

W końcu z wysiłkiem oderwaliśmy się od siebie. Nie całkiem. Odczuwałam przemożną potrzebę dotykania mojego ukochanego. Ujęłam jego twarz w obie dłonie.

- Wybacz mi, najdroższy. Okłamywałam cię. Nie miałam nikogo prócz ciebie - szlochałam. - Nikt inny mnie nigdy nie interesował. Kłamałam z głupiej, szczeniackiej zazdrości. Ty postąpiłeś w szlachetny sposób, natomiast ja tylko szukałam zemsty. Przepraszam za wszystkie złe, nieprawdziwe słowa, przepraszam - powtarzałam.

- Mnie również bardzo przykro, że w zeszłym tygodniu nagadałem głupstw. Nie potrafię bez ciebie żyć, Lydio. Ciągnie mnie do ciebie, moja słodka, jak do czekoladowych ekierek Alix.

Jak zwykle mnie rozbawił. Chichocząc, figlarnie szturchnęłam go w żebra. A potem znowu oplotłam ramionami i przyciągnęłam do siebie, półprzytomna ze szczęścia.

- Naprawdę nie było w twym życiu innego mężczyzny? - Nadal mi nie dowierzał.

- Nikogo. Jesteś jedyną miłością mego życia.

- Na zawsze?

- Myślę, że można to załatwić. Brad odetchnął z ulgą.

- Najwyższa pora, Lydio. Niewiele brakowało, żebym cię bezpowrotnie utracił, moja najmilsza. Nigdy nie przestałem cię

kochać. Cody również. A nawet Ścigacz.

Nie potrzebowałam więcej słów. Zamknęłam mu usta namiętym pocałunkiem. Brad objął mnie w talii i uniósł do góry.

- Czy to znaczy, że wyjdiesz za mnie za męża, Lydio Hoffman?

- Tak.

Przemknęło mi przez głowę, że powinnam go ostrzec. Nie wiedziałam przecież, czy nowotwór znowu nie zaatakuje, czy mogę urodzić dziecko, czy jest to w ogóle wskazane. Przemilczałam jednak wszystkie obawy. Nie miały żadnego znaczenia wobec faktu, że ja, Brad, Cody, a nawet Ścigacz potrzebujemy siebie nawzajem. Liczyło się tylko to, że wkrótce stworzymy prawdziwą rodzinę. Nareszcie!

Margaret wyszła z zaplecza. Posłałam jej promienny uśmiech.

- Zechcesz zostać moją druhną?

- Bierzecie ślub? Skinęłam głową.

- No co, przyjdiesz na wesele?

- Oczywiście.

Otoczyłam narzeczonego ramionami. Złożyłam głowę na jego piersi. Przysięgłabym, że w powietrzu wiruje magiczny, złoty kurz.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

ELISE BEAUMONT I %

Aurora twierdziła, że Maverick powrócił już z Karaibów. Nie próbował jednak nawiązać kontaktu z byłą żoną. Elise przypuszczała, że Aurora poinformowała go, że wie o jego chorobie. Żałowała teraz,

że tyle razy odrzuciła zaproszenie do jego mieszkania. Sądziła, że po ostatniej, wyjątkowo nieprzyjemnej rozmowie zwątpił w możliwość dojścia z nią do porozumienia. Nie winiła go za to. Zdawała sobie sprawę, że uczyniła wszystko, żeby go do siebie zniechęcić. Dręczyły ją tak straszliwe wyrzuty sumienia, że postanowiła sama wyciągnąć rękę do zgody. Zdecydowała naprawić swój błąd. Postanowiła go odwiedzić.

Maverick mieszkał w nowo wybudowanym bloku, w pięknej dzielnicy położonej niedaleko zarówno od domu córki, jak i od centrum miasta. Elise zwróciła również uwagę na niewielką odległość od licznych placówek służby zdrowia. Kiedy dowiedziała się, że choruje na białaczkę, przeżyła prawdziwy wstrząs. Choroba z dnia na dzień czyniła coraz większe spustoszenie w jego organizmie. Z początku było jej przykro, że zataił przed nią tę straszliwą informację. Zbyt późno uświadomiła sobie, że sama ponosi za to winę. Czasami w nocy, gdy leżeli razem, ciasno spleceni w jej wąskim, jednoosobowym łóżku wyczuwała w nim jakieś napięcie, jakby chciał jej powiedzieć coś bardzo ważnego. Ponieważ podejrzewała, że wrócił do nałogu, wolała udawać, że śpi, niż usłyszeć wyznanie, którego się obawiała. Zbyt wysoko ceniła chwile wzajemnej bliskości. Nie chciała psuć nastroju. Dopiero teraz, gdy traciła go bezpowrotnie, puściła w niepamięć wszelkie uprzedzenia. Pragnęła już tylko zgody. Za wszelką cenę. Gdyby wcześniej wiedziała, że wkrótce śmierć go zabierze, wykazałaby więcej tolerancji.

Maverick odpowiedział po drugim naciśnięciu dzwonka słabym,

zmęczonym głosem.

- To ja, Elise. Mogę wejść? - spytała cicho, zmienionym ze wzruszenia i lęku głosem.

- Oczywiście.

Weszła na klatkę schodową. Wjechała windą na ostatnie piętro. Czekał na nią w otwartych drzwiach mieszkania. Nie wierzyła własnym oczom. Po wszystkich złych słowach, jakie od niej usłyszał, powitał ją ciepłym, serdecznym uśmiechem. Poczowała skurcz w okolicy serca. Wyrzuty sumienia przybrały na sile. Przez całe tygodnie nękała go wymówkami, zatruwała umierającemu człowiekowi ostatnie chwile życia. Gorzko żałowała każdego straconego dnia. Aczkolwiek nie ulegała łatwo wzruszeniom, w jej oczach zabłyśły łzy. Nie dała rady ich powstrzymać. Zakryła usta dłońmi, płacz wstrząsał całym jej ciałem. Maverick zareagował natychmiast. Objął ją ramionami i wprowadził do środka. Zamknął za sobą drzwi kopniakiem, nie wypuszczając jej z objęć. Ujął jej twarz w swe duże, silne dłonie.

- Co z tobą, Elise? - wyszeptał czule. - Przecież moja zadziorna dziewczynka nigdy nie lamentuje.

- Ale teraz mam wiele powodów - załkała. - Byłam dla ciebie niedobra, szorstka, po prostu okrutna - szlochała dalej.

Jego współczucie jeszcze spotęgowało dręczące poczucie winy.

- Dałem ci wiele powodów do zdenerwowania.

- Nie wybrałaś sobie odpowiedniej żony.

- Ani ty męża.

- Kocham cię - wyszeptała.

Nie tłumila już uczuć, nie próbowała im nawet zaprzeczać, jak wtedy gdy Aurora przygotowywała ją na jego wizytę. Wtedy nie chciała go widzieć. Przerazała ją własna słabość. Uważała, że wbrew rozsądkowi pokochała człowieka niezasługującego na zaufanie. Dopiero teraz miłość przełamała wszelkie zahamowania.

Maverick przyciągnął Elise jeszcze bliżej do siebie. Ucałował ją w czubek głowy.

- Ja zawsze ciebie kochałem. Zawsze - powtórzył z powagą. Elise uniosła głowę. Patrzyła mu w twarz mokrymi od łez oczami.

- Wiem, ale...

- Jak myślisz, czemu nie ożeniłem się ponownie? - przerwał jej w pół słowa. Sama się wielokrotnie nad tym zastanawiała. Przypuszczała, że nie brakowało mu okazji, ale nie miała odwagi zapytać. Podejrzewała nawet, że przeżył niejeden romans. Wobec perspektywy rychłej śmierci nie obchodziła jej już przeszłość Mavericka. Nawet jego upodobanie do hazardu przestało już przeszkadzać.

- Straciłam tyle lat, tyle pustych, beznadziejnych lat - łkała. - Teraz już jest za późno, żeby to nadrobić. Aurora powiedziała mi, że... umierasz. - Ostatnie słowo ledwie przeszło jej przez gardło.

Maverick westchnął ciężko.

- Obawiałem się, że ci o tym powie.

- Dobrze zrobiła. Szkoda, że wcześniej nie wiedziałam. Tak mi żal... - jęknęła. Dręczyło ją, że przepuściła tak wiele okazji do pojednania, chociaż Maverick uczynił wszystko, żeby ją odzyskać.

Teraz, gdy zrozumiała swój błąd, nie starczy jej czasu, żeby wynagrodzić mu krzywdy.

Maverick przycisnął ją mocniej do piersi.

- Ejże, Elise, jeszcze żyję.

Gdyby nie cierpiała tak bardzo, pewnie by ją rozśmieszył. Wzięła głęboki oddech.

- Wiem, ale tak bardzo żałuję swego postępowania.

- Obydwoje popełnialiśmy błędy, kochanie.

Elise przytuliła się do niego. Wzruszenie odebrało jej mowę. Po tylu zniewagach z jej strony stać go jeszcze było na czułe słówka, co najlepiej świadczyło o jego szlachetności. Ten lekkomyślny, namiętny, tolerancyjny i niepokorny mężczyzna, któremu oddała serce, naprawdę potrafił wybaczać w wielkim stylu. Umiał śmiać się z samego siebie, a w innych ludziach widział wyłącznie dobro. I co najważniejsze, wybrał ją i kochał.

- Chętnie bym z tobą zamieszkała, jeżeli jeszcze mnie chcesz - zaproponowała nieśmiało.

Znała odpowiedź, jeszcze zanim otworzył usta.

- Wolałbym, żebyś przeprowadziła się do mnie jako moja żona. Pragnę cię ponownie poślubić.

- Tak - wyszeptała. - Tak.

Maverick ujął ją pod brodę, uniósł jej głowę do góry i zajrzał głęboko w oczy.

- O ile znam siebie, pewnie nie przestanę grać w karty do końca życia - ostrzegł poważnym tonem.

Elise skinęła głową na znak przyzwolenia. Zrozumiała, że hazard stanowi sens i treść jego życia. Skoro go takim pokochała, powinna zaakceptować go ze wszystkimi wadami i zaletami.

- Przykro mi, że przegrałeś turniej.
- Widziałas mnie w telewizji? - Oczywiście Mavericka nagle rozbłysły.
- Nie, Aurora i David mi powiedzieli.
- Zdobyłem drugie miejsce. To jeszcze nie klęska.
- Widzę, że przegrana nie popsowała ci humoru - zauważyła.

Zawsze uważała go za niepoprawnego optymistę.

- Weźmy ślub jak najprędzej. Najlepiej w przyszłym miesiącu, w Święto Dziękczynienia. - Ponieważ skinęła głową na znak zgody, dodał: - Czeka nas wiele zajęć przy przygotowaniu uroczystości. Kupię ci pierścionek z brylantem.

- Nie trzeba. Maverick zmarszczył brwi.
- Chcesz zacząć wspólne życie od kłótni?
- Nie, ale uważam, że zwyczajna obrączka w zupełności wystarczy.

Maverick pokręcił głową.

- Pozwól, że sam zadecyduję. Proponuję, żeby Bethanne zorganizowała dla nas przyjęcie.

- Nie wiem, czy jest gotowa sprostać takiemu wyzwaniu - powiedziała Elise z wahaniem, chociaż była mu wdzięczna, że pomyślał o jej przyjaciółce.

Maverick nie czekał na dalsze protesty. Zamknął jej usta długim, namiętym pocałunkiem. W jego ramionach zapomniała o wszelkich

rozterkach. Uczyniłaby dla niego wszystko. Uznała, że jeśli zaufała Bethanne, to pewnie wie, co robi. Sama Bethanne nie obawiała się tego typu zleceń. Mawiała, że wesele to nic innego jak tylko większa impreza. Elise uśmiechnęła się na wspomnienie jej najciekawszych pomysłów na tort w kształcie dinozaura czy scenografię z opowieści o Alicji w krainie czarów. Przyznała rację Maverickowi, że z pewnością doskonale wykona powierzone zadanie.

- Dobrze, zatrudnimy Bethanne. A na druhnę poproszę Aurorę. -
Objęła Mavericka w talii. Uśmiechnęła się do niego ciepło.

- Zaproś też inne koleżanki z kursu dziewiarskiego.

- A z Klubu Książki?

- Kogo tylko chcesz.

Elise zmarszczyła brwi, przerażona perspektywą olbrzymich wydatków.

- To niekonieczne, wystarczy mi, że...

- Zrób to dla mnie - przerwał.

Sprawił jej wielką przyjemność. Uważała jednak za swój obowiązek przypomnieć mu o swoich kłopotach finansowych. Straciła przecież oszczędności całego życia. Wątpiła, czy kiedykolwiek odzyska choćby część fatalnie zainwestowanych pieniędzy. Sprawa w sądzie utknęła w martwym punkcie. Wyglądało na to, że jej logiczne argumenty nie dotarły do Mavericka. Nie wyglądał wcale na zmartwionego. Wręcz przeciwnie, uspokajał ją, że nie warto tracić zdrowia na zamartwianie się o przyszłość. Tłumaczył cierpliwie, że zrobiła wszystko, co trzeba, a reszta zależy już tylko od decyzji sądu.

Niewiele to pomogło. Elise kiwała tylko głową bez przekonania. Spróbował więc dotrzeć do niej inną drogą.

- Od tej pory ja biorę twój los w swoje ręce - zapewnił. Zanim zdążyła zaprotestować, dodał szybko: - Stać mnie na utrzymanie żony. Jestem teraz bogatym człowiekiem.

Elise nie wierzyła własnym uszom. Zamrugła, niepewna, czy żartuje, czy mówi serio.

- Jesteś hazardzistą, Mavericku - przypomniała. - Jeszcze nikt nie zrobił majątku na grze w karty.

- Nie patrz na mnie z takim niedowierzaniem - poprosił. - Przyznaję, że strawiłem całe lata w pogoni za mitycznym skarbem. Gdybym wykonywał jakiś praktyczny zawód, z pewnością odniósłbym sukces. Rzecz w tym, że nie pociągało mnie żadne rozsądne zajęcie. - Wzruszył ramionami. W jego oczach rozblęły figlarne iskierki. - Niestety, urodziłem się po to, żeby grać w karty.

Elise uświadomiła sobie, że zawsze regularnie płacił alimenty. Często zastanawiała się, skąd bierze pieniądze. Ponieważ bez żenady przyznawał, że nigdy nie skalał rąk uczciwą pracą, skłonna była uwierzyć, że hazard przynosił mu jakieś dochody, ale przecież nie fortunę.

- Przegrałeś przecież turniej na Karaibach - przypomniała.

- Tylko finałową rozgrywkę. Nagroda za drugie miejsce wynosiła osiemset tysięcy dolarów. Myśl sobie, co chcesz, ale ja wierzę, że skarpetki, które od ciebie dostałem, przyniosły mi szczęście.

Elise zapało dech z wrażenia. Gdyby już nie siedziała, pewnie upadłaby na podłogę. Nie przypuszczała, że można wygrać w karty tak ogromną sumę.

- Osiemset tysięcy - powtórzyła, kiedy wreszcie odzyskała mowę. - Chyba żartujesz.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jaką popularność zyskał ostatnio poker. Większą część wygranej zainwestowałem w fundusz powierniczy, żeby zabezpieczyć przyszłość Aurory, Davida i chłopców. Pewną sumę przeznaczyłem na cel, który moja mama nazwałaby „sianem ziarna nadziei”.

Elise gwałtownie uniosła głowę. Popatrzyła na Mavericka rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

- A więc to ty obdarowałaś Bethanne?

- Jeżeli tak twierdzisz... - odrzekł wymijająco.

- Jestem tego pewna.

Nagle wszystkie elementy skomplikowanej łamigłówki, której nie miała nadziei rozwiązać, ułożyły się w głowie Elise w jedną logiczną całość: Maverick zawsze czekał na nią w samochodzie przed „Światem Włóczki”.

W drodze do domu relacjonowała mu opowieści koleżanek. Czerpał od niej pełnymi garściami obszerną wiedzę o ich perypetiach i zmartwieniach. Rozumiała już wszystko, pozostało jeszcze tylko wyjaśnić parę trudniejszych do odgadnięcia szczegółów.

- Kupiłeś też siostrze Courtney bilet na samolot do Seattle - raczej stwierdziła, niż zapytała. - Tylko skąd wziąłeś jej adres?

- To żadna sztuka. Niewiele osób nosi nazwisko Pulanski. -
Figlarnie zmrużył oczy.

- No dobrze, a jakim cudem mąż Margaret dostał pracę w przedsiębiorstwie, w którym nie składał podania?

- Posiada wspaniałe kwalifikacje. Akurat pewna firma poszukiwała inżyniera elektryka. Wystarczyło szepnąć słówko odpowiedniej osobie. A z tą gratyfikacją, którą otrzymał, to już zupełnie inna historia.

- Często spełniasz tego rodzaju dobre uczynki?

- Czasami. - Zachichotał. - Nie masz pojęcia, ile radości sprawia ludziom taki niespodziewany prezent od losu.

- Tyle że w tym wypadku to nie ślepy los podarował im spełnienie marzeń. Nie wspierałeś, kogo popadnie, na chybił trafił. Skrzętnie zbierałeś informacje o osobach, którym postanowiłeś pomóc.

- Nieważne. Wychodzę z założenia, że każde dobro, wyświadczony innym, powraca do człowieka dziesięciokrotnie pomnożone. Niekoniecznie do tego samego. Nie wątpię, że jeśli Lydia, Courtney czy Bethanne spotkają na swej drodze kogoś potrzebującego za dzień, rok lub za dziesięć lat, również zechcą wyciągnąć do niego pomocną dłoń.

Elise podziwiała jego szlachetność. Jej oczy błyszczały bezgraniczną miłością.

- Czy zawsze byłeś taki wspaniały, tylko ja tego nie widziałam, czy też dopiero ostatnio tak wyszlachetniałeś?

- Chyba nie oczekujesz szczerzej odpowiedzi? - Roześmiał się.

- Och, Mavericku, tak bardzo cię kocham. Wszystko mi jedno, czy jesteś biedny, czy bogaty - wyszeptała, poruszona do głębi. Poglaskała go po policzku. - Mam nadzieję, że czeka nas wspaniałe życie, niezależnie od tego, ile Bóg da nam jeszcze czasu.

- Czuję, że otrzymamy w podarunku jeszcze wiele pięknych dni. Elise pragnęła ponad wszystko, żeby ich modlitwy zostały wysłuchane.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

COURTNEY PULANSKI

Następnego roku

Courtney spieszyła do bursy po ostatnim wykładzie. Oczekiwała wiadomości od Andrew. Pisali do siebie jeden lub więcej listów dziennie. W ostatnim poprosił, żeby następnym razem dokładnie sprawdziła zawartość skrzynki pocztowej. Widocznie szykował jakąś niespodziankę. Studiował na Uniwersytecie Stanu Waszyngton. Jako znakomity piłkarz otrzymał stypendium sportowe. Courtney rozpoczęła studia na Uniwersytecie Stanu Illinois w Chicago.

Ku własnemu zaskoczeniu z perspektywy czasu uznała ostatnią klasę liceum za najszcześniejszy okres w życiu. Przybyła do Seattle jako otyła nastolatka z kompleksami, przerażona koniecznością

zmiany szkoły. Nic nie zapowiadało pozytywnej przemiany. W ciągu następnego roku nawiązała bliską więź z babcią. W czasie gdy ojciec przebywał w Ameryce Południowej, wiele się dowiedziała i nauczyła. Babcia opowiadała jej stare rodzinne historie o osobach, których nikt prócz niej nie pamiętał.

Z początku jej dom przypominał Courtney antykwariat. Większość staromodnych przedmiotów stanowiły pamiątki o niewielkiej wartości handlowej, za to olbrzymiej emocjonalnej. Każda z tych rzeczy należała niegdyś do kogoś bliskiego. Vera Pulanski wyciągnęła nawet ze skrzyni niemowlęcy kaftanik, który kiedyś zrobiła dla malutkiego synka, obecnie ojca Courtney. Pokazała jej również jego świadectwo maturalne. Zapoznała ją także ze swoimi przyjaciółkami. Niespodziewanie Courtney zyskała dziesięć przybranych babć!

Courtney do tej pory pływała dwa razy w tygodniu. Po wyjściu z szatni czy basenu nigdy nie korzystała ze środkowego prysznica, zgodnie z życzeniem Lety.

Najwięcej korzyści przyniósł jej kurs dziewiarski, na który uczęszczała również z inicjatywy babci. Z początku osamotniona i załamana, w ciągu kilku tygodni zyskała aż trzy przyjaciółki. Różnica wieku nie grała żadnej roli. Połączyła je mocna nić przyjaźni. Wraz z Carol, Alix, Jacqueline i Margaret stworzyły krąg osób o wspólnych zainteresowaniach, niczym rozszerzoną rodzinę. Wszystkie wspierały Courtney w najtrudniejszym okresie życia, kiedy najbardziej potrzebowała bratniej duszy.

Courtney przemierzyła trawnik. Weszła po schodach do bursy. Przystanęła przy skrzynce na listy, żeby przejrzeć korespondencję. Szybko przerzucała koperty w poszukiwaniu tej jednej z równym, czytelnym pismem Andrew i adresem Uniwersytetu Stanu Waszyngton na odwrocie. Była bardzo dumna, że w uznaniu dotychczasowych osiągnięć przyznano mu specjalne stypendium sportowe. Nie wiedziała, czy zostaną razem na zawsze. Babcia podkreślała, że są jeszcze bardzo młodzi, zbyt młodzi, by planować wspólną przyszłość. Courtney przyznawała jej rację. Pragnęła jednak, by niezależnie od tego, co zgotuje im los, przynajmniej przyjaźń przetrwała do końca życia, nawet jeśli wzajemne zauroczenie przeminie. Andrew myślał tak samo. Courtney bardzo na nim zależało. Dzięki niemu wspominała ostatni rok w szkole średniej jako najpiękniejszy okres w życiu.

Pospieszyła do pokoju. Otworzyła kopertę. W środku znalazła kartkę przedstawiającą kota, śpiącego pośród różanych krzewów. Przypominał trochę Wąsika Lydii. Napis na odwrocie głosił: „Wstań i poczuj zapach róż”. Poniżej Andrew dopisał kilka słów od siebie. Życzył jej dobrych wyników egzaminu. Właśnie za tę troskę najbardziej uwielbiała swego chłopaka. Nieustannie dawał dowody, że więcej myśli o niej niż o sobie. W przeciwieństwie do większości gwiazd sportu nie wykazywał ani śladu pychy czy egoizmu.

Courtney utrzymywała również stały kontakt z Annie. Po wyjeździe brata na studia tylko ona została w domu z mamą. Przebyła długą drogę, zanim odzyskała równowagę psychiczną po rozwodzie

rodziców. Znacznie później zawarła pokój z ojcem. Ostatnio wychodzili gdzieś każdego tygodnia na lunch lub kolację. Zdaniem Annie, popełnił wielki błąd, odchodząc do innej. Przypuszczała nawet, że skrycie żałuje swej pochopnej decyzji. Annie twierdziła, że „trafił swój na swego”, dostał to, na co zasłużył, i musi z tym teraz żyć. Mimo szorstkich słów Courtney wiedziała, że Annie nie przestała go kochać.

Usiadła na łóżku. Jeszcze raz przeczytała kartkę od Andrew. Podeszła do komputera, żeby wysłać mu wiadomość. W skrzynce internetowej znalazła list od ojca. Wynajął dom w Chicago lokatorom na następny rok. Pochwalała jego decyzję. Jej emocjonalny związek z miejscem zamieszkania zdążył nieco osłabnąć. Zachowała jedynie kilka pamiątek po mamie. Ojciec projektował następny most w Brazylii. Traktował to nowe zadanie jak przygodę. Dawało mu sporo satysfakcji. Zarabiał dobrze, pieniędzy mu nie brakowało.

Wysłała mu odpowiedź. Następnie napisała kilka słów o postępach koleżanek w robótkach ręcznych. Kiedy dziewczęta z piętra zobaczyły jej wyroby, same zapragnęły stworzyć podobne. Można powiedzieć, że wprowadziła w akademiku modę na robienie na drutach. Wkrótce prawie wszystkie studentki spędzały wolny czas z drutami w ręku. Konkretnie z dwoma parami okrągłych, ponieważ wzorem Courtney wszystkie chciały robić skarpetki. Ona sama zrobiła w ciągu ostatniego roku co najmniej dwanaście par, większość dla ojca. Nie nosił innych jak tylko te wykonane przez córkę. Czasami podbierał mu je syn. Andrew dostał od niej już trzy pary. Annie też

dziergała. Nauczyła ją oczywiście Courtney. Ktoś zapukał do drzwi. Do pokoju weszła Heather, koleżanka z piętra, z robótką w ręku i kłębkim wełny pod pachą.

- Cześć, znajdziesz dla mnie chwilkę czasu?

- Jasne! - Courtney odeszła od komputera. Odłożyła dokończenie listu do Lydii na później.

- Wybacz, że zawracam ci głowę, ale nie wiem, co dalej robić. Spuściłam oczko.

- W niczym mi nie przeszkadzasz. Poczekaj, mam w szufladzie szydełko. Sama zobaczysz, jakie cuda można zdziałać za jego pomocą. - Wyjęła szydełko, usiadła, po czym wzięła w rękę do połowy wykonaną skarpetę.

- Nie chcę nawet patrzeć! - zawołała Heather. Zawstydzona, odwróciła głowę w przeciwnym kierunku.

Courtney uśmiechnęła się.

- Tak samo zareagowałam, kiedy popełniłam pierwszy błąd na kursie u Lydii. Przekonała mnie, że to żaden wstyd. Wszyscy popełniamy pomyłki, takie już jest życie.

- Faktycznie. Można je spróbować naprawić albo udawać, że ich nie dostrzegamy. W dzisiejszych czasach, w dobie nieustannego pośpiechu, bardzo łatwo coś przeoczyć. Nigdy dotąd nie przypuszczałam, że robienie na drutach wyzwala zdolność do filozoficznych refleksji.

- Ja także - przyznała Courtney. - Dopiero na lekcjach u Lydii zmieniłam sposób myślenia.

Złapała spuszczone oczko. Podniosła je do góry za pomocą szydełka wzdłuż wszystkich rzędów, póki nie nałożyła ostatniego na drut. Kiedy skończyła, zwróciła Heather naprawioną skarpetkę.

- Koleżanki z Seattle wiele cię nauczyły, prawda? - spytała Heather.

- Tak - odrzekła krótko Courtney.

Nie umiałyby nawet wyjaśnić osobie postronnej, że dzięki nim nie tylko udoskonaliła techniki dziewiarskie, ale również zupełnie nieoczekiwanie poszerzyła wiedzę o świecie i ludziach.

Najstarszą z jej przyjaciółek została Elise, niemalże rówieśniczka babci. Nadal utrzymywały stały kontakt. Elise dzwoniła do niej co kilka tygodni. Bethanne również. Courtney żałowała, że ojciec nie pobył dłużej w Seattle. Chętnie by mu je przedstawiła. Elise i Lydia powiedziały jej, że Bethanne zaczęła znowu spotykać się z mężczyznami. Annie nic o tym nie wspominała. Podkreślała za to z dumą, że matce świetnie idą interesy. Podobno otrzymywała coraz więcej zleceń.

Wszystkie znajome z Blossom Street - Bethanne, Elise, Lydia i pozostałe, pomogły jej przezwyciężyć ból, który nie opuszczał jej przez pięć lat po śmierci matki. Mimo wszystko nic nie wypełniło pustki, którą po sobie pozostawiła. Podziwiała Bethanne za to, że tak wspaniale ułożyła sobie życie po rozwodzie. Obserwowała, jak Annie podtrzymuje matkę na duchu, co pomogło jej przetrwać najtrudniejsze chwile. Courtney miała nadzieję, że kiedyś w przyszłości założy własną rodzinę. Pragnęła obdarzyć swoje dzieci tak bezgraniczną

miłością jak Bethanne Annie i Andrew, Elise - Aurorę, a Lydia - Cody'ego. Ich macierzyńska troska przypominała jej najszcześniejszy okres dzieciństwa u boku matki, która kochała ją ponad życie. Patrząc na cudze rodzinne szczęście, odczuwała zarówno wdzięczność za to, co otrzymała, jak i żal do losu za to, co jej zabrał.

Z kolei postępowanie Lydii i Margaret nasuwało Courtney skojarzenia z własną siostrą. Łączyła je równie silna więź, udzielały sobie nawzajem wsparcia, a także, jak każde rodzeństwo, popadały w konflikty, co Courtney uważała za rzecz naturalną. Podobno wcześniej nieustannie ze sobą wojowały, w co trudno jej było uwierzyć.

W ciągu kilku miesięcy kursu dziewiarskiego jego uczestniczki nawiązały mocną nić przyjaźni, która po jego zakończeniu nie została zerwana. Lydia opowiedziała koleżankom o swojej walce z rakiem, o koszmarze chemioterapii i naświetlania. Courtney słuchała z rosnącym niedowierzaniem. Wyraziła jej swoje uznanie, czym sprawiła Lydii wielką przyjemność. Lydia wyznała, że „przeskoczyła wtedy samą siebie”. Courtney zrozumiała, że określa w ten sposób bez wątpienia bardzo ciężką batalię o powrót do zdrowia.

Heather zabrała swoje rzeczy, jeszcze raz przeprosiła za najście, podziękowała za pomoc i wyszła. Courtney zasiadła z powrotem do komputera. Przeczytała ponownie zaczęty list do Lydii:

„Wciąż na nowo uświadamiam sobie, że pobyt w Seattle był dla mnie błogosławieństwem pod wieloma względami. «Świat Włóczki»...” - tyle zdążyła napisać, nim przerwała jej Heather, lecz doskonale pamiętała, co powinno zawierać ostatnie, niedokończone

zdanie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

BETHANNE HAMLIN

- Mamo, telefon! - zawołała Annie z najwyższego stopnia schodów.

- Który?! - odkrzyknęła Bethanne z kuchni. Robiła właśnie hamburgery.

- Służbowy.

- Zaraz odbiorę - mruknęła Bethanne, niemalże z niechęcią.

Wiecznie brakowało jej czasu. Interes szedł tak dobrze, że zamawiano u niej imprezy z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem. Umyła ręce. Weszła do pokoju, który niegdyś służył za biuro Grantowi, a obecnie jej. Tu trzymała harmonogram kolejnych zleceń. Ustaliła datę konsultacji z klientem, po czym śpiesznie wróciła do kuchni. Szykowała dla sześciolatniego jubilata zrazy z oliwek owiniętych mięsem. Wkrótce dołączyła do niej Annie.

- Pomóc ci? - zaproponowała.

- Na razie sama sobie radzę.

Córka brała czynny udział w przygotowaniach do wszystkich uroczystości podczas ubiegłych wakacji, a nawet później w ciągu roku szkolnego, mimo że chodziła już do klasy maturalnej. Bethanne zatrudniła ją na pół etatu, ku obopólnej korzyści. Miała już kilka asystentek, ale najwyżej ceniła sobie współpracę z własną córką.

Dzięki temu, że spędzały razem wiele czasu, zacieśniły łączącą je więź. Często gdy ją o coś prosiła, wypominała w żartach, że płaci jej krocie.

Telefon zadzwonił ponownie. Bethanne pokazała Annie umazane ręce. Poprosiła, żeby odebrała.

- No tak, jakoś muszę zapracować na tę swoją kolosalną pensję - roześmiała się Annie. Kiedy tylko podniosła słuchawkę, zmieniła ton na rzeczowy, profesjonalny: - Przyjęcia Bethanne - oznajmiła.

Matka patrzyła na nią z dumą. Uświadomiła sobie, że Annie już prawie dorosła. Za rok, kiedy i ona rozpocznie studia, opuści dom, podobnie jak jej brat. Bethanne nie przerażało już, że wkrótce zostanie sama. Była pewna, że sobie poradzi. Nie czekało jej ani poczucie osamotnienia, ani chwile zwątpienia. Planowała nowe, coraz śmielsze przedsięwzięcia. Pragnęła organizować niekonwencjonalne imprezy. Wymyśliła między innymi przyjęcie dla dziewiarek, na które przygotowałyby potrawy i napoje, podczas gdy Lydia uczyłaby gości techniki robienia na drutach. Opracowała dopiero zarys projektu, podobnie jak plan wieczoru bajek dla dzieci. O pomoc w realizacji tego ostatniego zamierzała poprosić Elise.

- To Paul! - zawołała Annie. - Powiedzieć mu, że oddzwonisz później?

- Tak, wrócę po szóstej. Bardzo się spieszę.

- Dokąd wychodzisz?

- Do Lydii - odrzekła, umieszczając uformowane kuleczki z mięsa na brytfance.

- Sama mu to powiedz. - Annie przystawiła matce słuchawkę do ucha. Bethanne umówiła się z Paulem o szóstą w kawiarni naprzeciwko „Świata Włóczki”.

- Czego chciał? - spytała córka, kiedy tylko skończyła rozmowę.

- Sądzę, że zamierza mnie poinformować, że planuje wspólną przyszłość z Angelą - odpowiedziała zgodnie z prawdą. Wyglądało na to, że poważnie interesuje się nową znajomą.

- A po co idziesz do Lydii?

- Aleś ty ciekawska!

- Kto pyta, nie błądzi.

Bethanne pokręciła głową z rozbawieniem. Roześmiała się serdecznie. Choćby nie wiem co robiła, żeby utrzymać jakąś sprawę w tajemnicy przed córką, Annie dotąd konsekwentnie dociekała prawdy, póki jej nie poznała.

- No dobrze, skoro już musisz wiedzieć, zabrakło mi kłębka włóczki na sweterek dla córki.

- Na ten z różowego kaszmiru, który obecnie robisz?! - wykrzyknęła Annie. Oczy jej błyszczały radością, promienny uśmiech rozjaśnił buzię. - Uwielbiam go! Nie przypuszczałam, że szykujesz dla mnie tak piękny prezent.

- No i z niespodzianki wyszły nici - westchnęła Bethanne bez urazy. Dziergała prawie każdego wieczoru. Cieszyło ją, że tworzy coś pięknego i praktycznego równocześnie. Odnosiła wrażenie, że od dnia, kiedy córka zapisała ją na kurs, upłynęły całe wieki. Po skarpetkach spróbowała swych sił w wytwarzaniu swetrów. Następny,

według wzoru zwanego afgańskim, zamierzała wydziergać dla syna na Gwiazdkę.

Zostawiła zrazy w piecu. Poprosiła Annie, żeby wyjęła je za pół godziny. W drodze do sklepu Lydii wróciła pamięcią do najgorszego dnia w życiu, kiedy Grant oznajmił, że odchodzi. Później sprawy stopniowo szły ku lepszemu, aż uzyskała pełną niezależność, a wraz z nią poczucie spełnienia. Dzieci były jej prawdziwą pociechą. Zarówno Annie, jak i Andrew zawarli wreszcie pokój z ojcem. Obydwoje pracowali nad tym, by utrzymać i zacieśnić ponownie nawiązany kontakt. Bethanne wyczuwała, że Grant nie zaznał zbyt wiele szczęścia w nowym związku. Nie martwiło jej to, ale też nie cieszyło. Współczuła mu nawet. Nie myślała o nim zbyt często. Uznała, że ponosi konsekwencje własnych błędów.

Na szczęście bez trudu znalazła miejsce na zaparkowanie samochodu przed „Światem Włóczki”. W pośpiechu wrzuciła kilka monet do parkometru. Do zamknięcia sklepu pozostało zaledwie kilka minut.

- Bałam się, że nie zdążę - oznajmiła na przywitanie, jeszcze w progu.

- Bethanne! - wykrzyknęła radośnie Lydia. Serdecznie uściskała przyjaciółkę. Przyniosła z zaplecza motek różowego kaszmiru. - To identyczny odcień z tym, który wcześniej kupowałaś. Pochodzi z tej samej partii towaru. Jak miło cię znowu widzieć - dodała już przy kasie.

- I wzajemnie. Ponieważ w przyszły piątek mam wolne, z

przyjemnością wezmę udział w zajęciach dobroczynnych. Ciekawa jestem, co słyhać u starych znajomych - dodała. Nie odwiedzała „Świata Włóczki” od dwóch tygodni. Tęskniła za przyjaciółkami. Spotkania z nimi bardzo wiele dla niej znaczyły.

- Wszystko w jak najlepszym porządku. Jacqueline dosłownie oszalała na punkcie wnuczki. Niedawno przyniosła najnowsze zdjęcia.

- Znowu?! - Bethanne parsknęła śmiechem. Po zapłaceniu za wełnę z ciekawością rozejrzała się po sklepie.

Wszystko wskazywało na to, że przedsiębiorstwo doskonale prosperuje. Z wielką przyjemnością oglądała gustowny wystrój wnętrza, nowy asortyment oraz interesujące projekty, których wcześniej nie widziała. Marzyła o tym, żeby w przyszłości odnieść równie wielki sukces jak przyjaciółka. Lydia wręczyła jej zakupiony towar w torebce z firmowym nadrukiem sklepu.

- Mam zapowiedzieć wszystkim twoją wizytę? - zapytała na koniec.

- Przyjdę na sto procent - przyrzekła Bethanne, chowając kupioną włóczkę do torby.

- Wspaniale wyglądasz - zauważyła Lydia z uśmiechem. Bethanne podziękowała za komplement. Na jej policzki wystąpił rumieniec.

Ostatnio często wysłuchiwała miłych słów, prawdopodobnie zasłużonych. Było jej naprawdę dobrze, pewnie jej twarz promieniała radością. Dojście do równowagi psychicznej po wstrząsie spowodowanym rozwodem zajęło jej sporo czasu, ale ostatnio wyszła

na prostą.

Od razu ze sklepu podążyła do „French Cafe”. Paul już na nią czekał przy stoliku. Na jej widok powstał z miejsca. Pokiwał jej ręką na powitanie. Odpowiedziała tym samym gestem. Za kontuarem spostrzegła Alix. Posiała jej miły uśmiech, po czym dołączyła do przyjaciela. Odsunął dla niej krzesło. Usiadła.

- Angela przyjdzie za kilka minut - poinformował, wskazując gestem trzecie nakrycie.

- Co u niej słyhać?

- Jest zaręczona.

- Co takiego? Zaręczona? - powtórzyła Bethanne, kompletnie zbita z tropu. Nie od razu zrozumiała żart. - Ach tak, z tobą! - wykrzyknęła radośnie, kiedy wreszcie dotarł do niej sens wypowiedzi.

- Ano tak - odparł, zadowolony, że zrobił jej kawał.

- Cudownie, moje gratulacje! - zawołała z niekłamanym entuzjazmem. Serdecznie uściskała przyjaciela. Wiadomość o zaręczynach niezmiernie ją ucieszyła, chociaż niewiele brakowało, a sama by się w nim zakochała. Doszła jednak do wniosku, że dwie osoby, związane przeżyciami wspólnej, dramatycznej przeszłości, nie stworzyłyby zdrowego związku. Szukali bezpiecznej przystani tylko dlatego, że obydwójce przeżyli zawód miłosny. Bethanne zdławiła w zarodku rodzące się uczucie, ponieważ instynktownie wyczuła, że obydwójce potrzebują nowych znajomości. Uznała, że najwyższa pora wyjść z zakłętego kręgu, podjąć wyzwania, które pozwolą im zapomnieć o złych doświadczeniach i zbudować przyszłość na

solidniejszych podstawach niż związek dwojga złamanych serc. Paul z początku nie podzielał jej poglądów. Uważał najbardziej oczywiste rozwiązanie za najkorzystniejsze. Ponieważ przywykł już myśleć o niej jak o swej przyszłej partnerce, nie przyjmował do wiadomości, że najwięcej korzyści przyniesie im układ koleżeński. Potraktował propozycję przyjaźni jak odrzucenie. Bethanne jednak nie zmieniła zdania. Zachowała narzucony sobie dystans, aż w końcu Paul uznał słuszność jej rozumowania.

- Nie przypuszczałem, że jeszcze kiedykolwiek tak bardzo kogoś pokocham - wyznał. - Teraz twoja kolej.

- Chyba jeszcze nic, nie widzę powodu do pośpiechu - odparła pogodnym tonem.

W drzwiach kawiarni stanęła wysoka, śliczna brunetka. Rozejrzała się po sali. Na widok narzeczonego jej twarz rozjaśnił promienny uśmiech. Paul wstał. Wyciągnął do niej rękę. Gdy do niego podeszła, ucałował ją w policzek. Angela zajęła miejsce obok Bethanne. Bethanne poznała ją kilka miesięcy wcześniej. Uważała, że jest wprost stworzona dla Paula. Złożyła jej gratulacje.

- Planujemy ślub w zimie - oświadczyła Angela.

- Marzymy o tym, żebyś urządziła nam przyjęcie.

- Z przyjemnością.

Bethanne również pragnęła nadać uroczystą oprawę zaślubinom najlepszego przyjaciela. Do tej pory przygotowała tylko jedno wesele - dla Elise i Mavericka. Wypadło wspaniale. Miała nadzieję, że powtórzy tamten sukces. Obdarzyła zakochaną parę szczerym,

serdecznym uśmiechem.

- A później czas na ciebie - wrócił do tematu Paul.

Zbyła jego uwagę wzruszeniem ramion. Nie odrzucała możliwości ponownego zawarcia małżeństwa - kiedyś, w przyszłości. Mimo dramatycznych przeżyć nie przestała wierzyć w miłość. Rozwód nie zachwiał jej przekonaniem o doniosłej roli rodziny w życiu każdego człowieka. Chociaż nie wykluczała, że w przyszłości i ona zechce kogoś poślubić, nie szukała jednak na siłę nowego męża. Dlatego wysłuchiwała uwag Paula bez urazy, z pogodnym, nieco pobłażliwym uśmiechem. Na razie całkowicie absorbowały ją dzieci, praca, przyjaciele. Najważniejsze, że znalazła zajęcie zgodne ze swoim powołaniem. Doceniała też drobne przyjemności, jak uprawianie ogródka, czytanie, a przede wszystkim robienie na drutach. To jej na razie w zupełności wystarczało.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

ELISE BEAUMONT

Elise jeszcze raz przeczytała przepis. Dodała do nadzienia jagód i siemienia lnianego. Postawiła sobie za cel przyrządzenie dla męża zdrowych potraw o wysokiej wartości odżywczej, ponieważ wierzyła, że wspomocze w ten sposób jego organizm w walce z białaczką. Jak do tej pory, uzyskiwała zachęcające wyniki. Maverick zjadał z apetytem wszystko, co mu naszykowała, nie szczędząc wyrazów uznania.

Twierdził, że bardzo mu służy jej kuchnia. Elise uważała, że nie tyle dieta, ile miłość dodała mu sił. Obecnie siedział z gazetą na kolanach w salonie swojego nowego mieszkania, z którego okien widać było panoramę miasta.

- Co pieczesz? - zapytał.

- Babeczki.

- Chłopcy za nimi przepadają.

Elise uśmiechnęła się wyrozumiale. Doskonale wiedziała, że nie ma na myśli wnuków, chociaż Luke i John uwielbiali jej wypieki. Każdą wizytę zaczynali od kuchni. Od razu sięgali do puszki z ciastkami. Każdy słodki poczęstunek przyjmowali z ogromną radością, podobnie jak pozostali goście.

Maverick bowiem nazywał „chłopcami” swoich przyjaciół. Wpadali raz lub dwa razy w tygodniu na partyjkę pokera. Poznał ich w osiedlowym salonie gry podczas eliminacji do wielkiego turnieju. Maverick był znaną i popularną postacią wśród graczy. Ponieważ w pierwszych latach małżeństwa przeważnie przegrywał, Elise z góry uznała go za lekkoducha, żyjącego z dnia na dzień. Trochę ze strachu, a trochę z przekonania o własnej nieomyślności nie przyjmowała do wiadomości informacji o jego sukcesach. Tymczasem Maverick, chociaż uwieńczył karierę wielką wygraną, nie zachęcał nikogo do pójścia w swoje ślady. Przeciwnie, często podkreślał, że wybrał bardzo śliską, wyboistą drogę, której nikomu nie poleca. Chyba w gruncie rzeczy żałował, że nie ułożył sobie życia w inny sposób.

- O której przyjdą? - spytała, wkładając babeczki do rozgrzanego

piekarnika.

- O trzeciej.

Elise dołączyła do męża. Usiadła na poręczy jego fotela. Objął ją w talii, zamknął oczy i westchnął. Na jego twarzy malowało się zmęczenie. Tego dnia odbył wyczerpujące badania lekarskie. Ich wyniki wskazywały, że choroba nie poczyniła w ostatnim czasie postępów. Maverick otrzymał odroczenie wyroku. Elise nie wiedziała, jak długo mąż jeszcze pożyje. Właśnie dlatego traktowała każdy dzień spędzony z mężczyzną swego życia jak wielki dar od losu.

- Może zdrzemnij się trochę, zanim przyjdą - zaproponowała z troską.

- Racja, chyba tak właśnie zrobię.

Elise wstała z jego fotela. Usiadła naprzeciwko.

Podczas gdy Maverick przyjął pozycję półleżącą, jego żona wyjęła z wiklinowego koszyka najnowszą robótkę. Dziergała dla niego domowe okrycie. Już po chwili druty cichutko stukały w jej rękach. Uspokajał ją ten dźwięk. Żyli razem już od roku. Ani przez sekundę nie żałowała, że ponownie go poślubiła. Podziwiała ogrom jego miłości do córki i wnuków. Zabezpieczył ich przyszłość, deponując lwią część swej wielkiej wygranej w funduszu powierniczym. Ona sama również wybrnęła z kłopotów finansowych. Po miesiącach zwłoki zapadł wreszcie wyrok w sprawie przeciwko firmie, która zdefraudowała oszczędności jej życia. Otrzymała wprawdzie mniej, niżby chciała, ale więcej, niż oczekiwała. Była wdzięczna losowi, a przede wszystkim własnej rodzinie, że przetrwała

kryzys bez szwanku. Wreszcie nadeszły dla niej lepsze czasy.

Okropnie ją kusilo, żeby szepnąć przyjaciółkom, że to jej mąż tak hojnie je obdarował. Nie pisnęła jednak ani słówkiem, konsekwentnie trzymała język za zębami. Wysłuchiwała w milczeniu opisu szalonej sukni Courtney oraz pełnej zachwyty relacji z Balu Inauguracyjnego, chociaż łzy wzruszenia napływały jej do oczu, gdy wciąż oszołomiona niespodziewanym podarunkiem dziewczyna nazywała swego dobroczyńcę „dobrym czarodziejem”. Elise wyęczała słuch, żeby nie uronić ani słowa i powtórzyć wszystko Maverickowi.

Jego następny dar diametralnie odmienił życie Bethanne. Z wypiekami na twarzy opowiedziała Elise, że otrzymała od nieznanego ofiarodawcy kilka tysięcy dolarów na rozwój działalności dokładnie w tym momencie, kiedy najbardziej ich potrzebowała. Elise podziwiała jej twórczą inwencję. Bethanne sypała wciąż nowymi pomysłami jak z rękawa. W dodatku bez trudu wprowadzała wszystkie w czyn.

Elise przewidywała, że w ciągu kilku lat stworzy całą sieć przedsiębiorstw. Nie wątpiła, że gdy na dobre rozwinie skrzydła i pomnoży dochody, udzieli wsparcia innej osobie, rozpoczynającej działalność, zgodnie z życzeniem Mavericka. Elise oczekiwała tej chwili z niecierpliwością, nadzieją i dumą.

Całe szczęście, że Bethanne zachowała niezwykle wydarzenie w tajemnicy przez kilka pierwszych tygodni. Gdyby obwieściła przyjaciółkom radosną nowinę równocześnie z Courtney, mogłyby się czegoś domyślić, a Maverick nie chciał podziękowań ani podziwu. Wolał zachować anonimowość.

Elise uśmiechnęła się do siebie. Podejrzewała, że Lydia domyśliła się, kto poznał i był w stanie spełnić marzenia uczestniczek kursu. Nie wypytywała jednak Elise. Wyraziła tylko przypuszczenie, że jakiś dobry czarodziej otoczył ich grupę opieką. Elise usiłowała skierować podejrzenia na ojca Courtney. Bez skutku. Lydia zdecydowanie odrzuciła jej sugestie. Na szczęście nie poruszała więcej śliskiego tematu. Gdyby Elise okłamała przyjaciółkę, dręczyłoby ją poczucie winy, a prawdy wyznać również nie chciała.

Zadzwonił zegar przy piekarniku kuchenki. Elise odłożyła druty. Wyszła sprawdzić, czy babeczki już gotowe. Wyciągnęła brytfankę z piekarnika. Umieściła ją na podstawce, żeby ciasteczka wystygły. Zapach jagód wypełnił kuchnię. Pozostało już tylko udekorować gotowe wypieki kremowym serkiem, a potem zaserwować Maverickowi i jego kolegom. Pewnie „chłopcy” nawet nie zdawali sobie sprawy, że zawsze częstuje ich zdrową żywnością.

Pół godziny później Maverick otworzył oczy. Wyglądał znacznie lepiej, bez wątpienia dobrze wypoczął. Do wizyty kolegów pozostało dwadzieścia minut.

Punktualnie o piętnastej zadzwonił domofon.

Pierwszy przybył Bart. Wciągnął głęboko w nozdrza powietrze.

- Co za aromat! - wykrzyknął. - Idę o zakład, że przygotowane przez ciebie łakocie równie wybornie smakują, jak pachną. Nikt nie piecze lepiej od ciebie.

Elise posłała mu ciepły uśmiech. Komplement sprawił jej wielką przyjemność.

- Za chwilę sam spróbujesz - obiecała.

Tuż po nim nadeszli Al i Fred. Podążyli prosto do kuchni śladem smakowitego zapachu. Al, ledwie zdążył zdjąć kapelusz, trzymał go jeszcze w ręku.

- Znowu przygotowałaś jakieś pyszności? - spytał, udając zdziwienie.

- Rozpieszczasz moich kompanów - mruknął Maverick. Posłał żonie porozumiewawczy uśmiech.

- Naprawdę włożyłaś tyle trudu, żeby sprawić przyjemność biednym, głodnym staruszkom? - błaznował Fred. Złożył razem ręce w geście dziękczynienia. - Niemożliwe!

- Skończcie z tą dziecinadą. Doskonale wiecie, że zawsze piekę we wtorki - upomniała ich figlarnie gospodyni.

Bart szturchnął Alę łokciem w żebro.

- Chyba nie zapomniałeś, że właśnie dlatego tu przychodzimy.

- Myślałem, że na pokera - wtrącił Maverick.

- Owszem, między innymi.

Roześmiani mężczyźni otoczyli kuchenny stół. Maverick wyciągnął talię kart, potasował i rozdał. Każdy z uczestników zabawy stawiał dwadzieścia dolarów. Zwycięzca domowego „turnieju” zabierał całą wygraną do domu. W niedługim czasie gra wciągnęła ich bez reszty. Elise udekorowała babeczki, po czym wróciła do przerwanej robótki. Po zakończeniu rozgrywki podała kawę i ciastka. Goście z wdzięcznością przyjęli poczęstunek.

Usłyszała wiele pochwał i gorących podziękowań. Pochwyliła

spojrzenie Mavericka. Wymienili uśmiechy. Uświadomiła sobie, jak olbrzymią rolę odgrywa odwzajemniona miłość w życiu każdej kobiety. Nie dorównuje jej żadne inne doświadczenie ani żadne inne uczucie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Robienie skarpet na drutach uczy systematyczności. Nie realizujemy wielkiej, przytłaczającej ogromem wyzwań wizji, lecz wykonujemy kolejno z góry określone części: mankiet, piętę, stopę, palce.

Kathy Zimmerman, Kathy's Kreations, Ligonier, PA.
www.kathys-kreations.com

LYDIA HOFFMAN

Po pracowitym poranku w moim sklepie wreszcie zapanował spokój. Odetchnęłam z ulgą. Pośpiech mnie wykończył, postanowiłam sobie zrobić przerwę. Poprosiłam Margaret, żeby obsługiwała klientów, póki trochę nie odsapnę, po czym wyszłam na zaplecze. „Świat Włóczki” prosperuje wspaniale. Jestem za to wdzięczna losowi. Czasami odnoszę wrażenie, że moje życie to cudowny, nieprawdopodobny sen. Pierścionek z diamentem, który błyszczy na moim palcu, przypomina mi, że naprawdę przeżywam te wspaniałe chwile na jawie. Moje serce wypełnia miłość do Brada i Cody'ego.

Chyba nie ma na świecie szczęśliwszej kobiety ode mnie. Jestem zaręczona z najprzystojniejszym, najwspanialszym z mężczyzn, żyjących na Ziemi. Za kilka miesięcy zamieszkać z Bradem, Codym i Ścigaczem. Wąsik na szczęście toleruje psa. Sądzę, że nauczy go moresu. Nie wyobrażam sobie piękniejszego życia niż to, które otrzymałam.

Kiedy dwa lata temu zakładałam własne przedsiębiorstwo, nazywałam swoje przedsięwzięcie afirmacją życia. Nie przeczuwałam jeszcze, jakie zmiany przyniesie ta decyzja. Właśnie w moim sklepie poznałam wierne przyjaciółki: Jacqueline, Carol i Alix, które udzielały mi wsparcia w pierwszym okresie samodzielnej działalności.

Od czasu, gdy pokazałam im, jak wydzierać kocyk dla dziecka, zorganizowałam kilka następnych kursów. Aczkolwiek wszystkie wypadły bardzo dobrze, nie odczuwałam tak bliskiego związku z ich uczestniczkami, jak z moimi pierwszymi uczennicami aż do dnia, kiedy zapragnęłam przeprowadzić kurs z zakresu ręcznego wyrobu skarpet. Wtedy właśnie Elise, Bethanne i Courtney wkroczyły nie tylko do „Świata Włóczki”, ale również w moje życie. Nie przypuszczałam, że nawiążę jeszcze z kimkolwiek tak ścisłą więź jak z pierwszymi uczennicami.

Nigdy nie zapomnę, ile trudności przysporzyły mi pierwsze zajęcia. Szczerze wątpiłam, czy kiedykolwiek dotrę do rozdrażnionej z powodu planowanej wizyty byłego męża Elise, czy do zahukanej Bethanne, która po rozwodzie całkowicie utraciła wiarę w siebie. W dodatku do tego nerwowego towarzystwa dołączyła jeszcze

zakompleksiona Courtney z nadwagą, kompletnie zagubiona w nowym otoczeniu. Połączyło nas wszystkie zamiłowanie do robótek ręcznych. Kto by pomyślał, że para skarpet może odmienić czyjeś życie? Obecnie cenię sobie przyjaźń z tymi trzema kobietami równie wysoko, jak z Jacqueline, Carol i Alix.

Poza tym dawniej nie śmiałam nawet marzyć, że kiedykolwiek nadejdzie taki dzień, gdy nazwę własną siostrę najserdeczniejszą przyjaciółką. A jednak nadszedł. Właśnie tutaj, podczas wspólnej pracy, odnalazłyśmy drogę do wzajemnego zrozumienia. Solidarnie dzielimy obowiązki wynikające z konieczności opieki nad mamą. Z dnia na dzień opada z sił. Podejrzewam, że długo już nie pożyje. Tym bardziej doceniamy każdy wspólnie spędzony dzień. Traktujemy każdą chwilę jak podarunek od losu. Dbamy z Margaret, żeby nieustannie stawiać przed nią jakieś zadania, stosownie do jej możliwości. Odwiedzamy ją albo wyciągamy na spacer czy zakupy albo też podrzucamy ciekawe książki. Starannie planujemy dla niej drobne przyjemności, żeby oczekiwała kolejnej wizyty z nadzieją i zaciekawieniem. Mama ostatnio sporo robi na drutach. Margaret zabiera ją co piątek do sklepu na sesje dobroczynne. Ogromnie ją cieszy, że spełnia dobre uczynki w miłym towarzystwie. Udział w tych zajęciach zapewnia jej poczucie przynależności do kręgu osób o wspólnych zainteresowaniach. Pracuje bardzo szybko. Wydziergała już serię prostokątów wystarczających na cały koc dla fundacji „Ogrzejcie Amerykę!” i jeszcze na drugi, dla projektu Linus. Wyobrażam sobie, że tata byłby z nas dumny, gdyby mógł zobaczyć,

jak cała jego rodzina wspólnie działa dla dobra publicznego. Pograżona w rozmyślaniach nawet nie zauważyłam, kiedy Margaret stanęła naprzeciwko mnie.

- Jadę po mamę - oznajmiła.

- Doskonale.

Z wysiłkiem wstałam z miejsca. Zwykle nie bywam tak zmęczona w piątki rano, jednak poprzedniego dnia położyłam się spać grubo po północy. Wieczorem poszłam z moimi ukochanymi mężczyznami na mecz eliminacyjny Marinersów, a dzisiaj musiałam wstać o świcie, żeby zdążyć na umówione spotkanie z przedstawicielem handlowym. Nasza drużyna awansowała do dalszych rozgrywek. Nie mogłam odmówić tej przyjemności Bradowi i Cody'emu. Obydwaj uwielbiają baseball. Zarazili mnie tą pasją. Obecnie z równie wielkim entuzjazmem jak oni kibicuję naszym chłopcom, tak więc traktowałam wyprawę na stadion nie jak obowiązek, lecz jak świetną rozrywkę.

Ledwie Margaret odjechała, do sklepu wkroczyła Elise. Odkąd ponownie poślubiła Mavericka, w jej nastawieniu do świata zaszły tak pozytywne zmiany, że sam wyraz jej twarzy mógłby przekonać najzagorzalszych przeciwników małżeństwa. Ostatnio wprost promienieje szczęściem.

Dałabym głowę, że to Maverick zagrał rolę dobrego czarodzieja, chociaż nigdy nie spytałam wprost, czy moje przypuszczenia są słuszne. Elise zaś konsekwentnie trzymała język za zębami.

- Gdzie Maverick? - spytałam.

Zwykle towarzyszył jej w piątkowe popołudnia. Kupiłam specjalnie dla niego wygodny fotel, żeby mógł czytać, podczas gdy my dziergamy i gawędzimy. Chociaż zasłania twarz książką, jestem pewna, że nadstawia uszu. Elise przyznała, że umie słuchać. Lekarze określają jego stan jako stabilny, postępy choroby uległy na razie zahamowaniu, lecz ciągle się o niego martwimy. Terapia wzmocniła jego system odpornościowy. Elise bardzo o niego dba. Zapewne to właśnie jej troska czyni cuda. Na pierwszy rzut oka widać, że wzajemna miłość im służy.

- Parkuje samochód - odrzekła Elise. - Zaraz przyjdzie.

- Jak się czuje?

- Bardzo dobrze. - Pogodny wyraz twarzy świadczył o tym, że moja przyjaciółka mówi prawdę.

- Widziałam w pobliżu Bethanne. Jacqueline i Carol gawędzą z Alix we „French Cafe”. Z pewnością niebawem nadejdą.

- Świetnie.

Na początku tygodnia otrzymałam paczkę od Courtney. Przesłała prostokąty na koce dla fundacji „Ogrzejcie Amerykę!”. Podobno wiele dziewcząt w akademiku zaczęło za jej przykładem robić na drutach. Do paczuszki dołączyła długi list, który zamierzałam odczytać wszystkim obecnym. Bethanne mówi, że Courtney utrzymuje stały kontakt z jej dziećmi. Ciekawa jestem, czy związek Courtney z Andrew przetrwa próbę czasu. Bethanne wyznała, że zachęcała obydwójce, żeby próbowali nawiązać nowe znajomości. Myślę, że posłuchają jej rady, ale pozostaną przyjaciółmi na całe

życie.

Wracając do Bethanne, widuję ją ostatnio rzadziej, niżbym chciała. Jesteśmy z niej wszystkie bardzo dumne, nie tylko z powodu sukcesów zawodowych. Poprosiłam ją, żeby urządziła dla mnie i dla Brada przyjęcie weselne. Nikomu innemu nie powierzyłabym tak odpowiedzialnego zadania. Najbardziej podziwiam ją za to, że odnalazła nie tylko swoje powołanie, ale także dość odwagi, by zrealizować marzenia. Z przyjemnością obserwuję postępy odrodzonej, optymistycznie nastawionej do świata przyjaciółki, pełnej wiary w siebie i w ludzi. Odczuwam ogromną satysfakcję, ponieważ to właśnie na organizowanym przeze mnie kursie otrzymała zachętę i wsparcie moralne, niezbędne do wkroczenia na nową drogę życia.

Zadzwonił dzwonek u drzwi. Brad właśnie wchodzi do sklepu. Widuję go ostatnio prawie codziennie. Ustaliliśmy już datę ślubu. Alix zaoferowała, że upiecze nam tort. Jacqueline namawia, żebyśmy wyprawili wesele w klubie, a Bethanne zapewni nam odpowiednią oprawę uroczystości. Margaret zgodziła się zostać świadkiem na ślubie. Prócz niej będę miała sześć druhen. Aż sześć! Bez wahania wytypowałam osoby, które będą mi asystować w najważniejszym dniu życia - uczestniczki dwóch najwspanialszych kursów.

- Witaj, piękna - pozdrowił mnie Brad, pchając wprawną ręką wózek z towarem. - Jak się czujesz w ten piękny poranek?

Z uśmiechem zapewniłam, że doskonale albo nawet jeszcze lepiej. Żadne słowa w pełni nie odzwierciedlą mych uczuć. Jestem bezgranicznie szczęśliwa, zakochana w nim oraz w moim małym

światku na Blossom Street.

Czytelniczkom robiącym skarpety na drutach Autorka poleca:

SKARPETY wg Nancy Bush

Wzór dostosowany do 2 okrągłych drutów przez Cat Bordhi
WŁÓCZKA:

Mountain Color, (60% wełny, 25% moheru, 15% nylonu), 100g
= 320m, 1 motek. DRUTY:

2 pary okrągłych drutów grubości 2,5 mm i długości 40-60 cm
lub takiej wielkości, która pozwoli osiągnąć wymiary podane w
poniższym przeliczeniu. PRZELICZENIE WYMIARÓW:

15 o. i 20 rzędów = 5 cm ściegu pończoszniczego (gładkiego).

WYMIARY PO ZAKOŃCZENIU ROBÓTKI: długość
mankietu skarpetki od górnego brzegu do górnej części pięty - 21,5
cm; długość stopy od końca pięty do końca palca - 28,5 cm.

WYKONANIE NAOKOŁO NA 2 OKRĄGŁYCH DRUTACH:

Oczka należy podzielić pomiędzy dwie pary okrągłych drutów.
Na każdym drucie przerabiamy tylko odpowiednią dla niego część
oczek. Jedyna łączność pomiędzy obydwoma parami drutów polega
na przesunięciu włóczki na drugą parę drutów, kiedy zostanie
zakończony przerabianie oczek na pierwszym. Kiedy przerabiamy
oczka za pomocą jednej pary drutów, druga para zwisa na zewnątrz z
oczkami nawleczonymi na linkę. Kiedy zakończymy przerabiać oczka
za pomocą pierwszej pary drutów, włóczkę przejmuje i przerabia
druga para. W tym czasie pierwsza para „odpoczywa”, tzn. zwisa
swobodnie z nawleczonymi na linkę, należącymi do niej oczkami itd.

MANKIET SKARPETY:

Nabrać 65 o. na pierwszy okrągły drut. Zsunąć 32 z 65 o. na drugą parę drutów, tak żeby włóczka wychodziła z końca tego drutu, podczas gdy pierwsza z pozostałymi 33 o. kończy się końcówką włóczki. Przesunąć 32 o. na drugiej parze drutów na środek linki, tak żeby końcówki druta swobodnie zwisały na zewnątrz. Przesunąć 33 o. na pierwszym drucie do końca, tak żeby końcówka włóczki znajdowała się jak najbliżej zakończenia drutu. Trzymać drugą końcówkę drutu w prawej ręce i przygotować się do przerabiania włóczki, idącej od drugiej pary drutów. Należy uważać, żeby nie przekreślić nabranych oczek. Rozpoczynamy ściągacz: 2 o. lewe, 3 o. prawe, powtarzamy od do końca. Przerabiamy dalsze 7 okrążeń ściągaczem. Przerobić jedno okrążenie lewymi oczkami. Powtórzyć opisane 9 okrążeń jeszcze 2 razy. Kontynuować ściągaczem, aż mankiet skarpety osiągnie 21,5 cm długości, zakończyć pełny rząd na pierwszym drucie.

GÓRNA CZĘŚĆ PIĘTY:

Robimy ją wyłącznie na drugiej parze drutów, w tę i z powrotem, tak żeby wykonać prostokąty na górną i dolną część pięty. 33 o. na pierwszej parze drutów utworzą podbicie i kliny, a po wykonaniu pięty zostaną dołączone do całości.

Rozpoczynamy pracę nad tylną częścią pięty: zsunąć 1 o., przerobić o. prawe, powtórzyć od do końca, odwrócić. Zsunąć jedno oczko jak do przerobienia na lewo, przerabiać lewe oczka do końca. Powtarzać te dwa rzędy aż do otrzymania 32 rzędów, czyli 16 o.

brzegowych po każdej stronie górnej części pięty. Zakończyć rzędem lewych oczek.

SPODNIA CZĘŚĆ PIĘTY:

Kontynuujemy przerabianie rzędów w tę i z powrotem na drugiej parze drutów. Zsunąć 1 o., 17 o. prawych, zzP, 1 oczko prawe, odwrócić. Zsunąć 1 o., 5 o. lewych, 2 o. lewe razem, 1 o. lewe, odwrócić. Zsunąć 1 o., przerabiać na prawo, aż pozostanie 1 oczko do przerwy, zzP, 1 o. prawe, odwrócić. Zsunąć 1 o., przerabiać na lewo, aż pozostanie jedno oczko od końca, 2 o. lewe razem, 1 o. lewe, odwrócić. Powtarzać od, aż po każdej stronie zostanie po jednym oczku do przerwy. Zsunąć 1 o., 16 o. prawych, zzP, odwrócić. Zsunąć 1 o., 16 o. lewych, 2 o. lewe razem, odwrócić (pozostanie 18 o.).

KLINY:

Powrócić do przerabiania na okrągło na dwóch parach okrągłych drutów. Nadal używając drugiej pary drutów, przerobić na prawo 18 o. pięty. W każde oczko brzegowe górnej części pięty wbić drut i wyciągnąć prostopadle 1 o. - razem 16 o. prawych. Puścić luźno drugą parę drutów, a za pomocą pierwszej przerabiać ściągaczem wg ustalonego wzoru 33 o. podbicia (wzór powinien się zaczynać i kończyć trzema oczkami prawymi). Puścić luźno pierwszą parę drutów. Za pomocą drugiej wyciągnąć 16 o. prawych z oczek brzegowych górnej części pięty. Przerabiać do końca drutu. Na drugim drucie jest obecnie 50 o., na pierwszym - 33. Zacząć kształtowanie klinów: przerabiać podbicie ściągaczem za pomocą pierwszej pary drutów. Druga para: 1 o. prawe, zzP, oczka prawe do

momentu, aż na drucie zostaną 3 o., 2 o. prawe razem, 1 o. prawe. Przerobić 1 okrążenie, utrzymując wzór ściągacza na pierwszej parze drutów. Powtarzać te dwa okrążenia do momentu, gdy na drugiej parze drutów pozostaną 32 o. W sumie na obydwu drutach zostanie 65 o. Przerabiać dalej do momentu, gdy stopa osiągnie długość mniejszą o 7,5 cm od planowanej.

PALCE:

Przerobić 3 okrążenia, następnie przystąpić do formowania czubka stopy.

Okrążenia od 1 do 6: 6 o. prawych, 2 o. prawe razem, powtarzać od do 3 o. od końca, przerobić 3 o. razem na prawo (56 o.), w ten sam sposób przerobić 5 okrążeń.

Okrążenia od 7 do 12: 5 o. prawych, 2 o. prawe razem, powtarzać od do końca (48 o.), w ten sam sposób przerobić dalszych 5 okrążeń.

Okrążenia od 13 do 17: 4 o. prawe, 2 o. prawe razem, powtarzać od do końca (40 o.). W ten sam sposób przerobić dalsze 4 okrążenia.

Okrążenia od 18 do 21: 3 o. prawe, 2 o. prawe razem, powtórzyć od do końca (32 o.) W ten sam sposób przerobić dalsze 3 okrążenia.

Okrążenia od 22 do 24: 2 o. prawe, 2 o. prawe razem, powtarzać od do końca (24 o.). W ten sam sposób przerobić dalsze 2 okrążenia.

Okrążenia od 25 do 26: 1 o. prawe, 2 o. prawe razem, powtórzyć od do końca (16 o.) Przerobić jeszcze 1 okrążenie w ten sam sposób.

Okrążenie 27: 2 o. prawe razem, powtarzać od do końca (8 o.). Odciąć koniec włóczki i przeciągnąć końcówkę za pomocą igły

tapicerskiej przez wszystkie pozostałe oczka. Wyciągnąć koniec włóczki do góry w celu zamknięcia zakończenia palców. Zawiązać na końcach. W taki sam sposób wykonać drugą skarpetkę. Umieścić pod obciążeniem pod wilgotnym ręcznikiem w celu wyrównania.

OZNACZENIA: o. - oczko zzP - zsunąć 2 oczka jak do przerobienia na prawo, następnie przerabiać te 2 oczka razem.